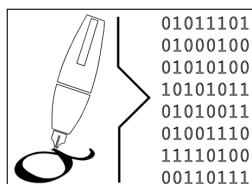


DEAN R. KOONTZ

W OKOWACH LODU

Przekład: Piotr Beluch



Tytuł oryginału:

Ice Bound

Data wydania polskiego: 1999 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1995 r.

*Obecną, poprawioną wersję książki,
ponownie dedykuję
owej wyjątkowej,
niezastąpionej kobiecie -*

Winonie Garbrick

*Wiem, że tam jesteś — wysoko nad nami.
Wciąż patrzysz. Czerwony ołówek w Twojej dłoni.*

WCZEŚNIEJ...

Doniesienia „The New York Timesa”:

[1]

LODY ARKTYKI ŹRÓDŁEM NAJCZYSTSZEJ WODY NA ŚWIECIE

MOSKWA, 10 lutego

Jak twierdzą rosyjscy naukowcy, lody Arktyki zawierają znacznie mniej bakterii i zanieczyszczeń niż woda, którą obecnie spożywamy lub przeznaczamy do nawadniania pól. Odkrycie to może spowodować że już w niedalekiej przyszłości pokrywa polarna może stać się ważnym źródłem tego drogiego płynu.

Topienie lodu okazałoby się z pewnością tańsze od kosztownego procesu odsalania, zwłaszcza że uzyskana w ten sposób woda nie musiałaby być oczyszczana. Rosyjscy uczeni szacują, że w następnej dekadzie, dzięki odpowiedniemu wykorzystaniu gór lodowych, można by nawodnić miliony hektarów ziemi uprawnej.

[2]

ZDANIEM SPECJALISTÓW, GÓRY LODOWE MOGĄ STAĆ SIĘ ŹRÓDŁEM WODY PITNEJ

BOSTON, 5 września

Dr Harold Carpenter, przemawiając dzisiaj na corocznym zgromadzeniu Amerykańskiego Stowarzyszenia Inżynierów Środowiska, stwierdził, że ciągły niedobór wody w Kalifornii może zostać zlikwidowany dzięki procesowi topienia gór lodowych, holowanych w tym celu z obszaru Arktyki w południowe rejony kraju. Według dr Rity Carpenter — żony dra Carpentera, będącej jego partnerem w pracy naukowej — dotknięte suszą państwa powinny rozważyć ewentualność przeznaczenia funduszy na dalsze eksperymenty i badania umożliwiające rozwój projektu. Inwestycja ta przyniosłaby w ciągu dziesięciu lat stokrotne zyski.

Państwo Carpenter, którzy w ubiegłym roku zostali uhonorowani Nagrodą Państwowej Fundacji Nauki, twierdzą, że sam pomysł jest niezwykle prosty. W pierwszej fazie należy za pomocą ładunków wybuchowych oddzielić od pokrywy polarnej dużą górę lodową, którą naturalne prądy oceaniczne uniosą następnie na południe. Kolejny etap eksperymentu polegałby na przytwierdzeniu do dryfującej bryły stalowych lin, dzięki którym holowniki mogłyby ją przetransportować do specjalnych przetwórci, znajdujących się w pobliżu zagrożonych suszą terenów. Wody Pacyfiku i Atlantyku są w północnych rejonach bardzo zimne,

w związku z czym — jak zapewnia Harold Carpenter — straty spowodowane przedwczesnym topnieniem lodu nie powinny być większe niż piętnaście procent.

Carpenterowie uprzedzają jednak, że nie można mieć pewności, iż pomysł sprawdzi się w praktyce. „Jest jeszcze do przewyciężenia sporo trudności — kontynuowała dr Rita Carpenter — szczegółowe badania pokrywy polarnej. . .”

[3]

SUSZA NISZCZY ZBIORY W KALIFORNII

SACRAMENTO, Kalifornia, 20 września

Przedstawiciele Departamentu Stanu ds. Rolnictwa szacują, że niedostatek wody w Kalifornii spowodował straty rzędu pięćdziesięciu milionów dolarów. Zniszczeniu uległy uprawy pomarańczy, cytryn, kantalupy, sałaty. . .

[4]

TYSIĄCE GŁODUJĄCYCH NIE OTRZYMA POMOCY Z POWODU BRAKU REZERW ŻYWNOŚCI

ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH, 18 października

Dyrektor Biura ds. Pomocy Ofiarom Kataklizmów ogłosił, że zazwyczaj zasobne w żywność państwa Europy, USA i Kanada odnotowały z powodu katastrofalnej suszy wyjątkowo niskie zbiory płodów rolnych, w związku z czym od pewnego czasu mieszkańcy Afryki nie mogą kupić od nich zboża i innych produktów żywnościowych. Do chwili obecnej umarło ponad dwieście tysięcy osób. . .

[5]

ONZ TWORZY FUNDUSZ W CELU PRZEPROWADZENIA BADAŃ NAUKOWYCH W REJONIE ARKTYKI

ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH, 6 stycznia

Jedenaście państw członkowskich utworzyło dzisiaj przy ONZ specjalny fundusz mający sfinansować serię eksperymentów w Arktyce. W pierwszej kolejności zostanie sprawdzona możliwość holowania na południe potężnych gór lodowych. Woda, uzyskana na skutek ich topnienia, zostałaaby wykorzystana do nawadniania upraw.

„Zapewne zabrzmiało to jak science fiction — stwierdził pewien brytyjski naukowiec — ale już od wczesnych lat sześćdziesiątych większość specjalistów z dziedziny inżynierii środowiska uważała podobny projekt za całkowicie realny”. Jeśli plan się powiedzie, plony będą znacznie wyższe i problem zostanie rozwiązany, przynajmniej w przypadku państw o największych uprawach. Góry lodowe nie mogłyby być holowane w rejonach ciepłych mórz otaczających Afrykę i Azję, ale cały świat skorzystałoby z poprawy zbiorów w krajach, którym udało się...

[6]

NAUKOWCY Z ONZ TWORZĄ STACJĘ BADAWCZĄ NA ARKTYCZNEJ POKRYWIE LODOWEJ

THULE, Grenlandia, 28 września

Dziś rano, na polu lodowym pomiędzy Grenlandią a Spitzbergenem, wylądowała grupa naukowców. Wyprawą dowodzą doktorzy Harold i Rita Carpenter, tegoroczni laureaci Nagrody Rothschilda w dziedzinie Nauk o Ziemi. Prace badawcze prowadzone w ramach programu zatwierdzonego przez ONZ potrwać będą przez co najmniej dziewięć miesięcy. Trzy kilometry od krawędzi pokrywy polarnej rozpoczęto budowę bazy naukowej, która...

[7]

ARKTYCZNA EKSPLOZJA NASTĄPI JUTRO

THULE, Grenlandia, 14 stycznia

Jutro o północy naukowcy z Bazy Edgeway — która powstała dzięki funduszom ONZ — przeprowadzą na pokrywie Arktyki detonację serii ładunków wybuchowych; ma ona doprowadzić do oderwania się góry lodowej o powierzchni około tysiąca kilometrów kwadratowych. Operacja zostanie przeprowadzona sześćset pięćdziesiąt kilometrów od północno-wschodniego wybrzeża Grenlandii. Ruch odłamanej bryły lodu będzie rejestrowany dzięki najnowocześniejszym urządzeniom radiolokacyjnym, zainstalowanym na dwóch holownikach, będących własnością ONZ.

W eksperymencie, który ma pokazać, jak bardzo podczas surowej arktycznej zimy zmieniają się naturalne prądy w Oceanie Atlantyckim...

Część pierwsza
PUŁAPKA

12:00

DWANAŚCIE GODZIN DO DETONACJI

Świder z przenikliwym piskiem głęboko drażył pokrywę Arktyki. Z otworu wyciekała szarobiała maź; płynęła kanałem wyłobionym w stwardniałym śniegu i już po kilku sekundach zamarzała. Wiertła nie było widać; wraz ze sporym fragmentem trzonka, w którym zostało osadzone, niknęło w otworze o średnicy dziesięciu centymetrów.

Wpatrując się w pracę świdra, Harry Carpenter miał dziwne przeczucie, że zbliża się jakaś nieuchronna katastrofa. Był to rodzaj ledwie wyczuwalnego sygnału ostrzegawczego — pojawił się niczym cień ptaka, przesuwany się na tle jasnego krajobrazu. Pomimo grubej warstwy termoizolacyjnego ubrania przebiegł go dreszcz.

Jako naukowiec Harry Carpenter uznawał prawa logiki i rozumował opierając się na zasadzie przyczyna — skutek. Wiedział jednak, że nie należy również lekceważyć intuicji, zwłaszcza gdy przebywa się na tak niepewnym gruncie jak lodowa pokrywa. Źródło przeczucia było dla niego niejasne, chociaż na pewno nie bez wpływu pozostawał fakt, że w pracy mieli do czynienia z niezwykle silnymi ładunkami wybuchowymi. Prawdopodobieństwo, że jeden z nich niespodziewanie eksploduje, było oczywiście bliskie zeru, niemniej jednak. . .

Peter Johnson — inżynier elektronik, pełniący także funkcję głównego pirotechnika wyprawy — wyłączył świder i odsunął się o krok do tyłu. Ubrany był w termoizolacyjny kombinezon i futrzaną kurtkę z włochatym kapturem. Gdyby nie jego ciemnobrązowa twarz, wyglądałby jak niedźwiedź polarny.

Claude Jobert zgasił przenośny generator prądu. Zapadła cisza, w której wyraźnie wyczuwało się pełne napięcia oczekiwanie. . . Wrażenie było tak silne, że Harry obejrzał się dookoła, a następnie popatrzył na niebo, jakby w obawie przed zagrożeniem, które może nadciągnąć z niewiadomego kierunku.

Gdyby śmierć miała dzisiaj nadejść, najprawdopodobniej nie dosięgłaby ich z góry, lecz z dołu. Wokół poszarzało — zbliżało się południe. Trzej mężczyźni kończyli przygotowania do umieszczenia w lodzie ostatniego pięćdziesięciokilogramowego ładunku. Od poprzedniego poranka zainstalowali już pięćdziesiąt

dziewięć identycznych pojemników z materiałem wybuchowym, którego ilość wystarczała, aby ich unicestwić w apokaliptycznej eksplozji.

Nie trzeba było wybujałej wyobraźni, żeby uzmysłwić sobie koszmar umierania na tym ponurym pustkowiu. Monotonia białego krajobrazu skłaniała do rozmyślań o śmierci, a lodowa pokrywa mogła stać się doskonałym grobowcem. Dookoła rozciągała się posępna, biało-niebieska równina, spowita przez większość czasu w całkowitych ciemnościach, z rzadka przechodzących w szarość. Niebo wiecznie zasnuwały chmury. Akurat w tej chwili widoczność była całkiem niezła — dzień wstępował właśnie w fazę, kiedy przebijające się nieśmiało słońce rozświetla swymi promieniami niebo tuż nad linią horyzontu. Jednak nawet te chwilowe przebłyski nie były w stanie ożywić martwoty roztaczającego się wokół pustkowia. Jedynymi elementami, które urozmaicały jednostajny krajobraz, były postrzępione grzbiety spiętrzonych zwałów lodu i połamane, często postawione na sztorc tafle kry wielkości człowieka, a nawet sporego budynku. Wystając ponad powierzchnią pola polarnego, wyglądały jak potężne płyty nagrobne.

Pete Johnson podszedł do Harry'ego i Claude'a stojących przy dwóch pojazdach śnieżnych, specjalnie przystosowanych do pracy w surowych arktycznych warunkach, i stwierdził z wyraźną satysfakcją:

— Szyb ma już dwadzieścia osiem metrów głębokości. Po raz ostatni przedłużamy wiertło... i po robocie.

— Dzięki Bogu! — mówiąc to, Claude Jobert wzdrygnął się, jakby prze-marzył pomimo termoizolacyjnych właściwości swojego kombinezonu. Jego pokryta ochronną warstwą wazeliny twarz była blada i wychudzona. — Jeszcze dziś uda nam się wrócić do głównej bazy. Nareszcie! Od chwili jej opuszczenia nie było mi ciepło nawet przez minutę.

Claude zazwyczaj nie narzekał. Był stosunkowo niewysokim mężczyzną, jowialnym i energicznym. Na pierwszy rzut oka sprawiał niepozorne wrażenie; wyglądał wręcz na słabeusza. Jednak myliłby się ktoś, oceniając go w ten sposób. Miał poniżej stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu i ważył niecałe sześćdziesiąt kilogramów, jednak zachowując szczupłą sylwetkę miał silne, sprężyste mięśnie. Jego białe włosy, schowane w tej chwili pod kapturem, okalały czerstwą i ogorzałą na skutek przebywania w trudnych warunkach twarz. Za to oczy Claude'a świeciły niewinnym błękitem jak u dziecka. Harry nigdy nie dostrzegł w nich choćby cienia złości czy nienawiści. Do wczoraj obcy był im również wyraz rozżalenia, który nie pojawił się w spojrzeniu Claude'a nawet wtedy, gdy trzy lata wcześniej, na skutek bezsensownego aktu agresji, zginęła jego żona Colette. Pogrzyżył się wtedy w smutku, ale nigdy się nie roztkliwił.

Od kiedy jednak opuścili przytulne schronienie, jakie dawała Baza Edgeway, Claude zmienił się nie do poznania; stracił swoją jowialność i zapał, za to bez przerwy utyskiwał na zimno i trudne warunki. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat; był najstarszym uczestnikiem wyprawy — urodził się osiemnaście lat wcześniej od

Harry'ego Carpentera, którego wiek osiągnął właśnie górną granicę dopuszczalną dla osób pracujących w warunkach podbiegunowych.

Chociaż Claude był wyśmienitym geologiem, specjalizującym się w badaniach dynamiki arktycznej formacji lodowej, obecna ekspedycja miała być jego ostatnią wyprawą w te rejony. Po jej zakończeniu zamierzał co prawda kontynuować swoje badania, ale już wyłącznie w laboratoriach, przy użyciu komputerów — daleko od surowych warunków panujących za kręgiem polarnym.

Harry zastanawiał się, czy przypadkiem bardziej od zimna nie przeszkadza Jobertowi świadomość, że praca, którą kocha, staje się ponad jego siły. Pewnego dnia będzie to musiał zrozumieć, a decyzja odejścia od czynnego uprawiania zawodu może się okazać niezwykle bolesna. Bezkresne przestrzenie Arktyki i Antarktydy oczarowały go swoim czystym, krystalicznym pięknem, surowością klimatu i powiewem tajemnicy osnuwającej białe kontury krajobrazu. Tak, wszystko było tu tajemnicze; purpurowe cienie zakrywające dno każdej, wydawałoby się niezgłębionej rozpadliny, kolorowy teatr nocy, kiedy drżące wstęgi zorzy polarnej mieniały się tysiącami barw, a gdy utkana z nich kurtyna opada, scena nieba rozświecła się niezliczonymi gwiazdami.

W pewnym sensie Harry wciąż czuł się jak mały nieśmiały chłopczyk z zacisznej, spokojnej farmy w Indianie.

Dorastający samotnie — bez braci, siostr i przyjaciół — był dzieckiem od początku przytłoczonym przez życie. Pokonywał swój lęk marząc o dalekich podróży, podczas których mógłby oglądać wszystkie niezwykłości świata — nie chciał być przypisany do jednego tylko miejsca na ziemi; wierzył, że jego powołaniem jest PRZYGODA. Teraz, kiedy przybyło mu trochę lat i doświadczenia, wiedział już, że tak zwana „przygoda” polega głównie na ciężkiej pracy. Jednak, od czasu do czasu, mały chłopczyk ukryty w głębi jego duszy budził się niespodziewanie i wtedy, bez względu na to, co w danej chwili robił, rozglądał się dookoła oczami rozszerzonymi ze zdumienia i widząc wspaniałą biel otaczającego świata, myślał sobie: A niech to! Więc naprawdę tu jestem — z dala od farmy w Indianie; na samym końcu świata, na samym jego szczycie!

— Śnieg zaczyna padać — stwierdził Pete Johnson.

Prawie w tej samej chwili Harry dostrzegł pierwsze wirujące w bezgłośnym tańcu płatki. Do tej pory dzień był bezwietrzny, co nie oznaczało jednak, że taka pogoda się utrzyma.

— Sztorm miał nadejść dopiero późnym wieczorem. — Mówiąc to Claude Jobert przybrał zafrasowany wyraz twarzy.

Tymczasowy obóz znajdował się o siedem i pół kilometra, mierząc w linii prostej, na północny-wschód od Bazy Edgeway. Odległość ta w rzeczywistości, gdy pokonywało się ją pojazdami śnieżnymi, wynosiła około jedenastu kilometrów. Pomimo licznych rozpadlin i wysokich spiętrzeń kry, jadąc z bazy pokonali ten dystans bez większych trudności. Silny sztorm mógł jednak uniemożliwić powrót

— ograniczona widoczność i wywołane wichurą zakłócenia pracy kompasu stwarzały ryzyko zgubienia drogi, a w razie wyczerpania zapasów paliwa czekała ich niechybna śmierć, gdyż nawet termoizolacyjne kombinezony nie były wystarczającym zabezpieczeniem przed przenikliwym zimnem, jakie panuje podczas burzy śnieżnej.

Wbrew pozorom, w okolicach Grenlandii opady śniegu są stosunkowo niewielkie. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest niska temperatura powietrza, która powoduje, że nawet przy słabych podmuchach wiatru biały puch zamienia się w igiełki lodu, co nie wpływa jednak na poprawę widoczności.

— Może to tylko chwilowe pogorszenie pogody? — powiedział Harry, uważnie przyglądając się niebu.

— Już to widzę. To samo mówili w biurze prognoz o poprzednim sztormie — przypomniał Claude. — Miały być tylko „lokalne, przejściowe zakłócenia atmosferyczne”, a nadciągnęła taka burza, że omal nas nie zasypało, z baraku nie dało się nawet wytknąć nosa.

— Więc tym bardziej pospieszmy się z tą robotą.

— Faktycznie, nie mamy zbyt wiele czasu.

Jakby na potwierdzenie tych słów, wiatr mocniej powiał z zachodu. Był ostry i rzeński — przynosił z sobą chłód setek kilometrów lodowych pustkowi. Płatki śniegu zaczynały się zmniejszać i twardnieć. Nie opadały już łagodnym, wirującym ruchem, lecz gwałtownie zacinały z boku.

Pete odłączył świder od trzonka wiertła, które pozostało schowane w lodzie, a następnie bez najmniejszego wysiłku podniósł czterdziestokilogramowe urządzenie, jakby w jego rękach ważyło dziesięciokrotnie mniej.

Dziesięć lat wcześniej, grając w uniwersyteckiej drużynie Penn State, stał się gwiazdą futbolu amerykańskiego. Wkrótce zaczął otrzymywać liczne propozycje od klubów z ligi zawodowej — jednak konsekwentnie odrzucał wszystkie oferty. Nie miał zamiaru odgrywać stereotypowej roli, w jakiej społeczeństwo amerykańskie widzi każdego czarnoskórego zawodnika — zwłaszcza gdy ma on sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i waży dziewięćdziesiąt kilogramów. Zdecydował się pokierować swoim życiem inaczej; udało mu się zdobyć stypendium naukowe, ukończył dwa fakultety i uzyskał doskonałą posadę w branży informatycznej.

Podczas zorganizowanej przez Harry’ego wyprawy Pete pełnił niezwykle odpowiedzialną funkcję: czuwał nad sprawnym funkcjonowaniem całości sprzętu komputerowego w Bazie Edgeway, a co więcej, jako konstruktor ładunków wybuchowych używanych podczas eksperymentu, był jedynym człowiekiem mogącym coś zaradzić w razie jakiegokolwiek awarii. Jego wyjątkowa sprawność fizyczna stanowiła oczywiście dodatkowy, niezaprzeczalny, atut w bezwzględnych warunkach panujących na obszarze Arktyki.

Gdy Pete odstawił świder, Claude i Harry przynieśli z przyczepy pojazdu me-

trowy przedłużacz, który następnie przykręcili do wystającej z lodu końcówki wiertła.

Claude ponownie uruchomił generator.

Pete wstawił świder z powrotem na miejsce, po czym jednym sprawnym ruchem zablokował klamry, łączące go z podtrzymującym statywem. Gdy wszystko było gotowe, przystąpił do wiercenia ostatniego fragmentu szybu, na którego dnie miał spocząć podłużny pojemnik z materiałem wybuchowym.

Podczas gdy maszyna rzeźąc pogłębiała odwiert, Harry spojrzął na niebo. W ciągu ostatnich kilku minut pogoda znacznie się pogorszyła. Masywne chmury zakryły resztki promieni słonecznych. Przez intensywnie padający śnieg nie można było dostrzec popielatoczarnych połaci nieba, niknącego w strumieniach kryształicznych cząsteczek, ponad którymi wirowała biała kipiela. Płatki śniegu coraz bardziej twardniały, zamieniały się w igiełki lodu, kłując jego natłuszczoną twarz. Wiatr nasilił się do około trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, wypełniając przestrzeń złowieszczym gwizdem.

Harry w dalszym ciągu nie mógł odpędzić od siebie przeczucia, że stanie się coś niedobrego. Było ono mgliste i nieokreślone, jednak wciąż go nie opuszczało.

Kiedy jako mały chłopiec mieszkał w Indianie, nigdy nie przypuszczał, że „przygoda” okaże się ciężką pracą, zdawał sobie jednak sprawę, iż mogła być niebezpieczna. Zagrożenie i związane z nim ryzyko miało dla niego w owych latach nieodparty urok. Jednak w miarę dorastania, na skutek choroby, a następnie śmierci obojga rodziców, zrozumiał okrutną naturę świata i raz na zawsze przestał pojmować śmierć w sposób typowy dla romantyków. Pomimo to odczuwał perwersyjną tęsknotę za wiekiem niewinności, kiedy bez lęku rozmyślał o mroźnych krew w żyłach, niebezpiecznych wyczynach.

Claude Jobert nachylił się do niego i przekrzykując szum wiatru i rżenie świdra, oznajmił:

— Nie martw się, Harry. Już niedługo będziemy w Edgeway. Napijemy się brandy, rozegramy partyjkę szachów, posłuchamy Benny Goodmana na kompaktce — czekają na nas wszelkie wygody.

Harry w milczeniu pokiwał głową. Wciąż uważnie obserwował niebo.

12:20

Gunvald Larsson wyglądał przez jedyne okienko w baraku ze sprzętem telekomunikacyjnym w Bazie Edgeway. Obserwując gwałtownie nasilający się sztorm, nerwowo gryzł ustnik swojej fajki. Tumany padającego śniegu burzyły się i wirowały dookoła jak cienie fal dawno nie istniejącego, prehistorycznego oceanu. Mimo że pół godziny wcześniej wyszedł na zewnątrz i zeszkrobał z potrójnie oszkłonego okna warstwę lodu, na jego powierzchni znów zaczęły się tworzyć konstelacje kryształowych wzorów. W ciągu godziny szyba ponownie została całkowicie przesłonięta.

Budynek, w którym przebywał Gunvald, znajdował się na niewielkim wzniesieniu. Gdy patrzył z niego na Bazę Edgeway, miał wrażenie, że jest ona całkowicie odizolowana od reszty świata. W otaczającym ją krajobrazie wyglądała tak obco i nienaturalnie, iż mogło się wydawać, że jest to stacja kosmiczna na jakiejś odległej, pozbawionej życia planecie. Na tle białych, popielatych i alabastrowych płaszczyzn była jedyną barwną plamą łamiącą monotonię ich odcieni.

Gotowe elementy sześciu żółtych baraków zostały przetransportowane drogą powietrzną przy ogromnym nakładzie pracy i środków finansowych. Każdy z parterowych budynków mierzył pięć na siedem metrów. Ściany, wykonane z warstw blachy i pianki izolacyjnej, były przymocowane do stalowych obręczy, które wzmacniały konstrukcję, natomiast podłoga została osadzona głęboko w lodzie. Baraki nie wyglądały zbyt atrakcyjnie; na pierwszy rzut oka przypominały slumsy — zapewniały jednak skuteczną ochronę przed zimnem i wiatrem.

W odległości stu metrów od bazy stał odosobniony budynek. Mieściły się w nim zbiorniki z paliwem do generatorów. Był to olej napędowy, który ma tę właściwość, że jest łatwo palny, ale nie może eksplodować, co znacznie zmniejszało ryzyko ewentualnego pożaru. Mimo wszystko, wciąż przerażała go myśl o niebezpieczeństwie znalezienia się w oślepiających płomieniach podsycanych podmuchami arktycznego wiatru. Co gorsza, dookoła nie było wody, tylko bezużyteczny przy gaszeniu ognia lód.

Gunvald Larsson zaczął się na dobre niepokoić już kilka godzin wcześniej, jednak przyczyną jego lęku nie była bynajmniej groźba pożaru. W tej chwili najbardziej obawiał się trzęsień ziemi, a raczej trzęsień dna morskiego.

Gunvald był synem Dunki i Szweda. Należał kiedyś do szwedzkiej narciarskiej reprezentacji narodowej i uczestniczył w dwóch zimowych olimpiadach — zdobył nawet srebrny medal. Nie ukrywał dumy z faktu swojego pochodzenia i kultywował wizerunek opanowanego, niewzruszonego Skandynawa. Wewnętrzny spokój, jaki go cechował, doskonale harmonizował z jego wyglądem. Żona Larssona często mawiała, że jego oczy są jak cyrkiel, który bez przerwy mierzy świat. Gdy nie pracował w terenie, ubierał się zazwyczaj w luźne spodnie i sportowe sweterki. Tak właśnie teraz wyglądał; mogło się wydawać, że wyleguje się bez troski w górskim pensjonacie, po całym dniu jazdy na nartach. Nic nie wskazywało na to, że spodziewa się najgorszego, tkwiąc w odizolowanym baraku, położonym na lodowej skorupie Arktyki, a wokół niego nasila się sztorm.

Jednak w ciągu ostatnich godzin jego charakter uległ dużej modyfikacji. Nerwowo zaciskając zęby na cybuchu, odwrócił się od pokrytej lodem szyby i przeniósł wzrok na monitory komputerów oraz elektroniczne wskaźniki, które ściśle zakrywały trzy ściany pomieszczenia.

Rankiem ubiegłego dnia, gdy Harry i inni wyruszyli na południe w kierunku krawędzi pokrywy lodowej, Gunvald został w bazie, aby doglądać zabudowań i utrzymywać łączność radiową z resztą świata. Nie po raz pierwszy zdarzało się, że jeden z uczestników wyprawy musiał samotnie przebywać w Edgeway, podczas gdy pozostali wykonywali zadania w terenie, jednak do tej pory funkcja ta nigdy nie przypadła Gunvaldowi. Po wielu tygodniach spędzonych na małej przestrzeni, z wiecznie tą samą grupą ludzi, nie mógł doczekać się chwili, gdy wreszcie będzie sam.

Jednak już o szesnastej poprzedniego dnia, kiedy sejsmografy zarejestrowały pierwszy wstrząs, Gunvald zaczął żałować, że pozostałych członków wyprawy nie ma w bazie. Zamiast siedzieć tutaj przebywali blisko krawędzi pola polarnego, gdzie lodowa pokrywa styka się z wodami oceanu. O szesnastej czternaście fakt wystąpienia lokalnego trzęsienia ziemi został potwierdzony w doniesieniach radiowych z Reykjavíku na Islandii i z Hammerfest w Norwegii. Według uzyskanych informacji, ponad sto kilometrów na północny-wschód od Raufarhöfn na Islandii doszło do poważnego osunięcia fragmentu dna morskiego. Zjawisko wystąpiło na obszarze łańcucha uskoków, które ponad trzydzieści lat wcześniej dały początek niszczycielskim erupcjom wulkanicznym na tej wyspie. Tym razem nie zanotowano żadnych szkód na obszarach lądowych wokół Morza Grenlandzkiego. Siła wstrząsu wyniosła jednak sześć i pół stopnia w skali Richtera.

Zaniepokojenie Gunvalda brało się z podejrzeń, że nie jest to odosobniony wstrząs — co gorsza, nie przypuszczał, by był on najslabszy z całej serii zjawisk sejsmicznych, mogących po nim nastąpić. Miał wszelkie podstawy, aby sądzić, iż było to tylko preludium, wstęp do znacznie poważniejszych reakcji w obrębie wierzchniej warstwy skorupy ziemskiej.

W pierwszej wersji mieli podczas ekspedycji badać także wstrząsy dna Morza

Grenlandzkiego, co powinno poszerzyć wiedzę na temat przebiegu linii uskoków tektonicznych. Wyprawa odbywała się w aktywnym sejsmicznie rejonie Ziemi i nie mogli czuć się bezpiecznie, aż do chwili lepszego poznania zjawisk występujących na tym obszarze. W przyszłości mają się tutaj znaleźć dziesiątki statków, holujących gigantyczne bryły lodu — zanim to jednak nastąpi, trzeba zdobyć informacje na temat częstotliwości występowania groźnych fal tsunami, które pojawiają się w wyniku podmorskich wstrząsów. Tsunami — potężna fala, rozchodząca się we wszystkich kierunkach od epicentrum trzęsienia ziemi — stanowi poważne niebezpieczeństwo nawet dla większych okrętów, chociaż jest ona znacznie groźniejsza dla jednostek znajdujących się w pobliżu wybrzeża, niż tych, które przebywają na pełnym morzu.

Możliwość zaobserwowania z bliska przebiegu zjawisk sejsmicznych na dnie Morza Grenlandzkiego powinna stanowić dla Gunvalda, jako naukowca, źródło prawdziwej satysfakcji, w chwili obecnej nie był jednak w stanie czerpać zadowolenia z wyjątkowej okazji przeprowadzenia interesujących badań i obliczeń.

Korzystając z komunikacji satelitarnej, mógł połączyć się z wszystkimi komputerami pracującymi w sieci Infonetu. W sensie fizycznym był odizolowany od reszty świata, miał jednak dostęp do informacji naukowych, oprogramowania i baz danych w każdym większym mieście.

Poprzedniego dnia skorzystał z tej możliwości i zapis charakterystyki ostatniego trzęsienia ziemi poddał wnikliwej analizie. Wyniki, które otrzymał, popsły mu humor.

Energia, wyzwolona podczas wstrząsu, prawie całkowicie skierowała się ku górze, nie powodując większego przemieszczenia dna morskiego. Taki przebieg zjawiska prowadził do powstania największych naprężeń na linii uskoków tektonicznych położonych na wschód od epicentrum pierwszego trzęsienia.

Baza Edgeway nie była bezpośrednio zagrożona. Jeśli wstrząs nastąpiłby w bliskim sąsiedztwie stacji, istniało prawdopodobieństwo, że fala tsunami w całości przemieści się pod powierzchnią lodu, powodując ewentualnie przyspieszenie niektórych procesów, takich jak formowanie się nowych rozpadlin czy zwałów kry. Gdyby wstrząsowi towarzyszyły podmorskie erupcje wulkaniczne, kiedy z dna wydostają się miliony ton gorącej lawy, wówczas w pokrywie polarnej mogłyby chwilowo powstać spore otwory wypełnione rozgrzaną wodą. Większa część pola lodowego pozostałaby jednak nienaruszona i ryzyko uszkodzenia lub zniszczenia głównej stacji było niewielkie.

Gunvald w zasadzie był spokojny o swoje bezpieczeństwo. Znacznie gorzej przedstawiała się sytuacja pozostałych polarników. Ciepła fala tsunami mogła spowodować — oprócz powstawania nowych torosów i rozpadlin — odłamywanie się fragmentów lodu na krawędzi arktycznej pokrywy; Harry i przebywający z nim ludzie znaleźliby się wtedy w sytuacji, w której lód dosłownie usuwa im się spod nóg, a w ich kierunku nadciąga mroczne, przeraźliwie zimne, śmiertelne

morze.

Jeszcze poprzedniego wieczoru, o dwudziestej pierwszej — pięć godzin po pierwszym wstrząsie — ponownie zanotowano ruchy tektoniczne w okolicach łańcucha uskoków, tym razem o sile 5.8 w skali Richtera. Morskie dno zadrżało w odległości dwustu kilometrów na północny wschód od Raufarhöfn — w stosunku do poprzedniego trzęsienia, epicentrum znajdowało się o sześćdziesiąt pięć kilometrów bliżej Bazy Edgeway.

Gunvalda wcale nie uspokajał fakt, że drugi wstrząs był słabszy. Zmniejszona siła drgań nie dowodziła bynajmniej, że były one niknącym echem poprzedniego zjawiska. Obydwa trzęsienia ziemi mogły być zapowiedzią ruchów tektonicznych na o wiele większą skalę.

W okresie zimnej wojny armia Stanów Zjednoczonych zainstalowała na dnie Morza Grenlandzkiego sporą liczbę niezwykle czułych sond dźwiękowych — umieszczono je również w innych, ważnych ze strategicznego punktu widzenia rejonach. Służyły one do wykrywania ruchów wrogich okrętów podwodnych, których silniki, napędzane energią jądrową, pracowały prawie bezgłośnie. Po rozpadzie sowieckiego imperium spora część owych skomplikowanych przyrządów zaczęła, oprócz zadań militarnych, pełnić również funkcję naukową. Od chwili wystąpienia drugiego wstrząsu większość sond zaczęła rejestrować słaby, lecz prawie nieprzerwany dudniący dźwięk — złowieszczy odgłos narastającego naprężenia pomiędzy płytami tektonicznymi.

W każdej chwili mogła wystąpić seria wstrząsów, podobna do reakcji domina, którego klocki przewracają się w kierunku Bazy Edgeway. Przez ostatnie szesnaście godzin Gunvald prawie w ogóle nie palił fajki, za to bez przerwy nerwowo zaciskał zęby na jej ustniku.

Poprzedniej nocy, o dwudziestej pierwszej trzydziści, Gunvald nawiązał łączność z oddalonym o jedenaście kilometrów na południowy zachód obozem. Poinformował Harry'ego o wstrząsach i wyjaśnił, na jakie ryzyko są narażeni, przebywając w dalszym ciągu przy krawędzi pola lodowego.

— Musimy dokończyć pracę — odpowiedział Harry — zainstalowaliśmy już czterdzieści sześć ładunków, które mają zaprogramowany czas detonacji. Wydobycie ich z lodu przed planowaną godziną eksplozji byłoby trudniejsze, niż uwolnienie się od dociekliwego urzędnika podatkowego. Jeśli do jutra nie przygotujemy pozostałych czternastu, wówczas oddzielenie odpowiednio dużego fragmentu lodu może nam się nie udać i w rezultacie nie dokończylibyśmy eksperymentu, a na to nie możemy sobie pozwolić.

— Myślę, że powinniśmy rozważyć taką ewentualność.

— To nie wchodzi w grę. Projekt pochłonął zbyt wiele pieniędzy, żeby przerwać jego realizację z powodu podejrzenia, że istnieje możliwość wystąpienia

trzęsienia ziemi. Nasze fundusze są ograniczone. Jeśli teraz coś schrzanimy, możemy już nie mieć drugiej szansy.

— Pewnie masz rację — przyznał Gunvald — ale nie podoba mi się to wszystko.

W chwili gdy Harry zaczął mówić, w odbiorniku dały się słyszeć szумы i trzaski wywołane przez zakłócenia atmosferyczne.

— Oczywiście nie zamierzam również zlekceważyć tej sprawy. Czy jesteś w stanie przewidzieć, ile czasu może upłynąć do momentu, kiedy wstrząsy przemieszczą się wzdłuż całego łańcucha uskoków tektonicznych?

— Nikt nie potrafi udzielić odpowiedzi na to pytanie. Mogą upłynąć dni, tygodnie, a nawet miesiące.

— Sam widzisz. Czasu jest aż za wiele. Do diabła, przecież to może potrwać nawet dłużej.

— Albo znacznie krócej, na przykład kilka godzin.

— Tak się nie stanie. Przecież drugi wstrząs był słabszy od pierwszego — argumentował Harry.

— Sam doskonale wiesz, że nie oznacza to, iż reakcja stopniowo wygasa. Trzeci wstrząs może być równie dobrze słabszy, jak i silniejszy od dwóch poprzednich.

— Niezależnie od wszystkiego — kontynuował Harry — w miejscu, gdzie przebywamy, pokrywa polarna ma ponad dwieście metrów grubości. Nie pęknie tak łatwo jak warstewka lodu na stawie podczas wiosennych roztopów.

— Mimo wszystko sugeruję, żebyście się jak najszybciej jutro stamtąd zabierali.

— O to się nie musisz martwić. Mamy już dość przebywania w tych cholernych dmuchanych igloo. Baraki w Edgeway wydają się przy nich apartamentami w Ritz-Carltonie.

Po zakończeniu rozmowy Gunvald Larsson położył się do łóżka. Spał niespokojnie; śniły mu się koszmary, w których świat rozpadał się na części, potężne bryły usuwały mu się spod nóg, a on sam spadał w zimną, bezdenną otchłań.

O siódmej trzydzieści, podczas porannego golenia, gdy Gunvald wciąż miał w pamięci złe sny, sejsmograf zarejestrował kolejny wstrząs — 5.2 w skali Richtera.

Na śniadanie wypił jedynie filiżankę kawy — nie miał apetytu.

O jedenastej nastąpiło czwarte trzęsienie ziemi. Epicentrum wstrząsu o sile 4.4 w skali Richtera znajdowało się o trzysta siedemdziesiąt kilometrów na południe od Edgeway.

Nie czuł się pocieszony faktem, że każdy kolejny wstrząs jest słabszy od poprzedniego — być może ziemia gromadziła zapasy energii na jedno gigantyczne, kulminacyjne uderzenie.

Piąte trzęsienie ziemi wystąpiło o jedenastej pięćdziesiąt, dwieście kilometrów na południe — znacznie bliżej, niż którekolwiek z poprzednich — praktycznie pod nimi.

Gunvald nawiązał łączność z obozem tymczasowym i uzyskał od Rity Carpenter zapewnienie, że najpóźniej o drugiej wszyscy opuszczą rejon krawędzi pola lodowego.

— Pogoda może wam to znacznie utrudnić — martwił się Gunvald.

— Pada tutaj śnieg, ale to chyba przelotna zamieć.

— Obawiam się, że nie. Wiatr zmienia kierunek i przybiera na sile. Po południu opady się wzmogą.

— Do szesnastej na pewno będziemy już w Edgeway — zapewniała Rita. — A może nawet szybciej.

O dwunastej dwadzieścia, sto osiemdziesiąt pięć kilometrów na południe, nastąpiło kolejne przemieszczenie podłoża oceanicznego. Na skali Richtera odczytano 4.5 stopnia.

Teraz, gdy Harry i pozostali polarnicy najprawdopodobniej zakładali ostatni ładunek wybuchowy, Gunvald Larsson zaciskał zęby na swojej fajce z taką siłą, że odrobinę mocniejszy nacisk przełamałby ją na pół.

12:30

Obóz tymczasowy — oddalony o ponad dziesięć kilometrów od Bazy Edgeway — był ulokowany na płaskiej powierzchni lodu, osłoniętej od wiatru przez wznoszący się obok zwał kry.

W odległości pięciu metrów od wysokiego, piętnastometrowego torosu, stały trzy nadmuchiwane igloo, zrobione z warstw gumy i pianki uszczelniającej. Przed ustawionym w kształcie półkola obozem stały zaparkowane dwa pojazdy śnieżne. Każde igloo mierzyło ponad trzy i pół metra średnicy i ponad trzy metry wysokości w centralnym punkcie; przytwierdzono je mocno do pokrywy lodowej za pomocą gwintowanych haków i śledzi. Podłogę pokrywały wewnątrz miękkie i lekkie koce termoizolacyjne. Niewielkie grzejniki, zasilane olejem napędowym, utrzymywały we wnętrzu stałą temperaturę pięćdziesięciu stopni Fahrenheita. Tego rodzaju kwatery nie była wygodna ani przestronna, jednak służyła tylko jako tymczasowe schronienie. Podczas obecnej ekspedycji korzystano z igloo wyłącznie w okresie prac związanych z instalacją sześćdziesięciu ładunków wybuchowych.

Sto metrów na południe znajdował się niewielki płaskowyż wznoszący się nieco powyżej obozu. Umieszczono na nim — wbijając pionowo w lód — dwumetrową stalową żerdź, do której przymocowano termometr, barometr i anemometr.

Rita Carpenter przetarła rękawicą gogle, a następnie usunęła śnieg z okienek trzech przyczepionych do tyczki instrumentów. Robiło się coraz ciemniej. Musiała przyświecić sobie latarką, aby odczytać wskazania temperatury, ciśnienia i prędkości wiatru. To, co zobaczyła, nie napawało jej optymizmem; spodziewali się, że sztorm nie nadejdzie przed godziną osiemnastą, a tymczasem nadciągał z potężną siłą i należało przypuszczać, że spadnie na nich, zanim zdążą zakończyć pracę i wyruszyć w drogę powrotną do Edgeway.

Rita wracała do obozu, niezdarnie pokonując czterdziestopięciostopniową pochyłość pomiędzy płaskowyżem a otaczającą go równiną. Inaczej niż niezdarnie nie mogła się poruszać, gdyż miała na sobie pełen komplet odzieży ochronnej: ciepłą bieliznę, dwie pary skarpet, filcowe wkładki, a na nich podbite wełną buty, grube wełniane spodnie i koszulę, pikowany watą termoizolacyjny kombinezon, kurtkę z futrzaną podpinką, maskę zakrywającą twarz od brody po gogle oraz

podszyty futrem, wiązany pod brodą kaptur i rękawice. W ostrych warunkach klimatycznych utrzymanie stałej temperatury ciała musiało się odbywać kosztem utraty zdolności swobodnego poruszania się — niezdarność chodzenia, ociężałość i niewygodność były ceną przetrwania.

Chociaż Rita nie odczuwała zimna, monotony krajobraz i wyjący wiatr ostudziły ją emocjonalnie. Razem z Harrym spędzili większą część swojego zawodowego życia w rejonach Arktyki i Antarktydy — był to ich wspólny wybór. Nie podzielała jednak w pełni zamiłowania Harry'ego do szerokich, rozległych pustkowi, jednostajnej barwy otoczenia, bezkresnego nieboskłonu i nieokiełzanych sztormów. Rita decydowała się na kolejne wyprawy w rejony polarne z tych samych powodów, dla których się ich bała.

Od czasu owej zimy, kiedy miała sześć lat, postanowiła nigdy nie poddawać się już żadnemu lękowi, bez względu na to, jak bardzo mógł on być uzasadniony...

Teraz, gdy wracała do igloo położonego w zachodniej części obozu, smagana w plecy przez gwałtowne porywy wiatru, poczuła strach tak silny, że omal nie rzucił jej na kolana. Kriofobia — lęk przed mrozem i lodem. Frigofobia — lęk przed zimnem. Chionofobia — lęk przed śniegiem. Rita знаła nazwy wszystkich trzech fobii, gdyż każda z nich w pewnym stopniu jej dotyczyła. Ciągły kontakt z sytuacjami czy przedmiotami, których się bała, działając w sposób podobny do szczepionki przeciw grypie częściowo ją uodpornił, tak iż zazwyczaj odczuwała tylko lekki niepokój lub obawę, rzadko strach w pełnym wymiarze. Niekiedy jednak nachodziły ją wspomnienia, przeciw którym nie skutkowało żadna „szczepionka”. Tak, jak w tej chwili. Wydawało jej się, że niespokojne, białe niebo opada na nią z prędkością staczającego się gładzi. Miała wrażenie, że za chwilę zostanie zmiażdżona przez powietrze, wirujący śnieg i chmury, jakby w magiczny sposób zamieniły się one w ogromną marmurową płytę, która wgniecie ją w twardą, zamrożoną równinę. Czuła silne, prędkie łomotanie własnego serca: tętno stawało się coraz szybsze, rytm pulsującej w obłądnym tempie krwi dudnił jej w uszach coraz głośniejsze i głośniejsze — tak głośnie, że zagłuszył złowieszczy ryk wiatru.

Zatrzymała się tuż przed wejściem do igloo, starając się opanować chęć ucieczki z miejsca, które ją przerażało. Zmusiła się do pozostania w spowitym mrokiem królestwie lodu. Zachowywała się jak ktoś, kto rozpaczliwie bojąc się psów, przygarnia jednego z czworonogów do chwili, gdy lęk ustąpi.

Najbardziej doskwierało Ricie poczucie izolacji. Od czasu, kiedy ukończyła sześć lat, zima w jej świadomości nierozzerwalnie łączyła się z przerażającą samotnością umierania; z widokiem szarych, zniekształconych twarzy ze szklanymi, niewidzącymi oczami; z cmentarzyskami, grobami i nieopisaną rozpaczą.

Dygotała tak mocno, że promień latarki, którą trzymała, kreślił chaotyczne zygzaki wokół jej stóp.

Odwróciła się od igloo, ustawiając twarz prostopadle do kierunku wiatru. Ob-

serwowała wąską dolinkę rozciągającą się pomiędzy płaskowyżem a spiętrzeniem kry. Wieczna zima; bez ciepła, cienia nadziei lub pocieszenia.

Kraina ta wzbudzała respekt. Niemniej jednak nie była ona myślącą bestią, która świadomie i konsekwentnie chciałaby wyrządzić jej krzywdę. Rita zaczerpnęła przez maskę kilka głębokich oddechów.

Aby pozbyć się owego irracjonalnego lęku, zaczęła myśleć o znacznie bardziej realnym problemie, który oczekiwał na nią w igloo. Była nim obecność Franza Fischera.

Poznała Franza jedenaście lat wcześniej, wkrótce po uzyskaniu doktoratu, kiedy otrzymała pierwszą samodzielną pracę naukową w filii International Telephone and Telegraph. Franz, który również miał posadę w ITT, był atrakcyjnym, można by nawet powiedzieć czarującym mężczyzną — gdy tylko chciał to okazać. Przez prawie dwa lata pozostawali w związku, który, w gruncie rzeczy, nie był harmonijny ani spokojny, ani przepełniony miłością. Trzeba przyznać, że przynajmniej nigdy się z nim nie nudziła. Rozeszli się dziewięć lat temu — tuż po opublikowaniu jej pierwszej książki. Stało się wtedy jasne, że Franz nigdy nie będzie szczęśliwy z kobietą, która dorównywała mu pod względem zawodowym i intelektualnym. Miał w sobie potrzebę dominacji, a ona nie zgodziłaby się na całkowite podporządkowanie. Porzuciła go i wkrótce poznała Harry'ego, którego rok później poślubiła. Od tamtej pory nie odgrzebywała wspomnień przeszłości.

Harry, ponieważ pojawił się w życiu Rity dopiero po Franzu, był przekonany, że historia ich związku nie powinna go obchodzić — w tego rodzaju rozumowaniu uwidaczniał się jego niewątpliwie uroczy, racjonalny sposób myślenia. Miał poczucie własnej wartości i był spokojny o swoje małżeństwo — do tego stopnia spokojny, iż wiedząc o ich wspólnym życiu, mimo wszystko zaproponował Niemcowi funkcję głównego meteorologa Bazy Edgeway, uważając, że jest on najlepszym kandydatem na to stanowisko.

W tym jednym wypadku nierozsądna zazdrość wyszłaby Harry'emu na dobre, lepiej nawet niż trzeźwe, racjonalne rozumowanie, życie bowiem nie zawsze rządzi się prawami logiki.

Dziewięć lat od chwili rozstania Franz wciąż odgrywał rolę odrzuconego kochanka z uduchowionym, smutnym wzrokiem i ustami zaciśniętymi w niemym wyrzucie. Nie zachowywał się opryskliwie czy chłodno; wręcz przeciwnie — starał się wywołać wrażenie, jakby zranione serce kołowało wyłącznie w mrokach nocy, leżąc samotnie w swoim śpiworze. Nigdy nie nawiązywał w rozmowie do przeszłości. Nie okazywał również nadmiernego zainteresowania Ritą — w zasadzie zachowywał maniery dżentelmena. Jednak w ciasnej przestrzeni arktycznej stacji powściągliwy sposób, w jaki dawał odczuć swoją zranioną dumę, był równie destrukcyjny, jak — w normalnych warunkach — głośne wyrzuty.

Wiatr zahuczał, śnieg zawirował wokół niej, lód ginął gdzieś poza zasięgiem wzroku — wszystko tak samo, jak przed tysiącami lat. Gwałtowne bicie serca

powracało do spokojnego rytmu. Przestała dygotać. Przerazenie minęło.

Zwyciężyła po raz kolejny.

W końcu zdecydowała się wejść do igloo. Franz klęczał przy kartonie, do którego pakował przyrządy. Bojąc się zbyt spocić w trakcie pracy, zdjął z siebie płaszcz, wierzchnie buty i rękawiczki. Pomimo to, że był ubrany w kombinezon termoizolacyjny, obawiał się, w razie wyjścia na zewnątrz, zbyt dużej utraty ciepła. Spojrzał na nią, kiwnął głową i kontynuował pakowanie.

Miał w sobie coś w rodzaju zwierzęcego magnetyzmu i Rita doskonale wiedziała, co ją w nim pociągało, gdy była młodsza. Gęste blond włosy, głęboko osadzone ciemne oczy, nordyckie rysy. Miał niewiele ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu — tylko trzy centymetry więcej od niej — jednak w wieku czterdziestu pięciu lat był umięśniony i sprawny, jak młody chłopak.

— Prędkość wiatru dochodzi do czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę — oznajmiła, zsuwając do tyłu kaptur i ściągając gogle — temperatura powietrza wynosi dziesięć stopni Fahrenheita i wciąż spada.

— Biorąc pod uwagę oziębiające działanie wiatru, do chwili kiedy zwiniemy obozowisko będzie minus dwadzieścia albo jeszcze zimniej. — Nawet nie podniósł oczu; wydawało się, że mówi do siebie.

— Uda nam się wrócić bez problemów.

— Przy prawie całkowitym braku widoczności?

— Warunki nie pogorszą się tak prędko.

— Nie znasz się na arktycznej pogodzie tak dobrze jak ja, niezależnie od tego, jak wiele czasu spędziłaś w tych rejonach. Spójrz na zewnątrz, Rita. Front atmosferyczny przemieszcza się szybciej niż przypuszczano. Niedługo całkowicie spowie nas biel — nic nie będzie widać nawet na wyciągnięcie ręki.

— Prawdę mówiąc, Franz, twoja ponura teutońska natura. . .

Dźwięk podobny do uderzenia pioruna przetoczył się pod nimi, a lodowa pokrywa zadrżała niespokojnie. Po głuchym dudnieniu rozległ się zgrzyt wydawany przez dziesiątki ocierających się o siebie warstw lodu — tak wysoki, że prawie niesłyszalny.

Rita straciła równowagę i zachwiała się, jak w korytarzu pędzącego pociągu, który nagle zaczął hamować — udało jej się jednak ustać na nogach.

Po chwili dźwięki ucichły.

Wszystko ponownie znieruchomiło.

Franz spojrzął jej wreszcie w oczy i wykrztusił:

— Czy to właśnie było owo trzęsienie ziemi, które tak szumnie zapowiadał Larsson?

— Nie sądzę, za słabe. Gdyby w tych okolicach wystąpiły poważniejsze ruchy tektoniczne, odczulibyśmy je znacznie silniej. Wstrząs wystąpiłby najprawdopodobniej na linii całego uskoku. Ten, który miał miejsce przed chwilą, z trudem można by odnotować na skali Richtera.

- Czy to dopiero wstępne ruchy podłoża?
 - Możliwe — odpowiedziała Rita.
 - Kiedy należy spodziewać się głównego wstrząsu? Wzruszyła ramionami.
 - Może nigdy, a może dziś wieczorem albo za minutę.
- Skrzywił się i ponownie zaczął pakować przyrządy do wodoodpornego kartonu.
- I wciąż twierdzisz, że to ja mam ponure usposobienie. . .

12:45

Oświetleni reflektorami pojazdów śnieżnych, Roger Breskin i George Lin kończyli przymocowywanie nadajnika radiowego do lodu. Gdy urządzenie zostało przytwierdzone do podłoża za pomocą czterech, długich na pół metra metalowych bolców, przystąpili do sprawdzenia sprawności działania wszystkich podzespołów elektronicznych. Ich dziwaczne, zniekształcone cienie przypominały sylwetki kapłanów jakiegoś barbarzyńskiego plemienia, pochylonych podczas tajemniczych obrzędów ku czci swojego bożka. Budzący lęk szum wiatru zdawał się głosem owych nieziemskich mocy.

W tej chwili nie można już było dostrzec nawet słabej poświaty zimowego nieba. Gdyby nie światło reflektorów, widoczność ograniczyłaby się do dziesięciu metrów.

Jeszcze rano świeży powiew wiatru przyjemnie orzeźwiał, jednak w miarę przybierania na sile, mroźne podmuchy zaczynały stawać się coraz bardziej niebezpieczne. Na tych szerokościach geograficznych silna wichura mogła przedrzeć się przez wszystkie warstwy termoizolacyjnego ubrania. Już teraz pozornie delikatne płatki śniegu zacinały z taką siłą, iż wydawało się, że przebijają obu mężczyzn na wylot. Poruszały się prawie równoległe do powierzchni lodu, jak gdyby nie padały z nieba, lecz gdzieś z zachodu — wydawało się, że lecąc w ten sposób nigdy nie dotkną ziemi. Co kilka chwil byli zmuszeni przerywać pracę, aby przetrzeć gogle i odłamać skorupę śniegu, osiadającego na maskach zakrywających dolną część twarzy.

Stojąc poza bursztynowym kręgiem światła, Brian Dougherty odwracał twarz od wiatru. Wyginając w górę zziębnięte palce u nóg, zastanawiał się, dlaczego w ogóle wybrał się do tej przeklętej krainy. Wszystko było tu obce. Każdy człowiek musi się czuć w tym miejscu jak intruz. Nigdy nie widział bardziej opustoszałej i jałowej okolicy. Wydawało się, że nawet największe pustynie kryją w sobie więcej życia niż polarna pokrywa. Każdy element krajobrazu brutalnie przypominał, że cała ziemská egzystencja nie jest niczym innym, jak oczekiwaniem na nadejście nieuniknionej, wiecznej śmierci. Niekiedy stawał się tak przewrażliwiony na skutek panującej dookoła aury, że wydawało mu się, iż patrząc na twarze pozostałych uczestników wyprawy może dostrzec ich prześwitujące przez skórę

kości czaszki.

Oczywiście były to dokładnie te same powody, dla których wybrał się w rejon podbiegunowy: przygoda, niebezpieczeństwo, ryzyko śmierci. Dobrze, że przynajmniej znał siebie na tyle, aby to zrozumieć. Nigdy jednak nie zastanawiał się nad tym zbyt długo i miał tylko mgliste pojęcie, dlaczego odczuwał nieodpartą potrzebę narażania się na niebezpieczeństwo.

Miał przecież mnóstwo powodów, aby pozostać na tym świecie. Był młody i chociaż może nie zabójczo piękny, to przecież przystojniejszy od Quasimodo — przede wszystkim jednak gorąco kochał życie. Nie bez znaczenia pozostawał również fakt, że pochodził z niezwykle zamożnej rodziny. Za czternaście miesięcy, z chwilą ukończenia dwudziestu pięciu lat, miał uzyskać kontrolę nad funduszem inwestycyjnym o kapitale w wysokości trzydziestu milionów dolarów. Nie miał co prawda pojęcia, co zrobić z tak olbrzymią sumą pieniędzy, niemniej jednak świadomość ich posiadania była przyjemna.

Co więcej, reputacja jego rodziny i powszechna sympatia, jaką darzono klan Doughertych, otwierały przed nim nawet te drzwi, których nie można było pokonać za pomocą pieniędzy. Wujek Briana, niegdyś prezydent Stanów Zjednoczonych, został zastrzelony przez snajpera, a jego ojciec, senator stanu Kalifornia, dziewięć lat temu został ciężko raniony pociskiem z broni zamachowca podczas kampanii wyborczej. Pasma nieszczęść, jakie dotknęło rodzinę Doughertych, było tematem mnóstwa artykułów prasowych. Ich nazwisko pojawiało się na okładkach kolorowych czasopism, takich jak *People*, *Good Housekeeping*, *Playboy* czy *Vanity Fair*. Wszystko to doprowadziło do powstania ogólnonarodowej obsesji na punkcie Doughertych. Stworzono wokół nich rodzaj politycznej mitologii, według której członkowie rodziny Doughertych nie byli już zwykłymi ludźmi, lecz półbogami uosabiającymi wszelkie cnoty, życzliwość i poświęcenie.

Brian, gdyby tylko chciał, mógł za jakiś czas rozpocząć własną karierę polityczną. Wciąż jednak był zbyt młody, aby przyjąć na siebie odpowiedzialność wynikającą z faktu pochodzenia i tradycji, którą reprezentował. Tak naprawdę starał się uciec od tych obowiązków i unikał choćby myślenia o pełnieniu publicznych funkcji. Cztery lata temu, po osiemnastu miesiącach studiowania prawa, porzucił Harvard. Od tamtej pory zaczął podróżować po świecie, czerpiąc środki z posiadanych kart kredytowych American Express i Carte Blanche. O jego ekstrawaganckich przygodach pisano na pierwszych stronach gazet wydawanych na wszystkich kontynentach. W Madrycie stoczył walkę z bykiem. Podczas fotograficznego safari w Afryce złamał rękę, kiedy na samochód, w którym jechał, rzucił się nosorożec. Podczas pokonywania łódką wodospadów i kaskad Kolorado omal nie utonął podczas wywrotki. A teraz spędzał długą, ciężką zimę na pokrywie polarnej.

Poziom artykułów, które dotychczas napisał, a nawet jego nazwisko, nie wystarczyłyby, aby zapewnić mu funkcję oficjalnego kronikarza wyprawy. Jednak

Fundacja Rodziny Doughertych wysupłała osiemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów na dofinansowanie eksperymentu, co w zasadzie zagwarantowało Brianowi udział w ekspedycji.

Ogólnie rzecz biorąc, traktowano go dosyć dobrze. Wrogość okazał mu, jak dotąd, jedynie George Lin, ale stało się to podczas chwilowej tylko utraty panowania nad sobą. Chiński naukowiec przeprosił go zresztą za swój wybuch. Brian był autentycznie zainteresowany przebiegiem eksperymentu, a to zaskarbiało mu życzliwość.

Miał wrażenie, że jego ciekawość wynikała z faktu, iż nie mógł sobie wyobrazić, aby sam był w stanie poświęcić się przez całe życie tak żmudnej pracy, jaką wykonywała grupka polarników. Pochodzenie Briana zapewniało mu karierę polityczną, jednak szczerze nienawidził owej brudnej gry opartej na kłamstwie, nieuczciwości, bezwzględnej walce o własne interesy i efekciarstwie. Tak zwane pełnienie służby dla społeczeństwa było jedynie parawanem dla korupcji — dobra praca dla szalonych, przekupnych lub naiwnych. Polityka to pozłacana maska, za którą kryła się szpetna, wykrzywiona twarz bestii. Jako mały chłopiec zobaczył za kulisami Waszyngtonu wystarczająco wiele, aby na zawsze zniechęcić się do przebywania w tym skorumpowanym mieście. Od polityków nauczył się niestety cynizmu, na skutek czego stale podważał sens jakichkolwiek osiągnięć czy zmian, zarówno w sferze rządzenia państwem, jak i poza nią.

Dużą przyjemność sprawiało mu natomiast pisanie. Miał zamiar opublikować trzy, cztery artykuły na temat życia na dalekiej północy. Właściwie zgromadził już wystarczająco wiele materiału na książkę, a od jakiegoś czasu czuł przemożną chęć jej napisania.

Tak ambitne przedsięwzięcie odstraszało go jednak. Bez względu na to, czy do tego dojrzał, i czy miał odpowiedni talent, aby pisać na taką skalę, praca nad książką wymagała ogromnego poświęcenia, a tego właśnie przez całe życie starał się unikać.

Jego rodzina była przekonana, że bierze udział w projekcie Edgeway ze względu na humanitarne znaczenie eksperymentu. Wnioskowali stąd, iż nareszcie zaczął poważniej myśleć o swojej przyszłości. Brian nie chciał ich rozczarowywać, niemniej jednak się mylili. Początkowo do wzięcia udziału w wyprawie skłoniła go chęć przeżycia kolejnej przygody — bardziej ekscytującej niż jakiegokolwiek wcześniejsze przedsięwzięcie, w którym uczestniczył — nie oznaczało to jednak, że przywiązywał do tego większą wagę.

To wciąż jest tylko przygoda, zapewniał sam siebie, obserwując jak Lin i Breskin sprawdzają obwody nadajnika. Był to sposób, aby jeszcze przez jakiś czas uniknąć zastanawiania się nad tym, co robi i dokąd zmierza. Ale w takim razie... Skąd ta natrętna myśl o napisaniu książki? Nie był przekonany, że miał do powiedzenia coś na tyle interesującego, aby zabierać komukolwiek czas potrzebny do jej przeczytania.

Obaj polarnicy podnieśli się i starli śnieg z gogli. Brian podszedł do nich.

— Skończyliście już? — zapytał, próbując przekrzyczeć szum wiatru.

— Nareszcie! — odpowiedział Breskin.

W ciągu kilku godzin nadajnik o powierzchni sześćdziesięciu centymetrów kwadratowych zostanie przykryty warstwą lodu i śniegu, nie wpłynie to jednak na jakość sygnału; został skonstruowany z myślą o sprawnym funkcjonowaniu w warunkach arktycznych i był wyposażony w baterie o zwielokrotnionej mocy oraz osłonę z materiału izolacyjnego wyprodukowanego dla potrzeb NASA. Przez osiem do dwunastu dni, dziesięć razy w ciągu każdej minuty, przyrząd będzie emitować silny dwusekundowy sygnał. Wkrótce, za pomocą ładunków wybuchowych, od pokrywy polarnej z chirurgiczną dokładnością zostanie oddzielona góra lodowa. Zainstalowany nadajnik będzie wraz z nią dryfował przez rejony znane pod nazwą Alei Lodowców, a następnie popłynie dalej, aż na wody Północnego Atlantyku. Czteryśa dwadzieścia kilometrów na południe oczekiwały w pogotowiu dwa holowniki należące do floty Instytutu Geofizyki przy ONZ. Dzięki sygnałowi radiowemu mogły one dokładnie śledzić przemieszczanie się góry lodowej — do tego celu wykorzystywano również satelity geostacjonarne oraz metodę triangulacji i inne techniki namierzania. W chwili gdy góra znajdzie się w zasięgu wzroku, jej optyczną lokalizację miał umożliwić samorozprowadzający się barwnik, którym pokryto powierzchnię lodu.

Zasadniczym celem eksperymentu było zbadanie, w jaki sposób zimowe prądy oceaniczne wpływają na kierunek dryfu. Przed rozpoczęciem obmyślenia planów holowania lodowych brył na południe, naukowcy musieli wiedzieć, do jakiego stopnia ocean będzie utrudniać pracę statków, a na ile może w tym pomóc.

Pomysł wysyłania holowników aż do samej krawędzi pola lodowego nie wydawał się zbyt praktyczny. Północny Atlantyk i Morze Grenlandzkie były o tej porze roku zavalone olbrzymimi zatorami kry, co znacznie utrudniało nawigację. W wyniku eksperymentu mogło się jednak okazać, iż nie ma potrzeby, aby holowniki podpływały bezpośrednio do Alei Lodowców. Istniała szansa, że naturalne prądy morskie układają się w sposób umożliwiający swobodne dryfowanie gór trzysta pięćdziesiąt do pięciuset pięćdziesięciu kilometrów na południe, zanim statki przejęłyby trud ich dalszego transportu w kierunku wybrzeża.

— Mogę zrobić parę zdjęć? — zapytał Brian.

— Nie ma na to czasu — warknął George Lin, odłamując energicznymi ruchami rąk płyty lodu ze swoich grubych rękawic.

— To zajmie tylko chwilę.

— Musimy jak najszybciej wracać do Edgeway — uciął Lin. — Sztorm może nam w tym przeszkodzić. Do rana staniemy się częścią krajobrazu, mróz zamieni nas w bryły lodu.

— Nic się nie stanie, jeśli zatrzymamy się minutę dłużej — stwierdził Breskin. Nie podnosił specjalnie głosu, tak jak oni, jednak jego donośny bas był słyszalny

pomimo wiatru, którego huk nasilał się z każdą chwilą.

Brian uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Oszalałeś? — protestował Lin. — Widzisz ten śnieg? Jeśli będziemy zwlekać...

— George, właśnie straciliśmy minutę na niepotrzebne dyskusje. — W głosie Breskina nie brzmiała oskarżycielska nuta. Wypowiedział to tonem naukowca stwierdzającego zauważalny dla wszystkich fakt.

Roger Breskin wyemigrował ze Stanów Zjednoczonych do Kanady dopiero osiem lat temu, był jednak cichy i spokojny, jak typowy Kanadyjczyk. Zachowywał się z rezerwą, lubił samotność, nigdy nie miał serdecznych przyjaciół ani zagorzałych wrogów.

Oczy Lina, ukryte za goglami, zwężyły się. Z wyraźnym gniewem w głosie wycedził:

— Dobrze, rób te zdjęcia, ale prędko. Mam wrażenie, że Roger chce koniecznie zobaczyć swój wizerunek na okładkach wszystkich kolorowych piśmideł.

Brian nie miał innego wyboru, jak szybko się uwijać. Warunki pogodowe nie dawały zbyt wiele czasu na komponowanie ujęć i dokładne ustawianie ostrości.

— Tak będzie dobrze? — spytał Roger Breskin, ustawiając się na prawo od przekątnika.

— Świetnie.

Sylwetka Rogera wypełniała cały kadr. Miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył osiemdziesiąt pięć kilogramów. Był nieco niższy i lżejszy niż Pete Johnson, ale nie mniej muskularny niż niegdysiejsza gwiazda futbolu amerykańskiego. Przez dwadzieścia ze swoich trzydziestu sześciu lat życia uprawiał podnoszenie ciężarów. Jego olbrzymie bicepsy były poprzecinane siatką żył, które wyglądały jak stalowe rury. Jego masywna sylwetka, powiększona o warstwy grubego ubrania, do złudzenia przypominała kontury niedźwiedzia polarnego, dzięki czemu wydawało się, że jest w tych rejonach bardziej zdomowiony niż jakikolwiek inny uczestnik wyprawy.

Stojący na lewo od nadajnika George Lin wyglądał przy Breskinie jak koliberek obok orła. Był znacznie niższy i szczuplejszy od Rogera, jednak różnili się od siebie nie tylko posturą. Roger stał spokojnie i nieruchomo jak sople lodu, podczas gdy Lin nerwowo przestępował z nogi na nogę. Nie miał w sobie ani odrobiny cierpliwości, którą uważa się za charakterystyczną cechę Azjatów. W przeciwieństwie do Breskina wyglądał całkowicie obco w otoczeniu skutego lodem pustkowia — i dobrze o tym wiedział.

George Lin urodził się w 1946 roku w Chinach, a dokładniej w Kantonie — nazywał się wtedy Lin Shen-yang. Wkrótce potem rewolucjoniści, pod wodzą Mao Tse-tunga, obalili rząd Kuomintangu i utworzyli państwo totalitarne. Rodzinnie George'a nie udało się uciec na Tajwan aż do czasu, gdy ukończył siedem lat. We wczesnym okresie życia w Kantonie musiało go spotkać coś, co pozosta-

wiło w nim trwały uraz i na zawsze uformowało jego charakter. Lin napomynał czasami o tym zdarzeniu, ale wyrażał się bardzo enigmatycznie i nie mówił niczego wprost — być może dlatego, że paraliżowało go wspomnienie owych chwil, albo dlatego, że Brian był zbyt kiepskim dziennikarzem, aby wydobyć od niego odpowiednio dużo informacji.

— Pospieszcie się — przynaglał Lin. Wydostający się z jego ust obłok pary wyglądał jak motek krystalicznej przędzy, która rozwijała się na wietrze.

Brian ustawił ostrość i nacisnął spust migawki.

Od lodowej pokrywy odbił się błysk flesza i świetlne smugi zawirowały w krótkim tańcu z cieniami. Już po chwili gęsty mrok znów spowił otoczenie.

— Jeszcze jedno dla... — Brian nie zdołał dokończyć zdania. Lód, na którym stał, podniósł się i nachylił jak pokład statku na wzburzonym oceanie, po czym usunął mu się spod nóg.

Upadając uderzył się tak mocno, że nawet gruba warstwa termoizolacyjnej odzieży nie była w stanie uchronić go przed bolesnym potłuczeniem. Kości za-gruchotały o siebie, jak klocki rozsypywane po ziemi. Pokrywa polarna ponownie zadrżała, kołysząc się na wszystkie strony, jakby próbowała go zrzucić z wierzchołka globu prosto w kosmiczną otchłań.

Jeden z pojazdów śnieżnych wyrzucił się na bok, upadając o kilkanaście centymetrów od głowy Briana. Struga ostrych odłamków lodu sypnęła mu prosto w twarz. Migocące igiełki kłuły skórę wokół oczu. Płozy pojazdu zaklekotały, drżąc jak odnóża olbrzymiego insekta. Silnik zaczął się dławić i po chwili zgasł.

Brian, mocno wystraszony, czując lekkie oszołomienie, ostrożnie podniósł głowę. Zobaczył, że nadajnik wciąż tkwi na swoim miejscu, dobrze przytwierdzony do podłoża. Tak jak on przed chwilą, Breskin i Lin leżeli nieruchomo w śniegu, przewracani jak lalki. Brian próbował się podnieść, jednak upadł znowu, gdy skorupa lodu poruszyła się jeszcze gwałtowniej niż za pierwszym razem.

Podmorski wstrząs, przed którym ostrzegał Gunvald, w końcu nadszedł.

Brian próbował schować się w niewielkim zagłębieniu w lodzie, klinując się pomiędzy jego brzegami tak, aby uchronić się przed wyrzuceniem na pojazdy lub nadajnik. Najwyraźniej przetaczała się pod nimi potężna fala tsunami — setki milionów metrów sześciennych wody poruszonej przez złowrogą furję przebudzonych bogów.

Zanim pokrywa polarna się ustabilizuje, musi przejść pod nią jeszcze cała seria olbrzymich fal, choć już nie tak potężnych jak pierwsza.

Leżący na boku pojazd śnieżny przechylił się i upadł na dach. Strumień światła przednich reflektorów dwukrotnie omiół twarz Briana, wprawiając w ruch cienie przypominające liście miotane wiatrem, który przyniósł je tutaj z cieplejszych zakątków świata. Po chwili wszystko znieruchomiało, a jasna smuga zatrzymała się na leżących w śniegu sylwetkach.

Nagle, pomiędzy Rogerem Breskinem a George'em Linem, z ogłuszającym

trzaskiem pękła powierzchnia lodu. Poszarpana szczelina rozwierała się jak paszcza demona. Świat zaczął się pod nimi rozpadać na dwie części.

Brian krzyknął ostrzegawczo.

Roger chwycił obiema rękami jeden ze stalowych bolców mocujących nadajnik do podłoża.

Lód uniósł się po raz trzeci. Biała płaszczyzna nachyliła się w kierunku nowo powstałej rozpadliny.

Pomimo rozpaczliwych prób utrzymania się w zagłębieniu, w którym szukał schronienia, Brian wysliznął się z niego, jakby pomiędzy nim a podłożem nie istniało nawet najmniejsze tarcie. Sunąc w kierunku urwiska, zdołał chwycić za nadajnik, zderzył się mocno z Rogerem i trzymał się z zacieklą determinacją.

Roger krzyczał coś o George'u Linie, ale wyjący wiatr i trzask pękającego lodu zagłuszyły jego słowa.

Brian starał się zobaczyć cokolwiek przez pokryte śniegiem gogle. Nawet nie próbował ich przetrzeć — nie chciał oderwać rąk od uchwytu. Obejrzał się przez ramię za siebie.

George Lin, krzycząc i rozpaczliwie wymachując rękami, zsuwał się po śliskim lodzie w kierunku utworzonej przed chwilą szczeliny. Gdy wreszcie przeszła pod nimi ostatnia fala tsunami i pokrywa polarna uspokoiła się, Lin już dawno znajdował się w otchłani urwiska.

Franz zaproponował, aby Rita dokończyła pakowanie sprzętu, a on podejmie się cięższej pracy fizycznej i załaduje go do kontenerów. Była to tak czytelna aluzja co do jego wyższości nad „słabszą płcią”, że Rita odrzuciła pomoc. Naciągnęła kaptur, włożyła na oczy gogle, i zanim Franz zdążył cokolwiek powiedzieć, podniosła jeden z wypełnionych kartonów.

Gdy była na zewnątrz, ładując wodoodporne paczki do jednej z przyczep, nadszedł pierwszy wstrząs. Przewróciła się na kartony. Kant jednego z pakunków wbił się jej boleśnie w policzek. Spadła z przyczepy prosto w śnieg, który od dobrej godziny gromadził się wokół pojazdu.

Kiedy przerażona i oszołomiona próbowała podnieść się na nogi, nadeszła fala tsunami. Silniki pojazdów śnieżnych pracowały, rozgrzewając się przed powrotną drogą do Edgeway. Światło przednich reflektorów przebijało kłęby padającego śniegu na tyle, aby mogła zobaczyć, jak w prawie pionowej, piętnastometrowej ścianie lodu pojawia się pierwsza szeroka szczelina. Spiętrzenie kry, które jeszcze do niedawna stanowiło ochronę dla obozu, stawało się dla niego zagrożeniem. Obok pierwszego pęknięcia utworzyło się drugie, a następnie trzecie, czwarte, dziesiąte, setne... Pogmatwana siatka szczelin wyglądała jak uderzona kamieniem szyba samochodu. Cała przednia ściana chyliła się ku upadkowi,

— Uciekaj, Franz! Wyjdź ze środka! — krzyczała do Fischera, który wciąż

przebywał w igloo stojącym w zachodniej części obozowiska. Następnie zastosowała się do własnej rady i jak oszalała rzuciła się do ucieczki, nie próbując nawet spoglądać za siebie.

Sześćdziesiąty pojemnik z ładunkiem wybuchowym nie różnił się niczym od pięćdziesiątego dziewiątego, który został przed nim umieszczony w pokrywie polarnej: siedem centymetrów średnicy, prawie półtora metra długości, gładkie zaokrąglone brzegi. Na dnie cylindra znajdował się zapalnik połączony z precyzyjnym mechanizmem zegarowym zsynchronizowanym z identycznymi systemami w pozostałych pięćdziesięciu dziewięciu bombach. Większą część pojemnika wypełniał plastyczny materiał wybuchowy. Górna część cylindra zaopatrzona była w metalowe oczko, do którego przytwierdzono karabinek wiążący je z łańcuchem wykonanym z nierdzewnej stali.

Harry Carpenter odwijał łańcuch z kołowrotka, obniżając ładunek — ważącą ponad trzynaście kilogramów obudowę wypełnioną czterdziestoma pięcioma kilogramami materiału wybuchowego — w wąską szczelinę. Robił to niezwykle ostrożnie, bo siła eksplozji takiej ilości plastyku byłaby porównywalna ze skutkami detonacji tysiąca trzystu pięćdziesięciu kilogramów TNT. Gdy w otworze zniknął dwudziestoczworometrowy fragment łańcucha, poczuł, że spód cylindra dotknął dna szybu o głębokości dwudziestu sześciu metrów. Przyczepił jeszcze jeden karabinek do łańcucha, dociągnął go do krawędzi otworu i przyczepił do wbitego obok metalowego uchwytu.

Tuż za Harrym stał Pete Johnson. Spojrzał przez ramię na Francuza i przekrzykując szalejącą wicherą zawołał:

— Gotowe, Claude!

W jednej z przyczep na elektrycznej spirali grzewczej stała metalowa beczka, którą wypełnili wcześniej śniegiem. Teraz kipiała w niej woda. Znad jej powierzchni buchały kłęby pary. Natychmiast zamarzały, tworząc obłoki mieniących się kryształów, które zniknęły po chwili w wirujących tumanach śniegu. Wyglądało to jak nie kończąca się parada duchów wychodzących z zaczarowanej kadzi i odlatujących do najdalszych zakątków świata.

Claude Jobert przymocował do kurka, umieszczonego w dolnej części beczki, rurę obleczoną stalowymi pierścieniami. Odkręcił zawór i podał końcówkę węża Carpenterowi.

Harry przekręcił gałkę i do głębokiego szybu zaczęła spływać gorąca woda. W ciągu trzech minut otwór został całkowicie uszczelniony nową warstwą lodu, pod którą spoczywała bomba.

Gdyby szyb pozostał otwarty, energia eksplozji niepotrzebnie skierowałaby się ku górze. Ładunek został tak pomyślany, aby siła wybuchu zwróciła się w dół i na boki. W tym celu należało dokładnie uszczelnić szyb. Kiedy o północy bomba zostanie zdetonowana, wówczas przykrywająca ją warstwa lodu może wylecieć w górę jak korek z butelki. Główna siła eksplozji zadziała jednak w odpowiednim

kierunku.

Pete Johnson potarł rękawicami powierzchnię lodu, który wypełnił głęboki szyb.

— Teraz już możemy wracać do Edge. . .

Pokrywa polarna zadrzała, przesunęła się w bok i gwałtownie uniosła się pod nimi, wydając piskliwe dźwięki, jak olbrzymi pterodaktyl, a po chwili z hukiem wróciła na dawne miejsce.

Harry upadł na twarz, gogle wpiły mu się boleśnie w policzki i czoło. Z jego oczu bezwiednie polały się łzy. Z nosa ciekła krew, której słodki smak czuł w ustach.

Pete i Claude próbowali podtrzymać się nawzajem. Harry widział przez ułamek sekundy, jak upadali spleceni w komicznym uścisku — przypominali parę zapaśników.

Lód zadrzał ponownie.

Harry przetoczył się po nim i uderzył o jeden z pojazdów. Maszyna podskakiwała w górę jak piłka. Harry chwycił się jej obiema rękami, mając nadzieję, że pojazd nie przewróci się na niego.

W pierwszej chwili pomyślał, że niespodziewanie eksplodował pod nimi ładunek wybuchowy. Wydawało mu się, że już zginął albo właśnie umierał. Jednak gdy lód uniósł się po raz kolejny, zrozumiał, że dzieje się tak w wyniku przemieszczania się pod nimi fal tsunami, które powstały na skutek podmorskiego trzęsienia ziemi.

Gdy nadciągnęła kolejna, trzecia fala, cały spowity bielą świat wokół Harry'ego zaczął pękać. Pokrywa polarna uniosła się do góry, jak prehistoryczny potwór budzący się ze snu. Znalazł się nagle na samym czubku podniesionej bryły lodu. Czuł, że utrzymuje się w górze tylko dzięki sile inercji. W każdej chwili mógł zlecieć na dół wraz ze stojącym obok niego pojazdem, a wtedy spadająca maszyna najprawdopodobniej by go zmiażdżyła.

Odległe trzaski zgniatanego lodu, głośniejsze od huczącego wiatru, rozdzierały ciemność nocy, przypominając złowieszczo o kruchości i nietrwałości tego świata. Hałas przybliżył się nagle. Harry zaczął przygotowywać się na najgorsze.

Wtedy właśnie wszystko niespodziewanie ucichło — równie szybko, jak się przed niecałą minutą zaczęło. Pokrywa polarna opadła, wyrównała się i znieruchomiała.

Rita biegła najszybciej jak umiała. Chciała uciec od spiętrzenia kry na tyle daleko, aby nie dosięgły jej spadające odłamki lodu. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości i spojrzała za siebie na obóz tymczasowy. Była sama. Franz nie wy dostał się z igloo.

Od ściany spiętrzenia odłamał się kawał lodu wielkości ciężarówki i — jakby

spowolnionym ruchem — spadł na nie zamieszkane igloo stojące we wschodniej części obozu. Dmuchany domek został zmiażdżony, pękł jak dziecinny balonik.

— Franz!

Odrywał się kolejny, jeszcze większy fragment zwału kry. Płaty, odłamki, bryły i kolumny lodu runęły prosto na obóz, niszcząc go, jak wybuch potężnego pocisku. Środkowe igloo zostało całkowicie zasypane. Pojazd śnieżny przewrócił się na bok. Domek stojący w zachodniej części bazy został rozdarty. Franz w dalszym ciągu z niego nie wychodził. Wokoło unosiły się tysiące igiełek lodu, błyszczących jak deszcz iskier.

Krzyczała aż do zaciśnięcia krtani, jakby znów miała sześć lat. Już nie była pewna, czy woła Franza, swoją matkę czy ojca.

Nie wiadomo, czy Fischer usłyszał ostrzeżenia Rity. W każdym razie, pomimo szalejącego dookoła kataklizmu, wydostał się wreszcie ze zniszczonego igloo i pędem ruszył w jej kierunku. Odłamki lodu, przypominające grad szrapneli, upadały i rozrywały się tuż przy nim, jednak Franz omijał je z lekkością biegacza przelajowego, któremu strach dodawał skrzydeł. W końcu udało mu się uciec na bezpieczną odległość od białej lawiny.

Gdy ściana kry znieruchomiała i przestały z niej odpadać bryły lodu, Ritę opętała przerażająca wizja. Wydawało jej się, że gdzieś daleko, w mroku okrutnej polarnej nocy, widzi Harry'ego miażdżonego przez biały, błyszczący monolit. Zachwiała się, nie na skutek ruchów lodu, lecz ponieważ przeraziła ją myśl o utracie Harry'ego. Zakręciło jej się w głowie, usiadła na śniegu i zaczęła bezwiednie dygotać.

Dookoła poruszały się jedynie wirujące białe płatki. Wyłaniały się z ciemności na zachodzie i po chwili niknęły gdzieś w mroku na wschodzie. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był ponury jęk wiatru, przypominający zawodzenie żałobnej pieśni.

Harry, opierając się o pojazd śnieżny, stanął na nogi. Serce waliło mu mocno w piersiach, miał wrażenie, że uderza o żebra. Próbował przełknąć ślinę, aby zwilżyć gardło, ale w ustach miał tak sucho, jakby znajdował się na Saharze. Gdy udało mu się odzyskać normalny oddech, przetarł gogle i rozejrzał się dookoła.

Pete Johnson pomagał wstać Claude'owi. Francuz miał nogi jak z waty, ale najwyraźniej nic mu nie dolegało. Pete stał wyprostowany i spokojny, jakby nic się nie wydarzyło. Sprawiał wrażenie niezniszczalnego.

Oba pojazdy stały na płozach. Nie wyglądały na uszkodzone. Ich reflektory rozświetlały wszechobecną polarną noc, jednak niewiele było widać w kipieli miotanego wiatrem śniegu.

Harry był niezwykle pobudzony — dawał o sobie znać wysoki poziom adrenaliny. Przez moment znowu poczuł się jak mały chłopiec, ekscytujący się ryzykiem,

rumieniący się z podniecenia i cieszący z faktu, że po raz kolejny wyszedł cało z niebezpiecznej przygody.

Zaraz jednak pomyślał o Ricie i zamarł z przerażenia. Obóz znajdował się obok wysokiego spiętrzenia kry. W normalnych warunkach była to doskonała lokalizacja, w osłoniętym od wiatru miejscu. Jednak w następstwie serii wstrząsów lodowa ściana mogła runąć, a wtedy...

Zagubiony jak chłopiec zatonał we wspomnieniach, wracając do tkwiącej w pamięci krainy; widział pola Indiany, postrzępione egzemplarze *National Geographic*, letnie noce, które spędził na wpatrywaniu się w gwiazdy i odległą linię horyzontu.

Rusz się, pomyślał, sparaliżowany znacznie większym strachem niż ten, który jeszcze chwilę przedtem był wynikiem obawy o siebie. Zbieraj się, ruszaj, znajdź ją.

Podbiegł do dwóch towarzyszących mu polarników.

— Czy ktoś jest ranny?

— Tylko lekko potłuczony — odparł Claude. Należał do ludzi, którzy nie tylko nie poddają się przeciwnościom losu, ale wręcz czują się przez nie pozytywnie ożywieni. — Niezła zabawa, co? — powiedział, rozchylając usta w uśmiechu szerszym, niż jakikolwiek, który dotychczas zagościł w tym dniu na jego twarzy.

Pete spojrzał na Harry'ego.

— Co z tobą?

— W porządku.

— Krwawisz.

Harry dotknął górnej wargi. Do rękawiczek przyczepiły się jasnoczerwone, zamrożone grudki.

— To krew z nosa. Już się nie leje.

— Znam świetny sposób na krwawienie z nosa — oznajmił Pete.

— Jaki?

— Trzeba na kark położyć kawałek lodu.

— Mógłbyś sobie darować podobne rady.

— Zbierzmy rzeczy i jedźmy stąd.

— W obozie mogą mieć poważne kłopoty — stwierdził Harry, ponownie czując skurcz w żołądku na myśl, że mógł utracić Ritę.

— O tym samym pomyślałem.

W trakcie pracy smagał ich porywisty wiatr, który wiał z niespotykaną siłą. Padający śnieg był drobny i gęsty. Poruszali się w niemym pośpiechu, mając świadomość narastającego zagrożenia.

Gdy Harry przymocował pasami do przyczepy pojazdu ostatni przyrząd, zawołał go Pete. Przetarł gogle i podszedł do drugiej maszyny.

Pomimo słabego światła, Harry dostrzegł niepokój w oczach Pete'a.

— Co się stało?

— Przypuszczam, że podczas tych wstrząsów... Czy pojazdy znacznie się przemieściły?

— Podskakiwały do góry jak na trampolinie.

— Tylko do góry?

— Czy coś się stało?

— Nie obracały się dookoła?

— Nie rozumiem...

— Chodzi mi o to, czy mogły się przekreślić w którąś stronę. Harry stanął plecami do wiatru i nachylił się bliżej Pete'a.

— Trzymałem się jednego z nich. Nie obracał się... Ale wciąż nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Zaraz to wyjaśnię. W jakim kierunku były zwrócone pojazdy przed nadejściem tsunami?

— Na wschód.

— Jesteś pewien?

— W stu procentach.

— Właśnie; ja również pamiętam, że na wschód.

— Przodem w kierunku obozu tymczasowego.

Wydechane powietrze kłębiło się pomiędzy nimi, w osłoniętej od wiatru przestrzeni. Pete poruszył ręką, aby rozproszyć kryształki zamarzającej pary. Nerwowo zagryzał dolną wargę.

— W takim razie ze mną jest chyba coś nie w porządku.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Jest pewien powód... — mówiąc to, Johnson postukał ręką w pleksiłasową osłonę kompasu umieszczonego na masce pojazdu.

Harry spojrzał na igłę magnetyczną. Jeśli wierzyć temu, co wskazywał kompas, pojazd śnieżny był zwrócony na południe, czyli zmienił położenie o dziewięćdziesiąt stopni w stosunku do pozycji, którą zajmował przed wstrząsem sejsmicznym.

— To jeszcze nie wszystko — kontynuował Johnson. — Jestem pewien, że gdy przyjechaliśmy tutaj, wiatr owiewał pojazd od tyłu, a nawet trochę z lewej strony. Dobrze pamiętam, jak dmuchał w tylną część kabiny.

— Też sobie to przypominam.

— Gdybym teraz usiadł za kierownicą, miałbym wiatr z prawej strony, prawda? To cholerna różnica. Blizzardy nie zmieniają kierunku, a przynajmniej nie o dziewięćdziesiąt stopni w ciągu kilku minut. To się nie zdarza, Harry. Nigdy.

— Ale jeśli wiatr się nie zmienił i pojazdy śnieżne się nie przemieściły, to znaczy, że lód, na którym jesteśmy...

Głos uwiązał mu w gardle. Obaj zamilkli. Żaden z nich nie śmiał wypowiedzieć głośno tego, czego się obawiali.

W końcu Pete dokończył myśl:

— Zatem pokrywa lodowa, na której stoimy, musiała obrócić się o dziewięćdziesiąt stopni.

— Ale jak to możliwe?

— Przyszła mi pewna myśl...

— Tak, mnie również. — Harry pokiwał głową w głębokiej zadumie.

— Istnieje tylko jedno wytłumaczenie.

— Lepiej spójrzmy na kompas w drugim pojeździe.

— Harry, wdepnęliśmy w niezłe gówno.

— Rzeczywiście, sytuacja nie wygląda zbyt różowo — zgodził się Harry.

Podeszli do drugiego pojazdu. Świeży śnieg skrzypiał pod ich butami.

Pete znowu postukał w pleksiglasową osłonę kompasu.

— Ten również wskazuje to samo — pojazd jest zwrócony na południe.

Harry przetaił gogle. Nie powiedział ani słowa. Ich położenie było tak beznadziejne, że wołał o tym głośno nie wspominać, jak gdyby dopiero nazwanie sytuacji miało spowodować, że groza stanie się w pełni realna.

Pete rozejrzał się dookoła po niegościnnym pustkowiu, które ich otaczało.

— Jeśli ten cholerny wiatr jeszcze przybierze na sile i temperatura się obniży, a tak się niewątpliwie stanie, to jak długo zdołamy przetrwać w tych warunkach? Przy tak ograniczonych zapasach, jakimi dysponujemy, nie przetrzymamy nawet jednego dnia.

— Najbliższa pomoc...

— To te dwa holowniki ONZ.

— Ale są od nas oddalone o trzysta siedemdziesiąt kilometrów.

— Czteryście dwadzieścia.

— W dodatku nie wyruszą na północ podczas tak silnego sztormu i przy takiej masie dryfującej kry.

Znowu zamilkli. Przestrzeń wypełniał demoniczny świst wiatru. Ostro zacinający śnieg szczypał odsłonięte fragmenty twarzy Harry'ego, mimo że powlekała ją ochronna warstwa wazeliny.

— Co w takim razie robimy? — odezwał się w końcu Pete.

Harry pokręcił głową.

— Jedno jest pewne: dziś po południu nie wrócimy do Bazy Edgeway.

Claude Jobert podszedł do nich w chwili, gdy padały ostatnie słowa. Choć dolną część jego twarzy zakrywała maska, a oczy były przysłonięte przez gogle, można było jednak dostrzec, że wyczuł, iż coś było nie w porządku.

— Co się stało? — zapytał, kładąc rękę na ramieniu Harry'ego.

Harry popatrzył na Pete'a.

Pete, zwracając się do Claude'a, wyjaśnił:

— Te fale... odłamały fragment pokrywy polarnej.

Francuz zacieśnił uścisk na ramieniu Harry'ego.

Najwyraźniej nie chcąc uwierzyć we własne słowa, Pete dodał:

— Dryfujemy na górze lodowej.

— To niemożliwe... — odparł Claude.

— Smutne, ale prawdziwe — stwierdził Harry. — Z każdą minutą oddalamy się od Bazy Edgeway... i wplywamy w sam środek szalejącego sztormu.

Claude nie mógł w to uwierzyć. Przeniósł wzrok z Harry'ego na Pete'a, a potem rozejrzał się dookoła po posępnym krajobrazie, jak gdyby spodziewał się, że znajdzie w nim zaprzeczenie tego, co przed chwilą usłyszał. — Nie możecie mieć żadnej pewności...

— Takie są fakty — oznajmił Pete.

— Ale przecież pod nami... — ciągnął Claude.

— Tak.

— ...te bomby...

— No właśnie — przyznał Harry. — Te bomby.

Część druga
OKREŚ

13:00

JEDENAŚCIE GODZIN DO DETONACJI

Jeden z pojazdów leżał na boku. Kiedy się przewracał, automatyczny system bezpieczeństwa wyłączył silnik, dzięki czemu nie wybuchł pożar. Drugi pojazd stał lekko nachylony, oparty o niewielki garb lodu. Cztery przednie reflektory rozdzierały zasłonę padającego śniegu, oświetlając pustą przestrzeń nad przepaścią, w której zniknął George Lin.

Chociaż Brian Dougherty był przekonany, że jakiegokolwiek próby poszukiwania Chińczyka musiały okazać się stratą czasu, jednak podczołgał się do brzegu rozpadliny i przywarł do lodu w pobliżu wyszczerbionej krawędzi. Roger Breskin przyłączył się do niego i obaj leżeli obok siebie, wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność.

Brian zaczął odczuwać lekkie mdłości; coś skręcało się i przemieszczało w okolicach jamy brzusznej. Próbował wbić metalowe czubki butów w lód i mocno przyłgął do śliskiej powierzchni. Gdyby w tej chwili nadciągnęła kolejna fala tsunami, ponownie rozkołysując pokrywę polarną, zostałby najprawdopodobniej wyrzucony prosto w otchłań.

Roger skierował latarkę na wprost, próbując dojrzeć drugą ścianę urwiska. W świetle nie było widać nic oprócz padającego śniegu. Jasny promień ginął w nieprzejrzanym ciemności.

— To nie jest rozpadlina, tylko jakiś cholerny kanion! — zauważył Brian.

— Rzeczywiście, dziwnie to wygląda.

Strumień światła powoli przemieścił się na bok i znów do przodu: niczego nie było widać. Kompletna pustka; bardziej tajemnicza niż ta, którą muszą widzieć astronauty, patrząc w kosmos przez iluminatory.

— Nic z tego nie rozumiem. — Głos Briana wyrażał zdumienie.

— Oderwaliśmy się od pokrywy polarnej — rzeczowo wyjaśnił Roger, z charakterystycznym dla siebie opanowaniem.

Brian potrzebował chwilę czasu, aby zrozumieć treść usłyszanych słów i w pełni uświadomić sobie tragizm sytuacji.

— Oderwaliśmy się od... Chcesz przez to powiedzieć, że dryfujemy?

— Płyniemy na okręcie z lodu. . .

Wiatr huczał tak głośno, że przez pół minuty nie można było usłyszeć Briana, mimo że krzyczał z całych sił. Płatki śniegu uderzały wściekle i zajadle, kłując jak żądła tysięcy rozzłoszczonych os. Poprawił maskę, aby lepiej ochronić usta i nos.

Kiedy wiatr na chwilę osłabł, Brian nachylił się do Rogera Breskina.

— A co z pozostałymi?

— Być może dryfują razem z nami. Miejmy jednak nadzieję, że znajdują się na pokrywie polarnej, poza linią pęknięcia.

— A niech to. . .

Po bezskutecznym poszukiwaniu przeciwległej ściany rozpadliny, Roger skierował latarkę na dół, prosto w ziejącą pustką otchłań.

Aby zobaczyć powierzchnię stromego klifu, znajdującego się pod nimi, musieli jeszcze podsunąć się do przodu i wychylić poza krawędź. Żaden z nich nie mógł się zdecydować na podjęcie tego ryzyka.

Roger przesunął błady promień latarki w lewo, następnie w prawo, po czym skierował go na czarną, nie zamrożoną powierzchnię morza, rozszalałego ponad dwadzieścia metrów poniżej. Na wzburzonej wodzie falowały płaskie kawałki kry, nieregularne bryły i odłamki lodu, układając się w białe, ruchome wstęgi; oświetlone, błyszczały jak diamenty rozrzucone na czarnym welwecie.

Zahipnotyzowany rozciągającym się w dole widokiem, Brian odezwał się, przetykając ślinę:

— George wpadł do morza. Już po nim.

— Niekoniecznie.

Brian nie rozumiał, jak można było żywić jakąkolwiek nadzieję. Mdłości, które odczuwał, nasiliły się.

Roger podsunął się do przodu, opierając się na łokciach, tak, aby zobaczyć ścianę urwiska. Pomimo nudności i obaw, że w razie nadejścia tsunami może znaleźć się w tym samym grobowcu, w którym zniknął George Lin, Brian również podciągnął się na rękach do krawędzi klifu.

Promień latarki oświetlał miejsce, gdzie ściana urwiska stykała się z morzem. Na samym dole była nierówna i poszarpana, tworząc trzy występy lodowe — jeden pod drugim, w pewnej odległości od siebie — z których każdy miał od półtora do dwóch metrów szerokości. Ich struktura przypominała spiętrzenia skalne, występujące na stałym lądzie; półki były popękane, nieregularne i miały ostre krawędzie. Góra lodowa musiała kończyć się dopiero jakieś dwieście metrów poniżej linii wody. Oznaczało to, że potężne fale tsunami nie mogły przejść pod nią całkowicie. Olbrzymie masy wody musiały rozbryzgiwać się o błyszczące palisady lodu, wytryskując w górę fontanną kropli i kłębamii białej piany.

Gdyby Lin znalazł się w tej szalejącej kipieli, zostałby natychmiast rozerwany na strzępy, rzucony przez wzburzone morze na ostre krawędzie ściany lodu —

okrutna śmierć, której męki złagodzić może jedynie zabójczy atak serca będący wynikiem nagłego upadku do lodowatej wody.

Promień latarki przesuwiał się, odsłaniając kolejne fragmenty klifu. Na samym dole jego ściana nie była pionowa; od miejsca, gdzie znajdowały się trzy półki, wznosiła się w górę na odcinku około piętnastu metrów, pod kątem sześćdziesięciu stopni — na tyle stromo, aby uniemożliwić zejście po niej każdemu, kto nie był doświadczonym wspinaczem, wyposażonym w odpowiedni sprzęt. Sześć metrów pod nimi kolejna lodowa półka przecinała urwisko. Miała tylko niewiele ponad metr szerokości i była ustawiona pod kątem do płaszczyzny urwiska, tak że tworzyła wklęsłe zagłębienie. Od tego miejsca, aż do samej krawędzi, przy której leżeli, ściana wznosiła się pionowo.

Roger Breskin odłożył na chwilę latarkę, aby zeszkrobać warstwę śniegu z gogli, po czym ponownie oświetlił znajdujący się pod nimi wąski występ.

Na niewielkiej lodowej półce dostrzegł George'a Lina. Leżał na lewym boku, jego plecy opierały się o ścianę klifu, twarz miał zwróconą w kierunku morza. Prawa ręka zwisała bezwładnie w poprzek piersi, lewa była ukryta pod korpusem. Przyjął pozycję embriona: kolana miał podniesione do góry, tak wysoko, jak tylko na to pozwalał gruby, polarny kombinezon, a głowa była nachylona w dół.

Roger przystawił lewą rękę do ust i zawołał:

— George! Słyszysz mnie?! George!

Lin nie odpowiedział; nawet nie drgnął.

— Sądysz, że żyje? — zapytał Brian.

— Na pewno przeżył. Nie spadł z wysoka. Kombinezon ma grubą warstwę izolacji i zamortyzował uderzenie.

Brian znów krzyknął w stronę Lina, przytykając do ust obie dłonie.

W odpowiedzi usłyszał jedynie narastający szum wiatru. Mogło się wydawać, że jego przeraźliwy gwizd był przejawem diabolicznej, przewrotnej wesołości, jak gdyby wichura była żywą osobą, podjudzającą ich do pozostania jeszcze chwilę dłużej na krawędzi urwiska.

— Musimy zejść na dół i wydostać go stamtąd — stwierdził Roger.

Brian spojrział na sześciometrowy fragment ściany lodu, który dzielił ich od występu.

— Jak zamierzasz tego dokonać?

— Mamy linę i trochę narzędzi.

— To nie jest sprzęt do wspinaczki.

— Będziemy improwizować.

— Jak to improwizować? — zdumiał się Brian. — Wspinałeś się kiedykolwiek?

— Nie.

— To szaleństwo.

— Nie mamy wyboru.

— Trzeba znaleźć inny sposób.

— Na przykład jaki?

Brian nic nie odpowiedział.

— Zobaczmy, jakimi narzędziami dysponujemy — zaproponował Roger.

— Ratując go, sami narażamy się na śmierć.

— Nie możemy tak po prostu odejść.

Brian spojrział w dół na leżącą na lodzie nieruchomą postać. Na arenie, gdzie odbywały się walki byków, w afrykańskim stepie, wśród wodospadów Kolorado, podczas nurkowania w rojących się od rekinów wodach Bimini... — w tych wszystkich, rozrzuconych po całym świecie miejscach, igrał ze śmiercią na tak wiele wymyślnych sposobów, nie czując zbyt dużego lęku. Zastanawiał się, co go teraz powstrzymywało. Prawie każde ryzyko, które podejmował, było bezcelową, dziecinną zabawą. Tym razem miał naprawdę ważny powód, aby postawić wszystko na jedną kartę — w grę wchodziło ludzkie życie. W czym tkwił problem? Może po prostu nie chciał z siebie robić bohatera? W rodzinie Doughertych było już zbyt wielu herosów — spragnionych władzy polityków, którzy następnie stali się posagowymi postaciami, widniejącymi na kartach książek do historii.

— Bierzmy się do roboty — powiedział w końcu Brian. — George zamarnie, jeśli poleży tam chwilę dłużej.

13:05

Harry Carpenter nachylał się nad kierownicą pojazdu i mocno wyteżał wzrok, patrząc na biały krajobraz przez wypukłą pleksiglasową szybę. Kłęby padającego śniegu i unoszących się igiełek lodu rozpraszały światło reflektorów. Oblepiona lodem przednia wycieraczka monotonicznie szurła, wciąż jednak w miarę dobrze spełniała swoją funkcję. Widoczność spadła do dwunastu, a nawet dziesięciu metrów.

Harry jechał bardzo powoli, mimo że maszyna była w pełni sprawna i mógł ją łatwo zatrzymać na krótkim dystansie. Nie wiedział jednak, gdzie znajduje się krawędź odłamanej góry lodowej, i bał się, że w każdej chwili może stoczyć się w przepaść.

Jedynymi środkami lokomocji, jakich używano podczas ekspedycji Edgeway, były powiększone na zamówienie pojazdy śnieżne, wyposażone w silniki obrotowo-tłokowe i trzy gaśienice, poruszające się na dwudziestu jeden kołach. Każda maszyna mogła przewozić dwoje ludzi ubranych w grube termiczne kombinezony. W tym celu były one wyposażone w szerokie, wygodne siedzenia, usytuowane w ten sposób, że pasażer jechał za kierowcą.

Oczywiście pojazdy zostały przystosowane do pracy w okolicach podbiegunowych, gdzie — zwłaszcza podczas zimy — warunki są znacznie cięższe niż te, do których są przyzwyczajeni użytkownicy podobnych maszyn w Stanach Zjednoczonych. Oprócz wyposażenia ich w podwójny system zapłonowy i dwa specjalne akumulatory, główną zmianą konstrukcyjną było zamontowanie na każdym pojeździe kabiny, która osłaniała przestrzeń od przedniej maski aż do końca siedzenia pasażera. Wykonano ją z grubego pleksiglasu i aluminium. Mały, lecz wydajny grzejnik był zamocowany nad silnikiem, a dwie niewielkie dmuchawy nawiewały strumień ciepłego powietrza na kierowcę i pasażera.

Chociaż grzejnik stanowił dodatkowy luksus, to jednak zamknięta kabina była absolutnie niezbędnym elementem nadwozia. Pozbawiony jej osłony kierowca, narażony na ciągłe, ostre podmuchy wiatru, zamarzłby na śmierć podczas jazdy na dystansie dłuższym niż osiem, dziesięć kilometrów.

Niektóre pojazdy były jeszcze dodatkowo zmodyfikowane — Harry poruszał się jednym z nich. Jego maszyna została przerobiona dla potrzeb transportowania

świdra. Większość narzędzi przewożono w płaskim pojemniku znajdującym się pod siedzeniem, którego wierzchnia część była zamocowana na zawiasach, albo na małej, odkrytej, ciągniętej z tyłu przyczepie. Świder jednak nie mieścił się do schowka, a był zbyt cenny, aby narażać go na wstrząsy, jakim poddawana była przyczepa. Dlatego drugie siedzenie zostało zaopatrzone w klamry, za pomocą których świder został mocno przytwierdzony za Harrym, zajmując miejsce, na którym zazwyczaj jechał pasażer.

Dzięki tym kilku ulepszeniom pojazd doskonale nadawał się do pracy w lodach Grenlandii. Przy prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę jego droga hamowania wynosiła dwadzieścia pięć metrów. Szerokie gąsienice zapewniały doskonałą stabilność w terenie o średnim stopniu pofałdowania. Mimo że maszyna w swojej zmodyfikowanej wersji ważyła trzysta kilogramów, jej maksymalna prędkość wynosiła do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

W tej chwili Harry nie mógł w pełni wykorzystać wszystkich możliwości pojazdu. Jechał powoli, na wypadek, gdyby nagle spośród zawieruchy wyłoniła się krawędź góry lodowej. Musiałby wtedy na odpowiednio krótkim dystansie dostrzec niebezpieczeństwo i zatrzymać maszynę. Gdyby poruszał się zbyt szybko, nie byłby w stanie na czas wyhamować; naciskając na pedał hamulca w ostatnim momencie, mógł stoczyć się w dół, prosto do morza.

Ostrożność i rozwaga były konieczne, musiał jednak również pamiętać o pośpiechu. Każda dodatkowa minuta spędzona w trasie zwiększała ryzyko, że stracą orientację i zgubią drogę.

Z miejsca, gdzie zainstalowali sześćdziesiąty ładunek, wyruszyli na południe, starając się utrzymać ten kierunek najdłużej, jak to tylko możliwe. Przyjmowali, że to, co przed nadejściem tsunami leżało na wschodzie, znalazło się obecnie na zachodzie; góra lodowa nie powinna obracać się dłużej niż piętnaście do dwudziestu minut od momentu oderwania, ustalając w tym czasie swój naturalny „dziób” i „rufę”, z czego wynikało, że powinna obecnie dryfować stałym kursem. Jeśli mylili się w tym założeniu i góra obracała się w dalszym ciągu, znaczyło to również, że obóz tymczasowy nie jest położony w kierunku południowym — mogło się zdarzyć, że ominą swoje igloo w sporej odległości lub natrafią na nie jedynie w wyniku szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Harry żałował, że nie jest w stanie odnaleźć drogi powrotnej na podstawie ukształtowania terenu — noc i sztorm skutecznie ukrywały wszelkie naturalne drogowskazy. Co gorsza, na pokrywie polarnej wszystkie elementy krajobrazu wyglądały podobnie, tak że nie mając sprawnie działającego kompasu, łatwo się było zgubić nawet w świetle dziennym.

Zerknął w boczne lusterko, schowane za warstwą lodu, który pokrywał plek-siglasową szybę. Za jego plecami, w mroźnych ciemnościach, migotały reflektory pojazdu, w którym jechali Pete i Claude.

Rozproszył uwagę tylko na ułamek sekundy, ale gdy ponownie skoncentro-

wał się na baczny obserwowaniu lodu, zaczął się bać, że tuż przed czarnymi końcówkami płóz maszyny zobaczy ziejącą przepaść. Przed nim jednak wciąż rozciągała się jasna, jakby pobielana wapnem płaszczyna. Ani śladu pęknięcia.

Miał nadzieję, że lada moment zobaczy migocące światła obozu tymczasowego. Rita i Franz na pewno zorientowali się, że powinni dobrze oznaczyć swoje położenie, bo inaczej ich odnalezienie byłoby przy takiej pogodzie utrudnione lub wręcz niemożliwe. Być może zapalili reflektory pojazdów śnieżnych, skierowując je na spiętrzenie lodu za obozem — tak odbite i zintensyfikowane światło byłoby nieomylnym drogowskim.

Nie mógł jednak dojrzeć przed sobą choćby najśłabszej, zamglonej poświaty. Owa nieprzenikniona ciemność napawała go lękiem, gdyż mogło to oznaczać, że obóz tymczasowy już nie istnieje, zasypany tonami lodu.

Harry z natury był optymistą, czasami jednak przepełniał go paniczny strach na myśl o utracie żony. W głębi duszy nie wierzył do końca, że na nią zasługuje. Wniosła w jego życie więcej radości niż mógł się kiedykolwiek spodziewać. Bardzo wiele dla niego znaczyła, a los często odbiera właśnie tych, którzy są dla nas najważniejsi.

Spośród wszystkich przygód i zdarzeń, jakie ubarwiły życie Harry'ego, od kiedy opuścił farmę w Indianie, najbardziej ekscytujący i dający uczucie spełnienia okazał się jego związek z Ritą — była ona bardziej tajemnicza, egzotyczna, zaskakująca i niezwykła, niż wszystkie cuda świata razem wzięte.

Wmawiał sobie, że brak sygnału świetlnego może być równie dobrze pozytywnym znakiem. Istnieje szansa, że obóz tymczasowy pozostał poza oderwanym fragmentem lodu, a wówczas, już za kilka godzin, Rita znajdzie się bezpiecznie w Bazie Edgeway.

Jednak bez względu na to, czy Rita pozostała na pokrywie polarnej, czy dryfowała wraz z nimi na górze lodowej, olbrzymi zwał lodu, wznoszący się tuż za obozem, mógł runąć i ją zmiążdżyć.

Jeszcze bardziej nachylił się nad kierownicą, próbując przebić wzrokiem wirujące tumany śniegu, ale niczego nie dostrzegł.

Jeśli odnalazłby Ritę żywą — nawet gdyby się okazało, że są uwięzieni w owej pułapce bez wyjścia — dziękowałby Bogu za każdą minutę reszty swojego życia, którą mógłby z nią spędzić. Jak zdołają się wydostać z tego lodowego okrętu? Jak uda im się przetrwać noc? Szybka i niespodziewana śmierć byłaby lepsza od cierpień powolnego zamarzania.

Nie dalej niż dziesięć metrów przed maską, na zasypanej śniegiem równinie, w świetle reflektorów ukazała się wąska czarna linia: pęknięcie w lodzie, ledwie dostrzegalne z tej odległości.

Mocno nacisnął na hamulec. Maszyna wpadła w poślizg i obróciła się o trzydzieści stopni, jej płozy głośno klekotały. Skręcił kierownicę równoległe do kierunku poślizgu. Po chwili pojazd odzyskał sterowność. Obrócił wtedy kierownicę

ponownie w prawo.

Wciąż nie mógł się zatrzymać. Sunął jak krążek hokejowy. O, Boże! — już tylko sześć metrów do śmiertelnej rozpadliny. Pojazd w dalszym ciągu posuwa się do przodu...

Zaczynały być widoczne rozmiary czarnej linii. Po drugiej stronie znajdował się lód. A więc to tylko pęknięcie, a nie krawędź góry lodowej, za którą znajduje się tylko czerń nocy i zimna otchłań morza w dole. Tylko szczelina.

Maszyna nadal nie może się zatrzymać...

Gdy jechali z obozu, na lodzie nie było nawet jednego pęknięcia. Najwyraźniej również i ta rozpadlina powstała w wyniku podmorskiego wstrząsu.

Pięć metrów...

Płazy głośniejsz zaklekotały. Coś uderzyło o podwozie. Warstwa śniegu, pokrywająca podłoże, była cienka — nie stanowiła dobrego oparcia. Białe tumany wzbijały się spod płóz i gąsienic jak kłęby dymu.

Trzy metry...

Maszyna wytraciła prędkość i stanęła w miejscu, prawie niewyczuwalnie trzęsąc się na amortyzatorach. Pojazd zatrzymał się tak blisko rozpadliny, że Harry nie mógł dostrzec przed pochyłą maską krawędzi lodu. Końcówki płóz musiały wisieć w powietrzu, nad urwiskiem. Gdyby pojechał kilkanaście centymetrów dalej, kołysałby się na brzegu przepaści jak wańka-wstańka, balansując pomiędzy życiem a śmiercią.

Włączył wsteczny bieg i wycofał trochę pojazd, tak że mógł zobaczyć krawędź lodu.

Zastanawiał się, czy jego zamiłowanie do pracy na tym zabójczym pustkowiu nie jest przypadkiem objawem jakiejś poważnej choroby psychicznej.

Dygocąc — bynajmniej nie z zimna — zsunął gogle z czoła na oczy, otworzył drzwiczki kabiny i wysiadł. Wiatr zaatakował go z siłą równą uderzeniu kowalskiego młota, ale zbytnio się tym nie przejął. Dreszcz, który go przeszedł, był dowodem na to, że żyje.

W świetle reflektorów można było dostrzec, że szczelina miała tylko cztery metry szerokości w centralnym punkcie i zwężała się raptownie na obu końcach. Miała długość około piętnastu metrów — nie była zbyt wielka, ale na tyle duża, aby mógł do niej wpaść. Wpatrując się w ciemną otchłań poniżej linii reflektorów, oceniał, że głębokość rozpadliny mogłaby być mierzona dziesiątkami metrów.

Zadygotał i odwrócił się do niej plecami. Poczował, jak pod wieloma warstwami ubrania spływa mu po plecach kropelka potu — czysty destylat strachu.

W niewielkiej odległości za nim zatrzymał się drugi pojazd; jego silnik wciąż pracował, para reflektorów rozświetlała przestrzeń.

Pete Johnson przecisnął się przez drzwiczki kabiny.

Harry pomachał ręką i ruszył w jego kierunku.

Lód załomotał.

Harry, zaskoczony, zatrzymał się.

Lód zadrżał.

Przez moment pomyślał, że przetacza się pod nimi kolejna fala wywołana sejsmicznym wstrząsem. Jednak w tej chwili dryfowali na górze lodowej i tsunami nie wywołałaby takich skutków, jak na pokrywie polarnej. Potężna bryła zakotyła się tylko jak okręt na wzburzonym morzu i przetrzymałaby przejście fali bez większych uszkodzeń. Nie dudniłaby czy pękała, ani nie trzęsłaby się.

Zaburzenia miały całkowicie lokalny charakter; w samej rzeczy, działały się dokładnie pod jego stopami. Powierzchnia lodu rozwarła się tuż przed nim, tworząc szczelinę w kształcie zygzaka, szerokości dwóch centymetrów, po chwili szerszą... jeszcze szerszą... Otwór miał już szerokość dłoni i wciąż się powiększał. Harry stał zwrócony plecami do krawędzi urwiska, a mocno popękana ściana nowo powstałej szczeliny rozpadła się pod nim.

Odchylił się, a następnie skoczył ponad poszarpaną gardzielą, świadomy, że poszerza się ona nawet w trakcie jego skoku. Upadł po drugiej stronie i potoczył się do przodu — jak najdalej od zdradliwego fragmentu lodu.

Ściana rozpadliny, którą zostawił za sobą, pękała, dzieląc się na grube bloki spadające w głąb urwiska. Powierzchnia równiny dygotała.

Harry podniósł się na kolana, nie mając pewności, czy już jest bezpieczny. Nie, do cholery! — ocenił błyskawicznie. Krawędź rozpadliny w dalszym ciągu pękała, białe odłamki spadały na dół. Szczelina rozwierała się w jego kierunku. Harry rzucił się do ucieczki.

Gdy ciężko zdyszany obejrzał się za siebie, zobaczył, jak jego pojazd śnieżny, z wciąż pracującym silnikiem, zsuwa się w przepaść. Spadając uderzył o przeciwległą ścianę rozpadliny i przez chwilę zatrzymał się na lodowym występie wielkości samochodu. Paliwo w zbiorniku i kanistrach eksplodowało. Płomienie, miotane wiatrem, wzbity się wysoko, ale szybko opadły wraz ze staczającym się w głąb wrakiem. Na mlecznym tle lodu zamigotały dookoła czerwono-pomarańczowe zjawy. Po chwili ogień zgasł i zrobiło się ciemno.

13:07

Kriofobia — lęk przed lodem. Okoliczności, w jakich się znaleźli, sprawiły, że stłumienie obezwładniającego, nieustępliwego strachu, który paraliżował Ritę, było dla niej trudniejsze niż zwykle.

Olbrzymie fragmenty zwału kry runęły, podczas gdy część lodu znacznie zmieniła swoje ukształtowanie. W torosie utworzyła się niewielka grotta; miała około dwunastu metrów głębokości i dziewięć metrów szerokości. Wysokość sklepienia wahała się od sześciu do trzech metrów. Jeden fragment jaskini był gładko ścięty, podczas gdy drugi składał się z niezliczonych brył i odłamków lodu, zbitych w ciasną, mocno osadzoną białą mozaikę. Rumowisko to miało w sobie jakieś przewrotne, złowieszcze piękno — trochę przypominało Ricie surrealistyczne dekoracje, które widziała kiedyś w bardzo starym filmie „Gabinet doktora Caligari”.

Zwlekąca z wejściem do tego mroźnego schroniska. Nie mogła się zdecydować, aby przekroczyć jego próg i podążyć za Franzem Fischerem. Miała irracjonalne uczucie, że robiąc krok do przodu, zacznie się jednocześnie przesuwać do tyłu w czasie i wróci do owego zimowego dnia, kiedy miała sześć lat. Bała się, że ponownie usłyszy potężny huk i dudnienie, i zostanie za życia pogrzebana w białym grobowcu...

Zaciskając zęby walczyła ze sobą, próbując stłumić uczucie paraliżującego strachu. W końcu przemogła się i weszła do środka. Tuż za jej plecami szalał sztorm, jednak w schronieniu białych ścian panował względny spokój — nie padał tutaj śnieg ani nie czuło się ostrych podmuchów wiatru.

Rita oświetliła latarką sklepienie jaskini, uważnie badając, czy nie ma śladów świadczących o tym, że może się natychmiast zawalić. Grotta sprawiała w tej chwili dosyć solidne wrażenie, chociaż w razie przejścia kolejnej fali tsunami, lodowa konstrukcja mogła runąć.

— Ryzykowna sprawa — stwierdziła z nerwowym drżeniem w głosie.

Franz przyznał jej rację.

— Nie mamy jednak innego wyboru — dodał.

Wszystkie trzy nadmuchiwane igloo uległy całkowitemu zniszczeniu, a dłuższe pozostawanie na zewnątrz przy nasilającym się, ostrym wietrze, spowodowa-

łoby całkowite oziębienie organizmu — nie pomogłyby nawet termoizolacyjne, przeciwsturmowe kombinezony. Rozpaczliwa potrzeba znalezienia schronienia wzięła górę nad strachem.

Ponownie wyszli na zewnątrz i przynieśli nadajnik radiowy, który ocalał wśród szczątków obozu. Ustawili go przy tylnej ścianie grotu. Franz za pomocą kabli podłączył nadajnik do akumulatora, znajdującego się w pojeździe, który przetrwał wstrząs. Rita włączyła radio. Wskaźniki rozjarzyły się zielonkawym światłem. Szum zakłóceń i przenikliwy pisk odbiły się zwielokrotnionym echem od lodowych ścian.

— Działa — stwierdziła z wyraźną ulgą w głosie.

— Zobaczę, czy coś jeszcze da się uratować — zaproponował Franz, mocniej zawiązując kaptur pod szyją. Kuląc się w ramionach i pochylając głowę, wyszedł na spotkanie wiatru, wcześniej zostawiając Ricie latarkę.

Gdy tylko Franz opuścił grotę, rozległa się w niej wiadomość, nadawana przez Gunvalda z Bazy Edgeway.

Rita przykucnęła przy przekaźniku i szybko odpowiedziała na wezwanie.

— Jak to dobrze słyszeć twój głos — powiedział Gunvald na przywitanie. — Czy wszyscy są cali i zdrowi?

— Obóz został zniszczony, ale Franzowi i mnie nic się nie stało. Schroniliśmy się w jaskini z lodu.

— A co z Harrym i pozostałymi?

— Nie wiemy, co się z nimi dzieje — odpowiedziała, czując jak niewidzialna obręcz lęku zaciska się jej wokół piersi. — Pracowali poza obozem. Pójdziemy ich szukać, jeśli nie pojawią się w ciągu piętnastu minut. — Przerwała, odchrząknęła i dodała: — Problem jest w tym... że dryfujemy.

Przez moment Gunvald nie mógł wymówić słowa.

— Jesteś tego pewna? — spytał po chwili.

— Zaniepokoiła nas nagła zmiana kierunku wiatru. Potem sprawdziliśmy kompas.

— Zaczekaj moment — głos Larssona zdradzał wyraźne zaniepokojenie. — Niech pomyślę.

Pomimo sztormu i silnych zakłóceń pola magnetycznego, które były wynikiem złej pogody na tych szerokościach geograficznych, słowa wypowiedane przez Larssona były w pełni zrozumiałe — znajdował się tylko kilka kilometrów od nich. Niestety, w miarę pogarszania się warunków atmosferycznych, należało się spodziewać problemów z łącznością. Oprócz tego, z każdą chwilą oddalali się coraz bardziej na południe. Nie wymówili tego głośno, ale oboje zdawali sobie sprawę, że już wkrótce utracą możliwość porozumiewania się.

— Czy jesteście w stanie stwierdzić, jakie są rozmiary góry lodowej, na której płyniecie?

— Trudno powiedzieć. Nie było dotychczas warunków, żeby zrobić rozpoznanie. Na razie próbujemy wydostać z obozu resztki żywności i ocalały sprzęt.

— Jeśli góra nie jest zbyt duża. . . — słowa Gunvalda zostały zagłuszone przez trzaski.

— Nie słyszę, co mówisz. Szum w nadajniku.

— Gunvald, jesteś tam? Jego głos zabrzmiał ponownie.

— . . . Jeśli góra nie jest zbyt duża. . . może okazać się, że Harry i inni zostali na pokrywie polarnej, poza linią pęknięcia.

Rita zamknęła oczy.

— Mam nadzieję, że tak się stało.

— Niezależnie od wszystkiego, sytuacja nie wygląda tragicznie. Pomimo złej pogody, uda mi się przesłać przez satelitę wiadomość do Bazy Sił Powietrznych w Thule. Gdy informacja do nich dotrze, skontaktują się ze statkami ONZ, które znajdują się na południe od was.

— Ale co wtedy? Żaden kapitan, który ma choć odrobinę rozsądku, nie zdecyduje się wyruszyć na północ podczas tak silnego sztormu, zwłaszcza w zimie. Próbując nas ratować, straciłby statek i załogę.

— W Thule mają jakiś cholernie nowoczesny samolot ratowniczy i helikoptery mogące manewrować prawie w każdych warunkach.

— Jeszcze nikt nie wynalazł samolotu, który mógłby bezpiecznie latać podczas takiego sztormu, a tym bardziej wylądować na nie przygotowanej powierzchni góry lodowej, gdy wieje huraganowy wiatr.

W radiu rozbrzmiewały tylko szumy i trzaski, czuła jednak, że Gunvald ją słyszy.

No tak, łączność pogarsza się z każdą chwilą, pomyślała Rita.

Spojrzała do góry, na sklepienie utworzone z pochyłonych, opartych o siebie bloków lodu. Ze szczelin pomiędzy nimi sypał się śnieg i drobne kryształki.

Z głośnika ponownie rozległ się głos Szweda.

— No dobrze, masz rację co do samolotu. Ale mimo wszystko nie można tracić nadziei na ratunek.

— To prawda.

— Ponieważ. . . wiesz. . . posłuchaj, Rita, ten sztorm może trwać trzy, cztery dni.

— A nawet dłużej — dodała Rita.

— Nie macie wystarczających zapasów żywności.

— Prawie w ogóle ich nie mamy. Jednak brak jedzenia nie jest naszym głównym zmartwieniem — stwierdziła Rita. — Możemy obejść się bez posiłku nawet dłużej niż cztery dni.

Oboje wiedzieli, że głód nie stanowił największego niebezpieczeństwa. Prawdziwym zagrożeniem był okrutny, trzaskający mróz.

— Ogrzewajcie się na zmianę w pojazdach śnieżnych — zaproponował Gunvald. — Czy macie wystarczająco dużo paliwa?

— Tyle, aby dojechać do Edgeway, gdyby to tylko było możliwe, niewiele więcej ponad to. Wystarczy na kilka godzin pracy silników, ale z pewnością nie na kilka dni.

— Cóż, w takim razie...

Cisza. Tylko szumy i trzaski.

Głos Gunvalda zabrzmiał znowu po kilku sekundach.

— ...Mimo wszystko skontaktuję się z Bazą w Thule. Muszą wiedzieć, co się stało. Spokojniej przyjrzą się sytuacji; może, mając mniej emocjonalny stosunek do sprawy, wymyślą coś, na co nie wpadliśmy.

— Czy w Edgeway wszystko jest w porządku? — spytała Rita.

— W jak najlepszym.

— A co z tobą?

— Obeszło się nawet bez zadrażnienia.

— To całe szczęście.

— Najgorsze przetrwałem. Tobie również się uda, Rito.

— Mam nadzieję — stwierdziła. — Zrobię wszystko, żeby wyjść z tego cało.

13:10

Brian Dougherty spuścił benzynę ze zbiornika pojazdu, który nie wyrócił się podczas wstrząsu, i wylał ją na niewielki fragment lodu, tuż przy krawędzi urwiska.

Roger Breskin potarł zapałkę i rzucił ją na powierzchnię rozlanej benzyny. Buchnęły płomienie. Przez moment falowały, jak proporce na wietrze, aby zaraz zgasnąć.

Brian przyklęknął obok miejsca, gdzie przed chwilą migotał ogień, i uważnie przyglądał się krawędzi klifu. Lód — poprzednio ostro poszarpany — był teraz gładki i śliski. Lina podtrzymująca wspinacza mogła się teraz swobodnie po nim przesuwac, bez niebezpieczeństwa przetarcia.

— Teraz już dobrze? — zapytał Roger.

Brian pokiwał głową.

Roger pochylił się i podniósł końcówkę dwunastometrowej liny, którą wcześniej przywiązał do ramy pojazdu śnieżnego, przytwierdzając ją oprócz tego do gwintowanego bolca, identycznego jak te, które podtrzymywały przekąźnik. Pośpiesznie owinał ją dookoła piersi i ramion Briana, tworząc coś w rodzaju szelek, a na środku korpusu zawiązał trzy węzły.

— To cię utrzyma — stwierdził Breskin. — Lina jest ze sztucznego tworzywa; wytrzymuje obciążenie pięciuset kilogramów. Pamiętaj tylko, żeby trzymać ją nad głową obiema rękami — dzięki temu osłabisz trochę nacisk na ramiona.

Brian tylko skinął głową — nie był pewien, czy zdołałby opanować drżenie głosu, gdyby się odezwał.

Roger wrócił do pojazdu, który stał odwrócony przodem do urwiska. Wcześniej odczepił od niego przyczepę. Wszedł do kabiny i zatrzasnął drzwi. Nacisnął pedał hamulca i włączył silnik.

Brian, dygocąc, położył się płasko na brzuchu. Wahał się tylko przez moment. Wziął głęboki oddech i odepchnął się od powierzchni lodu. Znalazł się poza krawędzią klifu. Chociaż nie zjechał zbyt nisko, jednak czuł, jak wszystko przewraca mu się w żołądku. Dreszcz lęku przeszył go jak prąd elektryczny. Lina mocno go podtrzymywała, pozwalając na kontrolowanie prędkości, z jaką się posuwał na dół — na razie jego głowa znajdowała się tuż pod krawędzią góry lodowej.

Ponieważ nad sobą miał tylko krótki kawałek liny, nie mógł jej chwycić dłońmi — cały nacisk skupił się więc na ramionach. Natychmiast poczuł tępy ból, przeszywający kark i plecy — z każdą chwilą nasilał się coraz bardziej.

— No, Roger, pospiesz się — mruczał pod nosem — szybciej!

Brian był zwrócony twarzą do ściany lodu. Co chwilę uderzał o nią, miotany bezlitosnymi podmuchami wiatru.

Odważył się odwrócić głowę i spojrzeć w dół. Spodziewał się zobaczyć pod sobą wyłącznie niezgłębioną, czarną otchłań. Jednak z dala od blasku reflektorów jego oczy przyzwyczyały się do ciemności i dzięki fosforyzującej bieli lodu udało mu się dostrzec stromą ścianę, przy której wisiał, jak również poszarpane występy u stóp urwiska. Dwadzieścia czy nieco więcej metrów pod nim wzburzone morze kołysało białe tafle. Wyłaniały się zwartymi grupami z mroków nocy, jarząc się białą poświatą, i roztrzaskiwały się z furją o poszarpaną ścianę dryfującej góry.

Roger Breskin zmniejszył obroty tak bardzo, że silnik omal nie zgasł.

Jeszcze raz wszystko dokładnie przemyślał: Dougherty miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, lodowa półka znajdowała się sześć metrów pod nim, co znaczyło, że o tyle właśnie musiał obniżyć Dougherty'ego, aby stanął na występie i miał dodatkowo wolne dwa metry liny na swobodne poruszanie się przy podnoszeniu George'a Lina. Odmierzyli wcześniej odpowiednią długość liny i we właściwym miejscu przywiązali do niej skrawek czerwonego płótna. Gdy materiał zniknie za krawędzią, będzie to oznaczać, że Dougherty jest na miejscu. Linę trzeba opuszczać tak wolno, jak to tylko możliwe, inaczej chłopak może stracić przytomność, uderzając się o ścianę góry lodowej.

Co więcej, pojazd śnieżny stał w odległości nie większej niż trzynaście metrów od urwiska. Gdyby maszyna wpadła w poślizg i nabrała zbyt dużej prędkości, mogłoby się okazać, że Roger nie jest w stanie wyhamować na tyle szybko, aby się uratować, nie wspominając o tym, co stałoby się z Doughertym i Linem. Martwił się, że nawet najwolniejszy ruch pojazdu może okazać się w tej sytuacji zbyt szybki i niebezpieczny — dlatego właśnie zwlekał, mimo iż wszystko było gotowe.

Gwałtowny podmuch wiatru pchnął Briana od tyłu, z prawej strony, dociskając go do ściany urwiska i odchylając jednocześnie w lewo, tak iż wisiał na linie pod pewnym kątem. Kiedy wiatr osłabł na chwilę, Brian przeleciał na prawą stronę od linii pionu, a następnie zaczął kołysać się ruchem wahadła.

Przez moment spojrzął na miejsce, gdzie lina stykała się z krawędzią klifu. Chociaż za pomocą zapalonej benzyny starannie wygładził powierzchnię lodu, jednak nawet najmniejsze tarcie musiało w końcu doprowadzić do jej przerwania.

Zamknął oczy i poprawił swoje ułożenie w szelkach, czekając, aż wreszcie zacznie zjeżdżać na dół. Czuł suchość w gardle, jakby nagle znalazł się na pustyni, a jego serce łomotało z taką siłą, iż miał wrażenia, że za chwilę połamie mu żebra.

Roger miał duże doświadczenie w obsłudze pojazdów śnieżnych,

w związku z czym wydawało się rozsądne i logiczne, że to Brian powinien zejść na dół i wydostać George'a Lina. W tej chwili Dougherty jednak żałował, iż nie jest specjalistą w zakresie posługiwania się pojazdami śnieżnymi. Co, do cholery, zabiera mu tak dużo czasu? — myślał.

Jego niecierpliwość minęła, gdy nagle poleciał w dół, jakby zerwała się lina. Spadł na lodowy występ z taką siłą, że ból przeszył go od stóp po czubek głowy. Kolana ugięły się pod nim, jakby były zrobione z tektury. Uderzył o ścianę klifu, odbił się od niej i spadł z wąskiej półki prosto w smaganą wiatrem noc.

Był zbyt przerażony, aby krzyczeć.

Pojazd śnieżny ruszył za szybko.

Roger nacisnął na hamulce natychmiast po tym, jak je zwolnił. Czerwone oznaczenie zniknęło za krawędzią urwiska, jednak maszyna wciąż sunęła do przodu. Warstwa śniegu została wymieciona przez wiatr, który oprócz tego dokładnie wygładził powierzchnię lodu, tak że nie stanowiła już żadnego oparcia. Pojazd przejechał następne dziesięć metrów ślizgając się jak hokejowy krążek — światła reflektorów oświetlały tonącą w mroku pustkę — aż w końcu zatrzymał się w odległości trzech metrów od krawędzi przepaści.

Lina zgniatała piersi Briana i wpijała się pod ramionami. Było to jednak cierpienie całkiem znośne w porównaniu z pulsującym bólem, jaki odczuwał w nogach i plecach.

Zdumiewał go fakt, że przeżył i nawet nie stracił przytomności

Od pasa z narzędziami odpiął latarkę. Ostrze światła przecięło otaczające ciemności, przebijając się przez wirujące płatki śniegu.

Próbował nie myśleć o kotłującej się pod nim wzburzonej, mroźnej wodzie. Spojrzał w górę, na krawędź lodowego występu, przez który przeleciał. Znajdowała się półtora metra ponad nim. O metr w lewo dostrzegł osłonięte rękawicą palce. Była to, bezwładnie zwisająca poza występem, prawa ręka George'a.

Podmuchy wiatru znów rozkołysały Briana. Lina, na której zawisło jego życie, ocierała się teraz o nie wygładzony przez płomień fragment krawędzi. Lodowe ostrze świeciło w ciemnościach. Na dół posypały się białe odłamki — lina, ocierając się, wyłobowała niewielkie zagłębienie.

Z góry oświetlił go strumień światła.

Brian podniósł wzrok i zobaczył Rogera Breskina obserwującego go znad krawędzi klifu.

Roger leżał na lodzie, wychylając głowę ponad przepaścią. W wyciągniętej prawej ręce trzymał latarkę, a lewą przykładając do ust, najwyraźniej coś krzycząc. Wiatr rozdzierał jego słowa na niezrozumiałe strzępki sylab.

Brian uniósł rękę i nieśmiało pomachał.

Roger zawołał tym razem z całych sił:

— Nic ci się nie stało? — Jego głos brzmiał, jakby wydobywał się z pięciokilometrowego tunelu.

Brian skinął głową najmocniej jak tylko się dało, dając koledze znak, że wszystko jest w porządku. Ten jeden gest nie był w stanie wyrazić obawy i przeżenienia, jakie odczuwał na skutek potwornego bólu w nogach.

Breskin krzyczał, ale tylko niektóre słowa docierały do Briana.

— Idę... pojazdu... zawrócę... wyciągnę... do góry.

Brian ponownie kiwnął głową.

— ...Powoli... ryzykować... znowu zbyt szybko... roztrzaskam... lód.

Roger zniknął — najwyraźniej poszedł do pojazdu śnieżnego.

Brian z powrotem przypiął latarkę do pasa z narzędziami, nie wyłączając jej. Skierowany na dół promień oświetlał prawą stopę. Uniósł dłonie ponad głowę i chwycił za naprężoną linę. Ostrożnie spróbował się podciągnąć, żeby sprawdzić, czy w ramionach — które omal nie zostały wyrwane z barków — pozostało mu choć trochę siły.

Pojazd powoli podciągnął do góry fragment liny. Tym razem, w porównaniu z przemieszczaniem się w przeciwnym kierunku, ruch odbywał się dosyć łagodnie i obyło się bez bolesnego obijania o ścianę urwiska.

Jego kolana wciąż znajdowały się poniżej występu. Podciągnął nogi do góry, przerzucił je ponad krawędzią i przykucnął na lodowej półce. Puścił linę i wyprostował się.

Czuł silny ból w kostkach, kolana miał jak z waty, a uda trzęsły się jak galareta, jednak udało mu się utrzymać na nogach.

Z zapinanej na zamek kieszeni kurtki wyciągnął metalowy hak — gwintowany bolec, zakończony oczkiem. Od pasa z narzędziami odpiął młotek i wbił ostrze trzonka w wąską szczelinę w ścianie urwiska.

Znad krawędzi klifu ponownie zamigotała latarka Rogera.

Gdy hak trzymał się już mocno, Brian odpiął od pasa zwój liny o dwuipółmetrowej długości. Za pomocą karabinka przyczepił jeden jej koniec do metalowego bolca, a drugim przewiązał się wpół. Tak powstałe zabezpieczenie miało go uchronić od śmierci, w razie gdyby zleciał z występu, i dawało jednocześnie na tyle swobody, aby był w stanie dotrzeć do George'a Lina. Zaasekurowany w ten sposób, mógł wreszcie rozwiązać węzły, które zaciskały prowizoryczne szelki w poprzek piersi i pod ramionami. Gdy się od nich uwolnił, związał je i zawiesił sobie na szyi.

Aby uchronić się przed wściekłymi atakami wiatru, klęknął i podparł się rękami, a następnie podszedł na czworakach do Lina. Roger Breskin wciąż go oświetlał. Brian wyciągnął zza pasa także swoją latarkę i położył ją na występie, opierając o ścianę urwiska, tak że jej promień skierowany był na leżącego nieruchomo człowieka.

Jest nieprzytomny czy martwy?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musiał zobaczyć twarz Lina. Odwrócenie go na plecy było trudnym zadaniem, ponieważ należało uważać, żeby leżący nieru-

chomo naukowiec nie stoczył się w przepaść. Kiedy Brian próbował go delikatnie przesunąć, Lin odzyskał przytomność. Skóra na jego twarzy, mająca zazwyczaj bursztynowy odcień, była w tej chwili wyjątkowo blada — a przynajmniej tak wyglądał jej odsłonięty fragment. Ukryte pod maską usta poruszały się, nie wydając żadnego dźwięku. Przysłonięte zaparowanymi goglami oczy były otwarte i nie wyrażały bólu czy strachu, lecz głębokie zdumienie.

— Jak się czujesz? — Brian próbował przekrzyczeć szum wiatru.

Lin wybałuszył oczy nie pojmując, co się stało, i próbował usiąść.

Brian położył go z powrotem.

— Uważaj! Chyba nie chcesz stąd zlecieć.

Lin odwrócił głowę i spojrzał w dół, na spowitą mrokiem czeluść, którą rozjaśniały jedynie wirujące płatki śniegu. Gdy ponownie popatrzył na Briana, był jeszcze bledszy.

— Mocno się potłukłeś? — zapytał Brian. Przez grubą warstwę termoizolacyjnego ubrania nie mógł dostrzec, czy Lin ma połamane kości.

— Coś mnie kłuje w piersiach — Lin powiedział to na tyle głośno, że można go było zrozumieć pomimo szalejącej wichury.

— Serce?

— Nie. Kiedy spadałem z krawędzi, lód wciąż drżał... od tej fali... ściana klifu była nachylona... ześliznąłem się po niej... upadając, mocno uderzyłem się w bok. To wszystko, co pamiętam.

— Połamałeś zebra?

Lin wziął głęboki oddech i skrzywił się.

— Nie. Chyba nie. Wydaje mi się, że tylko je potłukłem. Boli jak cholera. Ale kości chyba są całe.

Brian zdjął z szyi zwój liny.

— Zrobię z niej szelki. Przewiążę cię wokół piersi i pod ramionami. Wytrzymasz ucisk?

— A mam jakiś wybór?

— Szczerze mówiąc, nie.

— No to wytrzymam.

— Musisz się trochę podnieść.

Lin pojękując ostrożnie usiadł, opierając się plecami o ścianę klifu. Jego nogi zwisały nad przepaścią.

Brian szybko sporządził szelki, zawiązał podwójny węzeł w okolicach mostka, schylił się i pomógł rannemu wstać na nogi. Odwrócili się tyłem do morza i mroźnych podmuchów wiatru. Zgranulowany, ziarnisty śnieg odbijał się od ściany lodu i smagał ich po twarzy.

— Gotowe? — zabrzmiał nad nimi głos Breskina.

— Tak, ale bądź ostrożny.

Lin gwałtownie klasnął dłońmi. Z rękawic posypały się okruchy lodu. Powoli rozprostował palce.

— Jestem zdrętwiały. Mogę poruszać palcami, ale prawie ich nie czuję.

— Wyliziesz się z tego.

— Palców u nóg też nie czuję, jestem senny. Niedobrze.

Nie mylił się. Jeśli organizm wyziębził się do tego stopnia, że próbując ocalić resztki ciepła starał się zapaść w sen, znaczyło to, że śmierć była blisko.

— Zaraz, jak tylko znajdziesz się na górze, schroń się w kabinie pojazdu — poradził Brian — po piętnastu minutach będzie ci gorąco jak w piekarniku.

— Uratowałeś mnie w samą porę. Dlaczego?

— Co dlaczego?

— Dlaczego ryzykowałeś życie?

— Przesadzasz.

— Narażałeś się na śmierć.

— Przypuszczam, że na moim miejscu zachowałbyś się tak samo.

Naprężona lina ruszyła, wyciągając George'a do góry. Wszystko przebiegało łagodnie i spokojnie, aż do chwili, gdy George zaklinował się przy krawędzi klifu — jego ramiona znajdowały się już poza nią, natomiast korpus i nogi bezradnie dyndały na wietrze. Był zbyt słaby, aby dostać się o własnych siłach na bezpieczną płaszczyznę góry lodowej.

Lata spędzone przez Rogera Breskina na trenowaniu podnoszenia ciężarów i tym razem nie poszły na marne. Wyszedł z pojazdu i z łatwością wyciągnął George'a na górę. Rozwiązał węzeł, zdjął z niego prowizoryczne szelki i rzucił linę na dół, do Briana.

— Wróć. . . zaraz jak. . . George'a. . . w pojeździe — zawołał. Mimo że wiatr zagłuszał wypowiedane słowa, w jego głosie wyraźnie wyczuwało się niepokój.

Jeszcze godzinę temu Brian nie byłby w stanie uwierzyć, że Roger może bać się czegokolwiek. Breskin był twardy jak skała; miał olbrzymie bicepsy, szeroki kark i niezwykle silne ręce — czuło się, że jest bardzo pewny siebie. Teraz, gdy jego lęk był wyraźnie widoczny, Brian znacznie mniej wstydził się swoich obaw. Jeśli strach opanował takiego twardego jak Roger, to nawet ktoś pochodzący ze znanej ze stoickiego spokoju rodziny Doughertych kilka razy w życiu może sobie pozwolić na to uczucie.

Chwycił główną linę i mocno się do niej przywiązał, a następnie odczepił pętlę liny asekuracyjnej. Jej drugi koniec wyciągnął z wbitego haka, całość zwinął i przymocował do pasa z narzędziami, do którego przypiął również latarkę. Gdyby miał odpowiednie przyrządy i dość siły, wyciągnąłby również hak. Wszystkie zapasy, paliwo i narzędzia były na wagę złota. Nikt nie był w stanie przewidzieć, jaki pozornie bezużyteczny drobiazg mógł się okazać niezbędny do ich dalszego przeżycia.

Myślał raczej o ich przeżyciu niż o swoim, gdyż zdawał sobie sprawę, że spośród wszystkich uczestników ekspedycji miał najmniejsze szansę na przetrwanie. Co prawda odbył czterotygodniowe szkolenie w Wojskowym Instytucie Arktycznym, jednak nie miał doświadczenia w przebywaniu w warunkach polarnych i nie był do nich tak przystosowany, jak pozostali uczestnicy wyprawy. Co gorsza, był dość chudy — przy stu osiemdziesięciu dwóch centymetrach wzrostu ważył tylko siedemdziesiąt sześć kilogramów. Odkąd ukończył szesnaście lat, jego starsza siostra Emily nazywała go „Pajączkiem”. Mimo wszystko był szeroki w ramionach i dobrze umięśniony — może i Pajacek, ale nie Chuderlaczek. Chuderlak nigdy nie pokonałby wodospadów na Kolorado, nie pływałby wśród rekinów u wybrzeży Bimini ani nie zdobywałby górskich szczytów w stanie Waszyngton. I faktycznie — dopóki dysponował schronieniem w postaci ciepłego igloo albo ogrzewanego pokoju w Bazie Edgeway, do którego wracał po całym dniu przebywania na ścinającym krew w żyłach mrozie, wszystko było w porządku. Teraz jednak sytuacja wyglądała inaczej. Dmuchane domki prawdopodobnie już nie istniały, a nawet gdyby przetrwały, mogło się okazać, że nie ma dostatecznej ilości paliwa w zbiornikach pojazdów śnieżnych ani wystarczająco dużo energii w bateriach, aby utrzymać ciepło dłużej niż do następnego dnia. Przetrwanie w takich warunkach zależałoby wyłącznie od posiadanej siły i wytrzymałości, które można nabyć tylko przez doświadczenie. Był całkowicie pewny, że nie miał odpowiedniej kondycji, aby utrzymać się przy życiu.

Gdy rozmyślał nad możliwością śmierci, najbardziej martwiła go myśl o żalu, który odczuwałaby jego matka. Była niewątpliwie najbardziej wartościową przedstawicielką rodu Doughertych; nie interesowała jej polityka i wszystkie przepychania z nią związane. Doznała w życiu wiele goryczy — Bóg jeden wie, jak bardzo przyczynił się do tego Brian swoim. . .

Promień latarki wyłowił go z ciemności.

— Jesteś gotowy? — zawołał Roger Breskin.

— Czekam tylko na ciebie.

Roger wrócił do pojazdu.

Brian sprężył się dokładnie w momencie, gdy lina pociągnęła go w górę, po raz kolejny uciskając jego nadwerżone ramiona. Wiatr wściekle atakował. Na wpół omdlały z bólu, nie mógł odpędzić od siebie myśli o zimnej otchłani wodnego grobowca, który rozciągał się pod nim. Dotarł do krawędzi klifu równie gładko, jak udało się to przedtem George’owi Linowi. Gdy był już na górze, podciągnął się na rękach bez pomocy Rogera i znalazł się na bezpiecznej płaszczyźnie góry lodowej.

Wstał i zrobił kilka niepewnych kroków w kierunku reflektorów pojazdu. Miał mocno nadwerżone kostki i uda, ale czuł, że ból minie, jak tylko się trochę rozrusza. Udało mu się wyjść z tego praktycznie bez szwanku.

— Nieprawdopodobne — powiedział sam do siebie. Zaczął rozplątywać wę-

zły, którymi przywiązał linę do szelek. — To nieprawdopodobne.
— Co masz na myśli? — zapytał Roger, zbliżając się do niego.
— Nie przypuszczałem, że mi się to uda.
— Nie ufałeś mi?
— Nie o to chodzi. Myślałem, że lina się zerwie, ściana się rozleci albo coś w tym stylu.
— Kiedyś umrzesz — stwierdził Roger, teatralnie obniżając głos — ale to nie było właściwe miejsce i czas.
Brian był równie zdumiony, słysząc Rogera uderzającego w filozoficzny ton, jak wtedy gdy odkrył, że Breskin się boi.
— Jeśli nic ci nie jest, to lepiej zbierajmy się stąd.
— Co teraz? — zapytał Brian, próbując rozruszać obolałe ramiona.
Roger przetaił gogle.
— Postawimy drugi pojazd na gąsienice i sprawdzimy, czy działa.
— A potem?
— Odszukamy obóz tymczasowy i przyłączymy się do pozostałych.
— A jeśli obóz nie znajduje się na górze lodowej?
Roger nie usłyszał ostatniego pytania — wcześniej odwrócił się i ruszył w kierunku wywróconej maszyny.

Kabina pojazdu, który ocalał, mogła pomieścić tylko dwoje ludzi, w związku z czym Harry zgłosił się na ochotnika do jazdy na odkrytej przyczepie. Claude chciał mu odstąpić swoje miejsce, a Pete Johnson zamierzał zrezygnować ze swojego siedzenia kierowcy, jak gdyby podróżowanie na nie osłoniętej platformie było czymś, czego należałoby zazdrościć. W rzeczywistości brak zabezpieczenia przed wiatrem mógł okazać się śmiertelnie niebezpieczny. Harry uciał dyskusję, powołując się na swoją kierowniczą funkcję, i w ten sposób zarezerwował dla siebie najgorsze miejsce.

Na przyczepie leżał grzejnik i metalowa beczka, której używali do topienia śniegu, w celu zalania wodą szybów z materiałami wybuchowymi. Gdy zdjęli ją z platformy i ustawili z boku, natychmiast została porwana przez wiatr, który potoczył ją daleko w ciemność nocy. Po chwili kakofoniczna symfonia sztormu zagłuszyła również jej odległe dudnienie. Grzejnik był niewielki i ponieważ wkrótce mógł się okazać przydatny, Claude schował go do kabiny.

Do przyczepy napadało śniegu, którego kilkucentymetrowa warstwa zgromadziła się głównie przy bocznych ściankach. Harry zaczął odgarniać go rękami.

Wiatr zaatakował od tyłu, gwizdząc jak Indianie w kiczowatym westernie. Podmuch wdarł się pod platformę przyczepy i zaczął ją podrzucać na lodzie.

— Wciąż myślę, że powinieneś usiąść za kierownicą — próbował przekonywać Pete, gdy wiatr nieznacznie zelżał.

Harry prawie już kończył usuwanie śniegu z przyczepy.

— Swój pojazd poprowadziłem prosto w lodową rozpadlinę. Chyba nie chcesz, żebym to samo zrobił z twoją maszyną.

Pete potrząsnął głową.

— Masz świadomość, co ci dolega? — Tak, boję się i jest mi zimno.

— Nie o to chodzi.

— Cóż, już od jakiegoś czasu nie obcinam paznokci u nóg, ale nie wiem, skąd możesz o tym wiedzieć.

— Chodzi mi o to, co się dzieje w twojej głowie.

— Pete, to nie jest właściwy moment na seans psychoanalizy. O rany, czy wszyscy goście z Kalifornii muszą mieć obsesję na punkcie psychoterapii? — Harry wyrzucił z przyczepy ostatnią porcję śniegu. — Pewnie podejrzewasz, że chciałbym się przespać ze swoją matką. . .

— Harry. . .

— . . . albo zamordować ojca. . .

— Harry. . .

— Cóż, jeśli tak naprawdę myślisz, to nie wiem, czy w dalszym ciągu możemy pozostawać przyjaciółmi.

— Cierpisz na kompleks bohatera — stwierdził Pete.

— Dlatego że zdecydowałem się jechać na przyczepie?

— Tak. Powinniśmy ciągnąć losy.

— Uważasz, że tak będzie demokratycznie?

— To jedyne uczciwe rozwiązanie.

— Upewnij mnie, czy dobrze zrozumiałem: koniecznie chcesz jechać na tej przyczepie, tak?

Pete potrząsnął głową, próbując zachować poważną minę, jednak nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

— Głupi białas.

— Który w dodatku jest z tego dumny.

Harry odwrócił się tyłem do wiatru, rozluźnił wiązanie kaptura i spod kurtki wyciągnął zwiniętą dotychczas na szyi grubą, wełnianą maskę ochronną. Starannie zakrył nią usta i nos, tak aby nie wystawał choćby skrawek skóry. Część twarzy, której nie chroniła maska, przesłoniły kaptur i gogle. Mocno zaciągnął zapięcie kurtki i nakrycia głowy. Mówiąc przez maskę, dodał:

— Pete, jesteś zbyt wyrośnięty, żeby jechać na tej przyczepie.

— Ty też nie zaliczasz się do karzełek.

— Ale jestem wystarczająco mały, aby się w niej położyć na boku i skulić tyłem do wiatru. Ty musiałbyś siedzieć, tylko w ten sposób byś się zmieścił. Jadąc w takiej pozycji zamarłbyś na śmierć.

— Dobrze. W porządku. Jeśli koniecznie chcesz odgrywać bohatera. . . Tylko pamiętaj, że po tej akcji nikt nie będzie rozdawał orderów. . .

— A kto tutaj wspomina o odznaczeniach? — Harry wszedł do przyczepy i usiadł na środku. — Wystarczy, jak ogłoszą mnie świętym.

— Myślisz, że dostaniesz się do nieba mając żonę, która zna więcej zbereźnych kawałów, niż wszyscy faceci z Bazy Edgeway razem wzięci?

— Przecież to oczywiste, Pete!

— Co?

— Bóg ma poczucie humoru.

Pete rozejrzał się dookoła, lustrując sztorm szalejący na powierzchni góry lodowej.

— Tak. Ma naprawdę czarne poczucie humoru. — Podeszedł do drzwi kabiny, obejrzał się do tyłu i z afektacją w głosie ponownie stwierdził: — Głupi białas. — Po czym usiadł za kierownicą i zamknął drzwi.

Harry po raz ostatni spojrział na wąski fragment powierzchni lodu oświetlony przez reflektory. Rozmyślając rzadko posługiwał się przenośniami, ale posępny mrok panujący na samym wierzchołku globu i trudno uchwytność właściwości krajobrazu domagały się metafor. Całkiem możliwe, że zwykłe, codziennie używane określenia nie są w stanie w pełni oddać nieprzystępności i wrogości tego zakątka ziemi, który może zostać opisany wyłącznie przy użyciu słów odzwierciedlających jego tajemniczy, upiorny charakter. Powierzchnia lodu była przykucniętym smokiem o monstrualnych rozmiarach. Głęboka, wszechogarniająca ciemność to jego rozdziawiona paszcza. Potężny szum wiatru był jego gniewnym rykiem, a śnieg, padający teraz tak gęsto, że widoczność ograniczyła się do kilku metrów, był śliną kapiącą z rozwartych szczęk bestii, która w każdej chwili mogła ich połknąć, nie zostawiając po nich najmniejszego śladu.

Pojazd ruszył.

Odwracając się tyłem do bestii, Harry położył się na lewym boku. Podciągnął kolana do piersi i pochylił głowę, wtulając ją między ramiona. Ręce złożył pod brodą. Było to wszystko, co mógł zrobić, aby ochronić się przed dojmującym zimnem.

Warunki jazdy w przyczepie okazały się gorsze niż przewidywał — a przypuszczał, że będą fatalne. Prymitywnie skonstruowany system amortyzacyjny przenosił każdą nierówność terenu z płóz i kół na platformę wózka. Harry przesuwiał się i obijał o wąsko ustawione ścianki przyczepy. Nawet gruba warstwa ubrania nie była w stanie w pełni uchronić go przed skutkami najmocniejszych wstrząsów i żebra po prawej stronie zaczynały promieniować tępym bólem. Wiatr owiewał go ze wszystkich stron. Podmuchy mroźnego powietrza uporczywie i wytrwale szukały choćby najmniejszej szczeliny w jego arktycznym rynsztunku.

Świadomy, że zbytek rozmyślanie o własnych niewygodach jeszcze bardziej pogarsza sytuację, postanowił skupić się na czymś innym. Zamknął oczy i przywołał wyraźny obraz Rity. Jednak nie zobaczył jej w stanie, w jakim mogła się obecnie znajdować: zmarzniętej, przestraszonej, zmizerniałej, zranionej czy na-

wet martwej. Sięgnął pamięcią daleko w przeszłość, do dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Drugi piątek maja, prawie dziewięć lat temu, w Paryżu...

Uczestniczył wtedy w czterodniowej konferencji naukowców, którzy ostatnio wzięli udział w różnych akcjach i imprezach z okazji Roku Geofizyki ONZ. Z całego świata zjechało trzysta osób, mężczyzn i kobiet reprezentujących różne dziedziny nauki. Wszyscy spotkali się w Paryżu na seminariach, wykładach i dyskusjach, których koszt w całości pokrył specjalny fundusz Roku Geofizyki ONZ.

W piątek o piętnastej Harry miał wystąpienie przed grupą geofizyków i meteorologów zainteresowanych obszarem Arktyki. Mówił przez około pół godziny w niewielkiej hotelowej sali konferencyjnej. Pod koniec wykładu odłożył notatki i poprosił o zadawanie pytań.

Podczas drugiej części spotkania został zaskoczony i oczarowany przez młodą, piękną kobietę — zadawała znacznie ciekawsze i bardziej dociekliwe pytania, niż którykolwiek z nobliwych naukowców, siedzących na sali. Sądząc z wyglądu mogła być pół Irlandką, pół Włoszką. Jej bursztynowo-oliwkowa skóra wydawała się promieniować ciepłem. Szerokie usta, wydatne wargi — typowa Włoszka. Jednak w tych samych ustach czaiło się coś typowego dla Irlandczyków — przekorny, lekko skrzywiony uśmiech, przydający aurę tajemniczości. Jej oczy miały na pozór zdecydowany kolor wyspiarskiej zieleni, który jednak krył w sobie migdałowy odcień. Spodobały mu się długie, błyszczące, kasztanowe włosy. Wśród osób ubranych w tweedowe marynarki, jednolite garnitury i proste suknie, wyróżniała się w swoim ciemnoniebieskim sweterku i w podkreślających jej fenomenalną figurę jasnych džinsach. Jednak tym, co najbardziej zwróciło uwagę Harry'ego, był jej umysł — niezwykle sprawny, bystry i dociekliwy. Miała dużą wiedzę. Zorientował się później, że najprawdopodobniej uraził pozostałych dyskutantów, poświęcając jej zbyt wiele czasu i uwagi.

Gdy spotkanie dobiegło końca, podszedł do niej, zanim opuściła salę.

— Chciałbym podziękować za to, że dzięki pani ta sesja stała się o wiele bardziej interesująca, niż przeciętny wykład czy dyskusja, ale niestety nie znam nawet pani imienia.

Uśmiechnęła się przekornie.

— Rita Marzano.

— Marzano. Miałem wrażenie, że wygląda pani na pół Włoszkę, pół Irlandkę.

— Pół-Angielkę, jeśli chodzi o ścisłość — jej uśmiech stał się pełny, wciąż jednak miał w sobie wyraz przekory — mój ojciec był Włochem, ale wychowałam się w Londynie.

— Marzano... to nazwisko wydaje się znajome. Ależ oczywiście. Napisała pani książkę. Tytuł...

— „Zmienianie jutra”

„Zmienianie jutra” to popularnonaukowa książka, będąca rodzajem prognozy

na temat przyszłości cywilizacji, której obraz stworzono na podstawie współczesnych odkryć z dziedziny genetyki, biochemii i fizyki. Opublikowano ją w Stanach Zjednoczonych i znalazła się na kilku listach bestsellerów.

— Czytałeś ją? — zapytała.

— Nie — przyznał uczciwie.

— Mój brytyjski wydawca przysłał na obecną konferencję kilkaset egzemplarzy. Są w sprzedaży w korytarzu, obok biura prasowego. — Zerknęła na zegarek. — Właśnie za chwilę mam je podpisywać. Jeśli chciałbyś otrzymać autograf, dostaniesz go poza kolejnością.

Tej nocy nie mógł odłożyć książki, dopóki nie przeczytał jej do ostatniej strony. Skończył o trzeciej nad ranem. Był zafascynowany sposobem pisania i grupowania faktów przez autorkę. Niekonwencjonalne, a przy tym logiczne podejście do zagadnień wywarło na nim ogromne wrażenie — uderzająco przypominało jego własny sposób rozumowania. Momentami wydawało mu się, że czyta książkę napisaną przez siebie.

W sobotę przespał poranne wykłady, a większą część popołudnia spędził na poszukiwaniu Rity. Nie mógł jej znaleźć. Gdy jej nie szukał, cały czas o niej myślał. Kiedy wziął prysznic i ubrał się na wieczorną galę, zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie przypomnieć sobie ani jednego słowa z odczytów, w których uczestniczył.

Po raz pierwszy Harry zaczął się zastanawiać, jak może wyglądać życie ustatkowanego małżonka spędzającego resztę swoich dni z jedną kobietą. Był mężczyzną, którego wiele kobiet nazwałoby „niezłą partią”. Miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ważył siedemdziesiąt dwa kilogramy; ze swoimi szarymi oczami i arystokratycznymi rysami twarzy był atrakcyjny, żeby nie powiedzieć: przystojny. Nigdy jednak nie chciał być niczyją „niezłą partią”. Zawsze marzył o kobiecie, która by mu dorównywała, nie ulegając zbyt, lecz również nadmiernie nad nim nie dominując. Chciał spędzić życie z osobą dzielącą z nim pracę, poglądy i projekty oraz dającą inspirację do nowych pomysłów. Pomyślał, że może właśnie ją odnalazł.

Nie wiedział jednak, co począć. W wieku trzydziestu trzech lat, po ośmiolennych studiach, miał za sobą zbyt wiele czasu spędzonego na nauce i pracy naukowej, a zbyt mało na uczeniu się tak zwanych „rytuałów dworu”.

Program wieczoru zawierał filmową prezentację największych dokonań w ramach Roku Geofizyki ONZ, bankiet i pokaz, po którym, przy akompaniamencie dwunastoosobowego zespołu, miała zacząć się zabawa taneczna. Zazwyczaj, jeśli w ogóle by się gdzieś wybrał, to tylko na film. Jednak istniała szansa, że podczas jednej z imprez zobaczy Ritę.

Siedziała w ostatnim rzędzie, w hotelowym holu konferencyjnym, gdzie za chwilę miała się odbyć projekcja filmu. Wydawało się, że jest sama, i gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się przekornie.

— Szukałem cię przez cały dzień — powiedział z niepohamowaną szczerością. Miał nadzieję, że nie zauważyła rumieńca, który w tej samej chwili wybiegł mu na twarz.

— Zaczęło mi się nudzić i poszłam po zakupy. Podoba ci się moja nowa sukienka?

Suknia nie mogła dodać jej urody, ale z pewnością podkreślała wszystko, czym obdarzyła ją natura. Była uszyta z zielonego materiału, miała długie rękawy, beżowe guziki i sięgała do samej ziemi — harmonizowała z kolorem jej oczu, natomiast włosy, poprzez kontrast, wydawały się teraz jaśniejsze. Kreacja miała spory dekolt, co było rzadkością na zazwyczaj sztywnych konferencjach naukowych. Przylegający do ciała jedwabisty materiał podkreślał kształt piersi. Przy niewielkich staraniach mogła oczarować go tak szybko, jak dźwięk fletu zniewala kobrę.

— Podoba mi się — stwierdził, starając się nie wpatrywać zbyt natarczywie.

— Dlaczego szukałeś mnie przez cały dzień?

— Chodziło oczywiście o książkę. Chciałbym o niej porozmawiać, jeśli masz wolną minutę.

— Minutę?

— Albo godzinę.

— Albo godzinę?

A niech to... Znowu się rumienił. Czuł się, jak mały chłopczyk z prowincjonalnej farmy w Indianie. — Cóż...

Rozejrzała się po holu konferencyjnym, odwróciła się z powrotem do Harry'ego i uśmiechając się stwierdziła:

— Gdybyśmy zrezygnowali z tej imprezy, moglibyśmy rozmawiać przez cały wieczór.

— Nie chcesz obejrzeć tego filmu?

— Nie. Poza tym kolacja będzie okropna, pokaz zbyt tradycyjny, a zespół na pewno będzie fałszować.

— Kolacja we dwoje?

— To byłoby wspaniałe.

— Może zaczniemy od małego drinka w Deux Magots?

— Cudownie.

— A potem zjemy coś w Lapérouse? Przez moment spochmurniała.

— To drogie miejsce. Nie musisz się tak wykosztowywać. Piwo wprawia mnie w równie dobry nastrój jak szampan.

— To dla mnie wyjątkowa okazja. Może również i dla ciebie?

Kolacja była wyśmienita. W całym Paryżu nie znalazłoby się miejsce tak romantyczne, jak stolik w górnym pomieszczeniu Lapérouse. Niskie sklepienie i malowidła na popękanych ścianach nadawały restauracji przytulną i spokojną atmosferę. Z miejsca, gdzie siedzieli, rozciągał się widok na spowite nocą miasto.

Pod nimi rozciągała się ciemna wstęga rzeki z migoczącymi smugami odbitego światła. Przypominała rozwinięty, jedwabny szal jakiegoś olbrzyma z kart baśni. Zjedli doskonale *oie rôtie aux pruneaux*, a na deser zamówili małe, słodkie truskawki, w wyśmienitym *zabaglione*. W trakcie posiłku rozmawiali ze swobodą pary przyjaciół, jadających wspólne kolacje co najmniej od dziesięciu lat. W trakcie jedzenia pieczonej gęsi Harry zorientował się, że ani razu nie poruszyli jeszcze tematu książki, chociaż zdążyli już rozmawiać o sztuce, literaturze, gotowaniu i wielu innych rzeczach, a nowe słowa wciąż cisnęły się na usta. Gdy wypił swoją lampkę koniaku, wcale nie miał zamiaru kończyć tak miło rozpoczętego wieczoru.

Rita była tego samego zdania.

— Przy wyborze posiłku zachowaliśmy się jak rodowici Francuzi. Pobądźmy więc teraz turystami.

— Co masz na myśli?

Z chwilą wejścia do salonu Crazy Horse wszystkie zmysły zostały zaatakowane eksplozją nadmiaru wrażeń. Gośćmi byli Amerykanie, Niemcy, Szwedzi, Włosi, Japończycy, Arabowie, Brytyjczycy, Grecy, a nawet kilku Francuzów. Ich rozmowy mieszały się w nieokreślony jazgot, przerywany co chwila wybuchami śmiechu. Powietrze było gęste od tytoniowego dymu, zapachu perfum i whisky. Zespół grał niezwykle głośno — kiedy rozpoczynał kolejny utwór, wydawało się, że popękają kryształ. Gdy Harry chciał coś powiedzieć do Rity, musiał krzyczeć, chociaż byli blisko siebie, siedząc przy mikroskopijnym stoliku.

Kiedy zaczął się spektakl, Harry zapomniał o dymie i hałasie. Dziewczeta były wspaniałe. Długie nogi. Pełne, wysoko osadzone piersi. Wąskie talie. Elektryzujące twarze. Większa różnorodność niż mogły wchłonąć oczy. Więcej piękna, niż rozum mógł pojąć, a serce docenić. Wszelkie kroje skąpych kostiumów: skórzane paski, łańcuchy, futra, kozaki, wysadzone klejnotami bransolety, pióra, jedwabne szale. Miały mocno pomalowane oczy. Twarze i ciała niektórych tancerek pokrywały mieniące się, jaskrawe wzory.

— Za godzinę to wszystko stanie się nudne — stwierdziła Rita. — Idziemy? — Gdy byli już na zewnątrz, stwierdziła: — Nie rozmawialiśmy jeszcze o mojej książce, a przecież o to właśnie ci chodziło. Mam propozycję: wstąpimy do hotelu George V, napijemy się tam szampana i porozmawiamy.

Był trochę zmieszany. Dawała do zrozumienia coś, co się wzajemnie wykluczało. Przecież poszli do Crazy Horse po to, żeby się wprowadzić w odpowiedni, podekscytowany nastrój. Czy nie wydawało się logiczne, że powinni posunąć się obecnie o krok dalej? A teraz nagle chciała mówić o książkach?

Gdy minęli hotelowy hol i weszli do windy, zapytał:

— Czy na górze jest restauracja?

— Nie wiem. Idziemy do mojego pokoju.

Ogarniało go coraz większe zdumienie.

— Nie mieszkasz w hotelu konferencyjnym? Wiem, że wygląda dość nieciekawie, ale tutaj jest potwornie drogo.

— Za „Zmienianie jutra” dostałam okrągłą sumkę. Nareszcie mogę zaszałeć. Mam niewielki pokój z widokiem na park.

W środku, obok łóżka, w srebrnym kubku wypełnionym lodem chłodził się szampan.

— To moët. Mógłbyś go otworzyć? — powiedziała, wskazując na butelkę. W chwili gdy wyciągał szampana z kubka, zobaczył, jak drgnęła niespokojnie.

— Brzęk lodu — powiedziała.

— Co w nim takiego?

Ociągała się z odpowiedzią.

— Po prostu wywołuje nieprzyjemne uczucie, podobnie jak drapanie paznokciami po tablicy.

Wyczuwał ją już na tyle dobrze, iż wiedział, że nie mówi prawdy. Zadrzała, ponieważ dźwięk obijających się kawałków lodu wywoływał w niej nieprzyjemne wspomnienia. Przez moment miała nieobecne spojrzenie, jakby oglądała przywołane z przeszłości obrazy. Jej twarz na krótko spochmurniała.

— Lód nie zdążył się prawie w ogóle stopić — zauważył. — Kiedy to zamówiłaś?

Otrząsając się z nieprzyjemnych wspomnień spojrzała na niego i znowu się uśmiechnęła.

— Gdy wyszłam do toalety w Lapérouse.

— Ty mnie chyba uwodzisz! — stwierdził z niedowierzaniem w głosie.

— Jak wiesz, żyjemy pod koniec dwudziestego wieku.

— No cóż, rzeczywiście zauważyłem, że w dzisiejszych czasach niektóre kobiety noszą spodnie — powiedział kpiąco.

— Czy czujesz się obrażony?

— Tym, że kobiety noszą spodnie?

— Tym, że mam zamiar ściągnąć twoje.

— O nieba, nie. . .

— Jeśli na zbyt wiele sobie pozwalam. . .

— Wcale nie. . .

— Tak naprawdę, nigdy wcześniej nie robiłam czegoś podobnego. Mam na myśli pójście do łóżka na pierwszej randce.

— Ja też nie. . .

— Ani na drugiej czy trzeciej, jeśli chodzi o ścisłość.

— Ja również. . .

— Ale czuję, że nie ma w tym nic niewłaściwego, prawda?

Wstawił butelkę z powrotem do lodu. Wziął ją w ramiona. Miała usta jak sen, a dotyk jej ciała był dotykiem przeznaczenia.

Zrezygnowali z wzięcia udziału w pozostałej części sympozjum — zostali w łóżku. Zamawiali posiłki do pokoju. Rozmawiali, kochali się i spali jak odurzeni.

Ktoś wołał go po imieniu.

Zdrętwiały z zimna, pokryty skorupą zmrożonego śniegu, Harry podniósł się z przyczepy, porzucając słodką krainę wspomnień. Obejrzał się przez ramię.

Claude Jobert wpatrywał się w niego przez tylną szybę pojazdu.

— Harry! Hej, Harry! — jego głos z trudem przebijał się przez szum wiatru i hałas silnika. — Światła! Z przodu! Zobacz!

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi Claude'owi. Był skostniały z zimna i w połowie wciąż przebywał w Paryżu, w pokoju hotelowym. Podniósł wzrok i zobaczył, że poruszają się prosto w kierunku przymglonego, żółtawego światła, rozświetlającego padające płatki śniegu i pełzającego nieśmiało po lodzie. Uklęknął i podparł się rękami, gotowy do zeskoczenia z przyczepy natychmiast, gdy tylko się zatrzyma.

Pete Johnson prowadził pojazd po dobrze znanym płaskowyżu i po chwili wjechał w zagłębienie, gdzie niedawno stały igloo — obecnie poprzebijane i zmiażdżone wielkimi bryłami lodu. Jednak silnik jednego z pojazdów pracował, reflektory były włączone, a obok stało dwoje ludzi ubranych w polarne kombinezony i machających do nich rękami.

Jedną z nich była Rita.

Harry wyskoczył z przyczepy, zanim pojazd się zatrzymał. Wpadł w śnieg, potoczył się po nim, wstał na nogi i pobiegł do niej.

— Harry!

Wziął Ritę w ramiona, unosząc prawie nad swoją głowę, następnie postawił ją na lodzie, ściągnął maskę z twarzy i chciał coś powiedzieć, ale nie mogąc wymówić ani słowa, tylko ją uściskał.

W końcu drżącym głosem zapytała:

— Nic ci się nie stało?

— Tylko lekkie krwawienie z nosa.

— To wszystko?

— W dodatku już minęło. A co z tobą?

— Po prostu najadłam się strachu.

Wiedział, że zawsze walczyła ze swoim strachem przed śniegiem, lodem i zimnem. Podziwiał jej determinację w uporczywym zmaganiu się z lękiem i w ciągłym decydowaniu się na pracę w warunkach, które ją przerażały.

— Tym razem miałaś naprawdę powody do obaw — stwierdził. — Wiesz co zrobimy, jeśli uda nam się wydostać z tej cholernej góry lodowej?

Potrząsnęła głową i przetarła zmrożone gogle, tak że mógł zobaczyć jej cudowne zielone oczy. Były rozpromienione ciekawością i zachwytem.

— Pojedziemy do Paryża — zaproponował.

— Do salonu Crazy Horse — dodała, uśmiechając się.

— Hotel George V.

— Pokój z widokiem na ogrody.

— Szampan moët.

Gdy ściągnął gogle z twarzy, pocałowała go.

Opierając dłoń na ramieniu Harry'ego, Pete stwierdził:

— Nie zapominajcie też o tych, których żony nie lubią mrozów. Nie słyszeliście, co mówiłem? Powiedziałem: cała paczka znowu jest razem — i wskazał na dwa pojazdy śnieżne, pędzące po lodzie w ich kierunku.

— Roger, Brian i George — powiedziała Rita z wyraźną ulgą.

— To na pewno oni — dodał Johnson. — Trudno się tutaj spodziewać kogoś innego.

— Cała paczka jest razem — przyznał Harry. — Ale co, na Boga, mamy teraz robić?

13:32

Podczas czternastej doby studniowej misji szpiegowskiej rosyjski atomowy okręt podwodny *Ilja Pogodin* dotarł do pierwszego punktu, z którego planowano rozpocząć nasłuch elektroniczny. Kapitan Nikita Gorow wydał rozkaz utrzymania stałej pozycji łodzi, będącej pod wpływem niezbyt silnych, południowo-wschodnich prądów podmorskich. Znajdowali się na północny-zachód od wyspy Jan Mayen, czterdzieści mil morskich od wybrzeży Grenlandii i trzydzieści pięć metrów pod wzburzoną powierzchnią Północnego Atlantyku.

Ilja Pogodin otrzymał swoją nazwę dla uczczenia jednego z bohaterów Związku Radzieckiego w okresie, zanim skorumpowany, biurokratyczny system upadł, a totalitarne państwo runęło pod ciężarem swojej własnej niewydolności i afer finansowych. Pomimo to nazwa okrętu nie została zmieniona, częściowo dlatego, że wojsko jest przywiązane do tradycji, jak również dlatego, że nowa niby-demokracja wydawała się bardzo krucha i nietrwała. Należało uważać, aby zbytnio nie urazić zgorzkniałej i potencjalnie niezwykle niebezpiecznej starej gwardii byłych członków partii, którzy co prawda zostali obecnie odsunięci od władzy, ale pewnego dnia mogli do niej powrócić, ponownie tworząc łagry i inne instytucje „reedukacji społecznej”. Pozostawienie starej nazwy podyktowane było także przez oszczędność; przerażająco biedne państwo rosyjskie, ogołocone przez lata komunizmu i tabuny przekupnych polityków, nie miało dosyć funduszy, żeby przemaalować napisy na łodziach i zmienić w archiwach dane dotyczące nowych nazw i symboli.

Gorow nie mógł nawet zdobyć odpowiednich środków na bieżące utrzymanie jednostki. W tych trudnych dniach, po upadku imperium, miał zbyt wiele zmartwień związanych z prawidłowym uszczelnieniem kadłuba i sprawnym działaniem napędzanego energią jądrową silnika. Nie miał nawet czasu, aby zaprzętać sobie głowę faktem, że *Ilja Pogodin* otrzymał swoją nazwę ku czci godnego potępienia złodzieja i mordercy, który nie odznaczył się niczym innym, jak tym, iż był posłusznym obrońcą upadającego, zniechęconego przez wszystkich reżimu.

Chociaż *Pogodin* był starzejącym się wojskowym okrętem podwodnym i nigdy nie transportował rakiet z głowicami jądrowymi — na pokładzie miał tylko kilka torped z niewielkim ładunkiem nuklearnym — to jednak należał do jedno-

stek dość pokaźnych. Mierzył ponad sto metrów od dziobu do rufy, miał trzynaście metrów szerokości. Podczas pełnego zanurzenia wypierał ponad osiem tysięcy ton wody.

Prądy południowo-wschodnie miały bardzo niewielki wpływ na kurs łodzi — nigdy nie oddaliła się dalej niż o sto metrów od miejsca, w którym Gorow zarządził utrzymanie stałej pozycji.

W centrum dowodzenia obok Gorowa stał Piotr Timoszenko — młody oficer łączności. Dookoła nich znajdowało się mnóstwo kontrolki i elektronicznych wskaźników, które pulsowały, świeciły i migotały przymglonymi kolorami: czerwonym, bursztynowym, zielonym i niebieskim. Nawet sufit pokryty był licznymi wyświetlaczami, wykresami, ekranami i kontrolkami. Gdy sterownia potwierdziła otrzymanie rozkazu utrzymania stałej pozycji i gdy dotarł on również do maszynowni i siłowni jądrowej, Timoszenko zwrócił się do Gorowa:

— Kapitanie, proszę o zgodę na wysunięcie anteny.

— Właśnie po to tutaj przy płynęliśmy.

Timoszenko zszedł schodkami na dół, a następnie udał się do oddalonego o dziesięć metrów pokoju łączności. Była to zadziwiająco mała kabina wypełniona sprzętem radiowym mogącym odbierać i emitować zaszyfrowane wiadomości na falach krótkich, ultrakrótkich, średnich i długich. Usiadł przy głównej konsolecie i zaczął uważnie przyglądać się wskaźnikom i monitorom komputerów i odbiorników. Uśmiechnął się i kontynuując pracę zaczął nucić jakąś bliżej nie określoną melodię.

Piotr Timoszenko czuł się niezręcznie w towarzystwie większości ludzi, za to w doskonały nastrój wprawiały go zawsze maszyny. Lubił przebywać w centrum dowodzenia, jednak to miejsce, jeszcze bardziej przepełnione elektroniką, było jego prawdziwym domem.

— Czy wszystko gotowe? — zapytał drugi technik.

— Tak — odparł Timoszenko i nacisnął żółty przełącznik.

Ze znajdującą się pod pokładem komory ciśnieniowej został wypchnięty wypełniony helem balon. Szybko napęczniał w ciemnej, morskiej wodzie i powiększał się w miarę, jak przemieszczał się ku górze, ciągnąc za sobą kabel anteny. Gdy balon wydostał się na powierzchnię, technicy łączności z *Ilji Pogodina* byli w stanie przechwycić każdą wiadomość nadawaną ze wschodniego wybrzeża Grenlandii lub na nie, jak również informacje przesyłane w jego obrębie. Dotyczyło to prawie wszystkich środków komunikacji z wyjątkiem podziemnych linii telefonicznych i tekstów przekazywanych na piśmie. Balon miał szaroniebieski kolor, który doskonale zlewał się z barwą zimowego morza. Antena nie mogłaby zostać dostrzeżona z pokładu statku, nawet gdyby przepływał on w odległości dziesięciu metrów.

Na lądzie, w towarzystwie zwykłych ludzi, Timoszenko czuł się wiecznie skrępowany. Był wysoki, chudy, kościsty, niezdarly i niezręczny. Ciągle miał

wrażenie, że w restauracjach, lokalach nocnych czy na ulicy ludzie obserwują go i ukradkiem podśmiewają się z jego nieudaczości. Na pokładzie *Pogodina*, ukryty wśród jego zakamarków, czuł się dobrze. Miał poczucie, że nie jest widoczny, jak gdyby morze nie było częścią świata pozostającego ponad jego powierzchnią, lecz jakąś rzeczywistością innego wymiaru, równoległą do tego, co dzieje się na stałym lądzie. Miał wrażenie, że jest duchem przemykającym się przez zimne otchłanie, który może słyszeć mieszkańców Ziemi, samemu nie będąc przez nich słyszany, widzieć ich, nie będąc widzianym. Znajdował się z dala od ich wzroku i nie czuł się obiektem ich szyderstw. Był duchem.

Gorow dał Timoszence trochę czasu na przygotowanie anteny i przesłедzenie wszystkich częstotliwości, po czym poszedł do drzwi pokoju łączności. Skinął głową w kierunku pomocnika technicznego.

— Słyszeć coś? — zapytał Timoszenkę.

— Dobry odbiór na wszystkich pasmach — odpowiedział z szerokim uśmiechem oficer łączności, przyciskając do lewego ucha słuchawkę.

— Coś ważnego?

— Na razie nie. Grupa amerykańskich marines testuje sprzęt zimowy w pobliżu wybrzeża.

Chociaż okres zimnej wojny dawno już minął i żyli w świecie, w którym niedysiejsi przeciwnicy teoretycznie stali się wobec siebie neutralni, a nawet mówiło się o przyjaznych stosunkach między mocarstwami, jednak większa część sowieckiej siatki szpiegowskiej — zarówno w kraju, jak i za granicą — pozostała w nie zmienionym kształcie do dzisiaj. Rosyjska marynarka wojenna w dalszym ciągu zbierała informacje i prowadziła podsłuch radiowy wzdłuż wybrzeży wszystkich liczących się państw zachodnich. Podobne operacje miały również miejsce w ważniejszych strategicznie rejonach Trzeciego Świata. W końcu jedyną niezmienną rzeczą we współczesnym świecie jest jego niestabilność. Jeśli dawni przeciwnicy z dnia na dzień zostali przyjaciółmi, równie szybko mogli ponownie stać się wrogami.

— Informuj mnie na bieżąco — zarządził Gorow, a następnie poszedł do mesy oficerskiej, gdzie zjadł obiad.

13:40

Czy udało ci się nawiązać łączność z Thule? — zapytał Harry, przykucnięty przy krótkofalówce, za pomocą której komunikował się z Bazą Edgeway.

Słowa wypowiedane przez Gunvalda były zrozumiałe, mimo że zakłócał je szum w eterze.

— Byłem z nimi w ciągłym kontakcie przez ostatnie dwadzieścia pięć minut. Rozmawiałem również z Norwegami ze stacji meteorologicznej na Spitzbergenie.

— Czy będą w stanie nas stąd zabrać?

— Norwegowie są całkowicie skuci lodem, nie mogą się ruszyć. Amerykanie posiadają w Thule kilka helikopterów typu Kaman Huskies — to ich standardowy sprzęt ratowniczy. Są wyposażone w dodatkowe zbiorniki paliwa i mają daleki zasięg. Jednak sztormowa pogoda uniemożliwia start: wiatr jest zbyt silny. A nawet gdyby wystartowali, to zanim byłiby w stanie do was dotrzeć, warunki pogorszą się tak bardzo, że nie będą mogli wylądować na górze lodowej.

— Czy w pobliżu nie pływa przypadkiem jakiś łamacz lodu albo okręt wojenny?

— Amerykanie twierdzą, że nie.

— Pozostaje liczyć tylko na cud.

— Może uda wam się przeczekać sztorm?

— Nie sporządziłem spisu zapasów, jakie nam pozostały — odpowiedział Harry — ale jestem pewien, że paliwa do ogrzewania nie wystarczy nam na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

Odbiór zakłóciły głośnie trzaski, które — zwielokrotnione przez odbijające się od ścian góry lodowej echo — przypominały strzały z karabinu maszynowego.

Gunvald zawahał się przez moment. Po chwili mówił dalej.

— Według ostatnich prognoz, obecne zakłócenia atmosferyczne są znacznie poważniejsze niż wszystkie, które dotychczas wystąpiły podczas obecnej zimy. Czekajcie nas tydzień ciężkich sztormów — jeden po drugim. Pomiędzy nimi nie nastąpi nawet krótkotrwała poprawa pogody.

Tydzień. Harry zamknął oczy, aby nie widzieć lodowej ściany, przy której stała krótkofalówka, gdyż w jej szklistej powierzchni wyraźnie zobaczył los, jaki musiał ich spotkać. Nawet ukryci przed wiatrem i ubrani w termoizolacyjne

kombinezony, nie przetrwają tygodnia bez ogrzewania. Byli prawie pozbawieni żywności — głód obniżył ich odporność na niskie temperatury.

— Harry, czy mnie zrozumiałeś?

Otworzył oczy.

— Zrozumiałem aż za dobrze. Sytuacja nie wygląda zbyt różowo. Ale mimo wszystko dryfujemy na południe i powoli opuszczamy rejon sztormów.

— Przeglądałem tutaj odpowiednie tabele. Jesteś w stanie oszacować, ile kilometrów dziennie pokonuje wasza góra lodowa?

— Trudno powiedzieć... Sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt.

— Podobną odległość podają w tabelach. Czy wiesz jednak, jaka część tego ruchu jest rzeczywistym przemieszczaniem się na południe?

Harry zastanowił się przez moment.

— Czterdzieści kilometrów dziennie?

— Tylko w najlepszym wypadku. Być może nie więcej niż dwadzieścia.

— Dwadzieścia? Jesteś pewien? No jasne; jak mogłem na to nie wpaść? Oczywiście macz rację. Jaki w takim razie jest zasięg sztormu?

— Harry, strefa złych warunków atmosferycznych kończy się mniej więcej dwieście dziesięć kilometrów na południe od waszej pozycji. Aby wydostać się z obszaru burz i dotrzeć do miejsca, skąd mogłyby was zabrać helikoptery, potrzebowałibyście osiem do dziesięciu dni, a może nawet więcej.

— A co z tymi oenzetowskimi holownikami?

— Amerykanie przekazali na nie informacje o waszym położeniu. Oba statki płyną w waszą stronę najszybciej, jak na to pozwalają warunki. Jednak według danych z Thule, morze jest niezwykle wzburzone nawet poza zasięgiem sztormu. Holowniki są oddalone od was o czterysta pięćdziesiąt kilometrów, a w tych warunkach mogą rozwinąć tylko bardzo niewielką prędkość.

Musieli dowiedzieć się prawdy o swoim położeniu, bez względu na to, jaka ona była.

— Czy statek tych rozmiarów może wpłynąć na prawie dwieście kilometrów w obszar sztormu, nie zostając przy tym rozerwanym na strzępy? — zapytał Harry.

— Myślę, że obaj kapitanowie są odważni, ale nie są samobójcami — szczerze odpowiedział Gunvald.

Harry przyznał mu rację.

— Statki będą musiały zawrócić — stwierdził Gunvald.

Harry westchnął.

— Cóż... nie będą mieć innego wyboru. W porządku, Gunvald. Połączę się z tobą ponownie za piętnaście minut. Musimy się tutaj naradzić — może coś wymyślimy?

— Będę czekać.

Harry położył mikrofon na krótkofalówce, wstał i zwrócił się do pozostałych:

— Słyszeliście sami.

Wszyscy obecni w grocie patrzyli na Harry'ego lub na wyłączone radio. Pete, Roger i Franz stali przy wyjściu, z założonymi na oczy goglami, gotowi, aby w każdej chwili wyjść na zewnątrz i spenetrować resztki obozu tymczasowego. Brian Dougherty jeszcze przed chwilą studiował mapę Morza Grenlandzkiego i Północnego Atlantyku, jednak po wysłuchaniu Gunvalda zorientował się, że ustalanie lokalizacji holowników jest bezcelowe, i złożył wykresy. Zanim Harry połączył się z Bazą Edgeway, George Lin przechadzał się z jednego końca groty na drugi, próbując rozruszać potłuczone mięśnie, aby zapobiec ich drętwieniu — teraz stał nieruchomo, bez choćby drgnięcia powiek, jakby zamarzył na sopel lodu. Rita i Claude klęczeli przy kartonie — mocno zniszczonym przez upadające bloki lodowe — i sporządzali spis jego zawartości. Harry'emu wydawało się przez moment, że nie są to żywi ludzie, lecz figury woskowe lub manekiny na jakiejś niezwyklej wystawie — być może dlatego, że o ile nie zdarzy się cud, już teraz byli tyle warci, co martwi.

— Nawet jeśli statkom udałoby się do nas dopłynąć i zostalibyśmy zabrani na pokład, to nie nastąpi to wcześniej niż jutro. Nie ma najmniejszej szansy, że dotrą tutaj przed północą, a dokładnie o tej porze nastąpi detonacja sześćdziesięciu bomb — Rita wyrzuciła z siebie wreszcie to, o czym wszyscy myśleli, lecz nikt nie odważył się głośno powiedzieć.

— Nie znamy kształtów ani rozmiarów góry lodowej — stwierdził Fischer. — Większość ładunków mogła pozostać na pokrywie polarnej, poza linią pęknięcia.

Pete Johnson był odmiennego zdania.

— Podczas przejścia tsunami Claude, Harry i ja byliśmy na samym końcu linii wyznaczonej przez serię bomb. Wydaje mi się, że powróciliśmy mniej więcej tą samą drogą, którą podążaliśmy opuszczając obóz. Z tego wynika, że musieliśmy jechać wzdłuż linii sześćdziesięciu ładunków lub ewentualnie przekroczyliśmy ją w którymś momencie. Utnijcie mi głowę, jeśli się mylę, ale ta bryła lodu w żadnym punkcie nie jest wystarczająco duża, aby przetrwać detonację.

Przez chwilę zrobiło się cicho. Brian przełknął nerwowo ślinę.

— Chcesz powiedzieć, że ta góra rozpadnie się w drobny mak?

Nikt nic nie odpowiedział.

— Czyli wszyscy zginiemy? Albo wylądujemy w morzu?

— Na jedno wychodzi — stwierdził rzeczowo Roger Breskin; jego basowy głos odbijał się od lodowych ścian. — Woda jest przeraźliwie zimna. Nie przeżyłbyś w niej dłużej niż pięć minut.

— Czy możemy coś zrobić, aby się uratować? — zapytał Brian, patrząc kolejno na wszystkich uczestników wyprawy. — Na pewno jest jakiś sposób.

Podczas rozmowy George Lin stał cicho i nieruchomo jak marmurowy pomnik. Nagle jednak odwrócił się i zrobił trzy szybkie kroki w kierunku Dougherty'ego.

— Boisz się, chłoptasiu, co? Powinieneś się bać! Twoja wszechmocna rodzinka nie wyciągnie cię tym razem z tarapatów!

Zdumiony Brian odsunął się od rozżłoszczonego mężczyzny.

Dłonie Lina zacisnęły się w pięści.

— Jak się czujesz, będąc całkowicie bezbronnym? — krzyczał. — Jak ci się podoba ten stan? Fakt, że pochodzisz z potężnej, bogatej i wpływowej rodziny, gównu tutaj znaczy. Teraz już wiesz, co znaczy być jednym z nas: zwykłych, szarych śmiertelników. Będziesz musiał walczyć o przetrwanie, tak jak my wszyscy.

— Dość tego — powiedział Harry.

Lin odwrócił się do Carpentera. Jego twarz wyrażała nienawiść.

— Rodzina Doughertych spokojnie sobie egzystuje, siedząc na górze pieniędzy i korzystając z wszelkich przywilejów. Są całkowicie oderwani od rzeczywistości, ale za to cholernie przekonani o swojej moralnej wyższości nad innymi, przekonując nas, jak należy żyć i poświęcać się dla takiej czy innej wielce szlachetnej idei. To właśnie przez takich jak oni rozpoczęła się rewolucja w Chinach i do władzy doszedł Mao, przez którego utraciliśmy ojczyznę, a dziesiątki milionów ludzi zostało zamordowanych. Niech pobędą trochę u władzy, a zaraz po nich dojdą do niej komuniści. Dzikusy i krwio pijcy, mordercy i zezwierzęcone indywidua wedrą się przez furtkę, którą dla nich otworzą. . .

— To nie Brian uwięził nas na tej górze — uciał ostro Harry — ani jego rodzina. Na litość boską, George, przecież on niecałą godzinę temu uratował ci życie.

Gdy Lin zorientował się, że stracił panowanie nad sobą, z jego policzków zniknęły wywołane gniewem rumieńce. Wydawał się zmieszany i zawstydzony. Kręcił głową, jak gdyby chciał się z tego otrząsnąć.

— Ja. . . przepraszam.

— Nie mnie — odpowiedział Harry. — Powiedz to Brianowi. Lin odwrócił się do Dougherty'ego, ale nie spojrzał mu w oczy.

— Przepraszam. Naprawdę mi przykro.

— Nie ma sprawy — zapewnił Brian.

— Ja nie. . . nie wiem, co się ze mną stało. Harry ma rację, ocaliłeś mi życie.

— Nie przejmuj się już, George.

Po chwili zastanowienia Lin pokiwał głową i poszedł do najodleglejszej części jaskini. Intensywnie wpatrując się w lód, po którym stapał, zaczął chodzić tam i z powrotem, ćwicząc obolałe mięśnie.

Harry zastanawiał się, jakie przeżycia z przeszłości tego niewielkiego człowieka sprawiły, że uznał Briana Dougherty'ego za swojego wroga już od pierwszego dnia, kiedy się spotkali.

— Czy możemy podjąć jakieś działania, aby się uratować? — zapytał po raz kolejny Brian, zgrabnie pomijając zatarg z Linem.

— Być może — odpowiedział Harry. — Po pierwsze musimy wydostać przynajmniej kilka ładunków, a następnie je rozbroić.

Fischer był zdumiony.

— To niemożliwe!

— Najprawdopodobniej tak.

— Ciekawe, w jaki sposób je wydostaniemy? — zapytał drwiąco Fischer. Claude podniósł się znad zniszczonego kartonu z żywnością.

— To wykonalne — mamy świder, topory do rąbania lodu i piłę mechaniczną. Gdyby starczyło nam czasu i cierpliwości, moglibyśmy dotrzeć do każdej bomby z boku, wycinając stopnie w lodzie. Ale jest pewien szkopał, Harry. Zakopywanie ładunków trwało półtora dnia. Ich wydostanie będzie o wiele trudniejsze. Potrzebowalibyśmy na to około tygodnia, o ile nie dwóch.

— Pozostało tylko dziesięć godzin — zupełnie niepotrzebnie przypomniał Fischer.

Pete Johnson opuścił niszę w ścianie przy wyjściu z groty i wyszedł na środek.

— Chwileczkę — powiedział — chyba nie słuchaliście uważnie. Harry zaproponował, aby rozbroić tylko kilka bomb, a nie wszystkie. Nie wspominał również, żeby wydobywać je w sposób zaproponowany przez Claude'a — spojrzał na Harry'ego. — Może zechcesz wyjaśnić do końca?

— Najbliższy ładunek jest zainstalowany trzysta metrów od nas. Jeśli udało by się go wydostać i rozbroić, wówczas znajdowałibyśmy się trzysta piętnaście metrów od najbliższej bomby, ponieważ wszystkie są umieszczone w odstępach piętnastu metrów. Tak więc, jeśli wydobędziemy dziesięć ładunków, wówczas będziemy oddaleni o prawie pół kilometra od miejsca najbliższej eksplozji. Pozostałe pięćdziesiąt bomb wybuchnie o północy, lecz żadna z nich nie będzie się znajdowała bezpośrednio obok nas. Istnieje szansa, że fragment góry, na którym się znajdujemy, przetrwa eksplozję. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że bryła będzie wystarczająco duża, abyśmy zdołali przeżyć.

— Tak. Przy „odrobinie” szczęścia — zgryźliwie podsumował Fischer.

— To jedyna nadzieja ratunku.

— Dość kiepska — zauważył Niemiec.

— Na razie nie ma innej.

— Jeśli nie będziemy w stanie dokopać się do materiałów wybuchowych, co najwyraźniej nie podlega dyskusji, jak w takim razie do nich dotrzemy?

— Za pomocą świdra. Ponownie nawiercimy otwory.

Fischer zmarszczył brwi.

— To niezbyt rozsądna propozycja. Co będzie, jeśli wiertło natrafi na bombę?

— Nie wybuchnie — zapewnił Harry.

— Franz, plastyczny materiał wybuchowy, który użyty jest w ładunkach, reaguje wyłącznie na prąd elektryczny o odpowiednim napięciu — dodał Johnson. — Eksplozja nie nastąpi na skutek uderzenia albo wysokiej temperatury.

— Oprócz tego — ciągnął Harry — końcówki wiertła, stosowane do lodu, nie są wystarczająco twarde, aby przebić stalowy pojemnik.

— A co zrobimy, kiedy ponownie odwiercimy szyb? — zapytał Niemiec. — Po prostu wyciągniemy bombę za przymocowany do niej łańcuch, jak wiadro ze studni?

— Coś w tym stylu.

— I znowu błąd. Podczas wiercenia łańcuch zostanie porozrywany na strzępy.

— Unikniemy tego, zakładając na wiertło mniejsze końcówki. Szyb miał poprzednio dziewięć centymetrów średnicy, jednak pojemnik z materiałem wybuchowym ma tylko sześć centymetrów. Jeśli użyjemy odpowiedniej końcówki wiertła, wówczas uda nam się przebić obok łańcucha. Co więcej, jest on dociągnięty w bok, do ścianki pierwotnego szybu.

Franz Fischer wciąż nie był usatysfakcjonowany odpowiedzią.

— Nawet jeśli uda nam się ponownie odwiercić szyb, nie uszkadzając przy tym łańcucha, to i tak będzie on zamrożony w lodzie, podobnie jak pojemnik z materiałem wybuchowym.

— Przymocujemy koniec łańcucha do pojazdu śnieżnego i spróbujemy go wyciągnąć razem z cylindrem na powierzchnię.

— To się nie uda — powątpiewał Franz Fischer. . .

Harry pokiwał głową.

— Może masz rację.

— Musimy znaleźć inne wyjście.

— Na przykład jakie?

— Nie możemy po prostu siedzieć z założonymi rękami i czekać na koniec — powiedział Brian. — To, do cholery, nie ma sensu. — Zwrócił się do Harry'ego. — Jednak jeśli twój plan okaże się skuteczny i będziemy w stanie wydostać bomby, to czy uda nam się wydobyć spod lodu dziesięć ładunków w ciągu dziesięciu godzin?

— Nie będziemy tego wiedzieć, jeśli nie spróbujemy — odpowiedział Harry stanowczo, chcąc uniknąć zarówno popadania w zbyt pesymizm, jak i rozbuźdzenia, być może płonnych, nadziei.

— Jeżeli nie uda się wydostać dziesięciu, to może osiem. Jak nie osiem, to przynajmniej sześć. Każda rozbrojona bomba zwiększa nasze bezpieczeństwo.

— A nawet jeśli. . . — niemiecki akcent Fischera pogłębiał się w miarę, jak przestawał negować sensowność pomysłu — co na tym zyskamy? Wciąż będziemy dryfować na górze lodowej, zdani wyłącznie na łaskę losu. Ilość paliwa, jaką dysponujemy, wystarczy tylko do ogrzewania nas do jutrzejszego popołudnia. Wkrótce zamrzniemy na śmierć.

— Franz, przestań krakać, do cholery, bo przywołasz nieszczęście — ucięła Rita, zrywając się na równe nogi — jesteś kawał faceta. Możesz pomóc nam

wszystkim albo opuścić bezradnie ręce, bez pomocy których możemy wszyscy zginąć. Nikt nie jest tutaj zbędny. Musimy się wspierać i działać wspólnie.

— Zgadza się — potwierdził Harry. Naciągnął na głowę kaptur i mocno związał go pod szyją. — A jeśli uda nam się zyskać na czasie, rozbijając kilka bomb — choćby trzy lub cztery — cóż, zawsze istnieje szansa, że jakoś nas uratują; może nawet szybciej niż przypuszczamy.

— W jaki sposób? — zapytał Roger.

— Jeden z tych holowników. . .

— Przecież ustaliliście wspólnie z Gunvaldem, że żaden ze statków nie będzie w stanie do nas dotrzeć. — Fischer, mówiąc to, patrzył na Ritę; w jego głosie czuło się zawziętość, jakby rywalizował z Harrym o jej poparcie.

Harry zdecydowanie potrząsnął głową.

— Nic jeszcze nie jest przesądzone. Wszyscy mamy głowy na karku. Jeśli dobrze się zastanowimy, możemy wziąć sprawy w swoje ręce. O ile któryś z tych kapitanów jest prawdziwym twardzielem i ma charakter, a przy tym dysponuje świetnie wyszkoloną załogą, to przy odrobinie szczęścia uda mu się do nas dopłynąć.

— Brzmi to jak pobożne życzenia — zauważył Roger Breskin.

Fischer miał ponurą minę.

— Jeżeli ten kapitan jest samym Neptunem, jeśli jest bogiem wszystkich żeglarzy, jacy kiedykolwiek pływali po morzu, jeśli nie jest człowiekiem, ale jakimś skurwysyńskim, nieziemskim twardzielem, to wtedy jestem w stanie uwierzyć, że mamy szansę.

— Cóż, jeśli ten kapitan jest Neptunem — odparł Harry — i jeśli jutro się tutaj pojawi, choćby na Latającym Holendrze, to mimo wszystko chciałbym mieć możliwość go powitać.

Zapadła cisza.

— Co sądzą pozostali? — zapytał Harry. Nikt się nie sprzeciwił.

— W porządku, wszyscy musimy wziąć udział w akcji wydobywania bomb — stwierdził Harry, nasuwając na oczy przyciemniane gogle. — Rita, czy mogłabyś zostać tutaj, przy krótkofalówce, i o umówionej porze nawiązać łączność z Gunvaldem?

— Oczywiście.

— Ktoś powinien dokończyć przeszukiwanie szczątków obozu, zanim zasypie je śnieg.

— Ja również się tym zajmę — zaproponowała Rita.

Harry podszedł do wylotu jaskini.

— Zbierajmy się. Wyraźnie słyszę tykanie tych sześćdziesięciu budzików pod nami. Nie chcę być zbyt blisko nich, gdy nadejdzie czas pobudki, bo zapowiada się ona cholernie głośno.

Część trzecia
WIEZIENIE

14:30

DZIEWIĘĆ GODZIN I TRZYDZIEŚCI MINUT DO DETONACJI

Już po minucie czy dwóch od momentu, gdy położył się do łóżka, Nikita Gorow uświadomił sobie, że nie będzie mu dane spokojnie odpocząć. Z zakamarków pamięci wyłonił się niewielki duszek, który na pewno nie da mu zasnąć. Gdy zamknął oczy, wyraźnie mógł dostrzec sylwetkę małego Nikołaja — jego Koli — wyłaniającą się z delikatnej, żółtawej mgiełki. Uśmiechnięte dziecko biegło w jego kierunku, wyciągając przed siebie ramiona. Jednak bez względu na to, jak szybko i jak długo biegł Kola, dystans pomiędzy nimi nie zmniejszał się. Działo się tak pomimo rozpaczliwych wysiłków Gorowa, który również próbował zbliżyć się do małego. Byli od siebie oddaleni tylko o jakieś dziesięć, dwanaście kroków, jednak każdy centymetr wydawał się nieskończonością. Kapitan pragnął za wszelką cenę choćby dotknąć syna, ale pomiędzy nimi znajdowała się nieprzenikniona zasłona, oddzielająca świat żywych od świata umarłych.

Gorow otworzył oczy z mimowolnym westchnieniem. Spojrzał na oprawioną w srebrne ramki fotografię, która stała na jego biurku. Zdjęcie przedstawiało Nikołaja i jego, płynących na statku wycieczkowym po rzece Moskwie; za nimi widniała postać grającego akordeonisty. Czasami, gdy szczególnie intensywnie nachodziły go wspomnienia z przeszłości, Gorow, patrząc na zdjęcie, wpadał w głęboką depresję. Nie mógł jednak się go pozbyć; nie był w stanie schować go do szuflady lub po prostu wyrzucić, podobnie jak nie odrąbałby sobie prawej ręki wyłącznie dlatego, że często trzymał go za nią Kola.

Nerwy nie pozwalały mu leżeć spokojnie. Wstał z pośłania nie wiedząc, co z sobą począć. Chciał rozładować napięcie chodząc, jednak jego kabina była na to za mała. Trzema krokami pokonywał wąskie przejście pomiędzy łóżkiem a szafką. Załoga nie mogła zobaczyć go w takim stanie. Gdyby nie to, przechadzałby się pewnie głównym korytarzem.

W końcu usiadł przy biurku. Wziął fotografię w obie ręce, jak gdyby patrząc na nią i uświadamiając sobie w pełni rozmiar straty, jaką poniósł, mógł w sobie zwalczyć okrutny ból i uspokoić rozedrgane nerwy.

— Nie jestem winny twojej śmierci, Kola — łagodnie przemówił do widniejącego na zdjęciu chłopca o blond włosach.

Gorow nie tylko wiedział, że mówi prawdę, ale również w to wierzył. Pomimo to zalewały go fale poczucia winy, nadchodzące co jakiś czas w niszczących przypływach.

— Wiem, że mnie za to nie obwiniasz, Kola, ale sprawiłoby mi ulgę, gdybym mógł to usłyszeć z twoich ust.

Siedem miesięcy temu, w połowie czerwca, *Ilja Pogodin* był w trakcie sześćdziesięciodniowej, ściśle tajnej misji szpiegowskiej na Morzu Śródziemnym. Okręt znajdował się w pełnym zanurzeniu o siedemnaście kilometrów od wybrzeży Egiptu, dokładnie na północ od Aleksandrii. Wysunięte w górę ponad pokładem anteny każdej minuty rejestrowały tysiące bajtów mniej lub bardziej ważnych informacji, które następnie przekazywane były do pamięci komputerów.

Piętnastego czerwca, o drugiej nad ranem, Morska Służba Wywiadowcza w Sewastopolu przekazała informację nadaną do nich z Ministerstwa Marynarki Wojennej w Moskwie. Wiadomość wymagała natychmiastowego potwierdzenia, jednak wiązało się to z przerwaniem ciszy w eterze, która bezwzględnie obowiązywała podczas misji wywiadowczych.

Kiedy informacja została rozszyfrowana, dyżurny oficer łączności z nocnej wachty natychmiast obudził Gorowa, który usiadł na swojej koi i z uwagą przestudiował bladożółtą kartkę papieru.

Informacja rozpoczynała się od szczegółowych ustaleń co do zajęcia przez okręt odpowiedniej pozycji, po których następował rozkaz spotkania się za dwadzieścia cztery godziny ze statkiem badawczym *Piotr Wawilow*, który znajdował się w tej samej części Morza Śródziemnego. Jak dotąd, treść wiadomości przyjemnie rozbudziła ciekawość Gorowa. Wynurzenie i bezpośrednie spotkanie o północy, na środku morza, było znacznie bardziej intrygującym i tradycyjnym zadaniem szpiegowskim niż te, które zazwyczaj wykonywał w dobie rozwiniętych systemów nasłuchu elektronicznego. Jednak dalsza część informacji postawiła go na nogi, wprawiając w bezwiedne dygotanie.

PANA SYN W POWAŻNYM STANIE SZPITAL KREMLOWSKI STOP
PAŃSKA NATYCHMIASTOWA OBECNOŚĆ W MOSKWIE KONIECZNA
STOP TRANSPORT ZORGANIZOWANY STOP KAPITAN
ŻUKÓW PRZEJMIE DOWODZENIE OKRETEM STOP
POTWIERDZIĆ ODBIÓR

POTWIERDZIĆ ODBIÓR

O północy Gorow przekazał kontrolę nad okrętem w ręce Żukowa, a sam przesiadł się na *Piotra Wawilowa*; z jego pokładu został zabrany przez helikopter do Damaszku w Syrii, gdzie wsiadł na pokład rosyjskiego odrzutowca należącego do korpusu dyplomatycznego, którym odleciał do Moskwy. Na lotnisku Szeremietiewo znalazł się szesnastego czerwca o piętnastej.

W holu portu lotniczego czekał na niego urzędnik z Admiralicji o nazwisku Borys Okudźawa. Oczy Okudźawy były tak szare jak woda w pralni. Olbrzymi pryszcz zniekształcał lewą stronę jego nosa.

— Samochód już czeka, towarzyszu Gorow.

— Co z Kołą? Co się dzieje z moim synem?

— Nie jestem lekarzem, towarzyszu Gorow.

— Coś pan musi wiedzieć.

— Lepiej nie traćmy czasu. Wszystko wyjaśnię w samochodzie.

— Nie musi się pan do mnie zwracać per „towarzyszu” — stwierdził Gorow, gdy przebiegali przez bramę lotniska.

— Przepraszam. To z przyzwyczajenia.

— Czyżby?.

Chociaż zdyskredytowano ekonomiczne i społeczne założenia komunizmu i ujawniono grabieże i masowe morderstwa, jednak wciąż jeszcze spora rzesza wyznawców pragnęła powrotu starego systemu. W dalszym ciągu mieli oni wpływ w wielu dziedzinach gospodarki i zarządzania państwem. Kontrolowali między innymi przemysł zbrojeniowy, a wraz z nim produkcję rakiet, wyrzutni i głowic nuklearnych. Według nich odrzucenie ideologii marksistowskiej wynikało wyłącznie z faktu, że władza została przejęta przez siły nieco bardziej demokratyczne, co nie miało jednak wpływu na zmianę dawnych poglądów, które w głębi serca wyznawali. Starali się okazać szczere zaangażowanie w tworzenie nowej Rosji, ale tak naprawdę wciąż czekali na zmartwychwstanie państwa radzieckiego.

Kiedy opuścili zatłoczoną salę odpraw i wyszli na zewnątrz, gdzie przywitała ich ciepła aura wiosennego popołudnia, Okudźawa odezwał się ponownie.

— Podczas następnej rewolucji powinniśmy wywalczyć więcej wolności, a nie mniej. Nie posunęliśmy się wystarczająco daleko. U władzy pozostało zbyt wielu przedstawicieli starej nomenklatury. Nazywają siebie wieszczami demokracji i zwolennikami kapitalizmu, jednak w rzeczywistości blokują przemiany przy każdej okazji.

Gorow nie wdał się tym razem w dyskusję. Borys Okudźawa nie był dobrym aktorem. Zdradziła go nadmierna gorliwość, z jaką przemawiał: groteskowy pryszcz na jego nosie zaczerwienił się, jakby był zainstalowanym przez Boga de-

tektorem prawdy, nieomylnie zdradzającym schowanego pod skórą diabła.

Niebo było zasnuwane szarocznymi chmurami. W powietrzu czuło się nadchodzący deszcz.

Przed budynkiem pozwolono handlować kilku straganiarzom. Niektórzy rozłożyli towar na drewnianych stołach, inni mieli ruchome wózki. Sprzedawali papierosy, słodczyce, mapy turystyczne, pamiątki... Przynajmniej część handlarzy musiała nieźle prosperować, jednak wszyscy byli niechlujnie ubrani. Jeszcze nie tak dawno majątkość była przestępstwem, za które groziło więzienie, a czasami nawet śmierć. Wielu obywateli obecnego państwa rosyjskiego dobrze pamiętało dawne konsekwencje „sukcesu” i niebezpieczną zawiść biurokratów.

Samochód z ministerstwa natychmiast podjechał przed budynek dworca lotniczego, parkując w niedozwolonym miejscu. Gdy tylko Gorow i Okudźawa wsiedli do środka i zamknęli drzwi, kierowca — młody mężczyzna w marynarskim mundurze — prędko ruszył z miejsca.

— Co z Kola? — po raz kolejny zapytał Gorow.

Zabrano go do szpitala trzydzieści jeden dni temu. Początkowo przypuszczano, że choruje na mononukleozę lub grypę — pocił się, miał dreszcze. Odczuwał takie nudności, że nie mógł przełknąć nawet płynów. Przyjęto go na oddział głównie w celu dożylnego karmienia, żeby zapobiec odwodnieniu.

W czasach zdyskredytowanego reżimu służba zdrowia całkowicie podlegała kontroli państwa. Jej stan był fatalny, nawet gdy oceniano się ją według norm obowiązujących w krajach Trzeciego Świata. Większość szpitali nie miała właściwego sprzętu do sterylizacji instrumentów, brakowało odpowiednich przyrządów diagnostycznych — na potrzeby medyczne przeznaczano tak szczupłe fundusze, że często trzeba było wielokrotnie wykorzystywać te same igły i strzykawki, co powodowało rozprzestrzenianie się wielu chorób. Upadek starego systemu przyniósł wiele pozytywnych zmian, jednak czas komunizmu pograżył kraj w nędzy i w ostatnich latach stan służby zdrowia pogorszył się jeszcze bardziej.

Gorowa przeszedł dreszcz na myśl, że mały Kola znalazł się w rękach lekarzy, którzy byli kształceni na uczelniach medycznych według metod równie przestarzałych, jak przyrządy, którymi posługiwali się następnie w szpitalach. Wszyscy rodzice na świecie pragną, aby ich dzieci były zdrowe, jednak w nowej Rosji, podobnie jak w dawnym państwie radzieckim, fakt umieszczenia ukochanego dziecka w szpitalu dawał powody nie tylko do niepokoju, ale wręcz do strachu, o ile nie przerażenia.

— Nie powiadomiono pana — wyjaśniał Okudźawa, bezwiednie pocierając końcem kciuka przyszc na nosie — gdyż brał pan udział w misji, którą uznano za ściśle tajną. Poza tym sytuacja nie wydawała się krytyczna.

— Jednak to nie była mononukleozą ani grypa? — zapytał Gorow.

— Nie. Przypuszczano następnie, że może to być ostre zapalenie stawów.

Nikita Gorow podczas długich lat spędzonych na dowodzeniu okrętem pod-

wodnym nauczył się nie okazywać swoich emocji bez względu na problemy związane z funkcjonowaniem łodzi czy z niebezpieczną sytuacją na morzu lub w głębinach oceanu. Jego twarz pozostała nieporuszona również w tej chwili, gdy w wyobraźni widział obraz Koli, przerażonego i cierpiącego w szpitalu pełnym karaluchów.

— Ale to nie było zapalenie stawów?

— Nie — odparł Okudźawa, w dalszym ciągu pocierając przyszc na nosie; nie patrzył na Gorowa, jego oczy utkwione były w kark kierowcy. — Potem objawy na krótko ustąpiły. Przez cztery dni nic mu nie dolegało. Kiedy nastąpił nawrót choroby, rozpoczęto kolejną serię testów. I wtedy. . . osiem dni temu, odkryto, że ma na mózgu złośliwy nowotwór.

— Rak — prędko powiedział Gorow.

— Guz jest zbyt duży, aby dało się go wyciąć. Za późno już na leczenie za pomocą naświetlania. Gdy stało się jasne, że stan Nikołaja gwałtownie się pogarsza, zdecydowaliśmy się przerwać ciszę w eterze i ściągnąć pana do Moskwy. Zrobiliśmy to ze względów humanitarnych, pomimo niebezpieczeństwa, że może to narazić pańską misję na szwank — przerwał na chwilę i w końcu spojrzał na Gorowa. — W poprzednim okresie nikt nie zdecydowałby się na podjęcie podobnego ryzyka, ale teraz nadeszły lepsze czasy — dodał Okudźawa z takim chłodem, że równie dobrze mógł na swej piersi mieć przypięty emblemat sierpu i młota — prawdziwy znak swojej ideologicznej przynależności.

Gorowa nie interesowała nostalgia, jaką odczuwał za dawnymi czasami Borys Okudźawa. Nie obchodziła go demokracja ani przyszłość, ani nawet on sam — myślał wyłącznie o Koli.

Pot wystąpił mu na szyję, jak gdyby został dotknięty zimną dłonią śmierci, która zmierzała w kierunku małego chłopca — lub może od niego wracała.

— Nie może pan jechać szybciej? — zwrócił się Gorow do młodego oficera prowadzącego samochód.

— Niedługo będziemy na miejscu — zapewnił go Okudźawa.

— On ma dopiero osiem lat. — Gorow powiedział to bardziej do siebie, niż do któregośkolwiek z jadących z nim mężczyzn.

Nikt nie odezwał się ani słowem.

Gorow zobaczył w lusterku oczy kierowcy, które wyrażały coś, co mogło być odczytane jako żal.

— Ile życia mu jeszcze pozostało? — zapytał, chociaż tak naprawdę wolałby nie znać odpowiedzi.

Okudźawa przez chwilę nic nie mówił. W końcu powiedział:

— To się może stać w każdej chwili.

Od momentu, gdy na pokładzie *Ilji Pogodina*, trzydzieści siedem godzin wcześniej, przeczytał rozszyfrowaną informację, wiedział, że Kola musi być umierający. Przełożeni z Admiralicji nie byli okrutni, jednak z drugiej strony nie prze-

rwaliby ważnej misji wywiadowczej na Morzu Śródziemnym, gdyby sytuacja nie była krytyczna. Starał się przygotować na tę wiadomość.

W szpitalu nie działały windy. Borys Okudźawa poprowadził Gorowa przez służbowe przejście, za którym znajdowały się brudne i słabo oświetlone schody. Na każdym półpiętrze przy oblepionych brudem szybach okiennych latały chmary much.

Gorow wszedł na siódme piętro. Po drodze dwukrotnie się zatrzymywał, gdy poczuł dotkliwy ból w kolanach, po czym, po sekundzie odpoczynku, ruszał do góry z jeszcze większym pośpiechem.

Kola leżał na małym łóżku w ośmioosobowej sali z czterema innymi umierającymi dziećmi. Przykryty był brudnym, obszarpanym prześcieradłem. Nie było przy nim EKG ani innego sprzętu diagnostycznego. Uznany za nieuleczalnie chorego, został przeniesiony do tej sali, aby przecierpieć w niej ostatnie chwile życia na tym świecie. Służba zdrowia wciąż podlegała rządowi, który nie był w stanie przeznaczyć na nią odpowiednich funduszy, tak że lekarze musieli segregować pacjentów, kierując się bezwzględnym kryterium uleczałości. Nie podejmowano żadnych szczególnych działań, jeśli stwierdzono, że szansę powrotu pacjenta do zdrowia są mniejsze niż pięćdziesiąt procent.

Chłopiec był przeraźliwie blady. Jego skóra wyglądała jakby była z wosku. Usta miały szary odcień. Oczy były zamknięte, jasne włosy świeciły się od potu.

Gorow, trzęsąc się, jakby był sparaliżowanym staruszkiem, stanął przy łóżku i wpatrywał się w syna — w swoje jedyne dziecko. Z coraz większym trudem zdobywał się na przystające dowódcy okrętu opanowanie.

— Kola — odezwał się cicho; jego głos drżał.

Chłopiec nie odpowiedział ani nie otworzył oczu.

Gorow usiadł na brzegu łóżka. Dotknął dłonią ręki swojego syna. Ciało chłopca było chłodne.

— Kola, jestem przy tobie.

Ktoś dotknął ramienia Gorowa; spojrzał w górę.

Obok łóżka stał lekarz ubrany w biały kitel. Wskazał na kobietę stojącą w drugim końcu sali.

— W tej chwili ona cię najbardziej potrzebuje.

Była to Ania. Gorow był tak skoncentrowany na Koli, że nie dostrzegł jej wcześniej. Stała przy oknie udając, że obserwuje przechodniów spacerujących w dole po Prospekcie Kalinina.

Gorow powoli uświadamiał sobie wyraz rezygnacji i ostatecznej przegranej, jaki zdradzała opadająca linia jej ramion. Przechylona na bok głowa była oznaką smutku. Wkrótce zrozumiał pełne znaczenie słów wypowiedzianych przez lekarza. Kola już nie żył. Za późno, aby powiedzieć mu po raz ostatni: — Kocham cię. Za późno na ostatni pocałunek. Za późno, aby spojrzeć w oczy dziecka, mówiąc: — Zawsze byłem z siebie dumny. Za późno, aby się z nim pożegnać.

Chociaż potrzebowała go teraz Ania, nie mógł opuścić swojego miejsca przy Koli, jak gdyby odejście od niego miało nieodwołalnie potwierdzić Śmierć dziecka, podczas gdy dalsze, uparte zaprzeczanie temu faktowi, mogło w cudowny sposób przywrócić mu życie.

Wymówił jej imię i chociaż był to ledwo słyszalny szept, odwróciła się w jego stronę.

Miała oczy zasnuwane łzami. Zagryzała wargę, aby nie szlochać. Wreszcie odezwała się do niego:

— Tak bardzo chciałam, żebyś tu był.

— Dopiero wczoraj się dowiedziałem.

— Czułam się taka samotna.

— Wiem.

— Bałam się.

— Wiem.

— Gdybym mogła, wołałabym umrzeć zamiast niego... ale nie mogłam niczego... niczego zrobić, żeby mu pomóc.

W końcu znalazł w sobie dość siły, aby podnieść się z krawędzi łóżka. Podszedł do swojej żony i przytulił ją; ona również mocno go objęła — najmocniej, jak tylko potrafiła.

Tylko jedno spośród czterech umierających na sali dzieci było świadome obecności Gorowa i Ani. Pozostałe leżały w stanie śpiączki lub odrętwienia. Tym jedynym obserwatorem była dziewczynka. Wyglądała na osiem, może dziewięć lat, miała kasztanowe włosy i duże smutne oczy. Leżała obok na łóżku wsparta na poduszkach, tak wątła i krucha, jak staruszka, która przeżyła co najmniej sto wiosen.

— Niech pan się nie martwi — powiedziała do Gorowa. Pomimo spustoszeń, jakie w jej organizmie poczyniła choroba, miała słodki i melodyjny głos. — Niebawem znów go pan zobaczy. On jest teraz w niebie. Czeka tam na pana.

Nikita Gorow, będąc wychowankiem społeczeństwa przesiąkniętego materialistyczną ideologią i przez prawie sto lat zaprzeczającego istnieniu Boga, pragnął, aby mógł znaleźć w sobie wiarę tak prostą i silną, jak ta, która objawiła się w słowach dziecka. Nie był ateistą. Widział już, na jak potworne zbrodnie pozwalali sobie ludzie będący u władzy, wychodzący z założenia, że nie ma Boga. Nie ma nadziei na sprawiedliwość w świecie pozbawionym przekonania o istnieniu boskiej kary i nagrody, nie wierzącym w dalsze życie po śmierci. Bóg musi istnieć, bo inaczej rodzaj ludzki zniszczyłby sam siebie. A jednak, ponieważ nie był wychowany w tradycji wiary, brakowało mu owego poczucia nadziei i pewności, które przepełniało i uspokajało umierającą dziewczynkę.

Ania szlochała mu na ramieniu. Objął ją i pogładził jej złote włosy.

Zaciągnięte chmurami niebo rozdarło się, zalewając świat strugami deszczu. Obfite krople uderzały o szybę, spływając po niej licznymi strugami i zamazując widok ruchliwej ulicy za oknem.

Podczas pozostałej części wakacji próbowali znaleźć coś, co wprowadziłoby w ich życie chociaż odrobinę radości. Wybrali się do Teatru na Tagance, do cyrku, na balet i na rewię. Kilkakrotnie tańczyli w olbrzymim klubie w Parku Gorkiego i jak dzieci bawili się do upadłego, korzystając z licznych atrakcji w Parku Sokolniki. Raz w tygodniu jedli obiad w restauracji, uchodzącej za najlepszą w mieście, gdzie Ania ponownie nauczyła się śmiać, objadając się lodami z kremem owocowym, a Nikita zasmakował w *zastawi* — ostro przyprawianej potrawie z kurczaka w sosie orzechowym — i gdzie oboje wypili sporo wódki zakąszanej kawiozem i jeszcze więcej wina z tradycyjnym *sulguni* z dodatkiem chleba. Kochali się każdej nocy gwałtownie i gorąco, jakby ich namiętność miała zniszczyć wszelkie cierpienie, śmierć i choroby.

Chociaż Ania już nigdy nie odzyskała dawnej pogody ducha, jednak wydawało się, że po utracie dziecka doszła do siebie znacznie szybciej i pełniej, niż to się działo w przypadku Nikity. Po pierwsze wiązało się to z jej wiekiem — miała trzydzieści cztery lata i była dziesięć lat młodsza od niego. Rany w jej sercu mogły zablżyć się znacznie łatwiej. Co więcej, nie miała w sobie owego poczucia winy, które dręczyło jego duszę. Wiedział, że Kola wielokrotnie dopytywał się o niego podczas ostatnich tygodni choroby, a zwłaszcza na kilka godzin przed śmiercią. Chociaż uświadamiał sobie bezzasadność takiego myślenia, Gorow czuł, że zawiódł swojego jedyne go syna, opuszczając go w najtrudniejszych chwilach.

Ania, pomijając rzadkie u niej momenty, gdy zupełnie milkła i popadała w zamyslenie, oraz wyraz smutku, który pojawił się w jej oczach, stopniowo odzyskiwała dawną energię i żar. Inaczej było z Gorowem, który tylko udawał powrót do normalności.

W pierwszym tygodniu września Ania znowu podjęła swoją poprzednio wykonywaną pracę, w pełnym wymiarze godzin. Była z zawodu botanikiem i prowadziła prace badawcze na terenie dużego laboratorium polowego schowanego głęboko w sosnowym lesie, czterdzieści kilometrów od Moskwy. Jej praca stała się jeszcze jedną drogą ucieczki od przygnębiających wspomnień; oddalała się od nich każdego dnia coraz bardziej, przyjeżdżając do laboratorium rano i pozostając w nim do późnych godzin.

Chociaż noce i weekendy spędzali wciąż razem, Gorow czuł narastającą samotność. Pobyt w domu skłaniał, do bolesnych wspomnień. To samo dotyczyło niewielkiej dachy, którą wynajmowali na wsi. Wybierał się na długie spacery, podczas których prawie zawsze docierał do zoo albo muzeum, lub innego miejsca, w którym często bywał z Kolą.

Bez przerwy śnił mu się syn i zwykle budził się w środku nocy przepełniony uczuciem nieznośnej pustki. W owych snach Kola zawsze pytał, dlaczego jego tato go opuścił.

Ósmego października Gorow wybrał się do swoich przełożonych w Ministerstwie Marynarki Wojennej i poprosił o ponowne zamustrowanie na *Ilję Pogodina*.

Okręt stacjonował właśnie w doku w Kaliningradzie, gdzie przechodził okresowy przegląd i naprawy oraz wyposażony był w najnowszą elektroniczną aparaturę wywiadowczą. Gorow powrócił do swoich obowiązków i osobiście nadzorował instalację sprzętu, a następnie, w połowie grudnia, wypłynął okrętem na dwutygodniowy rejs kontrolny po Bałtyku.

Nowy Rok spędził w Moskwie z Anią, ale nie wybrali się do miasta. W Rosji jest to głównie święto dzieci. Mali chłopcy i dziewczynki są wtedy dosłownie wszędzie: oglądają teatrzyki kukielkowe, spektakle baletowe, filmy, pojawiają się podczas licznych występów ulicznych i w parkach. Otwiera się wtedy dla nich nawet bramy Kremla. W każdym zakamarku owe maleństwa z zapałem i radością opowiadają sobie o prezentach, które przyniósł, im Died Moroz — Dziadek Mróz. Chociaż Nikita i Ania byli razem, wspierając się nawzajem, jednak zdecydowali, że lepiej zrobić, nie oglądając tego widoku. Spędzili cały dzień w swoim trzypokojowym mieszkaniu. Dwukrotnie się kochali. Ania przyrządziła *czebureki* — armeńskie paszteciki mięsne pieczone w oliwie, które popili sporą ilością słodkiego wina.

Odsypiał w pociągu do Kaliningradu. Spodziewał się, że falujący ruch wagonu i rytmiczny stukot kół o szyny zapewni mu głęboki, pozbawiony majaków sen. Stało się jednak inaczej — dwukrotnie budził się z imieniem swojego syna na ustach, dłońmi zaciśniętymi w pięści i twarzą pokrytą zimnym potem.

Nie ma nic gorszego dla rodziców, niż śmierć własnych dzieci. Wydaje się wtedy zburzony naturalny porządek świata.

Drugiego stycznia wyruszył na pokładzie *Ilji Pogodina* na studniową misję szpiegowską. Z utęsknieniem czekał na ten czternastotygodniowy okres przebywania pod powierzchnią Atlantyku Północnego, gdyż miał wrażenie, że jest to właściwe miejsce i czas, aby otrząsnąć się z przepełniającego go smutku i poczucia winy.

Jednak nocą wciąż nawiedzał go obraz Koli, który przemierzał mroczne otchłanie morza, wkradając się w jeszcze głębsze zakamarki udręczonej duszy Gorowa, zadając wciąż te same pytania, na które nie istniała żadna odpowiedź: — *Tatusiu, dlaczego mnie opuściłeś? Dlaczego nie przyszedłeś, kiedy cię potrzebowałem, byłem przestraszony i wzywałem cię? Czy nie obchodził cię mój los, tatusiu? Dlaczego mi nie pomogłeś? Dlaczego mnie nie ocaliłeś, tatusiu? Dlaczego? Dlaczego?*

Ktoś dyskretnie zastukał w drzwi kabiny. Dźwięk zabrzmiał w małym pomieszczeniu łagodnie i miękko jak zanikający, wibrujący głos dzwonu.

Gorow porzucił krainę wspomnień i odwrócił się od oprawionej w srebrne ramki fotografii.

— Kto tam?

— Timoszenko.

Kapitan odłożył zdjęcie i usiadł tyłem do biurka.

— Proszę wejść, poruczniku.

Drzwi się otworzyły. Timoszenko przyjrzał mu się badawczo.

— Odebraliśmy całą serię wiadomości, z którymi powinien się pan zapoznać.

— Czego dotyczą?

— Chodzi o tę grupę, wysłaną przez ONZ. Założyli bazę o nazwie Edgeway.

Przypomina pan sobie?

— Oczywiście.

— Zdaje się, że mają kłopoty.

14:46

Harry Carpenter przymocował stalowy łańcuch do karabinka, który następnie przypiął do haka holowniczego, znajdującego się z tyłu pojazdu.

— Teraz potrzebujemy jeszcze tylko odrobinę szczęścia.

— Wytrzyma — stwierdził Claude, klepiąc ręką łańcuch. Klęczał na lodzie obok Harry'ego, odwrócony tyłem do wiatru.

— Nie martwię się o to, że pęknie — wyjaśnił Harry, powoli wstając i rozprostowując obolałe kolana.

Łańcuch sprawiał delikatne wrażenie — wyglądał jakby został wykonany przez jubilera. Niemniej jednak testowany był pod obciążeniem pięciuset kilogramów, z czego wynikało, że bez trudu powinien wytrzymać naprężenie, jakiemu miał zostać niebawem poddany.

Pojazd śnieżny stał prawie nad samym — odwierconym na nowo — szybem. W jego kabinie, za lekko zaparowaną pleksiglasową szybą, siedział Roger Breskin, wpatrując się w lusterko wsteczne, aby dostrzec znak do odjazdu, który miał dać Harry.

Carpenter nasunął maskę na usta i nos, po czym zasygnalizował Breskinowi, żeby ruszał. Odwrócił się przodem do wiatru i zaczął wpatrywać się w doskonale okrągły otwór w lodzie.

Pete Johnson klęczał tuż obok szybu, aby śledzić przemieszczanie się cylindra z materiałem wybuchowym. Brian, Fischer i Lin ogrzewali się w tym czasie w pozostałych pojazdach śnieżnych.

Roger kilkakrotnie wprowadził silnik na wysokie obroty, a następnie przełączył bieg. Maszyna nie przejechała nawet jednego metra, gdy jej ruch został zatrzymany przez opór łańcucha. Odgłos silnika nasilił się, stawał się coraz wyższy i stopniowo zaczął zagłuszać wycie wiatru.

Łańcuch naprężył się jak struna. Harry miał wrażenie, że trącając go wydobyłby wysoki dźwięk o klarowności bliskiej śpiewowi operowej sopranistki.

Jednak bomba nie przemieściła się nawet o centymetr.

Wydawało się, że łańcuch zaczyna drgać. Breskin dodał gazu.

Wbrew temu, co wcześniej powiedział Claude'owi, Harry zaczynał się obawiać, że któreś z ogniw pęknie.

Silnik wył, pracując na najwyższych obrotach.

Z trzaskiem przypominającym strzał z dubeltówki łańcuch oderwał się od ściany szybu, do której przymarzył, i cylinder z materiałem wybuchowym uniósł się ze swojego lodowego gniazda. Pojazd śnieżny posuwał się do przodu, łańcuch w dalszym ciągu był mocno napięty, a bomba przemieszczała się do góry szurając i drapiąc zmrożone ściany otworu.

Pete Johnson podniósł się na nogi i stanął dokładnie nad wylotem szybu. Obok niego znaleźli się zaraz Harry i Jobert. Skierował w wąski, ciemny otwór światło latarki, przez chwilę się w niego wpatrywał, po czym dał Breskinowi znak, aby się zatrzymał. Obiema rękami chwycił łańcuch, do połowy wyciągnął metalowy cylinder, a następnie przy pomocy Harry'ego wy dostał go w całości. Potem położyli bombę na lodzie.

Pozostało jeszcze dziewięć.

14:58

Gunvald Larsson właśnie dolewał do swojej kawy mleko z puszki, gdy nadeszła wiadomość z amerykańskiej bazy wojskowej w Thule na Grenlandii. Odłożył mleko i pospieszył do krótkofalówki.

— Tu Larsson, Baza Edgeway. Słyszę was dobrze, odbiór.

Oficer łączności w Thule miał mocny, a przy tym miły głos, który wydawał się odporny na jakiegokolwiek zakłócenia radiowe.

— Czy ma pan jakieś nowe wieści o swoich zaginionych owieczkach?

— Nie kontaktowaliśmy się od pewnego czasu. Są obecnie bardzo zajęci. Pani Carpenter musiała odejść od nadajnika w jaskini, bo stara się wydobyć spod szczątków obozu tymczasowego ocalałą żywność i sprzęt. Nie spodziewam się, żeby nawiązała ze mną łączność w najbliższym czasie, o ile nie nastąpi jakaś gwałtowna zmiana sytuacji.

— Jaka jest teraz pogoda w Edgeway?

— Koszmarna.

— Tutaj również. I zanim ulegnie jakiegokolwiek poprawie, na pewno się jeszcze znacznie pogorszy. Prędkość wiatru i wysokość fal biją wszelkie rekordy, jeśli chodzi o sztormy na Północnym Atlantyku.

Gunvald zmarszczył brwi, siedząc przy krótkofalówce.

— Chce pan przez to powiedzieć, że holowniki ONZ zawracają?

— Jeden już to zrobił.

— Przecież jeszcze dwie godziny temu płynęły na północ!

— *Melville* jest o dziesięć czy dwanaście lat starszy od *Liberty*. Być może przetrwałby podobny sztorm bez większego problemu, ale nie ma właściwej konstrukcji dziobu i silnika o właściwej mocy, aby płynąć prosto na fale i pod wiatr. Kapitan obawia się, że statek się rozpadnie, jeśli natychmiast nie zawróci.

— Ależ on jest dopiero na obrzeżach sztormu!

— I nawet tam morze jest zbyt wzburzone.

Na twarzy Gunvalda pojawiły się nagle kropelki potu. Przetarł je ręką, a następnie bezwiednie położył ją na spodniach, zostawiając na nich wilgotny ślad.

— Czy *Liberty* nadal posuwa się do przodu?

— Tak — Amerykanin zamilkł na chwilę; radio zasyczało, jakby było skrzynką wypełnioną węzami. — Szczerze mówiąc, gdybym był na pana miejscu, nie liczyłbym na ten holownik.

— Oprócz tego statku nie mam już na co liczyć.

— Może nie. Ale jego kapitan żywi podobne obawy, jak ten z *Melville*.

— Przypuszczam, że w dalszym ciągu nie możecie użyć helikopterów — powiedział Gunvald.

— Wszystkie stoją na lotnisku i raczej nie wystartują w najbliższych dniach. Nie jest to nam na rękę, ale nie jesteśmy w stanie nic na to poradzić.

Z głośnika rozległy się trzaski.

Gunvald nic nie powiedział.

W końcu oficer z Thule odezwał się ponownie. W jego głosie wyczuwało się lekkie zażenowanie.

— Wie pan, może tym z *Liberty* akurat uda się dopłynąć.

Gunvald westchnął.

— W każdym bądź razie nie powiem pozostałym o *Melville*. Jeszcze nie teraz.

— Jak pan uważa.

— Jeśli wycofa się również *Liberty*, wtedy będę musiał ich o tym poinformować. Przekazywanie przygnębiających wiadomości nie ma sensu, dopóki istnieje jakaś nadzieja.

Mężczyzna w Thule próbował go pocieszyć.

— Trzymamy za nich kciuki. Wiadomość trafiła w Ameryce na pierwsze strony gazet. Miliony ludzi życzą im ocalenia.

15:05

Centrum łączności *Ilji Pogodina* jarzyło się blaskiem komputerowych ekranów, na których pokazywały się rozkodowane informacje przechwytywane przez główną antenę, wysuniętą na trzydzieści metrów w górę. Konsolety i wskaźniki rozświetlone były różnokolorowymi lampkami. W pokoju intensywnie pracowali dwaj technicy, za którymi, obok drzwi wejściowych, stali Timoszenko i Nikita Gorow.

Obok setek komunikatów gromadzonych w pamięci komputerów pokładowych, nieprzerwanie napływały nowe informacje dotyczące kryzysu wyprawy Edgeway. Komputer otrzymał polecenie utworzenia specjalnego pliku z wiadomościami zawierającymi co najmniej jedno z pięciu słów-kluczy: Carpenter, Larsson, Edgeway, *Melville*, *Liberty*.

— Czy to już wszystko? — zapytał Gorow, gdy zapoznał się z materiałem dotyczącym Edgeway.

Timoszenko pokiwał głową.

— Komputer drukuje zaktualizowane informacje co piętnaście minut. Ta, którą pan właśnie przeczytał, została wydrukowana dziesięć minut temu. Jeśli zaszły w tym czasie zmiany, to raczej niewielkie. Ma pan jednak ogólny obraz sytuacji.

— Jeżeli pogoda na powierzchni jest choćby w połowie tak zła, jak podają komunikaty, to *Liberty* również zawróci.

Timoszenko przyznał mu rację.

Gorow spojrział na wydruk, nie czytając go, a nawet go nie widząc. Przed jego czarnymi jak noc oczami ukazał się obraz rumianej twarzy chłopca o złotych włosach wyciągającego przed siebie ramiona — jego syna, którego nie zdołał ocalić.

W końcu powiedział:

— Będę w centrum dowodzenia, aż do odwołania. Jeśli wpłynie jakaś ważna wiadomość na ten temat, natychmiast mnie powiadomcie.

— Rozkaz, kapitanie.

Ponieważ *Pogodin* nie przemieszczał się, lecz był utrzymywany nieruchomo w stałej pozycji, w centrum dowodzenia, oprócz pierwszego oficera Żukowa, przebywało tylko pięciu ludzi. Trzech z nich zajmowało czarne fotele naprzeciw-

ko ściany wypełnionej licznymi wykresami, monitorami, wskaźnikami, przełącznikami i kontrolkami. Żukow siedział na metalowym stołku w centrum pomieszczenia i czytał książkę opartą o duży podświetlony stół z naniesioną na nim mapą oceanu.

Emil Żuków był jedyną osobą mogącą sprzeciwić się wprowadzeniu w życie planu, jaki właśnie zaczął świtać w głowie Gorowowi. Tylko Żuków miał na pokładzie okrętu podwodnego uprawnienia pozwalające na pozbawienie kapitana funkcji dowodzącego; o ile w jego, Żukowa, opinii, Gorow straciłby przytomność umysłu lub bezpośrednio złamałby rozkazy Ministerstwa Marynarki Wojennej. Pierwszy oficer mógł skorzystać z tych uprawnień tylko w wyjątkowych okolicznościach, gdyż po powrocie do Rosji musiałyby usprawiedliwić swoją decyzję, niemniej jednak istniała realna groźba, że wykorzysta swoją władzę.

Emil Żuków miał czterdzieści dwa lata i był niewiele młodszy od swojego kapitana, jednak ich relacja przypominała zależność pomiędzy uczniem i nauczycielem. Działo się tak przede wszystkim dlatego, że Żuków przywiązywał ogromną wagę do porządku społecznego i dyscypliny. Jego szacunek do władzy graniczył wręcz z czołobitnością, tak że każdy kapitan stawał się dla niego automatycznie mentorem i źródłem wszelkiej wiedzy. Pierwszy oficer był wysoki, szczupły, miał pociągłą twarz, przenikliwe piwne oczy i gęste czarne włosy. Trochę przypominał Gorowowi wilka — poruszał się z gracją tego zwierzęcia, a jego spojrzenie miało w sobie niekiedy coś drapieżnego. W rzeczywistości nie był tak ciekawy ani groźny, jakby się mogło wydawać. Był po prostu porządnym człowiekiem i godnym zaufania — ale nie wyśmienitym — pierwszym oficerem. W normalnych warunkach szacunek, jakim darzył swojego kapitana, gwarantował jego pełną subordynację, jednak w sytuacjach ekstremalnych to podporządkowanie nie było już takie pewne. Emil Żuków nigdy nie zapominał o tym, że istnieje sporo osób, które są postawione wyżej od Gorowa, w związku z czym należało im się jeszcze większe oddanie i posłuszeństwo.

Gorow położył wydrukowane informacje dotyczące ekspedycji Edgeway na otwartych stronach książki czytanej przez Żukowa.

— Lepiej spójrz na to.

Po przeczytaniu całego materiału, pierwszy oficer stwierdził:

— Wpadli w niezłe tarapaty. Ale jakiś czas temu, gdy wszystko było jeszcze w sferze planów, czytałem kilka publikacji na temat projektu Edgeway; wypowiedzi tych Carpenterów brzmiały dość ciekawie, wydaje się, że mają głowę na karku. Może uda im się jakoś z tego wybrnąć.

— Akurat to nie Carpenterowie przykuli moją uwagę. Zauważyłem inne ciekawe nazwisko.

Żuków szybko przejrzał wydruk i po chwili powiedział:

— Pewnie chodzi ci o Dougherty'ego. Briana Dougherty'ego.

Gorow przysiadł na drugim stołku umieszczonym przy pokrytym pleksigla-

sem, podświetlanym stole z wykresami.

— Tak, mam na myśli Dougherty’ego.

— Czy to jakiś krewny zamordowanego prezydenta Stanów Zjednoczonych?

— Bratanek.

— Pewnie uznasz mnie za naiwnego — stwierdził Żuków — ale muszę przyznać, że podziwiałem jego wuja.

Żuków dobrze znał niechęć, z jaką Gorow odnosił się do polityki i polityków, i w głębi duszy potępiał taką postawę. Kapitan nie był w stanie zdobyć się nawet na udawaną zmianę poglądów tylko po to, aby zdobyć poparcie Żukowa dla planowanej przez niego, ryzykownej akcji. Wzruszając ramionami stwierdził:

— Polityka to wyłącznie walka o władzę. Imponują mi konkretne dokonania.

— Był człowiekiem miłującym pokój — powiedział Żuków.

— Tak, pokój jest ich główną kartą przetargową. Żuków zmarszczył brwi:

— Chcesz powiedzieć, że nie uważasz go za wielkiego człowieka?

— Mogę uznać za wielkiego człowieka naukowca, który odkrył lekarstwo na jakąś groźną chorobę, ale politycy. . .

Żuków nie tęsknił bynajmniej za dawnym reżimem, jednak miał już dość częstych zmian w rządzie, jakie nastąpiły w Rosji w ostatnich latach. Cenił silną władzę. Należał do ludzi potrzebujących nad sobą kogoś, kto wskazałby im kierunek i cel, do którego należy dążyć, i dlatego właśnie uważał dobrych polityków za bohaterów, niezależnie od ich narodowości.

— Bez względu na to, co myślę o Doughertym jako o prezydencie, mimo wszystko uważam, że jego rodzina wykazała w obliczu tej tragedii godność i hart ducha. Zachowali się z dostojnością.

Żuków pokiwał smutno głową.

— To rodzina godna podziwu. Szkoda, że tak się stało.

Gorow miał uczucie, że pierwszy oficer jest czymś w rodzaju skomplikowanego instrumentu muzycznego, którego strojenie właśnie zakończył. Teraz musiał na Żukowie zagrać dosyć trudną melodię.

— Ojciec tego chłopaka jest, zdaje się, senatorem?

— Tak, w dodatku niezwykle popularnym — odparł Żuków.

— O ile dobrze pamiętam, do niego również ktoś strzelał?

— Kolejna próba zamachu.

— Jak uważasz, dlaczego po tym wszystkim, co amerykański system wyrządził rodzinie Doughertych, wciąż pozostają oni jego zagorzałymi zwolennikami?

— To wielcy patrioci.

Gładząc w zamyśleniu swoją starannie przystrzyżoną brodę, Gorow powiedział:

— Miłość do ojczystego kraju musi być trudna dla rodziny, której najlepsi przedstawiciele są mordowani z rąk własnego narodu.

— To nie naród ich zabił. Winę ponosi garstka wywrotowców. Może nawet CIA. Ale nie zrobili tego zwykli Amerykanie.

Gorow udawał, że zastanawia się nad tym przez chwilę, po czym stwierdził:

— Chyba masz rację. Z tego co wiem, Amerykanie darzą Doughertych dużym szacunkiem i sympatią.

— Oczywiście. Ludzie podziwiają patriotyzm tylko wtedy, gdy jest on wynikiem konsekwentnej postawy, która nie ugnie się nawet pod wpływem przeciwności losu. Bardzo łatwo jest kochać swój kraj w czasach dostatku, kiedy nie żąda się od nikogo poświęcenia.

Jak dotąd, Gorow grał na swoim pierwszym oficerze dokładnie tę melodię, którą sobie wcześniej zaplanował. Kapitan prawie się uśmiechnął, słysząc, że nie ma w niej żadnej fałszywej nuty. Zamiast tego spojrzął na komputerowy wydruk z informacjami na temat Edgeway i powiedział:

— Cóż za wyjątkowa szansa dla Rosji.

Tak jak kapitan się tego spodziewał, Żuków w pierwszej chwili nie nadażył za jego myślami.

— Szansa? Na co?

— Na wykazanie dobrej woli.

— O... ?!

— I to w dodatku w czasach, w których — jak nigdy dotąd w swojej historii — Matka Rosja potrzebuje, żeby ktoś podał jej rękę. Dobra wola oznacza międzynarodową pomoc dla niedofinansowanej gospodarki, ulgi w handlu zagranicznym, a nawet współpracę militarną i strategiczną.

— Wciąż nie widzę żadnej szansy.

— Jesteśmy od nich oddaleni tylko o pięć godzin.

Żuków uniósł do góry brwi.

— Już wcześniej to uknułeś?

— Oceniani tylko sytuację, a to zawsze jest wskazane. Gdyby udało nam się pomóc tym nieszczęśnikom uwięzionym na górze lodowej, stalibyśmy się bohaterami — i to na skalę światową. Rozumiesz? Dzięki temu, że jesteśmy jej przedstawicielami, również i Rosja stałaby się państwem uznanym za bohaterskie.

— Uratować ich? — Żuków z zaskoczenia zamrugał powiekami.

— W końcu ocalilibyśmy życie ośmiu cenionych naukowców z sześciu różnych krajów, a wśród nich bratanka zamordowanego prezydenta. Okazja do przeprowadzenia tak ważnej z propagandowego punktu widzenia akcji zdarza się raz na dziesięć lat.

— Ale potrzebujemy na to zgody Moskwy.

— Oczywiście.

— Aby uzyskać szybką odpowiedź, która jest niezbędna, musielibyśmy wykorzystać łącza satelitarne. Żeby ich użyć, trzeba wypłynąć na powierzchnię.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

Składany talerz anteny satelitarnej i urządzenie w kształcie rury, służące do emisji wiązki promieni laserowych, były zainstalowane na nadbudówce — owej przypominającej wyglądem płetwę, wystającej części łodzi podwodnej. Znajdował się tam również mostek, maszty radarów i anten, peryskopy i system wentylacyjny. Aby urządzenia namierzające mogły odszukać rosyjskie satelity komunikacyjne, musieli się wynurzyć — było to również konieczne ze względu na wykorzystanie lasera, który mógł prawidłowo funkcjonować wyłącznie na powierzchni. Jednak o ile ryzyko ujawnienia stanowiło pewne niebezpieczeństwo w przypadku misji *Pogodina*, to nieprawdopodobna szybkość laserowej transmisji w pełni je rekompensowała. Mogli skontaktować się z Moskwą praktycznie z każdego zakątka świata i natychmiast otrzymać potwierdzenie odbioru informacji.

Długa, marsowa twarz Emila Żukowa wyrażała teraz zmartwienie, gdyż zrozumiał, że będzie musiał zdecydować się na nieposłuszeństwo wobec władzy — albo kapitana, albo jego przełożonych w Moskwie.

— Jesteśmy w trakcie misji wywiadowczej. Jeśli wynurzymy się na powierzchnię, możemy ją narazić na szwank.

Gorow wskazał palcem linię oznaczającą szerokość geograficzną, nakreśloną na podświetlanym stole elektronicznym.

— Jesteśmy daleko na północy, dookoła szaleje sztorm. Kto nas tu zobaczy? Nadamy informację i odbierzemy odpowiedź, nie będąc przez nikogo dostrzeżonymi.

— Masz rację, ale otrzymaliśmy rozkaz utrzymywania całkowitej ciszy w eterze.

Gorow pokiwał z namaszczaniem głową, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę z wagi tego zagadnienia i odpowiedzialności, która na nim ciąży.

— Gdy umierał mój syn, Moskwa zdecydowała się naruszyć ciszę radiową.

— To była sprawa życia i śmierci.

— W tym przypadku również umierają ludzie. Oczywiście otrzymaliśmy rozkaz utrzymywania ciszy w eterze. Jestem w pełni świadomy, jak poważną sprawą jest naruszenie podobnego polecenia. Z drugiej strony, jako kapitan, mam prawo, w wyjątkowych okolicznościach i na własną odpowiedzialność, nie podporządkować się rozkazom ministerstwa.

Marszcząc twarz tak bardzo, że bruzdy wyglądały jak nacięcia, Żuków powiedział:

— Nie jestem pewien, czy są to „wyjątkowe” okoliczności. W każdym razie nie takie, jakie mieli na myśli w Admiralicji formułując to prawo.

— Cóż, ja właśnie tak je nazywam — stwierdził Gorow, delikatnie choć stanowczo sprzeciwiając się opinii Żukowa.

— Po powrocie będziesz musiał się wytłumaczyć przed komisją dyscyplinarną marynarki — ostrzegł Żuków — a to jest ściśle tajna misja i przypuszczam, że

ludzie ze służby wywiadowczej będą mieli do ciebie kilka pytań.

— Oczywiście.

— A połowa z nich to byli funkcjonariusze KGB.

— Możliwe.

— To pewne.

— Jestem na to przygotowany — odparł Gorow.

— Być może na śledztwo, ale nie na to, co zapewne zrobi z tobą służba wywiadowcza.

— Na jedno i drugie.

— Wiesz, co to za ludzie.

— Wytrzymam. Lata służby dla Matki Rosji w szeregach marynarki wojennej zahartowały mnie. — Gorow wiedział, że zbliżali się do ostatnich szesnastu taktów skomponowanej przez niego melodii. Nadchodziło crescendo.

— Mnie również przedstawią zarzuty — pośepnie stwierdził Żuków, przesu-
wając wydruk przez stół do Gorowa.

— Nikomu nie będą przedstawiać zarzutów.

Pierwszy oficer nie wydawał się przekonany. Jego twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej.

— W ministerstwie jest paru rozsądnych ludzi — zauważył Gorow.

Żuków wzruszył ramionami.

— Wezmą pod uwagę wszystkie okoliczności — zapewniał Gorow — dadzą pozwolenie, o które poproszę. Nie mam co do tego wątpliwości. To oczywiste: Rosja może więcej zyskać, wysyłając nas na akcję ratunkową, niż upierając się przy kontynuowaniu jeszcze jednej, standardowej misji wywiadowczej.

Emil Żuków wciąż miał wątpliwości.

Wstając z miejsca i zwijając wydruk w rulon, który następnie włożył do tekturowej tuby, Gorow powiedział:

— Poruczniku, za piętnaście minut cała załoga ma zająć pozycje bojowe.

— Czy to konieczne?

Z wyjątkiem skomplikowanych czy niebezpiecznych akcji, do przeprowadzenia operacji zanurzenia lub wynurzenia okrętu wystarczała zwykła obsada jednej wachty.

— Jeśli już mamy na własną rękę złamać rozkazy ministerstwa, to zachowajmy przy tym wszelkie środki ostrożności — stwierdził Gorow.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy, starając się odczytać swoje myśli. Wzrok pierwszego oficera był bardziej przenikliwy niż kiedykolwiek.

W końcu Żuków wstał, w dalszym ciągu patrząc kapitanowi prosto w oczy.

Podjął decyzję, pomyślał Gorow, mam nadzieję, że taką, o jaką mi chodzi.

Żuków na moment znieruchomiał... po czym zsalutował.

— Rozkaz, kapitanie. Za piętnaście minut wszyscy będą gotowi.

— Wynurzymy się, jak tylko złożymy i zabezpieczymy antenę multikomunikacyjną.

— Rozkaz, kapitanie.

Gorow miał wrażenie, jakby wewnątrz niego rozplątywały się setki zaciśniętych węzłów. Wygrał.

— Wykonać!

Żuków opuścił pomieszczenie.

Podchodząc do odgradzonego półkolistą barierką stanowiska dowodzenia, Gorow myślał o małym Koli i wiedział, że podjął słuszną decyzję. W imię swojego zmarłego syna, dla uczczenia jego pamięci, a nie dla korzyści Rosji, uratuje życie tych ludzi. Nie pozwoli, aby umarli na dryfującym lodzie. Tym razem wiedział, że może udaremnić zakusy śmierci i zamierzał tę walkę wygrać.

15:46

Gdy tylko wydostali z lodu drugą bombę, Roger, Brian, Claude, Lin i Fischer wyruszyli w kierunku miejsca, gdzie znajdował się trzeci zaplombowany szyb.

Harry zatrzymał się przy Pete Johnsonie, który musiał jeszcze rozbroić drugi ładunek. Stali obok siebie, zwróceny tyłem do huczącego wiatru. Tuż przy ich nogach leżał złowrogo wyglądający cylinder z materiałem wybuchowym. Był pomalowany na czarno i widniały na nim żółte litery układające się w słowa: UWAGA, NIEBEZPIECZEŃSTWO! Pokrywała go cienka, przezroczysta warstwa lodu.

— Nie musisz dotrzymywać mi towarzystwa — stwierdził Pete, uważnie ścierając śnieg z gogli. Podczas rozbierania zapalnika musiał mieć dobrą widoczność.

— Wydawało mi się, że twoi koledzy boją się przebywać samotnie w ciemnościach — powiedział Harry.

— Moi koledzy? Mam nadzieję, że chodzi ci o inżynierów elektroniki, białasie.

Harry zaśmiał się.

— A kogóż innego mógłbym mieć na myśli?

Z tyłu zaatakował ich mocny podmuch wiatru. Lawina mroźnego powietrza powaliłaby ich, gdyby nie byli na nią przygotowani. Przez chwilę stali skuleni, nie mogąc nic mówić i koncentrując się wyłącznie na utrzymaniu równowagi.

Gdy podmuch minął i prędkość wiatru zmniejszyła się do około siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, Pete dokończył czyszczenie gogli i zaczął ocierać o siebie ręce, aby usunąć śnieg i lód z rękawic.

— Wiem, dlaczego nie poszedłeś z innymi. Nie oszukasz mnie. To znowu twój kompleks bohatera.

— Jasne. Jestem prawdziwym Indianą Jonesem.

— Zawsze musisz być tam, gdzie jest niebezpiecznie.

— Tak, ja i oczywiście Madonna. — Harry smutno pokręcił głową. — Przykro mi, ale źle pan to wszystko rozumie, doktorze Freud. Znacznie bardziej wolałbym być w bezpiecznym miejscu. Ale przyszło mi do głowy, że bomba może eksplodować ci prosto w twarz.

— I chciałbyś mi wtedy udzielić pierwszej pomocy?

— Coś w tym stylu.

— Słuchaj, jeśli ładunek wybuchnie mi prosto w twarz, nie zabijając mnie... na litość boską, nie staraj się przypadkiem mnie ratować. Po prostu mnie dobij.

Harry próbował zaprotestować.

— O nic Więcej cię nie proszę, tylko o miłosierdzie — zdecydowanie uciął Pete.

Podczas kilku ostatnich miesięcy Harry nabrał szacunku do tego olbrzymiego mężczyzny o szerokiej twarzy i polubił go. Pod dosyć szorstką powierzchownością Pete'a Johnsona, pod pokładami edukacji i wieloletniego treningu, za chłodnym spojrzeniem doświadczonego fachowca kryło się dziecko rozmiłowane w nauce, technice i przygodzie. Harry widział pewne podobieństwo pomiędzy sobą, a Pete'em.

— Ryzyko eksplozji jest raczej niewielkie?

— Nie ma prawie żadnego — zapewnił go Pete.

— Cylinder mocno się poobijał podczas wydobywania go z szybu.

— Spokojnie, Harry. Z poprzednim przecież wszystko poszło dobrze.

Uklękli przy stalowym cylindrze. Harry przyświecał latarką, podczas gdy Pete otworzył niewielkie plastikowe pudełko z narzędziami.

— Rozbrojenie tych pieprzonych ładunków nie stanowi żadnej trudności — stwierdził Pete. — Prawdziwym problemem jest wydostanie z lodu pozostałych ośmiu, zanim zegar wybijie północ i nasza karoca zamieni się z powrotem w dynię.

— Wydobycie jednej bomby zabiera nam godzinę.

— Ale wkrótce zmniejszymy tempo — stwierdził Pete. Za pomocą małego śrubokręta zaczął zdejmować tę część cylindra, na której znajdowało się stalowe oczko. — Pierwszą wyciągnęliśmy w czterdzieści pięć minut. Drugą w pięćdziesiąt pięć. Zaczynamy być zmęczeni. Zwalniamy. To przez ten wiatr.

Zabójczy wichur smagał i uderzał plecy Harry'ego z potężną siłą. Miał wrażenie, że stoi na środku wezbranej, wzburzonej rzeki; strugi powietrza były wyczuwalne tak wyraźnie jak prądy wodne. Prędkość wiatru wynosiła obecnie siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, a w porywach przekraczała nawet sto, ciągle rosnąc tak, że wichura osiągała huraganową siłę i wkrótce mogła zagrozić ich życiu.

— Masz rację — przyznał Harry. Czuł lekki ból gardła spowodowany wysiłkiem, jaki musiał wkładać w mówienie na tyle głośne, aby być słyszonym przez szum wiatru, mimo że znajdowali się blisko siebie, pochyleni nad cylindrem z materiałem wybuchowym. — Nie ma nic gorszego, niż wyjście na taką pogodę po dziesięciu minutach przebywania w ciepłym pojeździe śnieżnym — zwłaszcza jeśli trzeba spędzić na zewnątrz całą godzinę.

Pete odkręcił ostatnią śrubę i ściągnął z cylindra sześciocalową końcówkę.

— Jak bardzo spadła temperatura? Jak sądzisz?

— O minus pięć stopni Fahrenheita.

— A jeśli uwzględnimy dodatkowe ochłodzenie spowodowane wiatrem?

— Minus dwadzieścia.

— Trzydzieści.

— Możliwe. — Nawet termoizolacyjny kombinezon nie był w stanie dostatecznie go ochronić. Zimne ostrze wiatru ciągle uderzało go w plecy, przenikało jego sztormowy skafander, kłuło kręgosłup. — Tak naprawdę nigdy nie sądziłem, że uda nam się wydostać dziesięć bomb. Wiedziałem, że będziemy stopniowo zwalniać tempo. Ale jeśli zdołamy rozbroić pięć lub sześć, możemy mieć wystarczająco dużo miejsca, aby przetrwać detonację o północy.

Pete przechylił fragment obudowy i na jego osłonięte rękawicami dłonie wysunął się mechanizm zegarowy. Był połączony z cylindrem czterema elastycznymi przewodami: czerwonym, żółtym, zielonym i niebieskim.

— Przypuszczam, że lepiej będzie jutro zamarznąć na śmierć, niż wylecieć w powietrze dziś w nocy.

— Nawet nie próbuj mi tego robić — powiedział Harry.

— Czego?

— Zamieniać się w drugiego Franza Fischera.

Pete zaśmiał się.

— Albo drugiego George'a Lina.

— Obaj mają dar przytruwania.

— Sam ich wybrałeś — stwierdził Pete.

— I poczuwam się do winy. Ale spokojnie, to przecież równi faceci, tylko że przez nieustanny stres. . .

— To dupki żołądne.

— Dokładnie.

— Pora, żebyś się stąd zbierał — powiedział Pete, ponownie sięgając do skrzynki z narzędziami.

— Potrzymam latarkę.

— Nie chrzań. Połóż ją na lodzie tak, żeby na to świeciła, i odejdz. Nie potrzebuję w tej chwili twojej pomocy. Możesz się przydać później, żeby wyświadczyć mi miłosierną przysługę, jeśli będzie taka potrzeba.

Harry ociągając się wrócił do pojazdu śnieżnego. Skulił się za maszyną, chowając się przed wiatrem. Tak przycupnięty, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że cały ich wysiłek i ryzyko z nim związane są bezsensowne. Ich sytuacja musiała się pogorszyć przed jakąkolwiek poprawą. O ile poprawa w ogóle nastąpi.

16:00

Ilja Pogodin kołysał się na powierzchni Północnego Atlantyku. Wzburzone fale rozbijały się o zaokrąglone krawędzie okrętu, tworząc tryskające gejzery piany. Morze huczało, wydając odgłosy przypominające grzmienie piorunów podczas letniej burzy. Mimo że łódź przyjmowała na siebie tylko nieznaczną część impetu rozkołysanego oceanu, gdyż ponad powierzchnię wody wystawał jej niewielki fragment, to nie mogła jednak całkowicie oprzeć się furii szalejącego sztormu. Popielate fale przewalały się przez pokład i wokół podstawy dużej, stalowej nadbudówki gromadziła się gęsta jak budyń piana. Łódź podwodna nie została zaprojektowana z myślą o długich rejsach na powierzchni podczas sztormowej pogody. Jednakże, pomimo tendencji do zbaczania z kursu, okręt był w stanie utrzymać się na morzu na tyle długo, że Timoszenko miał wystarczająco dużo czasu, aby skontaktować się ze sztabem Ministerstwa Marynarki Wojennej w Moskwie.

Oprócz kapitana Gorowa na mostku przebywali dwaj inni marynarze. Ubrani byli w podszyte wełną kurtki, na które narzucili czarne sztormiaki z kapturami, i rękawiczki. Stali plecami do siebie, zwrócenie twarzami w kierunku przeciwnych burt okrętu. Wszyscy trzej mężczyźni mieli lornetki, przez które bacznie obserwowali przestrzeń.

To cholernie wąski horyzont, pomyślał Gorow patrząc na linię widnokładu, i wyjątkowo obrzydliwy.

Daleko na północy tliły się resztki zorzy polarnej. Magiczny zielony blask przedostawał się spomiędzy chmur i nasycił swoją barwą perspektywę Atlantyku — Gorowowi wydawało się, że patrzy na nią przez cienką warstwę spływającej zielonej cieczy. Poświata nieznacznie ożywiała monotony koloryt szalejącego morza i farbowała na żółto spienione grzebień fal. Z północnego zachodu zaciniała mieszanina cienkich płatków śniegu i deszczu; nadbudówka, balustrady na mostku, czarny sztormiak Gorowa, urządzenie laserowe i maszty radiowe — wszystko było pokryte lodem. Mgła jeszcze bardziej przesłoniła rozmazany widnokrąg, a na północy jej zwarte kłęby zasnuły fale, odcinając szarobrazową kurtyną ukryty za nią świat. Widoczność wahała się w granicach do półtora kilometra, a byłaby jeszcze mniejsza, gdyby nie używali specjalnych, nocnych lornetek.

Talerz anteny satelitarnej na szczycie stalowej nadbudówki powoli przemie-

ścił się za Gorowem, przesuając oś ze wschodu na zachód. Jego nieustanny — w pierwszej chwili niezauważalny — ruch wynikał z ciągłego podążania za rosyjskim satelitą komunikacyjnym, który krążył po ciasnej subpolarnej orbicie, wysoko ponad szaroceglaną zasłoną chmur. Wiadomość Gorowa została przesłana przed czterema minutami. Talerz anteny wciąż zmieniał swoją pozycję w oczekiwaniu na nadejście odpowiedzi z Moskwy.

Kapitan już wyobraził sobie najgorszą z możliwych odpowiedzi: musiałby przekazać dowodzenie pierwszemu oficerowi Żukowowi, który otrzymałby rozkaz osadzenia go w areszcie i kontynuowania misji zgodnie z wcześniejszym planem. Sąd wojenny odbyłby się jeszcze podczas jego nieobecności w Moskwie, tak że zaraz po powrocie zostałby poinformowany o wyroku.

Spodziewał się jednak z Moskwy bardziej rozsądnej odpowiedzi. Oczywiście decyzje ministerstwa były zawsze nieprzewidywalne. Nawet pod rządami postkomunistów, którzy mieli większe poszanowanie dla prawa niż przedstawiciele poprzedniego reżimu, zdarzało się od czasu do czasu, że sąd wojenny wydawał zaocznie wyroki na oficerów, nie dając im tym samym możliwości odpierania zarzutów. Jednak naprawdę wierzył w to, co wcześniej powiedział Żukowowi: w ministerstwie musi być przynajmniej paru rozsądnych ludzi, którzy dostrzegą propagandowe i strategiczne walory zaistniałej sytuacji i dojdą do właściwej konkluzji.

Przesunął wzrok po zamglonej linii horyzontu.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Chociaż wiedział, że to tylko iluzja, widział, jak wszystko porusza się dookoła w zwolnionym tempie: szalejące fale morza piętrzyły się teraz jak zmarszczki na oceanie zimnej melasy. Każda minuta stawała się godziną.

Trrrrrach...!

Ze szczelin w metalowej obudowie silnika napędzającego świder posypał się deszcz iskier. Mechanizm zazgrzytał, zarzęził i zgasł.

Obsługujący go Roger Breskin kilkakrotnie nacisnął przełącznik.

— Co do cholery?

Świdra nie dało się ponownie uruchomić. Pete Johnson ukląkł i zaczął go uważnie oglądać.

Wszyscy zgromadzili się dookoła, spodziewając się najgorszego. Harry pomyślał, że przypominali ludzi gromadzących się obok miejsca, gdzie doszło do wypadku samochodowego, tyle tylko, że zwłoki w rozbitym wraku mogły być ich własnymi szczątkami.

— Co się stało? — zapytał George Lin.

— Musisz ściągnąć obudowę, jeśli chcesz zobaczyć, co się stało — doradził Pete'owi Fischer.

— Tak, ale nie muszę tego dziadostwa rozbierać na części, żeby się dowiedzieć, że nie da się go naprawić.

— Co masz na myśli? — zapytał Brian.

Wskazując na śnieg i zamrożoną breję wokół częściowo otwartego szybu, Pete powiedział:

— Widzisz te czarne odłamki?

Harry przykucnął i przyjrzał się kawałkom powbijanego w lód metalu.

— Zębki przekładni.

Wszyscy zamilkli.

— Może byłbym w stanie naprawić usterkę w okablowaniu — odezwał się w końcu Pete — ale nie mamy zapasowych kół zębatych.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Brian.

— Wrócimy do groty i poczekamy, aż wybije północ — odpowiedział Fischer. W jego głosie pobrzmiwał teutoński pesymizm.

— To zdawanie się na łaskę losu — oświadczył Brian.

— Cóż, obawiam się, że tylko to nam w tej chwili pozostało — podsumował Harry wstając. — Drugi świder spadł wraz z moim pojazdem do rozpadliny.

Dougherty potrząsnął głową, nie chcąc się pogodzić z myślą, że nie są już w stanie niczego zrobić.

— Claude wspominał wcześniej o możliwości użycia siekiery i piły mechanicznej, dzięki którym bylibyśmy w stanie wyciąć stopnie w lodzie i dostać się z boku do każdego ładunku. . .

— Ten plan byłby niezły, gdybyśmy mieli tydzień czasu na jego realizację — przerwał mu Francuz. — Potrzebowalibyśmy co najmniej sześciu godzin, żeby wyciągnąć w ten sposób choćby jedną bombę. Nie ma sensu zużywać tyle sił i energii dla poszerzenia bezpiecznej strefy o zaledwie piętnaście metrów.

— W porządku. Zbierajmy się stąd — zdecydował Harry, klaszcząc w ręce dla podkreślenia swoich słów. — Nie ma sensu dłużej tutaj stać i wyziębiać organizmu. Możemy kontynuować tę rozmowę w jaskini, z dala od wiatru. Zawsze jest szansa, że uda się coś wymyślić.

Nie żywił jednak choćby cienia nadziei.

O szesnastej zero dwie doniesiono z kabiny łączności, że właśnie są w trakcie odbierania odpowiedzi z Ministerstwa Marynarki Wojennej. Pięć minut później kartka z rozkodowaną wiadomością dotarła na mostek, do rąk Nikity Gorowa, który zaczął czytać ją z lekkim drżeniem.

WIADOMOŚĆ

MINISTERSTWO MARYNARKI WOJENNEJ

MOSKWA GODZINA 19.00
OD: OFICER DYŻURNY
DO: KAPITAN N. GOROW
DOTYCZY: WASZEJ OSTATNIEJ TRANSMISJI 34-D
TREŚĆ:
WASZA PROŚBA JEST ANALIZOWANA W ADMIRALICJI STOP NATYCHMIASTOWE PODJECIE
DECYZJI JEST NIEMOŻLIWE STOP NATYCHMIAST SIĘ ZANURZYĆ
I PRZEZ GODZINĘ
KONTYNUOWAĆ MISJĘ ZGODNIE Z PLANEM STOP PRZESŁANIE
DALSZYCH ROZKAZÓW
NASTĄPI O 17.00 WASZEGO CZASU STOP

Gorow był rozczarowany. Niezdecydowanie ministerstwa wywołało w nim jeszcze większe napięcie. Następną godziną będzie dla niego trudniejsza niż ta, która właśnie minęła.

Zwrócił się do pozostałych dwóch ludzi:

— Opuścić mostek.

Przygotowywali się do zejścia pod wodę. Marynarze precyzyjnie przeszli przez zejściówkę i zajęli stanowiska przy sterach zanurzenia. Kapitan rutynowo włączył odpowiedni sygnał ostrzegawczy — dwa krótkie dźwięki wydawane przez elektroniczne sygnałówki umieszczone w każdym pomieszczeniu na okręcie — a następnie opuścił mostek, szczelnie zamykając za sobą właz.

Dowódca wachty dokręcił zacisk i zameldował:

— Właz zabezpieczony.

Gorow pospieszył na stanowisko dowodzenia w centralnym pomieszczeniu łodzi podwodnej. W chwili gdy rozległ się drugi sygnał ostrzegawczy, zawory komór balastowych zostały otwarte i okręt zaczął pogrążyć się we wzburzonej wodzie. Stojący na prawo od Gorowa podoficer bacznie obserwował tablicę kontrolną, na której znajdowała się jedna czerwona lampka i kilka zielonych. Zielone kontrolki oznaczały zawory, luki, włazy i oprzyrządowanie zewnętrzne, które musiało być chronione przed dostępem wody, natomiast pod czerwonym światłem widniał napis LASEROWE URZĄDZENIE TRANSMISYJNE. Gdy sprzęt laserowy znalazł się w komorze pod mostkiem i zasunął się nad nim wodoszczelny właz, czerwone światło zgasło, a nad nim zapaliła się kontrolka bezpieczeństwa.

— Wszystko zabezpieczone! — zameldował podoficer.

Gorow rozkazał wtłoczyć do luków sprężone powietrze — jeśli przyrządy nie wykażą spadku ciśnienia, będzie wiedział, że okręt jest szczelny.

— Sprężone powietrze w łodzi! — zawołał oficer przy sterach zanurzenia.

W ciągu niecałej minuty zakończyli wszystkie przygotowania. Pokład się przechylił i nadbudówka zniknęła pod wodą.

— Schodzimy na głębokość trzydziestu metrów — zarządził Gorow.

Komputer sygnalizował krótkim dźwiękiem kolejne etapy zanurzenia.

— Zanurzenie trzydzieści metrów — zameldował oficer obsługujący ster głębokościowy.

— Utrzymać zanurzenie.

— Jest, utrzymać zanurzenie.

Gdy łódź podwodna ustabilizowała się, Gorow zarządził:

— Proszę przejąć komendę, poruczniku Żuków.

— Rozkaz, kapitanie.

— Pozostawcie na stanowiskach tylko obsadę bieżącej wachty.

— Rozkaz, kapitanie.

Gorow opuścił pomieszczenie i przeszedł do kabiny łączności.

Timoszenko odwrócił się w kierunku drzwi, gdy tylko pojawił się w nich Gorow.

— Kapitanie, proszę o pozwolenie na wysunięcie anteny.

— Nie zezwalam.

Mrugając z wrażenia oczami, Timoszenko przechylił głowę na bok, mówiąc:

— Kapitanie?

— Nie zezwalam — powtórzył Gorow. Zlustrował zgromadzony w pomieszczeniu sprzęt telekomunikacyjny. Przechodził kiedyś krótki kurs jego podstawowej obsługi. Ze względów bezpieczeństwa komputer telekomunikacyjny nie był połączony z głównym komputerem pokładowym, chociaż jego klawiatura funkcjonowała w identyczny sposób jak ta, którą znał tak dobrze z centrum dowodzenia. — Chcę skorzystać z urządzenia kodującego i komputera komunikacyjnego.

Timoszenko nie poruszył się. Był doskonałym technikiem i na swój sposób błyskotliwym młodym człowiekiem. Jednak jego uwaga koncentrowała się głównie wokół baz danych, systemów programowania i elektronicznego sprzętu — nie wiedział natomiast, jak postępować z ludźmi, o ile nie zachowywali się oni w przewidywalny, podobny do działania maszyn sposób.

— Słyszałeś, co powiedziałem? — zapytał zniecierpliwiony Gorow.

— A... tak. Rozkaz, kapitanie — powiedział Timoszenko, zaczerwieniony ze wstydu i zażenowania. Wskazał Gorowowi krzesło przy głównym module komputera komunikacyjnego. — O co tak właściwie chodzi, kapitanie?

— O chwilę samotności — oświadczył Gorow i usiadł.

Timoszenko wciąż nie ruszał się z miejsca.

— Niech pan wróci do swoich zajęć, poruczniku.

Timoszenko był coraz bardziej zmieszany. Kiwnął głową, próbował się uśmiechnąć, ale zamiast tego wyglądał jakby został ugodzony ostrzem noża. Od-

szedł w drugi koniec kabiny, gdzie jego zaciekawieni pomocnicy bezskutecznie próbowali udawać, że nic nie słyszeli.

Urządzenie kodujące stało obok Gorowa. Było to pudełko o ściankach z polewanej stali, wielkości niedużej szafki. Na samej górze znajdowała się standardowa klawiatura z czternastoma dodatkowymi klawiszami funkcyjnymi. Gorow nacisnął przycisk włącznika. Znajdujący się w specjalnej przegródce żółty papier został samoczynnie nawinięty na wałek drukarki.

Gorow szybko wystukał na klawiszach treść informacji, po czym przeczytał ją, nie biorąc nawet cienkiego papieru do rąk. Następnie nacisnął czerwony klawisz z napisem KODOWANIE. Laserowa drukarka zabrzęczała i po chwili, pod oryginalną wiadomością, koder przedstawił jej zaszyfrowaną wersję. Wyglądała jak chaotyczne zapiski: grupy przypadkowych cyfr oddzielone symbolami matematycznymi.

Oddzierając zadrukowany fragment kartki, Gorow odwrócił się na swoim krześle w stronę ekranu monitora. Spoglądając na zaszyfrowaną wersję informacji, uważnie wprowadził te same serie cyfr i symboli do pamięci komputera komunikacyjnego. Gdy to zakończył, nacisnął klawisz funkcyjny z napisem DEKODOWANIE i drugi, podpisany DRUKOWANIE. Nie użył przycisku oznaczonego słowem ODCZYT, ponieważ nie chciał, aby treść informacji ukazała się na dużym ekranie znajdującym się ponad głowami pozostałych techników. Zapisaną kartkę delikatnego, żółtego papieru umieścił w urządzeniu do niszczenia dokumentów, po czym odchylił się wygodniej w krześle.

Nie upłynęła nawet minuta, kiedy komunikat — ponownie w swojej zdekodowanej wersji — znalazł się w jego rękach. Cały proces nie zajął mu więcej niż pięć minut; wydruk zawierał te same czternaście linijek tekstu, które wcześniej wprowadził do urządzenia szyfrującego, jednak teraz informacja była napisana specyficzną czcionką drukarki komputera. Wyglądała dokładnie tak, jak jakakolwiek inna zdekodowana wiadomość z ministerstwa w Moskwie i właśnie o to mu chodziło.

Usunął z pamięci komputera wszystkie dane dotyczące operacji, które przed chwilą przeprowadził, dzięki czemu jedyną pozostałością po całym procesie była trzymana przez niego w ręce zapisana kartka papieru. Gdy Gorow opuściłabinę, Timoszenko nie będzie w stanie uzyskać żadnych informacji na ten temat.

Wstał i skierował się w stronę otwartych drzwi. Kiedy do nich doszedł, odwrócił się i powiedział:

— Jeszcze jedno, poruczniku.

Timoszenko udawał, że przegląda dziennik okrętowy. Podnosząc znad niego wzrok, odparł:

— Tak, kapitanie?

— W informacjach, które przechwyciliśmy — chodzi mi o rozbitków z Edgeway — wspomniano coś na temat nadajnika radiowego, który znajduje się na tej

dryfującej górze lodowej.

Timoszenko pokiwał głową.

— Mają ze sobą oczywiście standardową krótkofalówkę, ale zdaje się, że chodzi o coś innego. Jest tam również nadajnik radiowy, który dziesięć razy w ciągu minuty emituje dwusekundowy sygnał.

— Czy udało wam się go namierzyć?

— Dwadzieścia minut temu.

— Czy sygnał jest mocny?

— O, tak.

— Określiliście położenie?

— Tak jest, kapitanie.

— Trzeba będzie ponownie je sprawdzić. Za kilka minut połączę się z wami przez interkom — zakomunikował Gorow i poszedł do centrum dowodzenia odbyć jeszcze jedną rozmowę z Emilem Żukowem.

Harry nie zdążył nawet dokończyć opowiadania Ricie o tym, jak zepsuł się mechanizm świdra, gdy nagle mu przerwała:

— Zaraz, a gdzie jest Brian?

Odwrócił się w stronę reszty mężczyzn, którzy weszli za nim do jaskini. Nie było wśród nich Briana Dougherty'ego.

Harry zmarszczył brwi.

— Gdzie jest Brian? Dlaczego go tutaj nie ma?

— Musi być gdzieś w pobliżu — stwierdził Roger Breskin. — Poszukam go na zewnątrz.

Wraz z nim wyszedł Pete Johnson.

— Pewnie udał się za jedną z brył lodu — wyraził opinię Fischer. — Założę się, że to nic poważnego. Może zachciało mu się iść na stronę.

— Nie — zdecydowanie zaprzeczył Harry.

— Powiedziała by o tym komuś — dodała Rita.

Podczas przebywania na pokrywie lodowej, z dala od bezpiecznego schronienia Bazy Edgeway, pozbawieni pneumatycznych igloo, nie mogli sobie pozwolić na luksus utrzymywania w dyskrekcji naturalnych czynności pęcherza moczowego czy jelit. Gdy wychodzili na stronę, wiedzieli, że należy powiadomić innych, którego wzgórze albo spiętrzenia kry zamierzają użyć jako osłony dla swej toalety. Będąc świadomym niepewności lodowego podłoża i kaprysów pogody, Brian poinformowałby ich, gdzie należy go szukać w przypadku, gdyby przez dłuższy czas się nie zjawiał.

Roger i Pete wrócili po niecałych dwóch minutach, ściągając z twarzy gogle i pokryte śniegiem maski.

— Nie ma go w pobliżu pojazdów — oznajmił Roger — ani w żadnym miejscu, gdzie moglibyśmy go dostrzec. — Jego szare oczy, nie wyrażające zazwyczaj emocji, zdradzały teraz niepokój.

— Kto z nim jechał z powrotem? — zapytał Harry.

Spojrzeni po sobie.

— Claude?

Francuz potrząsnął głową.

— Ja nie. Myślałem, że jedzie z Franzem.

— Ja pojechałem z Franzem — oznajmił George Lin.

Rita była zirytowana. Chowając pod kaptur opadający kosmyk rudawych włosów zapytała:

— Na litość boską, chcecie powiedzieć, że zostawiliście go tam w zamieszaniu?

— Nie ma takiej możliwości. Przede wszystkim on sam by do tego nie dopuścił — stwierdził Harry.

— Chyba że o to właśnie mu chodziło — zasugerował George Lin.

Harry był zdumiony.

— Dlaczego miałby chcieć tam pozostać?

Lin, najwyraźniej nie poruszony ich niepokojem o Briana, powoli wytarł nos w chusteczkę, którą następnie starannie złożył i schował do zapinanej na zamek kieszeni, i dopiero wtedy odpowiedział na ich pytanie.

— Z pewnością czytaliście o nim w gazetach. Hiszpania... Afryka... na całym świecie ryzykował życie dla zabawy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ma samobójcze skłonności — oświadczył Lin z takim spokojem, jakby to było dla niego czymś oczywistym.

Harry był wstrząśnięty i mocno wzburzony;

— Próbujesz powiedzieć, że pozostał tam, aby zginąć?

Lin wzruszył ramionami.

Harry nie próbował nawet się nad tym zastanawiać.

— Rany boskie, George, co ty w ogóle mówisz? To niepodobne do Briana.

— Mógł być ranny — stwierdził Pete — na skutek upadku.

— Zleciał, uderzył głową, nie mógł się pozbierać — podjął myśl Claude Jobert — a nam się tak spieszyło, żeby stamtąd odjechać i znaleźć się tutaj... Nie zwróciliśmy nawet uwagi.

Harry pozostawał nieprzekonany.

— To bardzo możliwe — obstawał przy swoim Pete.

— Cóż, nigdy nic nie wiadomo — stwierdził z powątpiewaniem Harry. — Dobrze, Pete, ty i ja weźmiemy dwa pojazdy, wrócimy tam i rozejrzemy się.

Roger zrobił krok do przodu.

— Pojadę z wami.

— Dwie osoby wystarczą — zdecydował Harry, szybko nasuwając gogle na oczy.

— Mimo wszystko nalegam — powiedział Breskin. — Zrozum, Brian cholernie dobrze się dzisiaj spisał podczas tej akcji na lodzie. Bez wahania zsunął się w dół klifu, żeby wydostać George'a. Ja sam dwukrotnie miałem wątpliwości, a on nie. Po prostu to zrobił. Gdybym sam znalazł się teraz w tarapatkach, wiem, że uczyniłby wszystko, co w jego mocy. Jestem tego pewien. Przyłączę się do was, bez względu na to, czy to jest konieczne, czy nie.

O ile Harry sobie dobrze przypominał, była to najdłuższa mowa, jaką wygłosił Roger Breskin od miesiąca, i zrobiło to na nim spore wrażenie.

— W takim razie w porządku. Pojedziesz z nami. Jesteś zbyt silny, żeby się z tobą kłócić.

Kucharz okrętowy *Ilji Pogodina* był jego największym skarbem. Od swojego taty, który pełnił obowiązki szefa kuchni restauracji rządowej w Moskwie, nauczył się dokonywać z żywnością prawdziwych cudów sztuki kulinarnej, przy których bladły, opisane w Biblii, dostatki rajskiego ogrodu. Możliwość jedzenia przygotowanych przez niego potraw była z pewnością najlepszą nagrodą za trudy służby na łodzi podwodnej.

Właśnie przyrządzał — na pierwsze danie wieczornego posiłku — zupę rybną o nazwie *solianka*. Parę dodatków: cebula, liść laurowy, białko. Aromat wędrował z kambuza przez kabinę łączności i dalej, do centrum dowodzenia.

Gdy do pomieszczenia wszedł Gorow, Sergiej Bieliajew, dyżurny oficer obsługujący stery zanurzenia, zwrócił się do niego:

— Kapitanie, czy pomoże mi pan przemówić Leonidowi do rozsądku? — Wskazał na młodego marynarza zajmującego miejsce przy tablicy z kontrolkami bezpieczeństwa.

Gorow śpieszył się, ale nie chciał, by Bieliajew wyczuł jego napięcie.

— W czym problem?

Bieliajew skrzywił się.

— Leonid je posiłek na pierwszej zmianie, a ja na piątej.

— Ach, rozumiem.

— Obiecałem mu, że jeśli się ze mną zamieni, to umówię go w Kaliningradzie z rewelacyjną blondynką. To piękna kobieta, może mi pan wierzyć. Piersi jak dynie. Podnieciłaby nawet pomnik. Ale biedny Leonid nie chce ze mną ubić takiego świetnego interesu.

— Oczywiście, że nie — powiedział Gorow, uśmiechając się — jaka kobieta mogłaby rozbudzić zmysły bardziej, niż kolacja, która właśnie jest dla nas przyrządzana? Poza tym kto byłby dostatecznie naiwny, żeby uwierzyć, iż piękna blondynka z piersiami jak dynie zadawałaby się z tobą, Sergiej?

Śmiech odbił się głośnym echem w niskim pomieszczeniu.

— Może zamiast tego powinienem mu zaproponować parę rubli — zasugerował rozweselony Bieliajew.

— To już bardziej realne — odparł Gorow — jeszcze lepiej, gdyby to były dolary amerykańskie, o ile jakieś masz. — Podszedł do podświetlanego stołu z narysowaną mapą oceanu i podał złożony wydruk z komputera Emilowi Żukowowi. Była to informacja, którą kilka minut wcześniej wpisał do urządzenia kodującego, a następnie rozszyfrował za pomocą komputera. — Mam dla ciebie jeszcze coś do poczytania — zwrócił się do niego po cichu.

Żuków odłożył swoją książkę i poprawił okulary w drucianych oprawkach, które zsunęły się na sam czubek jego długiego nosa. Rozłożył zapisaną kartkę.

WIADOMOŚĆ

MINISTERSTWO MARYNARKI WOJENNEJ

MOSKWA GODZINA 19.00

OD: OFICER DYŻURNY

DO: KAPITAN N. GOROW

DOTYCZY: WASZEJ OSTATNIEJ TRANSMISJI 34-D

TREŚĆ:

WASZA PROŚBA JEST ANALIZOWANA W ADMIRALICJI STOP TYMCZASOWO OTRZYMUJECIE WARUNKOWE ZEZWOLENIE NA KONIECZNA ZMIANĘ KURSU STOP POTWIERDZENIE LUB ODWOŁANIE ZEZWOLENIA ZOSTANIE PRZESŁANE O 17.00 WASZEGO CZASU STOP

Żuków przez chwilę zagryzał dolną wargę, po czym zwrócił się do Gorowa, intensywnie się w niego wpatrując:

— Co to jest?

Gorow starał się mówić cicho, na tyle jednak naturalnie, żeby któryś z mogących ich obserwować marynarzy nie odniósł wrażenia, że spiskują.

— Co to jest? Emil, wydaje mi się, że sam doskonale widzisz, co masz przed sobą. Sfałszowany dokument.

Pierwszy oficer nie wiedział, co powiedzieć. Gorow nachylił się w jego stronę.

— To dla twojego bezpieczeństwa.

— Mojego bezpieczeństwa?

Gorow wyjął z rąk pierwszego oficera zadrukowaną kartkę, starannie ją złożył i wsunął do swojej kieszeni.

— Wyznaczymy nowy kurs i od razu wyruszymy w kierunku tej góry lodowej — postukał palcami w podświetloną szybę stołu. — Uratujemy naukowców z Edgeway, a wraz z nimi Briana Dougherty'ego.

— Nie masz jeszcze na to zgody ministerstwa. Podrobiony dokument nie zastąpi...

— Czy ktokolwiek potrzebuje zgody na to, żeby ratować życie ludzkie?

— Proszę przestać, kapitanie. Przecież pan wie, co mam na myśli.

— Kiedy już będziemy w drodze, dam ci podrobiony dokument, który właśnie przeczytałeś. To będzie zabezpieczenie dla ciebie na wypadek ewentualnego śledztwa.

— Ale przecież znam prawdziwą wiadomość.

— Zaprzeczysz.

— To nie będzie takie łatwe.

— Jestem jedynym człowiekiem na tym statku, który wie, że widziałeś treść prawdziwej informacji — stwierdził Gorow — podczas przesłuchań w sądzie powiem, że pokazałem ci wyłącznie podrobiony dokument.

— Jeśli będę kiedykolwiek przesłuchiwany, mogą użyć środków farmakologicznych. Oprócz tego nie lubię łamać rozkazów, gdy...

— Niezależnie od tego jak postąpisz, złamiesz rozkazy — moje lub ich. A teraz posłuchaj mnie, Emil. To jest jedyna słuszna decyzja i powinniśmy ją podjąć. W razie czego będę cię bronił. Mam nadzieję, że uważasz mnie za człowieka, który dotrzymuje danego słowa.

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości — natychmiast odparł Żuków, po czym spuścił wzrok, jakby zawstydziła go myśl, że kiedykolwiek mógłby w jakiś sposób nie ufać swojemu kapitanowi.

— W takim razie, Emil? — Gdy pierwszy oficer nic nie powiedział, Gorow odezwał się cicho, ale zdecydowanie: — Tracimy czas, poruczniku. Jeśli mamy ich ratować, to na litość boską nie czekajmy do momentu, kiedy będą już martwi. Żuków zdjął okulary. Zamknął oczy i dotknął powiek opuszkami palców.

— Pływamy ze sobą już od jak dawna?

— Od siedmiu lat.

— Zdarzały się chwile pełne napięcia — stwierdził Żuków.

Dokładnie tak jak teraz, pomyślał Gorow.

Żuków zdjął rękę z twarzy, ale nie otwierał oczu.

— Wtedy gdy norweski okręt odkrył nas w fiordzie Oslo i zrzucił bomby głębinowe.

— Tak, to były momenty dużego napięcia.

— Albo zabawa w kotka i myszkę z amerykańską łodzią podwodną niedaleko wybrzeży Massachusetts.

— Zrobiliśmy z nich idiotów — przyznał Gorow. — Tworzyliśmy zgrany zespół.

— Nigdy nie dostrzegłem, żebyś stracił głowę albo wydał rozkazy, które uznalibyśmy za niestosowne w danej sytuacji.

— Dziękuję, Emil.

— Aż do dzisiaj.

— Tym razem również podejmuję słuszną decyzję.

Żuków otworzył oczy.

— Proszę mi wybaczyć, ale — z całym należnym szacunkiem — to zachowanie nie jest do pana podobne, kapitanie. To szaleństwo.

— Nie zgadzam się. To nie jest żadne szaleństwo. Tak jak już wcześniej powiedziałem, jestem pewien, że Admiralicja zgodzi się na akcję ratunkową.

— W takim razie dlaczego nie poczekać do piątej.

— Nie mamy chwili do stracenia. Biurokratyczne tempo podejmowania decyzji w ministerstwie nie sprawdza się w tym przypadku. Musimy dotrzeć do tej góry lodowej w ciągu kilku godzin. Kiedy już ją zlokalizujemy, zabranie tych ludzi z powierzchni lodu i umieszczenie ich na pokładzie zajmie sporo czasu.

Żuków spojrział na zegarek.

— Jest dwadzieścia po czwartej. Już za czterdzieści minut otrzymamy decyzję z Admiralicji.

— Ale w przypadku podobnej akcji czterdzieści minut może zadecydować o jej powodzeniu lub porażce.

— Jesteś twardy?

— Tak.

Żuków westchnął.

— Już w tej chwili mógłbyś mnie pozbawić komendy — stwierdził Gorow — miałbyś dostateczny powód. Nie żywiłbym do ciebie urazy, Emil.

Żuków spojrział na swoje dłonie, które nieznacznie dygotały, i zapytał:

— Jeśli nie wyrażą zgody na akcję, czy zawrócisz i będziesz kontynuował misję wywiadowczą?

— Nie będę miał innego wyboru.

— Zawrócisz?

— Tak.

— Nie sprzeciwisz się im?

— Nie.

— Dajesz słowo?

— Słowo.

Żuków zamyślił się.

Gorow wstał z krzesła.

— No więc?

— Ja chyba zwariowałem.

— Zgadzasz się na to?

— Jak wiesz, mój drugi syn otrzymał twoje imię: Nikita Żuków.

Kapitan pokiwał głową.

— Czuję się zaszczycony.

— Cóż, jeśli myliłem się co do ciebie, jeśli nie powinienem dawać mu imienia Nikita, już nigdy nie będę w stanie tego zapomnieć. Jego obecność zawsze mi będzie o tym przypominać. Nie chcę żyć z taką świadomością i dlatego muszę ci dać jeszcze jedną możliwość udowodnienia, że postąpiłem słusznie.

Gorow uśmiechnął się i powiedział:

— W takim razie jeszcze raz namierzmy tę dryfującą górę i wyznaczmy odpowiedni kurs, poruczniku.

Po powrocie do trzeciego szybu Pete i Roger wysiedli z obydwu pojazdów, nie wyłączając silników i zostawiając włączone reflektory. Z rur wydechowych wylatywały białe, lśniące opary. Rozdzielili się i poszli w różne strony. Harry wyruszył w trzecim kierunku, szukając Briana Dougherty'ego wśród okolicznych spięrzeń kry i niewielkich pagórków.

Harry był świadomy, że może zostać pochłonięty przez sztorm, tak samo jak Brian, i dlatego uważnie zlustrował otaczający go czarno-biały krajobraz, zanim zdecydował się ruszyć do przodu. Posługiwał się swoją latarką jak maczetą, rozcinając jej promieniem gąszcz padających płatków śniegu, jednak biała dżungla pozostawała nieprzenikniona. Co dziesięć kroków oglądał się za siebie kontrolując, czy nie oddalił się zbyt od pojazdów; był już w sporej odległości od oświetlonego przez reflektory fragmentu lodu, jednak wiedział, że nie może ich całkiem stracić z oczu. Gdyby się zgubił, nikt nie usłyszałby jego głosu ginącego pośród huku wiatru. Chociaż światło pojazdów śnieżnych było przymglone i rozmazane przez gęsto padające płatki śniegu, jednak stanowiło jedyny znak wskazujący drogę do bezpiecznego schronienia.

Pomimo że starannie przeszukiwał wszelkie zagłębienia i spięzzenia lodu, żywił tylko nikłą nadzieję na odnalezienie Briana Dougherty'ego. Wiatr zaciekle atakował. Warstwa śniegu powiększała się w tempie pięciu centymetrów na godzinę, a może nawet szybciej. Podczas krótkich momentów, kiedy zatrzymywał się, aby dokładniej obejrzeć szczególnie zacienione fragmenty lodu, na jego butach gromadziły się niewielkie przyzmy śniegu. Jeśli w ciągu ostatnich piętnastu minut — a nawet dłużej — Brian leżał na lodzie nieprzytomny lub w jakikolwiek inny sposób unieruchomiony. . . Cóż, do tego czasu dzieciak zostałby całkowicie zasypany, stając się jednym z licznych białych pagórków, przymarzniętych na stałe do powierzchni lodu.

To beznadziejne poszukiwania, pomyślał Harry.

Wtedy właśnie, niecałe dwanaście metrów od szybu, obchodząc przewróconą, sterczącą taflę lodu, zobaczył za nią Briana. Chłopak leżał na plecach; jedna ręka spoczywała na klatce piersiowej, druga była wyciągnięta wzdłuż korpusu. Na twarzy w dalszym ciągu miał gogle i maskę ochronną. W pierwszej chwili mogło się wydawać, że ucina tam sobie krótką drzemkę, beztrąsko odpoczywając.

Ponieważ wystająca tafla kry zadziałała jak parawan, nie został zasypany przez śnieg. Ochroniła go ona również częściowo przed zimnem. Niemniej jednak nie poruszał się i należało przypuszczać, że jest martwy.

Harry przyklęknął i ściągnął mu z twarzy maskę. Z ust Briana wydobywały się cienkie, nieregularne strużki pary. Żyje. Ale jak długo jeszcze? Wargi były bezbarwne i zwężone. Jego skóra była równie biała jak śnieg, na którym leżał. Harry uszczypnął go, ale Brian się nie poruszył — nawet nie zamrugał powiekami. Mimo że był ubrany w skafander ochronny, a od podmuchów wiatru osłaniała go wystająca kra, jednak — po co najmniej piętnastominutowym, nieruchomym leżeniu na lodzie — musiał być całkowicie przemarznięty. Harry z powrotem naciągnął maskę na jego twarz.

Właśnie zastanawiał się nad najlepszym sposobem zabrania Briana, kiedy zobaczył, że z mrocznej zawieruchy ktoś się wyłania. W ciemnościach pojawił się promień światła — najpierw zamglony i rozmazany, później, w miarę zbliżania, coraz bardziej wyraźny i jasny.

Zza grubej kurtyny śniegu ukazał się Roger Breskin, krocząc z wyciągniętą przed siebie latarką jak ślepiec z białą laską. Najwyraźniej zgubił się i opuścił obszar, który miał przeszukiwać. Gdy zobaczył Briana, zatrzymał się.

Harry wykonał gest zniecierpliwienia.

Breskin podbiegł do nich, ściągając z twarzy maskę.

— Żyje jeszcze?

— Ledwo.

— Co się stało?

— Nie wiem. Zabierzmy go do kabiny jednego z pojazdów. Niech ogrzeje go ciepłe powietrze z dmuchawy. Weź go za nogi, a ja...

— Nie, sam dam radę.

— Ale...

— Tak będzie łatwiej i szybciej.

Harry wziął podaną przez Rogera latarkę.

Olbrzym pochylił się i lekko podniósł Briana, jakby chłopak ważył nie więcej niż pięć kilogramów.

Harry poprowadził go z powrotem do pojazdów, klucząc pomiędzy zwałami lodu i wystającymi taflami kry.

O szesnastej pięćdziesiąt Amerykanie z Thule przekazali Gunvaldowi Larssonowi kolejną serię niepomyślnych wiadomości. Podobnie jak w przypadku *Melville*, również i na *Liberty* uznano, że sztorm jest zbyt silny i mogą stawić mu czoło wyłącznie potężne okręty wojenne lub naiwni głupcy. Statek po prostu nie był w stanie płynąć pod falę na niezwykle wzburzonych wodach Północnego Atlantyku i Morza Grenlandzkiego. *Liberty* zawrócił pięć minut temu, gdy jeden

z marynarzy odkrył niewielkie wgłębienie w blachach tworzących poszycie dziobu. Amerykański łącznościowiec zapewniał Gunvalda, że wszyscy stacjonujący w Thule modlą się za ludzi uwięzionych na dryfującym lodzie. Rzeczywiście, nie było co do tego wątpliwości, iż modlono się za nich na całym świecie.

Jednak żadne modlitwy nie były w stanie poprawić Gunwaldowi samopoczucia. Fakty mówiły same za siebie: kapitan *Liberty* — co prawda na pewno z konieczności i nie bez żalu — podjął decyzję, która w zasadzie skazywała ośmioro ludzi na śmierć.

Gunvald nie mógł zdobyć się na przekazanie Ricie tej wiadomości. Przynajmniej nie w tej chwili. Może dokładnie o siedemnastej, albo kwadrans po. Potrzebował czasu, aby się zebrać w sobie. To byli jego przyjaciele i obchodził go ich los. Nie chciał być posłańcem przekazującym wyrok śmierci. Cały dygotał. Potrzebował czasu, żeby zastanowić się, jak im to powiedzieć.

Zachciało mu się drinka. Chociaż nie zaliczał się do ludzi, którzy zazwyczaj rozładowują stresy sięgając po alkohol, nalał sobie kieliszek wódki, którą wydobyl ze spiżarki w baraku telekomunikacyjnym. Kiedy go wypił, wciąż nie mógł się zdobyć na rozmowę z Ritą. Jeszcze raz napełnił kieliszek, chwilę się zastanowił, po czym nalał sobie podwójną porcję wódki i dopiero wtedy odłożył butelkę.

Pojazdy śnieżne stały w miejscu, jednak ich pięć niewielkich silników pracowało z monotonnym turkotem. Podczas sztormu nie można było wyłączyć maszyn, gdyż natychmiast wyczerpałyby się baterie, a wszelkie płyny i smary zamrzłyby w ciągu dwóch, trzech minut. Dzień chylił się ku wieczorowi; bezlitosny wiatr oziębiał się z każdą chwilą — z łatwością mógł uśmiercić ludzi i unieruchomić silniki.

Harry wyszedł z jaskini i pospieszył do najbliższego pojazdu. Gdy tylko znalazł się w ciepłej kabinie, otworzył termos, który ze sobą przyniósł, i szybko pociągnął kilka łyków gęstej, pachnącej zupy jarzynowej. Została przyrządzona z zamrożonej mieszanki. Zagrzali ją na tej samej spirali, której wcześniej użyli do topienia śniegu podczas prac związanych z przygotowaniem szybów. Po raz pierwszy w ciągu całego dnia znalazł chwilę odpoczynku, chociaż wiedział, że jest to tylko krótkotrwały relaks.

W trzech pojazdach po jego lewej stronie George Lin, Claude i Roger również samotnie zajadali kolację. Ledwo ich widział: niewyraźne sylwetki w nie oświetlonych kabinach.

Każdy otrzymał trzy filiżanki zupy. Przy tak wydzielanych porcjach jedzenia wystarczy jeszcze tylko na dwa posiłki. Harry nie zdecydował się na zmniejszenie racji żywności, ponieważ złe odżywianie mogło spowodować znacznie szybsze oziębienie organizmu i w konsekwencji śmierć.

Franz Fischer i Pete Johnson przebywali w jaskini. Harry dobrze ich widział,

gdyż reflektory jego pojazdu, skierowane na wejście do groty, były zarazem jedynym źródłem światła w jej wnętrzu. Obaj mężczyźni chodzili, oczekując na swoją kolej w ciepłej kabinie, gdzie mogliby również zjeść trochę zupy z termosu. Franz poruszał się żwawo, dynamicznie, jakby defilując tam i z powrotem. Pete przemieszczał się spokojnym krokiem z jednego końca jaskini w drugi; jego ruchy były miękkie i płynne.

Rita zapukała i otworzyła drzwiczki, zaskakując Harry'ego.

— Co się stało? — zapytał przetykając zupę, którą miał w ustach.

Nachyliła się do środka, osłaniając swoim ciałem wnętrze kabiny przed powiewami wiatru.

— On chce z tobą porozmawiać.

— Brian?

— Tak.

— Jak się czuje?

— Coraz lepiej.

— Czy pamięta, co się stało?

— Niech sam ci to powie.

W piątym, najdalej stojącym od wejścia do jaskini pojeździe, Brian powoli dochodził do siebie. Razem z nim przez ostatnie dwadzieścia minut w kabinie przebywała Rita, rozmasowując jego przemarznięte palce, karmiąc go zupą i pilnując, żeby nie zapadł w groźny w takim wypadku sen. Odzyskał przytomność w trakcie powrotu do obozu z miejsca trzeciego odwiertu, ale wciąż był zbyt słaby, żeby mówić. Gdy się przebudził, dokuczał mu dotkliwy ból — uśpione nerwy z opóźnieniem reagowały na zimno, które omal go nie zabiło. Chłopak nie mógł się pozbierać przez następne pół godziny.

Harry zakręcił termos. Przed założeniem gogli pocałował Ritę.

— Mmmm... — westchnęła — chcę więcej.

Tym razem jej język poruszał się pomiędzy wargami Harry'ego. Płatki śniegu przelatywały ponad jej głową i omiatały mu twarz, jednak jego nakremowaną skórę rozgrzewał jej gorący oddech. Jego serce było przepełnione czułością: chciał ochronić ją przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

— Kocham cię — powiedziała po chwili.

— Znowu pojedziemy do Paryża. Jakoś to zrobimy. Jak tylko z tego wybrniemy.

— Cóż, jeśli nie wybrniemy — dodała Rita — i tak nie będziemy mogli narzekać. Spędziliśmy ze sobą osiem dobrych lat. Daliśmy sobie więcej miłości i szczęścia, niż to się udaje większości ludzi w ciągu całego życia.

Czuł się bezsilny w obliczu trudności nie do przewyciężenia. Przez całe życie potrafił znaleźć wyjście z kryzysowych sytuacji. Zawsze był w stanie rozwiązać nawet najtrudniejsze problemy. To poczucie bezradności wprawiało go w złość.

Pocałowała go delikatnie w kącik ust.

— Musisz się spieszyć. Brian czeka na ciebie.

Kabina maszyny była nieprzyjemnie ciasna. Harry — podobnie jak Brian — usiadł na wąskim siedzeniu dla pasażera odwrotnie: twarzą w kierunku tyłu pojazdu. Kierownica wpijała mu się w plecy. Ich kolana opierały się o siebie. Przez pleksiglas prześwitywała tylko słaba poświata przednich reflektorów. Ciasne pomieszczenie, na skutek ciemności, wydawało się jeszcze mniejsze.

— Jak się czujesz? — zapytał Harry.

— Do kitu.

— Jakiś czas będziesz musiał pocierpieć.

— Czuję kłujący ból w dłoniach i stopach. Nie chodzi mi o to, że są zdrętwiałe. To tak, jakby ktoś wbijał w nie dziesiątki długich igieł — mówił Brian łamiącym się z bólu głosem.

— Odmrożenie?

— Nie oglądaliśmy jeszcze stóp, ale podejrzewam, że są w identycznym stanie jak dłonie, a nie widać na nich śladów odmrożeń. Chyba się z tego wyliżę. Jednak... — przerwał, krzywiąc się z bólu. — O, Jezu, teraz się nasiliło.

— Chcesz trochę zupy? — zapytał Harry, otwierając termos.

— Nie, dzięki. Rita już we mnie wepchnęła sporą porcję. Jeszcze kropla, a pękne. — Potarł o siebie dłonie, chcąc najwyraźniej złagodzić kolejny atak kłującego bólu. — A tak przy okazji, jestem po uszy zakochany w twojej żonie.

— A kto nie jest?

— I chciałem ci jeszcze podziękować, że poszedłeś mnie szukać. Uratowałeś mi życie, Harry.

— Dzień bez bohaterskiego czynu byłby dniem straconym — podsumował Harry, przełykając porcję zupy. — Co się tak właściwie z tobą stało?

— Rita ci nie powiedziała?

— Stwierdziła, że powinienem to usłyszeć bezpośrednio od ciebie.

Brian zawahał się. Jego oczy błyszczały w ciemnościach. W końcu powiedział:

— Ktoś mnie uderzył.

Harry omal nie zakrztusił się zupą.

— Zostałeś zaatakowany?

— Rąbnięto mnie w tył głowy.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Jako dowód mogę pokazać guzy.

— Chcę je zobaczyć.

Brian podsunął się do przodu i pochylił głowę.

Harry ściągnął rękawiczki i dotknął wskazanego miejsca. Bez trudu wyczuł dwa wyraźne guzy, różnej wielkości, umiejscowione z tyłu czaszki, jeden z nich

położony trochę wyżej, na lewo od drugiego.

— Wstrząs mózgu?

— Nie mam żadnych objawów.

— Ból głowy?

— O, tak — cholerny.

— Podwójne widzenie?

— Nie.

— Trudności w mówieniu?

— Nie.

— Jesteś pewien, że nie zemdlałeś?

— Absolutnie — zapewnił Brian, odchylając się z powrotem do tyłu.

— Gdybyś zemdlał, mogłeś się solidnie potłuc, upadając na występ lodu.

— Wyraźnie pamiętani, że zostałem uderzony od tyłu — z przekonaniem stwierdził Brian — i to dwukrotnie. Za pierwszym razem cios nie był dostatecznie silny — częściowo ochronił mnie gruby kaptur. Zachwiałem się, ale udało mi się utrzymać równowagę, zacząłem się odwracać i wtedy otrzymałem znacznie silniejsze uderzenie, tak że zrobiło mi się ciemno przed oczami.

— Następnie zaciągnął cię w ukrycie.

— Zanim ktokolwiek zdążył zobaczyć, co się dzieje.

— To cholernie mało prawdopodobne.

— Był porywisty wiatr. Śnieg padał tak gęsto, że widoczność spadła do dwóch metrów. Miał doskonałą zasłonę.

— Czyli twierdzisz, że ktoś próbował cię zamordować.

— Zgadza się.

— Ale dlaczego, w takim razie, zaciągnął cię za chroniącą przed wiatrem, wystającą krę? Gdybyś leżał na otwartej przestrzeni, zamarzłbyś na śmierć w ciągu piętnastu minut.

— Może myślał, że zabił mnie uderzeniem. Tak czy owak, pozostawił mnie na otwartej przestrzeni. Doczołgałem się za taflę lodu, kiedy wszyscy odjechali. Kręciło mi się w głowie, miałem mdłości, było mi zimno. Udało mi się schronić przed wiatrem, zanim powtórnie straciłem przytomność.

— Próba morderstwa. . .

— Tak.

Harry nie mógł w to uwierzyć. Jak na jeden dzień, miał już zbyt wiele kłopotów na głowie. Nie był w stanie dać sobie rady z kolejnym zmartwieniem.

— Stało się to w chwili, gdy przygotowaliśmy się do odjazdu z miejsca trzeciego odwiertu — Brian przerwał, sycząc przez chwile z bólu. — Moje stopy; mam uczucie, jakby wbijano w nie rozżarzone igły, zamoczone w żrącym kwasie. — Mocno przyciskał kolana do nóg Harry'ego, ale po minucie ponownie zaczął się rozluźniać. Był twardy, zaczął mówić dalej, jakby nic się nie stało. — Ładowałem sprzęt na ostatnią przyczepę. Wszyscy byli zajęci pracą. Wiatr zacinał

szczególnie ostro, śnieg padał tak intensywnie, że straciłem pozostałych z oczu i wtedy właśnie otrzymałem cios.

— Ale kto to zrobił?

— Nie byłem w stanie go zauważyć.

— Nawet kątem oka?

— Nie.

— Czy coś do ciebie mówił?

— Ani słowa.

— Jeśli chciał twojej śmierci, dlaczego nie zszedł do północy? Wygląda na to, że niebawem umrzesz razem z nami wszystkimi. Dlaczego zależało mu na czasie?

— Cóż, może...

— Tak?

— To zabrzmiało trochę dziwnie... ale pewnie dlatego, że noszę nazwisko Dougherty.

Harry od razu zrozumiał.

— Tak, rzeczywiście, dla pewnego rodzaju maniaków mógłbyś stanowić wymarzoną ofiarę. Zabicie Dougherty'ego — jakiegokolwiek Dougherty'ego — może dać mniemanie wpływania na bieg historii. Myślę, że jestem w stanie wyobrazić sobie psychopatę, który widziałby w tym wyjątkowy dreszczyk emocji.

Obaj zamilkli.

W końcu odezwał się Brian:

— Ale kto spośród nas jest szaleńcem?

— Trudno w to uwierzyć, prawda?

— Tak. Ale nie wątpisz w prawdziwość tego, co powiedziałem?

— Oczywiście, że nie. Trudno zakładać, że sam sobie zadałeś w głowę dwa ciosy, na skutek których straciłeś przytomność, a następnie zaciągnąłeś się w odalone miejsce.

Brian westchnął z ulgą.

— Od jakiegoś czasu jesteśmy poddani ciągłej presji... — stwierdził Harry. — Jeśli któryś z nas miał ukryte psychopatyczne skłonności — niezauważalne w normalnych warunkach — mogło się zdarzyć, że nadmiar stresów spowodował ich gwałtowne ujawnienie. Masz jakieś podejrzenia?

— Podejrzenia co do osoby? Nie.

— Spodziewałem się, że wymienisz George'a Lina.

— Z bliżej mi nie znanych powodów, George nie przepada za mną i moją rodziną — niewątpliwie dał tego liczne dowody. Ale bez względu na jego zachowanie, bez względu na to, co go ugryzło w tyłek, nie wierzę, że mógłby być mordercą.

— Nie możesz mieć pewności. Podobnie jak i ja nie wiesz, co się kryje w jego głowie. Tylko nielicznych ludzi jest się w stanie poznać do końca. Jeśli chodzi

o mnie... Rita jest jedyną osobą, za którą mógłbym ręczyć i nie mam co do niej żadnych wątpliwości.

— Zgadza się, ale przecież dzisiaj ocalałem mu życie.

— Jeśli jest psychopata, czy miałoby to dla niego jakiegokolwiek znaczenie? Trudno nam to zrozumieć, ale z jakichś, tylko jemu znanych powodów, mogło go to nawet umocnić w decyzji o morderstwie.

Wiatr zatrzęsł pojazdem. Płatki śniegu zakotłowały się ponad dachem kabiny.

Po raz pierwszy w ciągu całego dnia Harry znalazł się na krawędzi rozpacz. Był fizycznie i emocjonalnie wyczerpany.

— Czy on ponowi próbę? — zapytał Brian.

— Jeśli jest stuknięty i ma obsesję na punkcie ciebie i twojej rodziny, wówczas tak łatwo nie zrezygnuje. Co miałby do stracenia? Przecież o północy i tak wszyscy zginiemy.

Brian spojrział przez boczne okno w nieprzeniknioną ciemność nocy.

— Boję się, Harry.

— Gdybyś się nie bał, to by znaczyło, że ty sam jesteś szalony.

— A ty nie odczuwasz lęku?

— Jeszcze jak!

— Nie widać po tobie.

— Bo nigdy tego nie pokazuję. Sikam po prostu w gacie i mam nadzieję, że nikt nie zauważy.

Brian parsknął śmiechem, jednak prawie w tej samej chwili skrzywił się, walcząc z kolejnym atakiem bólu w kończynach.

— Kimkolwiek by był, jestem już przygotowany — stwierdził, gdy ponownie mógł mówić.

— Nie zostawimy cię samego — zapewnił Harry. — Przez cały czas będę przy tobie ja lub Rita.

— Czy zamierzasz powiedzieć o tym pozostałym? — zapytał Brian, rozcierając wciąż zziębnięte ręce.

— Nie. Stwierdzimy, że nie pamiętasz, co się stało, i wyrazimy przypuszczenie, że najprawdopodobniej upadłeś i uderzyłeś głową o wystający kant lodu. Lepiej, jeśli twój niedoszły zabójca będzie myślał, że o nim nie wiemy.

— Racja. Działałby szczególnie ostrożnie, mając świadomość, że jesteśmy przygotowani na jego kolejny ruch.

— Ale jeśli wyjdzie z założenia, że o nim nie wiemy, wówczas może być nierozważny, ponownie zamierzając się na ciebie.

— O ile jest wariatem, który koniecznie musi mnie zamordować, chociaż wie, że i tak najprawdopodobniej zginę o północy... W takim razie ja również muszę być zdrowo stuknięty. Siedzę tu i się zamartwiam, wiedząc, że północ wybije już za siedem godzin.

— Nie. Masz po prostu silny instynkt samozachowawczy. To oznaka normalności.

— Jeśli ów instynkt uniemożliwia dostrzeżenie beznadziejności sytuacji, wówczas jest oznaką szaleństwa.

— Nasze położenie nie jest beznadziejne — zaprzeczył Harry. — Pozostało jeszcze siedem godzin. W tym czasie wszystko może się zdarzyć.

— Co na przykład?

— Wszystko.

17:00

Jak wieloryb wyłaniający się z nocnego morza, *Ilja Pogodin* po raz drugi w ciągu godziny wypłynął na powierzchnię. Lśniące kaskady wody przewalały się przez jego ciemny pokład kołyszany przez sztormowe fale. Kapitan Nikita Gorow i dwaj marynarze wyszli z luku nadbudówki i zajęli pozycje obserwacyjne na mostku.

W ciągu ostatnich trzydziestu minut okręt płynął z prędkością trzydziestu jeden węzłów — największą, jaką mógł osiągnąć podczas zanurzenia — i przemieścił się o siedemnaście mil morskich na północny-wschód od pierwotnie wyznaczonej pozycji, z której miał prowadzić nasłuch. Timoszenko namierzył sygnał wysyłany przez nadajnik zainstalowany przez naukowców z Edgeway, dzięki czemu Gorow wyznaczył idealnie równą linię kursu, przecinającą się z najbardziej prawdopodobnym torem ruchu dryfującej góry lodowej. *Pogodin* był w stanie rozwinąć na powierzchni prędkość dwudziestu sześciu węzłów, ale z powodu dużej fali wykorzystywał obecnie tylko trzy czwarte swoich możliwości. Gorow pragnął jak najszybciej ponownie zejść pod wodę — tym razem na głębokość stu metrów, gdzie łódź sunęłaby jak ryba, nie osiągnięta przez zawirowania spowodowane sztormem.

Z nadbudówki, za mostkiem, wyłoniła się aparatura do łączności satelitarnej i antena otworzyła się jak pączki kwiatów w porze kwitnienia. Radar składał się z pięciu płatków, które łączyły się w okrągły talerz — już po chwili zaczynały świecić i błyszczeć od lodu, gdy zaczął do nich przymarzać padający śnieg z deszczem, ale nie przeszkadzało im to w ustawicznym przeszukiwaniu nieboskłonu.

Trzy minuty po siedemnastej na mostek dotarła wiadomość od Timoszenki. Oficer łączności chciał poinformować kapitana, że właśnie rozpoczęła się transmisja zakodowanych poleceń z Moskwy.

Nadszedł moment prawdy.

Gorow złożył skrawek papieru, schował go do kieszeni płaszcza i zaczął ponownie wpatrywać się przez nocną lornetkę. Przestudiował fragment linii horyzontu, przesuwając wzrok o dziewięćdziesiąt stopni, jednak nie widział śniegu ani chmur czy fal. Zamiast tego przed oczami stanęły mu dwie wizje. W pierwszej

siedział przy stole w sali konferencyjnej z połączonym sufitem i olbrzymim żyrandolem, który rzucał na ścianę tęcze blaski. Słuchał kierowanych do niego słów oskarżenia sądu wojennego, nie mając prawa do obrony. W drugiej wpatrywał się w martwego chłopca leżącego na szpitalnym łóżku. Unosił się nad nim zapach potu i uryny. Nocna lornetka wydawała się tunelem łączącym ze sobą przeszłość i przyszłość.

O siedemnastej zero siedem rozszyfrowana wiadomość została przekazana przez luk w nadbudówce i trafiła do rąk kapitana. Gorow nie czytał wstępnych formalności i od razu skierował wzrok na właściwą treść komunikatu.

WYRAŻAMY ZGODĘ STOP JAK NAJSZYBCIEJ PRYZYSTĄPIĆ DO RATOWANIA UCZESTNIKÓW EKSPEDYCJI EDGEWAY STOP GDY OBCKRAJOWCY BĘDĄ NA POKŁADZIE ZACHOWAĆ WSZELKIE ŚRODKI OSTROŻNOŚCI BY W ICH RĘCE NIE DOSTAŁY SIĘ MATERIAŁY WYWIADOWCZE STOP PRZEDSTAWICIELE AMBASADY W WASZYNGTONIE POINFORMOWALI RZĄD AMERYKAŃSKI O PLANOWANEJ PRZEZ NAS AKCJI RATOWNICZEJ STOP

Na dole kartki z rozszyfrowaną wiadomością Timoszenko napisał ołówkiem dwa słowa: ODBIÓR POTWIERDZONY. Nie pozostawało nic innego, jak podporządkować się nowym poleceniom — które zresztą wykonywali już od pół godziny.

Chociaż wcale nie miał pewności, czy pozostało wystarczająco dużo czasu, aby wydostać ludzi z powierzchni góry lodowej, Gorowowi po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy poprawiło się samopoczucie. Nareszcie coś robił. Nareszcie miał szansę — bez względu na to jak wątpliwa — żeby dotrzeć do naukowców z Edgeway, zanim wszyscy zginą.

Włożył rozszyfrowaną wiadomość do kieszeni i dał hasło do zanurzenia.

Mijała już godzina, odkąd Brian przebywał w pojeździe śnieżnym. Zaczynał popadać w klaustrofobię.

— Chciałbym wyjść trochę pospacerować.

— Lepiej jeszcze podpoczywaj — Rita włączyła latarkę i przyjrzała się jego rękom. — Są zdrętwiałe? Czujesz mrowienie w palcach?

— Nie.

— Uczucie pieczenia?

— Już nie tak bardzo. Ból w stopach też ustępuje. — Zobaczył, że Rita w dalszym ciągu ma wątpliwości. — Już mi ścierpły nogi. Muszę się trochę poruszać. Poza tym jest tutaj za gorąco.

Wciąż ociągała się z decyzją.

— Rzeczywiście, nabrałeś na twarzy trochę kolorów; to znaczy nie jesteś już niebieskawoblady, a twoje dłonie przestały być przezroczyste. W takim razie... w porządku. Ale gdy porozciągasz trochę mięśnie i w dalszym ciągu będziesz odczuwał jakiegokolwiek mrowienie lub odrętwienie, musisz natychmiast wrócić.

— W porządku.

Naciągnęła na stopy filcowe wkładki, a następnie buty. Podniosła z siedzenia swój płaszcz. Ponieważ nie chciała się spocić w ciepłej kabinie, nie miała na sobie pełnego kompletu ubrania polarnego. Gdyby jej skóra zwilgotniała, oznaczałoby to utratę ciepła, a w konsekwencji mogłoby nawet prowadzić do śmierci.

Brian, z tego samego powodu, również ściągnął wcześniej płaszcz, rękawiczki i obie pary butów.

— Nie jestem tak sprawny jak ty, ale jeśli wyjdiesz na zewnątrz i zrobisz mi trochę miejsca, to powinno mi się udać.

— Chyba jesteś zbyt sztywny i obolały, żeby samemu się ubrać. Pomogę ci.

— Zaczynam czuć się przy tobie jak małe dziecko.

— Bzdury — poklepała się po udzie — połóż tu nogę. Uśmiechnął się.

— Mogłabyś być dla kogoś wspaniałą matką.

— Już jestem wspaniałą matką. Dla Harry'ego.

Naciągnęła zewnętrzną skorupę buta na jego dość opuchniętą stopę. Brian zasyczał z bólu, gdy prostował nogę — miał wrażenie, że jego stawy rozlecą się jak tandetny wisiorek z plastikowych paciorków.

— Uzbierałeś już sporo materiałów dla tych kolorowych czasopism — powiedziała Rita, przewlekając sznurówki przez oczka i mocno je zawiązując.

— Zdecydowałem się nie publikować w nich żadnych artykułów. Postanowiłem napisać książkę. — Zdumiał się, słysząc własne słowa. Do tej pory trzymał swoją obsesję w tajemnicy. Teraz, kiedy powiedział to komuś, kogo szanował, musiał przestać myśleć o swoim zamiarze jak o obsesji i zacząć traktować go jak powołanie.

— Książkę? Zastanów się nad tym jeszcze trochę.

— Wielokrotnie o tym myślałem w ciągu ostatnich kilku tygodni.

— Praca nad książką wymaga dużego poświęcenia. Jak wiesz, napisałam już trzy. Być może w trzydziestu artykułach prasowych jest mniej więcej tyle słów, co w jednej książce, ale na twoim miejscu pisałabym artykuły i zrezygnowałabym z marzeń o zostaniu pisarzem. Praca nad krótkimi formami nie jest tak wyczerpująca jak pisanie książki.

— Ale jestem całkowicie owładnięty tą ideą.

— Dobrze wiem, jak to jest. Napisanie początku książki jest przyjemnością równą prawie rozkoszom seksu. Niestety to uczucie mija. Uwierz mi, że tak jest. Podczas pracy nad częścią środkową, robisz to, aby coś sobie udowodnić. Gdy dochodzisz do końcowych rozdziałów, staje się to po prostu walką o byt.

— Ale już obmyśliłem całą warstwę narracyjną. Mam dobry temat. Rita smutno pokiwała głową.

— No tak, posunąłeś się zbyt daleko, żeby móc cię przekonać rozsądną argumentacją. — Pomogła wsunąć mu prawą stopę w futrzane buty. — Jaki to temat?

— Heroizm.

— Heroizm? — skrzywiła się, wiążąc mu sznurówki. — Co, na Boga, ma wspólnego heroizm z Projektem Edgeway?

— Wydaje mi się, że wszystko.

— Zgłupiałeś.

— Poważnie.

— Nie zauważyłam tu żadnych bohaterów.

Brian był zaskoczony jej — najwyraźniej autentycznym — zdumieniem.

— Spójrz w lustro.

— Ja i bohaterstwo? Kochany, daleko mi do heroizmu.

— Nie w moich oczach.

— Przez połowę czasu trzęsę się ze strachu.

— Można się bać i w dalszym ciągu być bohaterem. Na tym właśnie to polega — działać odważnie pomimo lęku. To przedsięwzięcie wymaga od uczestników heroizmu.

— To tylko praca — owszem, niebezpieczna, może niezbyt mądra — ale heroiczna? Podchodzisz do tego zbyt romantycznie.

Milczał, dopóki nie skończyła zawiązywania mu sznurówek.

— W każdym razie nie jest to polityka.

— Co nie jest polityką?

— To, co robicie. Nie jesteście tu dla zdobycia władzy, przywilejów czy pieniędzy. Celem waszej pracy nie jest rządzenie innymi ludźmi.

Rita uniosła głowę i ich spojrzenia spotkały się. Miała piękne oczy — tak głębokie jak wody Atlantyku. Wiedział, że rozumie go w tej chwili lepiej, niż ktokolwiek przed nią, może nawet lepiej niż on sam siebie rozumiał.

— Cały świat jest przekonany, że w twojej rodzinie jest mnóstwo bohaterów.

— No cóż...

— Ty tak nie myślisz.

— Trochę lepiej ich znam.

— Byli pełni poświęcenia. Twój wujek zginął w zamachu. Twojego ojca również dosięgła kula.

— Może to zabrzmi bezduszenie, ale zgodziłabyś się ze mną, gdybyś ich znała: Rito, żaden z nich nie spodziewał się, iż będzie musiał się w jakikolwiek sposób poświęcać. To, że ktoś został zamordowany, nie jest dowodem jego odwagi, podobnie jak w przypadku człowieka, którego zastrzelono na ulicy dla kilku dolarów — jest wtedy ofiarą, a nie bohaterem.

— Niektórzy zajmują się polityką, mając szczerą intencję naprawy świata.

— Nikt z ludzi, których znam. To nieczysta gra, Rito — rządzi nią prawo nienawiści i przemocy. Na zewnątrz wszystko wygląda pięknie — ładne garnitury, układne słowa i uśmiechnięte miny. Praca jest ciężka, otoczenie wrogie — ale wszystko jest czyste.

Ani razu nie spuściła oczu. Nie przypominał sobie, żeby ktokolwiek w sposób tak niewzruszony wytrzymał jego spojrzenie. Po chwili zamyślenia powiedziała:

— A więc nie jesteś jeszcze jednym rozwyrzonym bogatym chłopcem, który za wszelką cenę poszukuje wrażeń, tak jak przedstawiają to w mediach.

Jako pierwszy odwrócił wzrok, zdejmując nogę z siedzenia i kuląc ramiona, aby w ciasnej przestrzeni umożliwić sobie naciągnięcie rękawów kurtki.

— Czyżbyś miała o mnie właśnie taką opinię?

— Nie. Nie pozwalam, aby środki przekazu wyręczały mnie w myśleniu.

— Oczywiście mogę się niesłusznie łudzić. Może jestem właśnie taki, jak piszą o mnie w gazetach.

— Nie ma w nich zbyt wiele prawdy — podsumowała Rita. — Możesz ją odnaleźć tylko w jednym miejscu.

— Gdzie?

— Dobrze wiesz.

Pokiwał głową.

— W sobie samym.

Uśmiechnęła się.

— Będą z ciebie ludzie — powiedziała, wkładając płaszcz.

— Kiedy?

— Może za jakieś dwadzieścia lat.

— O, Boże, mam nadzieję, że nie będę aż tak długo zwichrowany — rzucił ze śmiechem.

— To może potrwać nawet dłużej. Na tym właśnie polega życie: krok po kroku, dzień po dniu, z nieustępliwą wytrwałością zdobywać wiedzę o tym, jak stać się coraz mniej zwichrowanym.

— Powinnaś zostać lekarzem psychiatrii.

— Znachorzy są bardziej skuteczni.

— Czasami mam wrażenie, że przydałby mi się ktoś taki.

— Psychiatra? Lepiej oszczędź sobie pieniędzy. Drogi chłopcze, jedynie czas może cię uleczyć.

Briana — kiedy wyszedł wraz z Ritą z pojazdu — zaskoczyła niesamowita siła wiatru, który zatykał mu dech w piersiach i omal nie powalił go na kolana. Trzymał się otwartych drzwi kabiny do momentu, kiedy był pewien, że znalazł właściwy punkt równowagi.

Wichura przypomniła mu, że człowiek, który go zaatakował, nie jest jedynym zagrożeniem dla jego życia. Na kilka minut zapomniał o dryfującej górze lodowej

i o mających wybuchnąć o północy bombach. Lęk ogarnął go ponownie. Teraz, kiedy miał zamiar napisać książkę, bardziej niż kiedykolwiek pragnął żyć.

Promienie reflektorów jednego z pojazdów przenikały przez wejście i oświetlały wnętrze jaskini. W niektórych miejscach nierówne krawędzie lodu rozszarpały światło, tak że padało ono na białe ściany tęczową poświatą geometrycznych, przypominających klejnoty kształtów. Na tym jasnym tle przesuwali się zniekształcone cienie ośmiu uczestników ekspedycji — szerokie, pokurczone i tajemnicze jak ludzie, którzy je rzucali; pięciu z nich to podejrzani, z których jeden był potencjalnym mordercą.

Harry obserwował Rogera Breskina, Franza Fischera, George'a Lina, Claude'a i Pete'a, klócących się, jak spędzić sześć godzin i dwadzieścia minut, jakie pozostały do północy. Powinien przewodniczyć tej dyskusji albo przynajmniej się do niej przyłączyć, jednak nie mógł skoncentrować się na słowach wypowiedzianych przez innych. Po pierwsze, bez względu na to jakby ten czas spędzali, nie mogli wydostać się z dryfującej góry ani wydobyć ładunków wybuchowych, więc rozmowa nie mogła niczego rozwiązać. Poza tym, pomimo że starał się robić to dyskretnie, nie mógł się powstrzymać od ich baczego obserwowania, jakby psychopatyczne tendencje miały ujawnić się w sposobie chodzenia, mówienia czy gestykulacji.

Jego zamyślenie zostało przerwane przez połączenie z Bazy Edgeway. Głos Gunvalda przebiegał się przez szum i trzaski odbijające się od lodowych ścian.

Wszyscy zamilkli.

Gdy Harry podszedł do krótkofalówki i potwierdził odbiór, Gunvald zaczął mówić:

— Harry, oba statki zawróciły, *Melville i Liberty*. Zrobiły to już jakiś czas temu, wiedziałem o tym, ale nie mogłem się zebrać, żeby wam to powiedzieć — Larsson był w dziwny sposób radosny i ożywiony, jakby ta wiadomość powinna rozjaśnić ich twarze uśmiechem. — Ale to już i tak bez znaczenia. Bez żadnego znaczenia, Harry!

Pete, Claude i pozostali zgromadzili się przy krótkofalówce, zupełnie zbici z tropu podnieceniem Szweda.

— Gunvald, o czym ty mówisz? — zapytał Harry. — Co masz na myśli stwierdzając, że to bez znaczenia?

Odbiór został zakłócony przez szum w eterze, ale po chwili znów się poprawił i ponownie usłyszeli głos Larssona:

— ...z Thule zakomunikowali mi wiadomość przekazaną z Waszyngtonu. Harry, niedaleko was znajduje się okręt podwodny. Słyszysz, co mówię? Rosyjski okręt podwodny.

Część czwarta
NOC

20:20

TRZY GODZINY I CZTERDZIEŚCI MINUT DO DETONACJI

Gorow, Żuków oraz starszy marynarz Semiczastny weszli na mostek i spojrzeli w kierunku lewej burty. Morze nie było spokojne, ale nie tak wzburzone jak wtedy, gdy wypłynęli na powierzchnię, aby odebrać wiadomość z Ministerstwa Marynarki Wojennej. Góra lodowa znajdowała się z lewej strony okrętu, osłaniając ich przed sztormowymi falami i wiatrem. Nie mogli jej zobaczyć, chociaż na ekranach radaru i echosondy mogli odczytać, że jest potężna zarówno nad, jak i pod linią wody. Znajdowali się tylko o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt metrów od olbrzymiej bryły lodu, jednak rozdzielała ich nieprzenikniona zasłona ciemności. Instykt podpowiadał Gorowowi, że ponad nimi wystaje z morza masywny kształt i świadomość pozostawania w pobliżu niewidzialnego kolosa była jednym z najbardziej niesamowitych i niepokojących uczuć, jakie znał.

Wszyscy trzej byli ciepło ubrani i mieli na oczach gogle. Dzięki osłonie góry lodowej mogli zdjąć maski i rozmowa nie była tak utrudniona, jak wtedy, gdy wypłynęli na powierzchnię kilka godzin temu.

— Trochę to przypomina przebywanie w podziemnym lochu — stwierdził Żuków.

Żadnych gwiazd ani księżyca. Brak choćby najlżejszej poświaty na falach. Gorow nigdy nie widział tak głębokich ciemności.

Z tyłu, ponad nimi, na jednym z masztów świeciła stuwatowa lampa rozjaśniająca okoliczne instalacje i mostek; dzięki niej wszyscy trzej mogli się nawzajem widzieć. Postrzępione fale, unosząc całą masę poszarpanych kawałków lodu, uderzały o zaokrąglony kadłub, odbijając refleksy czerwonego światła; sprawiało to wrażenie, że *Pogodin* nie płynie po wodzie, lecz nurza się w krwi o kolorze ciemnego wina. Za tym niewielkim rozjaśnionym kręgiem rozciągała się niezgłębiona ciemność, tak nieporuszona, że Gorowa zaczynały boleć oczy od zbyt długiego wpatrywania się w nią.

Większość barierek i masztów na mostku była pokryta lodem. Gdy okręt się

zakolysał, Gorowowi udało się chwycić za odkryty fragment metalu. Jego rękawica natychmiast przymarzła do barierki. Oderwał ją i zaczął oglądać poszarpaną skórę, spod której wystawał materiał podszewki. Rękawice z foczej skóry nie przymarzłyby tak szybko — powinien był o tym pamiętać i wyciągnąć je ze swojej szafki. Gdyby w ogóle nie nałożył rękawic, jego dłoń zespoliłaby się z barierką tak mocno, że uwalniając ją musiałby stracić kawałek żywego mięsa.

Patrząc na rozerwaną rękawicę kapitana, starszy marynarz Semiczastny zawołał:

— Nieprawdopodobne!

— Co za potworne miejsce — stwierdził Żuków.

— Rzeczywiście.

Śnieg, który zasypywał mostek, nie miał formy płatków. Niezwykle niska temperatura i porywisty wiatr zbijały go w twarde ziarenka, nazywane przez meteorologów „żwirem”, które zasypywały ich jak masy śrutu.

— Jesteśmy po zawietrznej stronie góry, a wiatr wieje z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę — powiedział pierwszy oficer, stukając w umieszczony na mostku anemometr — na powierzchni lodu lub otwartego morza musi wiać dwa albo nawet trzy razy mocniej.

Uwzględniając dodatkowe chłodzenie, spowodowane wiatrem, Gorow podejrzewał, że efektywna temperatura na powierzchni dryfującej góry musiała wynosić minus sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt stopni Fahrenheita. W tych nieprawdopodobnie złych warunkach uratowanie naukowców z Edgeway było z pewnością najtrudniejszym zadaniem w całej jego marynarskiej karierze. Przedsięwzięciu towarzyszyły wyjątkowo nie sprzyjające okoliczności — mogło się nawet okazać niemożliwe do zrealizowania i zaczął się martwić, że znowu przybył za późno.

— Skierujcie tam światło — rozkazał Gorow.

Semiczastny natychmiast zwrócił reflektor w lewo i nacisnął przełącznik.

Promień o ponad półmetrowej średnicy wbił się w ciemność, jakby nagle otworzono w mrocznej piwnicy drzwiczki rozpalonego pieca. Światło reflektora padało nie dalej niż dziesięć metrów od burty okrętu, ukazując jedynie kipiel wzburzonych fal, tkających pajęczynę z przędzy białej piany. Morze eksplodowało w miejscu, gdzie woda zderzała się z burtą okrętu, wytryskując drobnymi kroplami, które zamarzając tworzyły lśniące lodowe wstęgi, zamierające przez moment nieruchomo w powietrzu i spadające po chwili z powrotem w ciemną toń — ich piękno było równie efemeryczne, jak ulotne są fazy zachodzącego słońca.

Temperatura oceanu była o kilka stopni niższa od temperatury zamarzania, jednak woda była na tyle wzburzona i zasolona, że pływały w niej jedynie te kawałki lodu, które zostały odłamane od znajdującej się piętnaście mil morskich na północ pokrywy polarnej. Były to przeważnie małe bryły, nie większe od samochodu, które sunęły po falach zderzając się ze sobą co chwila.

Semiczastny złapał za dwa uchwyty znajdujące się przy reflektorze i skierował go nieznacznie do góry. Promień, padając równolegle do powierzchni oceanu, przewiercił polarną ciemność i padający śnieg, rozświetlając wznoszącą się przed nimi ścianę lodu. Znajdowała się tak blisko i sięgała tak wysoko, że trzem mężczyznom zapało dech z wrażenia.

Pięćdziesiąt metrów od nich dryfowała powoli góra lodowa, unoszona niezbyt silnym zimowym prądem w kierunku południowo-wschodnim. Pomimo huraganowego wiatru, wiejącego prawie zgodnie z jej kierunkiem ruchu, potężna biała wyspa nie mogła poruszać się z prędkością większą niż dwa, trzy węzły — jej większa część znajdowała się pod wodą, dzięki czemu poruszała się na skutek oddziaływania prądów morskich, a nie pod wpływem szalejącej na powierzchni burzy.

Semiczastny powoli skierował reflektor w prawo, a następnie z powrotem w lewo.

Klif był tak wysoki i długi, że Gorow nie mógł nawet oszacować jego rozmiarów. Każdy następny oświetlony, okrągły fragment lodu, chociaż dobrze widoczny z mostka, wydawał się jednak zupełnie nie związany z poprzednim. Ogarnięcie wyglądu całej palisady było równie trudne, jak wyobrażenie sobie gotowego obrazka układanki na podstawie spojrzenia na pięćset chaotycznie porzrzucanych elementów.

— Poruczniku Żuków, wystrzelcie racę.

— Rozkaz, kapitanie.

Żuków miał przy sobie rakiетnicę. Podniósł ją do góry — wyglądała jak pistolet z długą i grubą lufą — trzymał ją w wyprostowanej ręce, i wystrzelił w ciemności po lewej stronie okrętu.

Wśród padającego śniegu rakieta sygnalizacyjna wznosiła się szybko do góry. Przez chwilę było widać ogon z iskier i dymu, który za sobą zostawiała, jednak po chwili zniknęła w zawierusze, jak gdyby nagle przekroczyła granicę innego wymiaru.

Sto metrów... sto pięćdziesiąt... dwieście...

Wysoko ponad ich głowami rakieta rozbłysła jak rozjarzony, iluminowany księżyc; nie zaczęła natychmiast opadać, lecz dryfowała unoszona północnym wiatrem.

Poniżej rakiety, w promieniu trzystu metrów, ocean rozjaśnił się zimnym światłem, które podkreślało jego zielonoszarą barwę. Nierytmicznie poruszające się fale rzucały postrzępione, kanciaste cienie, które kłębiły się jak nieprzeliczone stada czarnych ptaków polujących na małe rybki w płytkiej zatoce.

Z ciemności wyłonił się przytłaczający kontur lodowej wyspy. Wysoka ściana wznosiła się co najmniej trzydzieści metrów do góry, ginąc w mroku po lewej i prawej stronie; przypominała olbrzymi mur obronny, większy niż fortyfikacje jakiegokolwiek zamczyska na ziemi. Podczas zbliżania się do dryfującej góry,

odkryli za pomocą radaru i echosondy, że ma ona półtora kilometra długości. Gwałtownie wyrastając z mieniającej się odcieniami zieleni, szarości i czerni wody, w zadziwiający sposób przypominała totem — wykonany ludzką ręką monolit mający nieodgadnione, kultowe znaczenie. Jej szklista, lśniąca powierzchnia wznosiła się, nie nosząc śladów najmniejszej choćby rysy, występu czy nieregularności; była pionowa, groźna i niedostępna.

Gorow miał nadzieję, że odkryje poszarpany fragment klifu, który schodziłby do wody łatwymi do pokonania stopniami. Morze nie było zbyt wzburzone po zawietrznej stronie góry i kilku ludzi mogłoby się przedostać na lód. Nie znalazł jednak odpowiedniego miejsca.

W okrętowych magazynach ze sprzętem mieli nadmuchiwane pontony napędzane silnikiem i najwyższej jakości sprzęt do wspinaczki. Podczas ostatnich siedmiu lat *Ilja Pogodin* piętnaście razy przewoził dość specyficznych pasażerów — w większości członków specjalnych oddziałów tzw. Specnazu, wyszkolonych sabotażystów, zamachowców, drużyny zwiadowcze — których pod osłoną nocy wysadzał na urwiste wybrzeża siedmiu zachodnich państw. Oprócz tego, w razie wojny, na łodzi mogła się dodatkowo znajdować dziewięcioosobowa drużyna komandosów, którzy potrafili — w ciągu niecałych pięciu minut — bezpiecznie przedostać się na ląd w każdych warunkach atmosferycznych.

Musieli jednak znaleźć miejsce, do którego byłyby w stanie przybić pontony; jakaś mała zatoczka, niewielka lodowa półka, nisza powyżej linii wody — cokolwiek.

Jakby odczytując myśli kapitana, Żuków powiedział:

— Nawet jeśli uda się tam wysadzić ludzi, to wspinaczka będzie cholernie trudna i niebezpieczna.

— Ale możliwa.

— Ta ściana jest tak równa i gładka jak szyba.

— Moglibyśmy wykuć stopnie w lodzie — stwierdził Gorow. — Mamy czekany, siekiery, liny i haki. Mamy buty do wspinaczki i kolce, wszystko, co jest potrzebne.

— Ale ci ludzie są marynarzami, a nie wykwalifikowanymi wspinaczami, kapitanie.

Rakieta sygnalizacyjna znajdowała się teraz dokładnie nad pokładem *Ilji Pogodina*, w dalszym ciągu unoszona przez wiatr na południe. Bijący od niej blask nie był już tak jasny i intensywny — światło nabrało żółtawego odcienia i stopniowo zanikało. Raca ciągnęła za sobą ogon dymu, który tworzył dziwaczne cienie, kotłujące się na ścianie klifu.

— Mamy ludzi, którzy mogliby tego dokonać — upierał się Gorow.

— Tak, kapitanie — odparł Żuków — wiem, że by mogli. Sam byłbym w stanie to zrobić, gdybym musiał, chociaż mam lęk wysokości. Ale ani ja, ani reszta marynarzy nie jesteśmy doświadczeni w przeprowadzaniu tego typu akcji. Nie ma

na pokładzie nawet jednego człowieka, któremu udałoby się tam wejść choćby w dwukrotnie dłuższym czasie, niż potrzebowałby tego wytrenowany wspinacz. Stracilibyśmy trzy, cztery, a nawet pięć godzin, aby dostać się na górę i zainstalować system, za pomocą którego moglibyśmy przetransportować polarników na pontony. A do czasu...

— ... a do czasu, kiedy znajdziemy sposób, aby wysadzić ludzi na lód, na przeprowadzenie całej akcji pozostanie najwyżej jedna godzina — podsumował Gorow, kończąc argumentację pierwszego oficera.

Północ szybko się zbliżała.

Rakieta sygnalizacyjna zgasła.

Semiczastny w dalszym ciągu oświetlał reflektorem ścianę klifu, przesuwając powoli promień z lewej strony na prawą, skierowując go na linię wody w nadziei znalezienia jakiejś półki, szczeliny, pęknięcia, czegokolwiek, co mogli przeoczyć.

— Przyjrzyjmy się górze od strony nawietrznej — powiedział Gorow — może tam sytuacja będzie wyglądać ciekawiej.

W jaskini panowało ożywienie spowodowane nadzieją na ratunek i oczekiwaniem na dalsze wieści od Gunvalda, chociaż nastrój ostudzała obawa, że łódź podwodna może nie przyplłynąć dostatecznie szybko, aby wydostać ich z góry lodowej przed północą. Niekiedy wszyscy milkli, choć w innych chwilach mówiło kilka osób naraz.

Czekając na moment, kiedy grota wypełni się dźwiękami podekscytowanej rozmowy, która odwróciłaby uwagę pozostałych, Harry po cichu poinformował, że musi wyjść na stronę, i przechodząc koło Pete'a Johnsona, wyszeptał:

— Chcę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

Pete ze zdziwienia zamrugał powiekami.

Harry, nie zwalniając kroku nawet gdy mówił, nie patrząc w stronę inżyniera, założył gogle, naciągnął maskę i wyszedł z jaskini. Przygniatany podmuchami wiatru, włączył latarkę i z trudem przeszedł pomiędzy monotonicznie warkoczącymi pojazdami śnieżnymi.

Obawiał się, że w ich zbiornikach pozostało już niewiele paliwa. Silniki mogą niebawem zgasnąć. Zostaną pozbawieni ogrzewania i światła.

Miejsce, które zostało wyznaczone na toaletę przy obozie tymczasowym, znajdowało się za wysokim wałem w kształcie litery U, utworzonym ze spiętrzonej kry i śniegu. Harry akurat nie odczuwał konieczności załatwienia swoich fizjologicznych potrzeb, jednak stanowiły one doskonały pretekst, aby nie budząc niczyich podejrzeń wyjść z jaskini i schować się z dala od innych. Znalazł się przy wejściu do półkolistego spiętrzenia kry, które tworzyło rodzaj parawanu, przedarł się przez nagromadzony śnieg i stanął przy samym końcu, opierając się o lodową ścianę, która zapewniała względną ochronę przed wiatrem.

Obawiał się, że mógł robić duży błąd, wzywając Pete'a Johnsona. Tak jak powiedział Brianowi, nikt nie powinien być do końca pewny co do myśli drugiej osoby. Nawet dobrze znany przyjaciel, któremu ufamy, może w głębi duszy być człowiekiem opętanym przez mroczne wizje i pragnienie zbrodni. Każdy jest zagadką w zagadce, osłoniętą pancierzem tajemnicy. Podczas swojej pogoni za przygodą, która wypełniała mu całe dotychczasowe życie, Harry przez przypadek trafił na taki rodzaj pracy, który ograniczał jego kontakty z ludźmi do minimum i ile razy podejmował kolejne wyzwania, jego przeciwnikiem nie był nikt inny, jak sama Matka Natura. Natura potrafiła narzucić twarde warunki, ale nigdy nie była zdradliwa; silna i czasami bezwzględna, nie epatowała świadomym okrucieństwem — zmagając się z nią nie musiał się martwić, że przegra z powodu podstępów lub zdrady. Mimo wszystko postanowił zaryzykować konfrontację z Peterem Johnsonem.

Żałował, że nie ma pistoletu.

W kontekście zamachu na Briana, Harry'emu wydawało się absolutną głupotą wybieranie się na pokrywą polarną bez ukrytej pod kurtką broni dużego kalibru. Oczywiście dotychczas w swojej pracy geologa nigdy nie stanął przed koniecznością zastrzelenia kogoś.

Po minucie nadciągnął Pete Johnson i przyłączył się do niego, podchodząc do tylnej ściany półkolistej, nie zadaszonego schronienia.

Stali naprzeciw siebie ze ściągniętymi z twarzy maskami i goglami na czołach, trzymając w dłoniach latarki, które oświetlały ich buty. Padały na nich odbite promienie i w ich poświacie twarz Pete'a wydawała się żarzyć dziwnym blaskiem. Harry wiedział, że musi wyglądać podobnie: jasność wokół ust i brody ściemniająca się w stronę czoła, błyszczące oczy wyłaniające się z czarnych oczodołów, przypominających otwory w czaszce — trochę jak maska z dyni podczas obchodów Halloween.

— Przyszliśmy tutaj kogoś poobgadywać, czy też nagle zapalałeś do mnie gorliwym, romantycznym uczuciem? — zapytał Pete.

— Chodzi o coś poważnego, Pete.

— Masz rację. Jeśli Rita się dowie, spierze mnie na kwaśne jabłko.

— Przejdźmy do sedna sprawy. Chciałbym wiedzieć... dlaczego próbowałeś zabić Briana Dougherty'ego?

— Nie podoba mi się jego fryzura.

— Pete, ja nie żartuję.

— W porządku. To dlatego, że nazwał mnie czekoladą.

Harry przyjrzał mu się, lecz nie powiedział ani słowa.

Ponad ich głowami, na krawędziach osłaniającego ich zwału kry, gwizdał wiatr przedzierający się przez naturalne szczeliny pomiędzy stłoczonymi lodowymi blokami.

Uśmiech znikł Pete'owi z twarzy.

- Tobie chyba naprawdę odbiło.
- Przestań pieprzyć, Pete.
- Harry, na litość boską, co jest grane?

Harry wpatrywał się w niego przez długą chwilę, starając się zbić go z tropu. Czekał czy go zaatakuje, czy nie. W końcu powiedział:

— Może ci wierzę.

— Wierzysz? W co? — Na szerokiej, czarnej twarzy Pete'a malowało się zdumienie równie szczere, jak spojrzenie owieczki; jedynie padające z dołu światło przydawało jego obliczu nieco złowrogi wyraz. — Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś próbował go zabić? Kiedy? Przy trzecim szybie, kiedy został sam? Ale przecież mówiłeś, że upadł. On sam też tak twierdził. Powiedział, że upadł i uderzył się w głowę. Czy to nieprawda?

Harry westchnął i poczuł, jak z jego karku i ramion częściowo ustępuje napięcie.

— Cholera. Jeśli udajesz, to robisz to po mistrzowsku. Rzeczywiście wierzę, że nic nie wiesz.

— Teraz już wiem, że nic nie wiem.

— Brian nie uderzył się w głowę na skutek upadku i nie został przy szybie przez przypadek. Ktoś rąbnął go w tył głowy. Dwukrotnie.

Pete zaniemówił. Charakter jego pracy również nie wymagał, aby nosił przy sobie broń.

Tak szybko, jak tylko mógł, Harry powtórzył mu treść rozmowy, którą kilka godzin wcześniej odbył z Brianem w kabinie pojazdu.

— Rany boskie! — powiedział Pete. — I pomyślałeś, że to ja mógłbym zrobić?

— Tak. Chociaż nie podejrzewałem cię tak bardzo, jak pozostałych.

— Pewnie jeszcze chwilę temu spodziewałeś się, że rzucę się na ciebie.

— Przepraszani. Lubię cię jak cholera, Pete, ale mimo wszystko znamy się dopiero od ośmiu czy dziewięciu miesięcy. Mogłeś przede mną ukrywać niektóre rzeczy: pewne poglądy, uprzedzenia. . .

Pete potrząsnął głową.

— Nie musisz się tłumaczyć; Nie miałeś żadnych powodów, aby ufać mi bardziej niż innym. Nie potrzebuję przeprosin. Stwierdzam tylko, że jesteś twardziel. Nie zaliczasz się do chuderławych facetów, ale fizycznie mam nad tobą pewną przewagę.

Harry spojrzął do góry, żeby spojrzeć w twarz Pete'a, i nagle jego przyjaciel wydał mu się bardziej potężny niż dotychczas; ramiona zbyt szerokie, aby zmieścić się w przeciętnych drzwiach; masywne ręce — gdyby przyjął ofertę zawodowej gry w futbol amerykański, z pewnością byłby budzącym respekt zawodnikiem, a jeśli pojawiłby się teraz zniecała niedźwiedź polarny, prawdopodobnie mógłby stoczyć z nim równą walkę.

— Gdybym był tym szaleńcem — stwierdził Pete — i chciał cię zabić tu i teraz, twoje szanse byłyby niewielkie.

— Tak, ale nie miałem innego wyboru. Potrzebowałem jeszcze jednego sprzymierzeńca i rokowałeś największe nadzieje. Przy okazji dziękuję, że nie skręciłeś mi karku.

Pete zakaszłał i splunął w śnieg.

— Zmieniłem o tobie zdanie, Harry. W gruncie rzeczy nie masz kompleksu bohatera. Ten rodzaj odwagi jest dla ciebie czymś zupełnie naturalnym i oczywistym. Jesteś w ten sposób skonstruowany. Urodziłeś się z tym.

— Zrobiłem tylko to, co musiałem — powiedział ze zniecierpliwieniem Harry. — Dopóki byliśmy uwięzieni na tej dryfującej bryle lodu, przekonani o czekającej nas o północy niechybnej śmierci, myślałem, że ja i Rita damy sobie radę czuwając przy Brianie. Doszedłem do wniosku, iż niedoszły zabójca skorzystałby z okazji, gdybyśmy niezbyt uważnie czuwali przy chłopcu, jednak nie robiłby tego za wszelką cenę. Ale teraz sytuacja się zmieniła: płynie do nas łódź podwodna... Cóż, bojąc się, że chłopak zostanie uratowany, szaleniec może zrobić coś iście desperackiego: przeprowadzić kolejny zamach na jego życie — nawet za cenę zdemaskowania się. Dlatego potrzebuję kogoś do pomocy, aby przeszkodzić mu w razie ataku.

— I to ja zostałem nominowany.

— Gratuluję.

Zawirowanie powietrza omiotło krawędź kry i owiało ich głowy. Pochylili się, gdy przelatywały nad nimi kłęby śniegu — były tak gęste, że sprawiały wrażenie lawiny. Na kilka sekund zostali ogłuszeni i oślepieni.

Gdy szkwał minął, pierwszy odezwał się Pete:

— Czy, twoim zdaniem, któremuś z nich powinniśmy się baczniej przypatrywać?

— Chciałem właśnie zadać ci to pytanie. Wiem już, co na ten temat myślą Rita, Brian i ja. Potrzebuję kogoś, kto ma świeże podejście do problemu.

Pete nie musiał się zbyt długo zastanawiać nad odpowiedzią.

— George Lin — stwierdził natychmiast.

— Też o nim w pierwszej chwili pomyślałem.

— Tylko w pierwszej? Uważasz, że to podejrzenie jest zbyt oczywiste?

— Możliwe. To go jednak nie eliminuje.

— Co się z nim tak w ogóle dzieje? Chodzi mi o to, jak odnosi się do Briana. Ta jego złość... — o co w tym wszystkim chodzi?

— Nie jestem pewien — powiedział Harry. — Coś mu się przydarzyło w Chinach, kiedy był dzieckiem, i pozostawiło w jego świadomości trwałe uraz. To musiało mieć miejsce w późnym okresie rządów Chianga. Wydaje mi się, że George w jakiś sposób łączy Briana z tym wydarzeniem, z powodu polityki prowadzonej przez członków jego rodziny.

— I napięcie, jakiemu jesteśmy poddani przez ostatnie dziewięć godzin, mogło go pchnąć o krok dalej.

— Myślę, że to możliwe.

— Jednak nie jest to do końca przekonujące.

— Nie całkiem.

Obaj się zastanowili.

Pete Johnson zaczął dreptać w miejscu, starając się ochronić stopy przed zimnem. Harry wziął z niego przykład, chodząc tam i z powrotem.

Po dłuższej chwili, nie ustając w ruchu, Pete zapytał:

— Co byś powiedział na temat Franza Fischera?

— O Franzu?

— Jest dosyć chłodny w stosunku do ciebie. I wobec Rity. To znaczy, wobec niej nie jest tak do końca chłodny... Z pewnością jest coś dziwnego w sposobie, w jaki na nią patrzy.

— Jesteś spostrzegawczy.

— Może wynika to z zawodowej zazdrości; w ciągu ostatnich lat oboje zdobyliście sporo nagród i wyróżnień naukowych.

— Nie jest aż tak małostkowy.

— Co w takim razie? — Gdy Harry zwlekał z odpowiedzią, Pete zapytał:

— Nie powinienem się tym interesować?

— Znał ją wcześniej.

— Zanim wyszła za ciebie?

— Tak. Byli kochankami.

— A więc jest zazdrosny, tyle że nie o nagrody.

— Najwyraźniej tak.

— To wspaniała kobieta — stwierdził Pete. — Ktokolwiek by ją stracił, wiedząc, że związała się później z tobą, z pewnością nie żywiłby do ciebie przyjaznych uczuć. Czy nigdy nie pomyślałeś, że z tego powodu być może nie należało zabierać Franza na tę wyprawę?

— Jeśli Rita i ja potrafimy zapomnieć o tym aspekcie naszej przeszłości, dlaczego on nie miałby tego zrobić?

— Bo nie jest tobą ani Ritą. To zapatrzony w siebie goguś. Być może nieźle wygląda, jest inteligentny i wykształcony, ale generalnie rzecz biorąc czuje się niedowartościowany. Prawdopodobnie zgodził się na udział w wyprawie po to, żeby Rita mogła porównać ciebie i jego, jak dajecie sobie radę w ekstremalnych warunkach. Pewnie myślał, że będziesz się ślizgał i przewracał na lodzie jak oferma, podczas gdy on, na zasadzie kontrastu, zaprezentuje się jako wspaniały, twardy i dziarski wiking z Północy. Oczywiście od pierwszego dnia zobaczył, że jego przypuszczenia się nie sprawdzają, co by tłumaczyło, dlaczego był taki wkurzony.

— To się nie trzyma kupy.

— Według mnie, tak.

Harry przestał chodzić, nie chcąc się spocić, gdyż spowodowałyby to wycieńczenie organizmu.

— Nawet jeśli Franz nienawidziłby mnie, i być może nawet Rity, to w jaki sposób żywiona względem nas zawiść miałaby spowodować atak na Briana?

Po zrobieniu jeszcze kilku kroków, Pete również przestał dreptać w miejscu.

— Kto jest w stanie zrozumieć, jak funkcjonuje umysł szaleńca? Harry potrząsnął głową.

— To mógłby być Franz, ale nie robiłby tego z powodu zazdrości o mnie.

— Breskin?

— To dopiero zagadka.

— Sprawia na mnie wrażenie człowieka zbyt zamkniętego i niezależnego.

— Zawsze jesteśmy skłonni do nieufności w stosunku do samotników — stwierdził Harry. — To cichy człowiek, który wszystko skrywa w sobie. Ale w jego przypadku jest to równie nieuzasadnione, jak podejrzewanie Fischera tylko dlatego, że parę lat temu był związany z Ritą.

— Dlaczego Breskin wyemigrował ze Stanów Zjednoczonych do Kanady?

— Nie przypominam sobie — nie wiem, czy kiedykolwiek o tym mówił.

— Może zrobił to z powodów politycznych — zasugerował Pete.

— Tak, może. Ale Kanada i Stany Zjednoczone prowadzą w gruncie rzeczy bardzo podobną politykę. To znaczy uważam, że jeśli ktoś opuszcza swoją ojczyznę i przyjmuje obywatelstwo innego kraju, to zazwyczaj emigruje do państwa o raczej odmiennym systemie gospodarczym i politycznym — Harry poczuł, że zaczyna mu cieknąć z nosa i wytarł go chusteczką. — Oprócz tego, Roger miał przecież wczesnym popołudniem doskonałą sposobność, aby zabić chłopaka. Wystarczyło przeciąć linę, kiedy Brian wisiał poza krawędzią klifu, ratując George'a. Czy nie wykorzystałby takiej okazji?

— Może nie chciał zabijać nikogo oprócz Briana, który stał się jego jedyną obsesją. Gdyby przeciął linę, nie byłby w stanie samotnie uratować George'a.

— Wystarczyło ją przeciąć, gdy Lin był już na górze.

— Ale wtedy George zostałby świadkiem.

— Który psychopata może się do tego stopnia kontrolować? Poza tym nie wiem, czy George zobaczyłby cokolwiek, skoro był wtedy jeszcze na pół przytomny.

— Ale, jak sam stwierdziłeś, Roger jest zagadkową postacią.

— To błędne koło.

Gdy oddychali, para wylatująca z ust zamieniała się w drobne kryształki; utworzony z nich obłok był tak gęsty, że stojąc od siebie w półmetrowej zaledwie odległości, nie mogli się zobaczyć.

Po odegnaniu spowijającej ich mgiełki na tyle daleko, że została uniesiona przez podmuch wiatru, Pete ponownie się odezwał:

— Został jeszcze Claude.

— Wydaje się najmniej prawdopodobnym kandydatem.

— Od jak dawna go znasz?

— Piętnaście, szesnaście lat — coś koło tego.

— Czy kiedykolwiek wcześniej przebywałeś z nim za kręgiem polarnym?

— Kilkakrotnie — odpowiedział Harry. — To wspomniały człowiek.

— Często mówi o swojej zmarłej żonie, Colette. W dalszym ciągu rozkleja się na jej wspomnienie. Kiedy umarła?

— Trzy lata temu, dokładnie w tym samym miesiącu. Została zamordowana, gdy Claude przebywał na pokrywie lodowej — była to jego pierwsza wyprawa po dwuipółrocznej przerwie.

— Zamordowana?

— Poleciała z Paryża do Londynu na wakacje. Przebywała w Anglii tylko trzy dni. IRA podłożyła bombę w restauracji, do której wybrała się na obiad. Była jedną z ośmiu śmiertelnych ofiar wybuchu.

— O Boże!

— Złapali jednego z terrorystów. Po dziś dzień siedzi w więzieniu.

— A Claude mocno to przeżył — powiedział Pete.

— O tak. Colette była wspomniała. Spodobałaby ci się. Ona i Claude tworzyli równie zgraną parę, jak ja i Rita.

Przez moment żaden z nich się nie odezwał.

Wiatr zagwizdał nagle o krawędź kry jak zmarła dusza, nie mogąca dostać się do nieba. Łód ponownie przypominał Harry'emu cmentarzysko. Wzdrygnął się.

— Jeśli mężczyzna jest bardzo zakochany w kobiecie — przemówił Pete — i nagle zostaje mu ona odebrana, rozerwana na kawałki przez wybuch bomby, to taka bolesna strata może pomieszać mu zmysły.

— To nie dotyczy Claude'a. Mógł wpaść w głęboką depresję, kompletnie się rozkleić, jednak nie straciłby rozsądku. Jest najbardziej miłym. . .

— Jego żona została zabita przez Irlandczyków.

— Co z tego wynika?

— Dougherty jest Irlandczykiem.

— To naginanie faktów, Pete. Jest Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia. W dodatku reprezentuje już trzecią generację.

— Wspomniałeś, że jeden z zamachowców został aresztowany?

— Tak, nie udało im się złapać pozostałych.

— Czy przypominasz sobie jego nazwisko?

— Nie.

— Czy nie nazywał się przypadkiem Dougherty albo jakoś podobnie?

Harry skrzywił się i wykonał ręką gest zniecierpliwienia.

— Daj spokój, Pete. Zapędziłeś się za daleko. Potężny mężczyzna ponownie zaczął dreptać w miejscu.

— Być może. Ale sam wiesz... zarówno wujek Briana, jak i jego ojciec, byli oskarżani o faworyzowanie wyborców irlandzkiego pochodzenia. Mówiono nawet, że sympatyzowali z lewicowym odłamem IRA i przez kilka lat potajemnie przesyłali im pieniężne dotacje.

— Też to słyszałem. Nigdy jednak nic nie udowodniono. Z tego co wiadomo wynika, że było to polityczne oszczerstwo. Cóż, prawda jest taka: mamy czterech podejrzanych, spośród których nie jesteśmy w stanie wyłonić sprawcy.

— Mała poprawka.

— Jaka?

— Sześciu podejrzanych.

— Franz, George, Roger, Claude...

— I ja.

— Wykluczyłem cię.

— Nie powinienes.

— Przestań się wygłupiać.

— Mówię poważnie — zapewnił Pete.

— Przecież po rozmowie, którą odbyliśmy...

— Czy jest jakieś prawo mówiące, że psychopata nie może być dobrym aktorem?

Harry przyjrzał mu się, próbując odczytać wyraz jego twarzy. Nagle czający się w niej odcień wrogości przestał się wydawać jedynie efektem specyficznie odbitego światła latarki.

— Zaczynasz mnie wkurzać, Pete.

— To dobrze.

— Wiem, że powiedziałeś prawdę — jesteś w porządku. Z tego co mówisz wynika jednak, że nie powinienem wierzyć nikomu ani przez moment, nawet jeśli znam kogoś jak własnego brata.

— Dokładnie. I to dotyczy nas obu. Dlatego ciebie również umieściłem na liście podejrzanych.

— Co? Mnie?

— Znajdowałeś się razem z nami przy trzecim szybie.

— Ale to przecież ja go znalazłem, gdy wróciliśmy.

— I to właśnie ty wyznaczałeś strefy poszukiwań. Mogłeś przydzielić sobie obszar, na którym się znajdował, po to, aby upewnić się, że będzie martwy, zanim go „znajdziesz”. Breskin nadszedł akurat, zanim zdążyłeś załatwić Briana.

Harry wpatrywał się w niego.

— A jeśli jesteś mocno stuknięty — kontynuował Pete — mogłeś się nawet nie zorientować, że drzemie w tobie morderca.

— Chyba nie sądzisz, że byłbym w stanie kogoś zabić?

— Jest to mało prawdopodobne, ale widywałem niewinnie wyglądających ludzi, którzy ukrywali w sobie znacznie poważniejsze psychozy.

Chociaż wiedział, że Pete specjalnie posługiwał się jego własną bronią, dając mu posmakować, jak czuje się ktoś, kogo podejrzewa się o próbę morderstwa, jednak Harry poczuł ból powracającego napięcia w karku i ramionach.

— Wiesz, co jest dla was wszystkich charakterystyczne — mam na myśli Kalifornijczyków?

— Tak, to że swoim dobrym samopoczuciem i wrodzonym optymizmem wprawiamy w kompleksy was, bostończyków, którzy jesteście wiecznie pochmurni i niezadowoleni z życia.

— Właściwie to chodziło mi o to, że te wszystkie trzęsienia ziemi, pożary, lawiny błota, zamieszki uliczne i mordercy doprowadzili was w końcu do obłądu.

Uśmiechnęli się do siebie.

— Lepiej wracajmy — powiedział Harry.

Po nocnym niebie, na dużej wysokości, sunęły w pewnej odległości od siebie dwie rakiety sygnalizacyjne, a wzdłuż linii, na której lśniący lodowy klif łączył się z wodami oceanu, tam i z powrotem przesuwało się światło reflektora.

Nawietrzna ściana góry lodowej nie była tak potężna i stroma, jak pionowe urwisko po stronie zawietrznej. Trzy postrzępione lodowe półki nieprzerwanym ruchem zbliżały się do powierzchni morza i unosiły do góry. Każda z nich miała około ośmiu do dziesięciu metrów szerokości. W sumie sterczały dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów ponad linią wody. Klif wznosił się powyżej półek na odcinku kilkunastu metrów pod pewnym kątem, a następnie jego linia załamywała się obok wąskiego występu. Ponad występem ściana urwiska wznosiła się pionowo aż do samej krawędzi.

— Do tych półek mogłyby dobić pontony — stwierdził Żuków, przyglądając się powierzchni lodu przez lornetkę. — I nawet niewyszkoleni ludzie byłiby w stanie wdrapać się na ten klif. Ale nie przy takiej pogodzie.

Gorow z trudem go słyszał poprzez odgłosy gwałtownego sztormu i rytmiczne kołysanie okrętu na wysokich falach.

Po stronie nawietrznej morze było znacznie bardziej wzburzone, niż w miejscu osłoniętym od wichury przez strome zbocza dryfującej góry. Olbrzymie fale roztrzaskiwały się o poszarpany klif. Bez trudu przewróciłyby łódź ratunkową średniej wielkości i rozdarłyby napędzany silnikiem ponton z *Pogodina* na strzępy. Nawet okręt podwodny, pomimo silników o mocy czterdziestu tysięcy koni mechanicznych i wyporności sześciu tysięcy pięciuset ton, z trudem posuwał się w ustalonym kierunku. Dziób co chwilę znikał pod wodą, a kiedy się z niej wynurzał, przypominał zwierzę zmagające się z wchłaniającym je bagniskiem. Fale uderzały o pokład z dziką zawziętością, przewalały się przez kadłub, rozbryzgiwały się o nadbudówkę, zalewając mostek i wyrzucając wysoko ponad głowę Gorowa fontanny kropli. Skafandry wszystkich trzech mężczyzn były całkowicie

pokryte lodem: mieli lodowe buty, lodowe spodnie i kurtki.

Okrutny wiatr wiał z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, a w porywach anemometr pokładowy rejestrował szybkość nawet o połowę większą. Tumany śniegu były jak roje pszczoł; kłuły Gorowa w twarz i wyciskały z oczu łzy.

— Opłyniemy górę dookoła i wrócimy na zawietrzną stronę — krzyczał kapitan, mimo że trzej mężczyźni stali na małym mostku, praktycznie stykając się ramionami. Aż za dobrze pamiętał gładki, wysoki klif, który ponownie mieli zobaczyć z drugiej strony, ale nie miał innego wyboru. Ściana nawietrzna nie dawała żadnej nadziei na przeprowadzenie skutecznej akcji.

— Co zrobimy, gdy już będziemy po drugiej stronie? — zapytał Żuków. Gorow przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

— Wystrzelimy linę. Za jej pomocą przedostaną się tam ludzie. Użyją w tym celu podwieszanych szelek asekuracyjnych.

— Wystrzelimy linę? — Żuków nachylił się w stronę kapitana, tak że ich twarze prawie się dotykały, i wykrzyczał swoje wątpliwości, które w głębi duszy podzielał także Gorow:

— Nawet gdyby udało się zaczepić linę o lód, to czy można taką operację przeprowadzić, gdy obydwa obiekty się poruszają?

— Jeśli się bardzo chce... Może się uda. Nie wiem. Musimy spróbować. Od tego zaczniemy.

Gdyby za pomocą zawieszonych na linie szelek udało się przetransportować kilku ludzi z pokładu łodzi do stromej powierzchni klifu, mogliby oni wysadzić fragment urwiska, tworząc niszę, do której przybiłyby pontony. Następnie byłoby prawdopodobnie w stanie wystrzelić linę na samą górę. Dzięki niej mogliby bez trudu wspiąć się na szczyt urwiska.

Żuków spojrział na zegarek.

— Trzy i pół godziny! — zawołał, przekrzykując potężną wichurę. — Lepiej bierzmy się do roboty.

— Opuścić mostek! — rozkazał Gorow. Dał sygnał do zanurzenia.

Gdy po chwili znalazł się w centrum dowodzenia, usłyszał meldunek podoficera:

— Zielona tablica kontrolna!

Żuków i Semiczastny poszli już do swoich kabin, aby przebrać się w suche ubrania.

Gdy Gorow zszedł po drabince, wykruszając przy okazji z wierzchniej odzieży odłamki lodu, zwrócił się do niego oficer obsługujący stery zanurzenia:

— Kapitanie?

— Idę się przebrać. Zanurz okręt na dwadzieścia pięć metrów i płyn z powrotem na zawietrzną stronę góry.

— Rozkaz.

— Za dziesięć minut przejmę komendę.

— Tak jest.

W swojej kabinie, po zmianie wilgotnego i zmrożonego skafandra na suchy mundur, Gorow usiadł w kącie przy biurku i wziął do ręki fotografię swojego syna. Wszystkie osoby na zdjęciu były uśmiechnięte: akordeonista, Gorow i Kola. Uśmiech chłopca był najszerszy — szczery, nie przygotowany specjalnie na widok aparatu. Trzymał tatę za rękę. W drugiej dłoni miał kubek z dwiema gałkami lodów waniliowych, z których pomiędzy jego palcami spływały niewielkie, roztopione strużki. Lód zmroził jego górną wargę. Prawe oko zakrywał kosmyk gęstych, rozwiewanych przez wiatr jasnych włosów. Nawet z płaskiej, dwuwymiarowej fotografii biła aura miłości, szczęścia i zadowolenia, jaką zawsze emanowało dziecko.

— Przysięgam, że przypląnąłem najszybciej jak tylko się dało — wyszeptał Gorow do fotografii.

Chłopiec patrzył, uśmiechając się.

— Wydostanę tych ludzi z góry lodowej przed północą — Gorow z trudem rozpoznawał swój własny głos. — Koniec z wysadzaniem na brzeg zamachowców i morderców. Trzeba ratować życie ludzkie, Kola. Wiem, że jestem w stanie to zrobić. Nie pozwolę im umrzeć. Przysięgam to.

Ścisnął fotografię tak mocno, że aż zbladły mu opuszki palców.

W kabinie panowała dojmująca cisza, gdyż była to cisza innego świata, do którego odszedł Kola. Głusza pozostała po utracie ukochanej osoby i nie spełnionej przyszłości — marzeniach, które już nigdy się nie miały zrealizować.

Ktoś gwizdząc przeszedł obok drzwi Gorowa.

Gorow otrząsnął się i usiadł prosto, jak gdyby gwizd był uderzeniem w twarz; nagle zrozumiał, jak bardzo się nad sobą rozczulił. Poczul się upokorzony. Sentymentalizm nie pomoże mu pogodzić się ze stratą. Rozrzewnianie się jest niszczeniem dobrych wspomnień o zawsze uśmiechniętym, pogodnym chłopcu.

Gorow, rozeźlony na siebie, odłożył fotografię. Wstał i wyszedł z kabiny.

Porucznik Timoszenko miał już od czterech godzin przerwę w pełnieniu obowiązków. Zjadł kolację i uciał dwugodzinną drzemkę. Obecnie, o dwudziestej czterdzieści pięć, piętnaście minut przed czasem, zajął swoje stanowisko w kabinie telekomunikacyjnej, przygotowując się do objęcia ostatniej w tym dniu wachty, kończącej się o pierwszej w nocy. Sprzęt obsługiwał jeden z jego podwładnych, podczas gdy sam Timoszenko usiadł w kącie przy biurku, czytając kolorowy magazyn i popijając z aluminiowego kubka gorącą herbatę.

Z korytarza wszedł kapitan Gorow.

— Poruczniku, sądzę, że nadeszła pora, aby nawiązać bezpośredni kontakt radiowy z ludźmi na górze lodowej.

Timoszenko odstawił herbatę i wstał.

— Kapitanie, czy ponownie będziemy wypływać na powierzchnię?

— Za kilka minut.

— Chce pan z nimi rozmawiać?

— Pozostawię to panu, poruczniku — odpowiedział Gorow.

— Co powinienem im powiedzieć?

Gorow szybko wyjaśnił, co zobaczyli okrążając lodową wyspę: po nawietrznej stronie potężnie wzburzone sztormem morze, a po zawietrznej gładką, pionową ścianę; nakreślił mu również plany akcji z użyciem liny i podwieszanych szelek.

— Powiedz im, że od tej pory będziemy ich informować o naszych postępach w przygotowaniach do operacji — lub ich braku — w zależności od aktualnej sytuacji.

— Rozkaz.

Gorow odwrócił się do wyjścia.

— Kapitanie? Z pewnością o to zapytają — czy uważa pan, że mają duże szanse na uratowanie?

— Nie. Dużych nie mają. Niemniej jednak jest to realne.

— Powinienem być z nimi szczerzy?

— Tak będzie najlepiej.

— Rozkaz.

— Niech pan im również powie, że o ile jest to w ludzkiej mocy, uda nam się — w taki czy inny sposób. Bez względu na wszelkie trudności, choćbyśmy sobie mieli wypruć flaki, będziemy się starali wyciągnąć ich stamtąd. Nigdy wcześniej w życiu nie byłem tak zdeterminowany, jak w przypadku tej akcji. Proszę im to koniecznie powiedzieć, poruczniku.

20:57

Harry był zdumiony, słysząc swój ojczysty język, którym tak płynnie posługiwał się rosyjski operator krótkofalówki — marynarz wystawiał się, jakby ukończył studia na niezłym brytyjskim uniwersytecie. Angielski był oficjalnym językiem używanym podczas ekspedycji Edgeway, podobnie jak to się działo w przypadku jakichkolwiek innych międzynarodowych wypraw o charakterze naukowym. Jednak w jakiś dziwny sposób fakt, że rosyjski marynarz mówił tak doskonale po angielsku, wydawał się zaskakujący. Ale stopniowo, gdy Timoszenko wyjaśniał, dlaczego postanowili zbliżyć się do góry lodowej od strony zachodniej, Harry zaczął się przyzwyczajać do jego nienagannego brytyjskiego akcentu.

— Jeśli góra ma pięćset metrów szerokości — powiedział Harry — dlaczego wasi ludzie nie mogą na nią wejść z boku, z jednej albo drugiej strony?

— Niestety, morze jest tam równie wzburzone jak po stronie nawietrznej.

— Ale ten pomysł z podwieszanymi szelkami — z powątpiewaniem mówił Harry — będzie raczej trudny do zrealizowania w przypadku konieczności połączenia dwóch poruszających się obiektów, zwłaszcza przy takiej pogodzie.

— Jesteśmy w stanie zsynchronizować naszą prędkość z dryfem góry lodowej, tak że lina będzie napięta, jakby znajdowała się pomiędzy dwoma nieruchomymi punktami. Poza tym wykorzystanie podwieszanych szelek jest tylko jedną z rozważanych możliwości. Jeśli ten sposób nie okaże się skuteczny, wówczas wydostaniemy was inaczej. Nie musicie się o to martwić.

— Czy nie byłoby prościej, żeby do lodu podpłynęli nurkowie? Przecież na pewno macie odpowiedni sprzęt na pokładzie.

— W dodatku mamy do tego doskonale wyszkolonych ludzi — stwierdził Timoszenko. — Jednak nawet po stronie zawietrznej morze jest zbyt wzburzone, aby to zrobić. Fale i prądy morskie uniosłyby ich jak spieniony wodospad.

— Na pewno nie chcemy nikogo narażać na zbyt duże ryzyko z naszego powodu. Nie ma sensu tracić ludzi po to, aby uratować innych. Z tego, co usłyszałem, wynika, że wasz kapitan wie co robi, więc lepiej będzie, jeśli zdamy się na jego decyzje. Czy jest jeszcze coś, co chcielibyście nam powiedzieć?

— Na razie to wszystko — odparł Timoszenko — nie odchodźcie od krótko-

falówki. Będziemy z wami w kontakcie.

Wszyscy, z wyjątkiem Harry'ego i George'a, mieli coś do powiedzenia na temat rozmowy z oficerem łączności *Ilji Pogodina*. Pojawiały się sugestie na temat przygotowań, jakie trzeba podjąć przed planowaną akcją ratowniczą, pomysły co do tego, jak można by ułatwić Rosjanom wspięcie się po stromym klifie — każdy chciał coś wymyślić i jako pierwszy, natychmiast zakomunikować swój plan pozostałym. Jaskinia wypełniona była rozemocjonowanymi głosami, ich echem i echem echa.

Harry starał się ukonkretnić dyskusję tak, żeby nie zamieniła się w bezsensowną paplaninę.

Gdy George Lin zobaczył, że ich podniecenie zaczyna stygnąć i powoli wszystko ucicha, podszedł wreszcie do grupy i stanął naprzeciwko Harry'ego. W końcu też miał coś do powiedzenia i tylko czekał na moment, aż będzie mógł być wyraźnie słyszany.

— Co w tym zakątku świata robi rosyjski okręt podwodny?

— W tym zakątku świata?

— Dobrze wiesz, co mam na myśli.

— Obawiam się, że nie, George.

— To nie jest ich terytorium.

— To obszar wód międzynarodowych.

— Znajdują się bardzo daleko od Rosji.

— W gruncie rzeczy, wcale nie tak daleko.

Twarz Lina wykrzywiła się w grymasie złości, a w jego głosie brzmiało napięcie.

— Ale skąd dowiedzieli się o nas?

— Przypuszczam, że słuchali raportów radiowych.

— Właśnie. Dokładnie — powiedział Lin, jakby udowodnił swoją tezę. Spojrzał na Fischera, a następnie na Claude'a, szukając w ich oczach poparcia. — Nasłuchiwanie raportów radiowych — zwrócił się do Rogera Breskina. — A dlaczego Rosjanie mieliby słuchać komunikatów w tej części świata? — Kiedy Breskin wzruszył ramionami, Lin stwierdził:

— Powiem wam, dlaczego. Z tej samej przyczyny, dla której porucznik Timoszenko tak świetnie mówi po angielsku: *Pogodin* pełni misję szpiegowską. To pieprzony okręt wywiadowczy i taka jest prawda.

— Najprawdopodobniej — przyznał Claude — ale to żadna rewelacja, George. Czy nam się to podoba, czy nie, tak po prostu jest urządzony świat.

— Oczywiście, że to okręt szpiegowski — wtrącił się Fischer. — Gdyby to była łódź transportująca rakiety z głowicami nuklearnymi, wówczas nawet nie ujawniliby się w tym rejonie. Nie zezwolono by im na złamanie tajemnicy wojskowej.

Mamy szczęście, że to okręt szpiegowski, któremu wydano zgodę na podjęcie podobnej akcji.

Lin był najwyraźniej zbity z tropu ich brakiem oburzenia, jednak postanowił zmusić wszystkich do uświadomienia sobie grozy sytuacji, tak jak on sam ją odczuwał.

— Posłuchajcie mnie i pomyślcie przez chwilę. To nie jest tylko okręt szpiegowski — kilka ostatnich słów wymówił ze szczególnym naciskiem; ręce miał rozstawione na boki i kilkakrotnie zamykał je i szeroko otwierał prawie spazmatycznym ruchem. — Na pokładzie mają pontony z silnikami i specjalne systemy lin do transportowania ludzi na ląd. To znaczy, że wysadzają na wybrzeża innych państw sabotażystów albo nawet zamachowców. Może wykonali właśnie desant na wybrzeża naszych krajów.

— Możliwe, że te liny będą zakładane właśnie przez zamachowców i sabotażystów — stwierdził Fischer.

— Nie będzie żadnego zakładania lin! — gwałtownie zareagował George. Jego twarz zaczerwieniła się ze wzburzenia, jakby największego zagrożenia nie stanowiło obecnie mordercze zimno i zbliżająca się eksplozja sześćdziesięciu bomb, lecz pragnący ich uratować Rosjanie. — Zamachowcy i sabotażyści. Jestem tego całkowicie pewien. Te komunistyczne świnię. . .

— Już nie są komunistami — zauważył Roger.

— W ich nowym rządzie wciąż siedzą ci sami starzy bandyci, dawni kryminaliści i mordercy, a kiedy nadejdzie właściwy moment, z powrotem dorwą się do władzy. Lepiej w to uwierzcie. To potworni ludzie — są zdolni do wszystkiego. Wszystkiego.

Pete Johnson znacząco przewrócił oczami.

— Słuchaj, George, jestem pewien, że Amerykanie robią podobne rzeczy. Układy między państwami są obecnie takie, a nie inne, i stało się to swego rodzaju normą postępowania w dzisiejszych czasach. Przecież nie tylko Rosjanie szpiegują swoich sąsiadów.

— To coś więcej niż szpiegowanie — powiedział Lin, dygocąc na całym ciele. — Tak czy siak, nie daje to, do cholery, żadnych podstaw, abyśmy mieli w jakikolwiek sposób sankcjonować działania *Ilji Pogodina!* — i uderzył pięścią lewej ręki w otwartą dłoń prawej.

Brian skrzywił się na widok gestu i spojrzał na Harry'ego.

Harry zastanowił się, czy przypadkiem nie była to ta sama ręka, która zwróciła się przeciwko Brianowi, i ten sam gwałtowny temperament.

— Uspokój się, George — powiedziała Rita, delikatnie kładąc dłoń na ramieniu Lina. — Co masz na myśli mówiąc: „sankcjonowanie”? Trudno się w tym doszukać jakiegoś sensu.

Gwałtownie odwracając się w jej stronę, jakby co najmniej chciała go zaatakować, Lin odparł:

— Czy nie rozumiesz, dlaczego ci Rosjanie chcą nas uratować? W gruncie rzeczy wcale ich nie obchodzi, czy będziemy żyć, czy zginiemy. Nie mamy dla nich żadnego znaczenia. W ich pojęciu jesteśmy niczym. Nie działają z jakichkolwiek humanitarnych pobudek. Interesuje ich tylko propagandowy wymiar całej tej sytuacji. Wykorzystają nas w tym celu. W najlepszym wypadku staniemy się tylko pionkami w ich grze. Użyją nas, aby w całej światowej prasie rozbudzić prorosyjski sentyment.

— To niewątpliwie prawda — przyznał Harry.

Lin odwrócił się do niego w nadziei zjednania sobie sprzymierzeńca.

— Oczywiście, że to prawda.

— Przynajmniej częściowo.

— Nie, Harry. Nie częściowo. To całkowita prawda. Całkowita. I dlatego nie pozwolimy im na to.

— Nie jesteśmy w stanie odrzucić ich pomocy — stwierdził Harry.

— Chyba że mielibyśmy tu zostać i zginąć — dodał Roger Breskin. Jego głęboki głos, chociaż wyprany z emocji, nadał temu prostemu stwierdzeniu wymiar złowieszczej przepowiedni.

Cierpliwość Pete'a w stosunku do Lina wyczerpała się.

— Czy o to ci chodzi, George? Czy całkowicie straciłeś rozum? Chcesz tu pozostać i zginąć?

Lin przecząco potrząsnął głową. Był wzburzony.

— Ale przecież sami musicie rozumieć...

— Nie.

— Czy nie zdajecie sobie sprawy...?

— Z czego?

— Kim oni są i czego chcą? — powiedział Chińczyk tak nieszczęśliwym głosem, że Harry'emu zrobiło się go żal. — To... to są...

Pete powtórzył swoją konkluzję:

— Chcesz tu pozostać i zginąć? Do tego sprowadza się cała sprawa. O nic innego tu nie chodzi. Czy chcesz koniecznie umrzeć?

Lin poruszył się niespokojnie, rozejrzał się po ich twarzach szukając poparcia i opuścił wzrok.

— Nie. Oczywiście, że nie. Nikt nie chce umierać. Ja po prostu... po prostu... Przepraszam. Wybaczcie mi. — Odszedł w odległy kąt jaskini i zaczął chodzić tam i z powrotem, tak jak to robił wcześniej, kiedy zawstydziło go, w jaki sposób potraktował Briana.

Nachylając się w stronę Rity, Harry wyszeptał:

— Spróbuj z nim porozmawiać.

— Dobrze — powiedziała z szerokim, teatralnym uśmiechem. — Porozmawiamy na temat międzynarodowego spisku komunistów.

— No, no.

— Jest takim czarującym rozmówcą.
— Wiesz, o co mi chodzi — powiedział Harry, konspiracyjnie zniżając głos.
— Podnieś go trochę na duchu.
— Chyba nie jestem dostatecznie silna.
— Jeśli tobie się nie uda, to już nikomu. Śmiało — powiedz mu o swoim własnym lęku, opisz, jak zmagasz się z nim każdego dnia. Nikt z nich nie wie, jak trudno jest ci tutaj przebywać; jakiemu wyzwaniu musisz codziennie sprostać. Słyszac to, George może znajdzie w sobie dość odwagi, aby stawić czoło własnemu strachowi.
— Jeśli to on dokonał zamachu na Briana, nic mnie nie obchodzą jego lęki.
— Nie wiemy, czy to George.
— W takim razie pewnie potwór z Loch Ness.
— Rita, proszę cię.
Westchnęła, dając do zrozumienia, że ustępuje, i poszła do drugiego końca jaskini, porozmawiać z George'em Linem.
Pozostali polarnicy stali bliżej wyjścia. Harry podszedł do nich.
Roger Breskin wyciągnął zegarek z zapinanej na zamek kieszeni kurtki.
— Pięć po dziewiątej.
— Niecałe trzy godziny — stwierdził Claude.
— Czy to jest wykonalne w ciągu trzech godzin? — zapytał Brian. — Czy będą w stanie dotrzeć tutaj i ewakuować nas, mając na to tylko trzy godziny?
— Jeśli nie będą w stanie — odparł Harry, próbując rozluźnić atmosferę — to chyba nieźle się wkurzę.

21:10

Emil Żuków wszedł na mostek, niosąc termos pełen gorącej herbaty i trzy aluminiowe kubki.

— Czy zamontowali już wyrzutnię?

— Jeszcze kilka minut — odparł Gorow. Trzymał jeden z kubków, podczas gdy pierwszy oficer nalewał herbatę.

W jednej chwili noc zaczęła pachnieć ziołami, cytryną i miodem. Nikita Gorow poczuł, jak ślina napływa mu do ust. Wtedy wiatr owiał aromatyczny obłok, zamienił go w chmurę lśniących kryształków i unióśł ze sobą. Gorow uśmiechnął się, pijąc łyk wywaru. Herbata zdążyła już nieco ostygnąć, zachowała jednak na tyle ciepła, aby położyć kres dreszczom przebiegającym mu po plecach.

Poniżej mostka, w przedniej części dolnego pokładu, oświetleni przez cztery lampy awaryjne pracowali trzej marynarze, przygotowując specjalną wyrzutnię, za pomocą której mieli wystrzelić w stronę góry lodowej rzutkę. Wszyscy trzej byli ubrani w czarne, termoizolacyjne, impregnowane kombinezony, z zamocowanymi do pasa specjalnymi ogrzewaczami. Ich głowy ochraniały gumowe kaptury i duże maski do nurkowania. Każdego z marynarzy ubezpieczała stalowa linka asekuracyjna przymocowana do przedniego luku ewakuacyjnego, na tyle długa, aby zapewnić swobodną pracę, lecz zbyt krótka, żeby umożliwić wypadnięcie za burtę.

Wyrzutnia, chociaż nie była bronią ofensywną, wyglądała jednak bardzo dziwnie i na nie wtajemniczonej osobie mogła nawet sprawiać wrażenie miotacza pocisków z ładunkiem nuklearnym; wysoka prawie jak obsługujący ją ludzie, ważąca sto siedemdziesiąt kilogramów, składała się z trzech — w tej chwili zespolonych — elementów. Na kwadratowej podstawie konstrukcji, przymocowanej do czterech metalowych pierścieni wystających z pokładu, znajdował się silnik służący do przesuwania zawieszonych na linie szelek. *Pogodin* został wyposażony w owe pierścienie od czasu, kiedy zaczął wysadzać na wybrzeża obcych krajów agentów specjalnych. Główny element wyrzutni, przypominający fragment kolumny, łączył się z podstawą za pomocą umożliwiającej swobodne obracanie obrazy; znajdował się na niej właściwy mechanizm wyrzutni, uchwyt dla obsługującego oraz bęben z rzutką. Ostatnią część wyrzutni stanowiła długa lufa o kalibrze

dziesięciu centymetrów. Trzyosobowy zespół właśnie osadzał ją w gnieździe. Na początku lufy znajdował się celownik z noktowizorem. Całość urządzenia sprawiała wrażenie, jakby można było za jego pomocą przebić pancierz czołgu, jednak w rzeczywistości nie było ono w warunkach bitewnych groźniejsze od dziecięcego straszaka.

Pokład w niektórych miejscach stawał się chwilami prawie suchy, jednak zdarzało się to tylko sporadycznie i trwało niezwykle krótko. Za każdym razem, kiedy dziób zderzał się z falami, całą przednią część okrętu zalewała woda. Rozjaśnione kawałkami lodu i białymi kołnierzami zmrożonej piany zimne, ciemne morze wdzierало się na pokład, przelewając się pomiędzy nogami marynarzy, uderzając o ich uda i zanurzając ich po pas, zanim powtórnie ustąpiło. Gdyby *Ilja Pogodin* znajdował się po nawietrznej stronie góry lodowej, potężne sztormowe fale zakryłyby ludzi, bezlitośnie rzucając nimi o stalowe poszycie statku. Osłonięci jednak przed impetem wichury, odpowiednio przygotowując się przed każdym zanurzeniem dziobu, byli w stanie utrzymać się na nogach i kontynuować pracę nawet wtedy, gdy dookoła nich kotłowała się woda, a w chwilach, kiedy pokład się wynurzał, nadrabiali stracony czas, wykonując swoje zadanie ze zdwojoną szybkością.

Najwyższy z trzech marynarzy odszedł od wyrzutni, spojrzął w kierunku mostka i zasygnalizował kapitanowi, że wszystko jest już gotowe.

Gorow wylał resztkę herbaty. Podał kubek Żukowowi.

— Zawiadomcie centrum dowodzenia, poruczniku.

Jeśli jego plan zainstalowania wyciągu linowego miał się powieść, okręt musiał precyzyjnie zsynchronizować swoją prędkość z dryfem góry lodowej. W przeciwnym wypadku, gdyby jeden obiekt zaczął płynąć szybciej od drugiego, lina mogłaby się mocno naciągnąć, naprężyć i pęknąć, zanim zdążyliby odwinąć dodatkowy zwój.

Gorow spojrzął na zegarek. Piętnaście po dziewiątej. Minuty mijały zbyt szybko.

Jeden z przebywających na przednim pokładzie ludzi zdjął z wylotu lufy zabezpieczenie, chroniące ją przed wilgocią, a drugi z nich załadował pocisk.

Nabój mający pociągnąć za sobą rzutkę był prosty w konstrukcji — wyglądał raczej jak fajerwerk: miał siedemdziesiąt centymetrów długości, a średnicę około pięciu. Unosząc za sobą nylonowo-stalową linę, eksploduje w chwili uderzenia o ścianę klifu i wstrzeli w lód dziesięciocentymetrowy boleć.

Pocisk ten mógł wbić się głęboko nawet w litą skałę, praktycznie zrastając się z otaczającym materiałem dzięki wysuwającym do tyłu kolcom, zabezpieczającym go przed wyrwaniem. Scalony z granitem, wapieniem lub choćby z nietrwałym łupkiem ilastym — o ile skała miała odpowiednio zwartą strukturę — boleć stanowił solidne zakotwiczenie. Mając pewność co do trwałego zamocowania drugiego końca liny, można było za jej pomocą przedostać się na przeciwległą stronę, choć-

by zawieszając się na niej rękami. W zależności od kąta nachylenia, istniała możliwość wykorzystania specjalnych szelek, poruszających się na dwóch, pokrytych teflonem, stalowych kółkach z głębokimi rowkami, które zawieszano na linie, podciąganej do góry na ręcznym dźwigu. Bez względu na zastosowaną metodę, jeden z ludzi zawsze był w stanie przenieść na drugą stronę specjalnie wzmocniony blok i zainstalować tam jeszcze bezpieczniejszy system dzięki zastosowaniu liny odpornej na silne naprężenia.

Gorow pomyślał, że niestety tym razem mieli do czynienia nie z granitem, wapieniem ani nawet łupkiem, a to wprowadzało duży element ryzyka. Zaczep mógł nie wstrzelić się w lód w odpowiedni sposób. Istniała również obawa, że nie wczepi się w niego równie mocno, jak we wszelkiego rodzaju skały.

Jeden z marynarzy podszedł do wyrzutni, przykładając dłoń w pobliżu spustu. Przy pomocy dwóch pozostałych ludzi ustalił odległość i odczytał prędkość wiatru. Namierzany rejon znajdował się dziesięć metrów ponad linią wody. Semiczastny oznaczył go światłem reflektora. Biorąc poprawkę na wiatr, strzelec wycelował w lewą część jasnego koła.

Żuków wystrzelił dwie rakiety sygnalizacyjne.

Gorow uniósł noktowizor. Spojrzał na zaznaczony fragment klifu.

Przez szum wiatru przebił się donośny huk.

Jeszcze zanim dźwięk zdążył ucichnąć, pocisk eksplodował pięćdziesiąt metrów dalej, przy ścianie klifu.

— Celny strzał — zauważył Żuków.

Klif zaczął pękać przy akompaniamencie odgłosów przypominających salwy armatnie. Od miejsca, gdzie uderzył pocisk, promienistymi zygzakami, we wszystkich kierunkach rozchodziły się liczne szczeliny. Początkowo lód zadygotał, marszcząc się jak galareta, a następnie runął jak rozbita szyba okienna. Potężna biała ściana ześliznęła się z krawędzi góry i gwałtownie upadła do morza, rozbryzgując w górę lśniące fontanny wody.

Wraz z lodem spadła lina wyciągu.

Fala o wysokości siedmiu metrów przebiegła pobliski obszar otwartego morza, nacierając na lewą burtę okrętu jak wielki, bezkształtny potwór. Było. zbyt mało czasu na wykonanie jakiegokolwiek manewru. Jeden z marynarzy głośno krzyknął, widząc miniaturowe tsunami roztrzaskujące się o pokład z siłą zdolną wyrzucić *Pogodina*. Wraz z wyrzutnią wszyscy trzej zniknęli w czarnych odmętach. Mroźny ocean eksplodował uderzając w nadbudówkę, wysoko w ciemność nocy wystrzeliły błyszczące gejzery wody, która przez chwilę zawisała w powietrzu naigrawając się z prawa ciężkości, a następnie runęła na mostek. Unoszone z nią odłamki lodu — niektóre wielkości męskiej pięści — zasypały stalowe poszycie, okładając Gorowa, Żukowa i Semiczastnego.

Woda wylała się przez luki odpływowe i okręt powrócił do normalnej pozycji. Druga fala uderzyła ich już ze znacznie mniejszą siłą niż pierwsza.

Na głównym pokładzie leżeli trzej marynarze. Gdyby nie linki asekuracyjne, prawdopodobnie zostaliby zmyci za burtę. Teraz wstawali jeden po drugim.

Gorow ponownie popatrzył przez lornetkę na górę lodową.

— Niech to diabli. . . ściana w dalszym ciągu jest zbyt stroma.

Potęźna lawina w niewielkim stopniu zmieniła topografię klifu po zawietrznej stronie dryfującej wyspy. Zostało po niej dwustumetrowe osuwisko, jednak nawet ono miało formę stromej ściany, idealnie gładkiej, bez jakichkolwiek półek czy występów albo szerokich szczelin, które mogłyby ułatwić wspinaczkę. Klif schodził pionowo do wody, podobnie jak przed odpaleniem pocisku: nie było najmniejszej choćby niszy lub wystającej płaszczyzny, do której ponton mógłby dobić i przycumować.

Gorow opuścił lornetkę. Zwracając się ponownie do trzech marynarzy pozostających na głównym pokładzie, wydał polecenie rozmontowania wyrzutni i zejścia pod pokład.

— Moglibyśmy podpłynąć bliżej, a następnie wysłać dwóch ludzi na pontonie — powiedział Żuków z przygnębieniem w głosie — dostosowaliby swoją prędkość do prędkości dryfu góry, a potem spróbowaliby się do niej jakoś przykocować, dając się swobodnie holować. Wtedy ponton posłużyłby jako platforma dla wspinaczy, którzy. . .

— Nie. To zbyt niestabilne — stwierdził Gorow.

— Albo mogliby wziąć ze sobą ładunki wybuchowe i wysadzić fragment lodu, tworząc półkę, z której bylibyśmy w stanie przeprowadzić dalszą część akcji.

Gorow potrząsnął głową.

— Nie. To wyjątkowo ryzykowny plan; coś w rodzaju próby uchwycenia się pędzącego pociągu podczas jazdy na rowerze, aby zaoszczędzić sobie wysiłku pedałowania. Łód oczywiście nie porusza się tak szybko jak pociąg, ale problemy stwarza wzburzone morze i wiatr. Nikogo nie wyślę na tę samobójczą wyprawę. Miejsce do przycumowania musi być gotowe, zanim pontony dopłyną do lodu.

— Co w takim razie robimy?

Gorow przetarł gogle wierzchem zmrożonej rękawicy. Jeszcze raz dokładnie przyjrzał się klifowi przez lornetkę. W końcu rozkazał:

— Powiedzcie Timoszence, żeby nawiązał łączność z polarnikami z Edgeway.

— Rozkaz, kapitanie. Co ma im zakomunikować?

— Niech się dowie, gdzie jest zlokalizowana ich jaskinia. O ile znajduje się w pobliżu zawietrzego brzegu góry. . . Hmm, może to nie będzie konieczne, ale jeśli jest blisko strony zawietrznej, wówczas powinni ją natychmiast opuścić.

— Opuścić? — zapytał Żuków.

— Chcę zobaczyć, czy będę w stanie stworzyć odpowiednie miejsce do przy-

cumowania, jeżeli za pomocą torpedy wysadzę podstawę klifu.

— Wyjdźcie już stąd wszyscy — nalegał Harry. — Muszę powiadomić Gunvalda, co się tutaj dzieje. Wyniosę radio na zewnątrz, jak tylko z nim porozmawiam.

— Ale Larsson z pewnością słuchał wszystkich rozmów, które odbyłeś z Rosjanami — powiedział Franz.

Harry pokiwał głową.

— Być może. Ale jeśli nie, to powinien poznać ich treść.

— Masz na to jeszcze tylko kilka minut — martwiła się Rita. Chwyła go za rękę, jakby chciała wyciągnąć go ze sobą z jaskini bez względu na jego ewentualny opór. Ale natychmiast wyczuła, że miał jeszcze jeden, nawet ważniejszy powód, dla którego pragnął skontaktować się z Gunvaldem, a przy tym nie chciał ujawniać go przed innymi. Spojrzeli na siebie ze zrozumieniem. — Tylko kilka minut — powiedziała Rita. — Pamiętaj. Nie zacznij z nim przypadkiem plotkować o starych przyjaciółkach.

Harry uśmiechnął się.

— Nigdy nie miałem żadnych starych przyjaciółek.

— Tylko młode?

Do dyskusji włączył się Claude.

— Harry, naprawdę myślę, że nie powinienes. . .

— Nic się nie martw. Obiecuję wyjść na zewnątrz na długo przed rozpoczęciem całej tej strzelaniny. A teraz wszyscy wychodźcie. No, prędko.

Lodowa grota nie znajdowała się ani w pobliżu zawietrznej ściany góry, ani w okolicy jej środka, gdzie według słów rosyjskiego łącznościowca miała uderzyć torpeda. Niemniej jednak jednogłośnie postanowili przenieść się do pojazdów śnieżnych. Wstrząs powstały w wyniku eksplozji z pewnością przemieścił się z jednego końca dryfującej wyspy na drugi i setki połączonych bloków lodu, formujących sklepienie jaskini, mogły poddać się tej wibracji.

Gdy tylko pozostał sam, Harry ukląkł przy nadajniku i wezwał Gunvalda.

— Słyszę cię, Harry. — Głos Gunvalda był odległy, słaby i częściowo zagłuszony przez szum w eterze.

— Czy słuchałeś moich rozmów z Rosjanami? — zapytał Harry.

— Niewiele z nich mogłem usłyszeć. Na skutek sztormu występują silne zakłócenia, a poza tym z każdą minutą coraz bardziej oddalacie się ode mnie.

— Ale przynajmniej masz ogólny obraz sytuacji — powiedział Harry. — Nie mam czasu rozmawiać na ten temat. Chcę cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobił. Coś, co prawdopodobnie, z moralnego punktu widzenia, uznasz za niewłaściwe.

Tak zwięźle, jak to tylko było możliwe, Harry opowiedział Gunwaldowi Larssonowi o próbie zabicia Briana Dougherty'ego, a następnie szybko wyjaśnił istotę

swojej prośby. Szwed był zaszokowany atakiem na Briana, jednak rozumiejąc potrzebę pośpiechu, nie pytał o dalsze szczegóły.

— To, co chcesz, abym zrobił, nie należy do rzeczy szczególnie przyjemnych — przyznał Larsson — ale w tych okolicznościach...

Szum zagłuszył dalszy ciąg wypowiedzi.

Harry zaklął, spojrzął na wejście do jaskini, ponownie zwrócił się do mikrofonu i powiedział:

— Lepiej to powtórz. Nie zrozumiałem, co mówiłeś.

Przez szumy i trzaski przebijały się tylko strzępki słów: -... powiedziałem, że w zaistniałych okolicznościach... wydaje się konieczne.

— Zrobisz to, prawda?

— Tak. Natychmiast.

— Ile czasu ci to zajmie?

— Jeśli mam się spieszyć... — dalsze słowa zanikły, lecz po chwili głos znowu stał się słyszalny -... biorąc pod uwagę, że to, czego szukam, będzie ukryte... pół godziny.

— W porządku. Ale spiesz się. Zrób to koniecznie.

Gdy Harry odkładał mikrofon, do jaskini wszedł Pete Johnson.

— Człowieku, czy ty jesteś samobójcą? Chyba myliłem się myśląc, że jesteś urodzonym bohaterem. Może po prostu jesteś stuprocentowym masochistą. Spieprzajmy stąd, zanim ten sufit się zawali.

Odłączając mikrofon i wręczając go Pete'owi, Harry stwierdził:

— To mnie nie rusza. Pamiętaj: jestem bostończykiem. A niech się wali to sklepienie. Guzik mnie to obchodzi.

— Może ty nawet nie jesteś masochistą, lecz po prostu jakimś totalnym świrem.

— Oczywiście, tylko szaleńcy decydują się na spędzenie życia za kołem podbiegunowym — powiedział Harry, podnosząc nadajnik za grube, krzyżujące się skórzane paski przymocowane do obudowy.

Postanowił nie wspominać, o co poprosił Gunvalda, ponieważ wziął sobie do serca radę Pete'a. Nie mógł ufać nikomu. Z wyjątkiem siebie. I Rity. I Briana Dougherty'ego.

Wychodząc z jaskini Harry zobaczył, że zamiast płatków śniegu, dookoła zaczynały miotane wiatrem igiełki lodu. Ostre, błyszczące szpilki migotały w światłach reflektorów, tworząc kłęby diamentowego pyłu, który — unoszony w linii horyzontalnej — ocierał się o napotkane na swojej drodze nierówności terenu. Lodowe żądła kłuły odsłonięte fragmenty twarzy Harry'ego, a jego kombinezon momentalnie pokryła przezroczysta, lśniąca skorupa.

Magazyn w Bazie Edgeway składał się z dwóch połączonych ze sobą baraków

wypełnionych narzędziami, częściami zapasowymi, sprzętem, którego aktualnie nie używano, żywnością i innymi niezbędnymi artykułami. Zaraz za drzwiami Gunvald zdjął swoją grubą kurtkę i powiesił ją na drewnianym uchwycie, tuż obok elektrycznego ogrzewacza. Pokrywająca kurtkę skorupa lodu zaczęła zamieniać się w spływającą cienkimi strużkami wodę, jeszcze zanim zdążył zdjąć wierzchnie buty.

Chociaż magazyn nie znajdował się daleko od baraku telekomunikacyjnego, jednak Gunvald zdążył solidnie zmarznąć przedzierając się przez zasypy śniegu, pośród zamieci lodowych igiełek. Obecnie znajdował się w przyjemnie nagrzanym wnętrzu.

Bezszelестnie przeszedł w swoich filcowych butach w drugi koniec pomieszczenia. Miał nieprzyjemne wrażenie, z którego nie był w stanie się otrząsnąć: czuł się jak złodziej grasujący w cudzym domu.

Tyłną część baraku spowijał łagodny mrok. Wnętrze rozświetlała jedynie mała żarówka znajdująca się przy drzwiach, którymi wszedł do środka. Przez moment wydawało mu się, że w ciemnościach czyha na niego jakaś przyczajona postać.

Oczywiście był sam. Jego niepokój zrodził się z poczucia winy. Nie podobało mu się to, co miał za chwilę zrobić, i czuł, że zasługuje, aby go na tym przyłapano.

Wyciągając rękę w ciemności ponad głowę poszukał linki przełącznika i pociągnął za nią. Nie osłonięta stuwatowa żarówka rozjarzyła się zimnym światłem. Kiedy puścił linkę, lampka zakołysała się i w baraku zatańczyły ruchome cienie.

Przy tylnej ścianie stało dziewięć metalowych szafek, wyglądających jak wąskie, postawione na sztorc szkatułki. Na ich szarych drzwiczkach, powyżej trzech otworów wentylacyjnych, widniały białe litery układające się w poszczególne nazwiska i inicjały: H. CARPENTER, R. CARPENTER, JOHNSON, JOBERT i tak dalej.

Gunvald podszedł do szafki z narzędziami i wyciągnął sporych rozmiarów młotek i żelazny łom. Za ich pomocą miał zamiar otworzyć pięć spośród dziewięciu szafek. Chciał się z tym uporać jak najszybciej, wyważając jedne drzwiczki po drugich, zanim zdążyłyby go powstrzymać jakiejkolwiek wątpliwości.

Doświadczenie poprzednich ekspedycji polarnych nauczyło, że każdy człowiek potrzebuje odrobiny przestrzeni — nieważne jak małej, choćby wielkości skrzynki — która byłaby jego i tylko jego; gdzie mógłby przechowywać swoje przedmioty osobiste, i do której nikt, oprócz niego, nie miał prawa dostępu. Było to istotne w ograniczonym środowisku arktycznej stacji badawczej, która została stworzona przy minimalnym nakładzie środków, w czasach kiedy wszyscy liczą się z pieniędzmi. Podczas długiego pobytu w takich warunkach naturalna potrzeba prywatności może doprowadzić przeciętnego człowieka do obsesji.

W Bazie Edgeway nie było prywatnych pokojów czy jednoosobowych sypialni. W większości baraków, oprócz różnorodnego sprzętu, znajdowało się pomieszczenie dla dwóch osób. Szerokie, puste przestrzenie za obozem nie stanowi-

ły miejsca, gdzie ktokolwiek poszukiwałby samotności. Jeśli komuś zależało na życiu, z pewnością nigdy nie wybierałby się tam sam.

Często jedynym sposobem na uzyskanie chwili samotności było wybranie się do jednej z dwóch ogrzewanych toalet znajdujących się przy magazynie. Jednak ukrywanie osobistych przedmiotów w toalecie nie wchodziło w grę.

Bądź co bądź, każdy miał przynajmniej kilka rzeczy, które pragnął zatrzymać wyłącznie dla siebie: listy miłosne, fotografie, pamiątki, zapiski, itp. Nie spodziewał się znalezienia we wnętrzu szafek czegokolwiek, co by go zaszokowało lub mogło zawstydić ich właścicieli. Naukowcy są z reguły mocno stąpającymi po ziemi racjonalistami, którzy raczej nie skrywają przed światem jakichś wyjątkowo mrocznych sekretów. Celem istnienia szafek było zapewnienie każdemu kawałka zupełnie prywatnej przestrzeni, dającej poczucie utrzymania własnej tożsamości w wybitnie klaustrofobicznym otoczeniu, skazującym na ciągłe przebywanie z innymi ludźmi, co mogło prowadzić do pewnych przesileń, napięć psychicznych czy depresji.

Wpychanie prywatnych przedmiotów pod łóżko nie należało do najrozsądniejszych rozwiązań, nawet przy założeniu, że przestrzeń pod materacem należała do wyjątkowo intymnych. Oczywiście nie znaczy to, że uczestnicy ekspedycji nie wierzyli sobie nawzajem. Nie miało to nic wspólnego z zaufaniem. Potrzeba posiadania bezpiecznego skrawka prywatnej przestrzeni była niezwykle głęboka i tylko zamykane metalowe szafki mogły ją zaspokoić.

Gunvald za pomocą młotka roztrzaskał po kolei pięć szyfrowych zamków. Popękane elementy klekotały o podłogę, odbijały się od ścian, i barak rozbrzmiewał odgłosami przypominającymi hałas we wnętrzu zakładów metalurgicznych.

Jeśli wśród uczestników wyprawy Edgeway znajdował się psychopata, jeśli pomiędzy owieczkami nauki grasował przebrany wilk i jeśli istniał jakikolwiek dowód, na podstawie którego można by go zidentyfikować, wówczas jedynym miejscem, gdzie należało zgodnie z logiką szukać poszlaki, były metalowe, zamykane szafki. Harry nie miał co do tego wątpliwości. Gunvald, choć z oporami, przyznał mu rację. Pomiędzy swoimi prywatnymi rzeczami utajony szalenciec, który w otoczeniu uchodził za normalnego człowieka, mógł mieć coś zupełnie innego, niż przedmioty przechowywane zazwyczaj przez zdrowych na umyśle ludzi; coś wskazującego na szczególną manię czy obsesję. Może coś przerażającego. Coś nieprzewidywalnego i tak niezwykłego, że widząc to natychmiast chciałoby się powiedzieć: to należy do wyjątkowo niebezpiecznego wariata.

Wkładając wygięcie łomu w okrągły otwór pozostały po tarczy mechanizmu szyfrującego, Gunvald pociągnął za niego z całej siły, wrywając zamek pierwszej szafki. Metal zazgrzytał, zgiął się, i drzwi zostały otwarte. Nie przerwał, żeby zajrzeć do środka, lecz szybko przystąpił do wyważania czterech następnych drzwi: trrrrach, trrrrach, trrrrach, torach! Gotowe.

Odrzucił łom na bok.

Ręce miał mokre od potu. Wytrzeł je najpierw o termoizolacyjną kamizelkę, a następnie o pikowane spodnie.

Po półminutowej przerwie dla odzyskania oddechu, spośród zgromadzonych przy prawej ścianie licznych pojemników z zapasami podniósł drewnianą skrzynkę z zakonserwowaną żywnością, postawił ją naprzeciw pierwszej szafki i usiadł na niej.

Sięgnął do zasuwanej kieszeni kamizelki po swoją fajkę, jednak zdecydował, że nie będzie jej używał. Dotknął cybucha, ale jego palce cofnęły się i wyjął rękę z kieszeni. Palenie fajki odprężyło go, rozbudzało przyjemne skojarzenia, a obecne poszukiwania z pewnością nie należały do najmilszych momentów w jego życiu. Gdyby skorzystał z fajki, pociągając małego dymka podczas grzebania w zawartości szafek swych kolegów, wówczas... Cóż, miał przecucie, że palenie już nigdy nie sprawiałoby mu takiej przyjemności.

Od kogo zacząć?

Roger Breskin.

Franz Fischer.

George Lin.

Claude Jobert.

Pete Johnson.

Oto pięciu podejrzanych. Wszystkich określiliby mianem dobrych, porządnych ludzi, chociaż niektórzy z nich byli bardziej przyjaźni i otwarci od innych. Ich inteligencja i opanowanie wyrastały ponad przeciętność — inaczej nie mogliby zrobić udanej kariery naukowej związanej z badaniami Arktyki i Antarktydy, gdzie żmudna praca, wymagająca niezwyklej odporności psychicznej i fizycznej, bardzo szybko eliminowała osoby niedostatecznie zrównoważone i niezaradne. Nikt nie kwalifikował się jako prawdopodobny kandydat do miana psychopatycznego zabójcy, nawet George Lin, Wprawdzie podczas obecnej ekspedycji zachowywał się momentami niewłaściwie, jednak zdarzyło się to po raz pierwszy w ciągu jego długiej, godnej podziwu kariery, podczas której wziął udział w licznych wyprawach za krąg polarny.

Zdecydował, że zacznie od Rogera Breskina, ponieważ jego szafka stała jako pierwsza. Wszystkie półki były puste, z wyjątkiem pierwszej, na której leżało kartonowe pudełko. Gunvald wyciągnął pudełko i postawił je pomiędzy swoimi stopami.

Tak jak przypuszczał, Kanadyjczyk nie zgromadził zbyt wiele drobiazgów. W pudełku znajdowały się tylko cztery przedmioty. Laminowana, kolorowa fotografia matki Rogera: kobieta o mocnej szczęce, szerokim uśmiechu, o siwych włosach, nosząca okulary w czarnej oprawce. Zestaw do czesania składający się ze szczotki i grzebienia, wykonany ze srebra, które zdążyło już zmatowieć. Różaniec oraz album wypełniony fotografiami i wycinkami z gazet związanymi ze sportową karierą Breskina, który amatorsko uprawiał podnoszenie ciężarów.

Gunvald zostawił wszystko na podłodze i przesunął drewnianą skrzynkę w lewo. Usiadł przed szafką Franza Fischera.

Okręt podwodny ponownie znajdował się pod wodą. Zanurzony na głębokość peryskopową utrzymywał stałą pozycję, wyczekując na linii przewidywanego kursu góry lodowej.

Stojący na stanowisku dowodzenia Nikita Gorow wpatrywał się w okular peryskopu, trzymając obiema dłońmi jego poziome uchwyty. Chociaż wierzchołek urządzenia wystawał dwa do trzech metrów ponad powierzchnię morza, jednak sztormowe fale rozbijały się o nie, od czasu do czasu ograniczając widoczność. Kiedy woda nie zalewała górnego wizjera, można było dostrzec nocne morze, nieznacznie rozjaśnione przez światło czterech dogasających rakiet sygnalizacyjnych.

Góra lodowa właśnie zaczęła przechodzić w odległości trzystu metrów od okrętu linię dziobu. Jej lśniąca biel wyraźnie odcinała się na tle czerni nocy i morza.

Tuż obok kapitana stał Żuków. Na głowie miał słuchawki, dzięki którym utrzymywał stałą łączność z podoficerem znajdującym się w pomieszczeniu torpedowym, który właśnie mówił:

— Pierwszy luk gotowy.

Na prawo od Gorowa stał młody marynarz wpatrujący się w tablicę z kontrolkami informującymi o stanie urządzeń i włazów w luku torpedowym. Kiedy Żuków, powtarzając wiadomość otrzymaną z pomieszczenia torpedowego powiedział, że właz jest zabezpieczony, marynarz przy konsoli potwierdził:

— Świeci się zielona kontrolka.

— Luk zalany.

— Zalanie jest sygnalizowane — dobiegło od tablicy.

— Właz zewnętrzny otwarty.

— Czerwona kontrolka.

— Osłony luku otwarte.

— Czerwona kontrolka.

Ilja Pogodin pierwotnie nie był okrętem wojennym, lecz wywiadowczym, i nie miał na swoim pokładzie głowic nuklearnych — niemniej jednak w rosyjskim Ministerstwie Marynarki Wojennej uważano, że każda łódź podwodna powinna mieć uzbrojenie umożliwiające, w razie potrzeby, stoczenie walki z przeciwnikiem, i dlatego wyposażono go w dwanaście torped. Każda z nich ważyła ponad półtorej tony i przenosiła ponad trzysta kilogramów niezwykle silnego materiału wybuchowego. *Ilja Pogodin* w razie potrzeby mógł zatopić jednostkę wroga o największych nawet rozmiarach.

— Pierwszy luk gotowy — powiedział ponownie Żuków, gdy po raz kolejny usłyszał w słuchawkach meldunek oficera z pomieszczenia torpedowego.

— Pierwszy luk gotowy — zabrzmiało jeszcze raz.

Nikita Gorow zdał sobie sprawę, że operacja przygotowania i odpalenia torpedy ma w sobie coś z rytuału w zadziwiający sposób przypominającego obrzędy religijne. Być może dlatego, iż zarówno nabożeństwo, jak i wojna w swojej istocie związane są ze śmiercią.

Przed samym końcem litanii w centrum dowodzenia zrobiło się cicho; słychać było tylko stłumiony pomruk maszyn i delikatny szum komputerów.

Po przedłużającej się ciszy, wypełnionej prawie nabożnym wyczekiwaniem, Nikita Gorow rozkazał:

— Namierzyć cel... i... ognia!

— Odpalić pierwszą! — powtórzył Żuków.

Młodszy marynarz spojrział na tablicę kontrolną, gdy torpeda została odpalona.

— Pierwsza poszła.

Gorow nachylił się do wizjera peryskopu i zamarł w pełnym napięcia wyczekiwaniu.

Torpeda została zaprogramowana na stałe utrzymywanie głębokości pięciu metrów, co oznaczało, że dokładnie w takiej odległości od linii wody uderzy w brzeg góry lodowej. Przy odrobinie szczęścia struktura lodu po eksplozji mogła stać się bardziej dostępna, umożliwiając pontonom bezpieczne przycumowanie i dając odpowiednią podstawę do utworzenia bazy wypadowej dla wspinaczy.

Torpeda trafiła w cel.

Czarny ocean uniósł się i wystrzelił u podstawy klifu; przez moment woda zaiskrzyła się żółtawym blaskiem, jakby na powierzchnię wypłynęły węże morskie o lśniących oczach.

Odbite echo eksplozji zatrzęsło zewnętrznym poszyciem statku. Gorow poczuł, jak wibrują blachy pokładu.

Dolna część białego klifu zaczęła się rozpadać. Od kruchej palisady odłamała się bryła wielkości domu, stoczyła się do wody, a za nią runęła lawina popękanego lodu.

Gorow zmarszczył brwi. Wiedział, że materiał wybuchowy nie był na tyle silny, aby w jakikolwiek znaczący sposób uszkodzić górę lodową, nie wspominając o całkowitym rozerwaniu jej na części. Tak naprawdę torpeda mogła z obiektu tej wielkości odłamać tylko niewielki fragment jego struktury. Mimo to przez kilka sekund miało się wrażenie totalnej destrukcji.

Podoficer w przednim pomieszczeniu torpedowym powiedział Żukowowi o zamknięciu wjazdu, a pierwszy oficer przekazał tę wiadomość technikom.

— Świeci się zielona kontrolka — potwierdził jeden z nich.

— Jak to wygląda, kapitanie? — zapytał Żuków, unosząc słuchawkę nad jednego ucha.

— Niewiele lepiej niż poprzednio — odpowiedział Gorow, nie odrywając oczu od peryskopu.

— Żadnego miejsca do przycumowania?

— Raczej nie. Ale lód wciąż się odrywa.

Żuków zamilkł, słuchając przez wewnętrzny system komunikacji meldunków pierwszego oficera.

— Właz zewnętrzny zamknięty.

— Zielona kontrolka.

— Odpompowujemy wodę z pierwszego luku.

Gorow nie wsłuchiwał się w całą serię komend dotyczących sprawdzania poszczególnych zabezpieczeń, gdyż całą uwagę skoncentrował na górze lodowej. Coś było nie tak. Dryfująca wyspa zaczynała się dziwnie zachowywać. A może była to tylko gra wyobraźni? Zmrużył oczy, próbując lepiej dostrzec lodowego kolosa pomiędzy wysokimi falami, które w dalszym ciągu zalewały peryskop. Wydawało się, że obiekt przestał posuwać się na wschód, a wręcz przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby jego „dziób” zaczął się zwracać na południe. Prawie niedostrzegalnie, ledwo, ledwo, ale na południe. Nie. Bzdury. To niemożliwe. Zamknął oczy i powiedział sobie, że ma przywidzenia. Jednak kiedy spojrzał ponownie, był nawet jeszcze bardziej pewien, że...

— Obiekt zmienia kurs! — zameldował technik obsługujący radar.

— To niemożliwe — powiedział zdumiony Żuków. — Nie tak od razu. Przecież ta bryła nie ma własnego napędu.

— Niemniej jednak zmienia kierunek — stwierdził Gorow.

— Ale nie z powodu torpedy. Jedna torpeda — nawet wszystkie nasze torpedy nie byłyby w stanie wywrzeć tak znacznego wpływu na obiekt tej wielkości.

— Zgadza się. Tu zadziało coś innego — powiedział Gorow z troską w głosie. Kapitan odwrócił się od peryskopu. Pociągnął w swoją stronę mikrofon przytworzony do sufitu na elastycznym, stalowym ramieniu i zwracając się zarówno do marynarzy w centrum dowodzenia, jak i załogi w następnym pomieszczeniu łodzi, w którym znajdowała się echosonda, zarządził:

— Zanalizować za pomocą wszystkich przyrządów wodę do głębokości dwustu metrów.

Ze znajdującego się nad jego głową głośnika zabrzmiał zdecydowany, donośny głos:

— Rozpoczęte pełne skanowanie.

Gorow ponownie przytknął oczy do peryskopu.

Celem skanowania było poszukiwanie na tyle silnego prądu morskiego, aby był w stanie wywrzeć wpływ na obiekt tak duży, jak góra lodowa. Za pomocą echosondy o ograniczonym zasięgu, czujników termicznych, specjalistycznych urządzeń nasłuchowych i innych przyrządów służących do badania wód oceanicznych, technicy *Ilji Pogodina* byli w stanie prześledzić ruchy zarówno ciepło-, jak

i zimnokrwistych organizmów morskich znajdujących się zarówno pod okrętem, jak i wokół niego. Ławice niewielkich rybek i miliony milionów kryla — którym żywiło się sporo większych ryb — podlegały działaniu silnych prądów morskich, unoszących je ze sobą, lub żyły w nich z wyboru, zwłaszcza jeżeli owe oceaniczne autostrady charakteryzowały się wyższą temperaturą od otaczającej wody. Gdyby okazało się, że owe masy stworzeń, wraz z grubą warstwą planktonu, poruszają się w jednym kierunku i jeśli oprócz skorelowanego ruchu stwierdzono by obecność innych dodatkowych czynników, wówczas na tej podstawie można by ustalić obecność większego prądu i z dużą dokładnością oszacować prędkość przepływu wody.

Dwie minuty po zarządzeniu przez Gorowa skanowania głośnik interkomu zatrzeszczał ponownie.

— Wykryto silny prąd o kierunku południowym zaczynający się na głębokości stu dziesięciu metrów.

Gorow odwrócił się od peryskopu i nachylił w swoją stronę przymocowany do sufitu mikrofon.

— Na jakiej głębokości się kończy?

— Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, kapitanie. Zbyt wiele w nim żywych organizmów. Sondowanie go, to jak próba spojrzenia przez ścianę. Mamy odczyty z głębokości dwustu dwudziestu metrów, ale to jeszcze nie jest jego dolna granica.

— Z jaką prędkością się przemieszcza?

— Około dziewięciu węzłów, kapitanie.

Gorow zbladł.

— Powtórzcie.

— Dziewięć węzłów.

— To niemożliwe!

— Na litość boską — powiedział Żuków.

Gorow puścił mikrofon, który samoczynnie usunął się do góry, i pospiesznie powrócił do peryskopu. Znaleźli się na ścieżce morskiego monstrum. Potężna wyspa z lodu powoli, ociężała zwracała się zgodnie z kierunkiem nowego prądu, który na razie dochodził do niej prostopadle. Góra w dalszym ciągu obracała się, przesuując „dziób” dookoła, jednak wciąż zwrócona była bokiem do okrętu i miała utrzymać tę pozycję jeszcze przez kilka minut.

— Obiekt się zbliża — zakomunikował technik obsługujący radar. — Pięćset metrów! — odczytał wynik właśnie dokonanego pomiaru.

Zanim Gorow zdążył odpowiedzieć, łódź zatrzęsła się, jak gdyby schwyciła ją gigantyczna ręka. Żuków upadł. Z podświetlanego stołu zsunęły się mapy i wykresy. Trwało to tylko dwie lub trzy sekundy, jednak wszyscy zostali poturbowani.

— Co, do cholery? — zapytał Żuków, podnosząc się na nogi.

— Zderzenie.

— Z czym?

Góra lodowa w dalszym ciągu znajdowała się pięćset metrów od nich.

— Prawdopodobnie z niewielką krą — stwierdził Gorow. Zarządził dokładne zbadanie całego poszycia łodzi i zdanie raportu na temat ewentualnych uszkodzeń.

Wiedział, że nie zderzyli się z dużym obiektem, bo gdyby tak się stało, już by tonęli. Kadłub okrętu wykonano z niehartowanej stali, gdyż musiał mieć odpowiednią elastyczność konieczną do szybkiego przechodzenia, podczas zanurzania i wynurzania, przez obszary wody o różnej temperaturze i ciśnieniu. Dlatego nawet jedna tona lodu — o ile poruszała się z wystarczającą prędkością, dającą jej odpowiednią siłę uderzeniową — wystarczała do wgniecenia poszycia łodzi jak ścianki tekturowego pudełka. Z czymkolwiek się zderzyli, nie mógł to być duży obiekt, chociaż z pewnością wyrządził przynajmniej niewielkie szkody.

Operator radaru meldował o aktualnej pozycji góry lodowej:

— Czterysta pięćdziesiąt metrów; odległość stale się zmniejsza!

Gorow znalazł się w potrzasku. Jeżeli natychmiast nie zanurzy łodzi, dojdzie do kolizji z dryfującą wyspą. Jednak jeśli zejść pod wodę przed stwierdzeniem rozmiarów uszkodzenia, może się okazać, że już nigdy nie będą w stanie wypłynąć na powierzchnię. Po prostu nie mieli już czasu, aby obrócić okręt i odpłynąć na wschód lub zachód — góra lodowa nacierała na nich bokiem, w związku z czym rozciągała się na obszarze ponad ośmiuset metrów. Podmorski prąd o prędkości dziewięciu węzłów, zaczynający się na głębokości stu dziesięciu metrów, nie będzie w stanie odwrócić w ich kierunku węższego brzegu lodowej bryły w ciągu najbliższych kilku minut i Gorow nie zdoła oddalić się poza obręb jej krawędzi, zanim do nich dotrze.

Złożył do góry poziome uchwyty peryskopu, który schował się w hydraulicznej tulei.

— Czterysta dwadzieścia metrów; odległość wciąż się zmniejsza — zakomunikował operator radaru.

— Schodzimy pod wodę! — zarządził Gorow, jeszcze w trakcie, gdy zdawano pierwsze raporty dotyczące uszkodzenia. — Schodzimy pod wodę!

Na całym okręcie rozległ się sygnał informujący o zanurzeniu. Równocześnie z nim rozbrzmiewał dzwonek alarmowy ostrzegający przed niebezpieczeństwem kolizji.

— Zejdziemy pod lód, zanim w nas uderzy — powiedział Gorow. Żuków zbladł. — Przecież on musi sięgać co najmniej dwieście metrów poniżej linii wody!

— Wiem — przyznał Gorow; jego serce łomotało, czuł suchość w gardle. — Nie jestem pewien, czy nam się uda.

Wściekły wicher nieustępliwie atakował stalowe baraki. W ich ścianach zgrzytały nity. O dwa niewielkie okna z potrójnymi szybami uderzały lodowe

szpilki, wydając dźwięk, jakby stukały w nie palce tysięcy chcących wejść do środka nieboszczyków. Ponad polarnymi domkami przewalały się z hukiem i jękiem potężne rzeki mroźnego powietrza.

Gunvald nie znalazł w magazynie nic interesującego, pomimo przeszukania szafek należących do Franza Fischera i George'a Lina. Jeśli któryś z nich miał mordercze zapędy albo w jakikolwiek sposób odbiegał psychicznie od normy, nie można było tego stwierdzić na podstawie jego osobistych rzeczy.

Gunvald przeszedł do szafki Pete'a Johnsona.

Gorow wiedział, że inne narody postrzegały Rosjan jako mrocznych, smutnych, zdecydowanie ponurych ludzi. Oczywiście, pominąwszy historyczną tendencję do narzucania sobie okrutnych władców i przyjmowania wypaczonych ideologii, ów stereotyp był równie pozbawiony prawdy, jak każdy inny. Rosjanie śmiali się, bawili, kochali, pili i wygłupiali się dla żartu jak wszyscy inni ludzie. Większość studentów zachodnich uniwersytetów czytała Fiodora Dostojewskiego i próbowała przebrnąć przez Tołstoja, i na podstawie tych kilku dzieł literackich formowali oni swoje opinie o współczesnych Rosjanach. Gdyby jednak w tej chwili na pokładzie *Ilji Pogodina* znalazło się kilku obcokrajowców, zobaczyliby dokładnie takich Rosjan, jakich kreują stereotypowe wyobrażenia: mężczyźni o pochmurnych twarzach, zmarszczonych brwiach i czołach, wszyscy przygarbieni w głębokim szacunku dla wyroków przeznaczenia.

Złożono pełne raporty na temat uszkodzeń: nie znaleziono żadnych wgłębień w poszyciu statku, nie zauważono przecieku. Wstrząs wystąpił najmocniej w przedniej części kadłuba i najdotkliwiej odczuli go marynarze pracujący w pomieszczeniu torpedowym, dwa poziomy poniżej centrum dowodzenia. Chociaż tablice z kontrolkami bezpieczeństwa nie wskazywały na występowanie jakiegoś bezpośredniego zagrożenia, jednak najwyraźniej na zewnętrznym poszyciu kadłuba wystąpiły pewne uszkodzenia — zaraz na rufie i z prawej strony dziobu, obok sterów zanurzenia, które same wydawały się nietknięte.

O ile nastąpiło zadrapanie zewnętrznego poszycia, lub jeśli zostało ono tylko nieznacznie wygięte, wówczas łódź przetrwa. Jeżeli jednak kadłub został choćby w niewielkim stopniu zgnieciony lub, co gorsza, wykrzywiony w poprzek linii spojenia, mogło to oznaczać, że nie przeżyją zanurzenia na większą głębokość. Zniszczone fragmenty nie oparłyby się ciśnieniu w takim samym stopniu, jak pozostała część poszycia, co doprowadziłoby do powstania silnych naprężeń, których łódź mogła nie wytrzymać i implodować, pogrążając się bezpowrotnie w oceanicznej głębi.

Głos młodego oficera był donośny i — pomimo okoliczności — opanowany.

— Siedemdziesiąt metrów. Kontynuujemy zanurzenie. Operator radaru meldował:

— Kontur obiektu się zwęża; w dalszym ciągu obraca się dziobem zgodnie z kierunkiem nowego prądu.

— Osiemdziesiąt metrów — zakomunikował oficer obsługujący stery zanurzenia.

Musieli zejść co najmniej na głębokość dwustu metrów. Ponad linią wody widniała ściana o wysokości około trzydziestu metrów, a z morza wystawała tylko jedna siódma góry lodowej. Dla bezpieczeństwa Gorow wołał zanurzyć się dwieście trzydzieści metrów poniżej linii wody, chociaż prędkość zbliżania się obiektu minimalizowała szansę na osiągnięcie choćby dwustu w czasie, który umożliwiłby uniknięcie kolizji.

Operator radaru informował o dzielącym ich dystansie:

— Trzysta osiemdziesiąt metrów; odległość się zmniejsza.

— Gdybym nie był ateistą — powiedział Żuków — zacząłbym się modlić.

Nikt się nie zaśmiał. W tym momencie żaden z nich nie był ateistą, nawet Emil Żuków — bez względu na to, co powiedział wcześniej.

Chociaż wszyscy zachowywali się w sposób spokojny i opanowany, Gorow wyraźnie czuł zapach strachu — i nie było to bynajmniej stwierdzenie przesadzone lub podkoloryzowane dla dodania dramatycznego efektu. Lęk ma specyficzną, przenikliwą woń niezwykle cierpkiego potu. Zimnego potu. Prawie każdy z obecnych w pomieszczeniu ludzi był spocony.

— Sto dziesięć metrów — zameldował oficer obsługujący stery zanurzenia.

Operator radaru również informował o pozycji góry lodowej:

— Trzysta pięćdziesiąt metrów; odległość gwałtownie się zmniejsza.

— Sto dwadzieścia metrów.

Zwiększali głębokość w zawrotnym tempie. Kadłub poddany był potężnym naprężeniom.

Chociaż wszyscy koncentrowali się na obsłudze wyznaczonych przyrządów, każdy jednak od czasu do czasu zerkał przez moment na stanowisko przy sterach zanurzenia, które nagle jakby stało się centralnym punktem pomieszczenia. Strzałka na wskaźniku głębokości raptownie opadała — znacznie szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

Sto dwadzieścia sześć metrów.

Sto trzydzieści.

Sto czterdzieści.

Wszyscy na pokładzie wiedzieli, że łódź zaprojektowano z myślą o nagłych i zdecydowanych manewrach, jednak ta wiedza nie przyczyniała się do zmniejszenia czyjegokolwiek napięcia. W ostatnich latach, gdy kraj próbował się podźwignąć z nędzy, w jakiej pozostawiły go dekady rządów totalitarnych, uszczuplono fundusze przeznaczone na obronę — z wyjątkiem pieniędzy na program rozwoju uzbrojenia nuklearnego — i prace związane z konserwacją sprzętu zostały przesunięte na terminy późniejsze, a w niektórych przypadkach nawet na czas nieokre-

ślony. *Pogodin* nie znajdował się w najlepszym okresie swojej egzystencji; była to po prostu starzejąca się łódź podwodna w służbie marynarki wojennej, mogąca jeszcze przez całe lata pełnić swoje obowiązki lub, jeśli w jej poszyciu wytworzy się na skutek ciśnienia pęknięcie, kończąca nieodwołalnie swoją karierę nawet w najbliższym momencie.

— Sto pięćdziesiąt metrów — zameldował oficer obsługujący ster głębokościowy.

— Obiekt w odległości trzystu metrów.

— Zanurzenie sto sześćdziesiąt metrów.

Gorow opierał się przechyłowi pokładu, trzymając się z całych sił barierki przy stanowisku dowodzenia. Czuł ból w ramionach, jego zaciśnięte dłonie zbiegały jak nagie kości.

— Obiekt w odległości dwustu metrów!

— Zaczyna nabierać prędkości — stwierdził Żuków.

— Sto siedemdziesiąt metrów zanurzenia.

Zanurzali się w coraz większym tempie, jednak nie tak szybko, jak tego oczekiwał Gorow. Aby znaleźć się pod górą i poczuć się w miarę bezpiecznie, musieli zejść co najmniej o jakieś sześćdziesiąt metrów niżej.

— Sto osiemdziesiąt.

— W ciągu dziesięciu lat służby tylko dwa razy byłem tak głęboko — stwierdził Żuków.

— Możesz o tym napisać w liście do rodziny — zaproponował Gorow.

— Obiekt oddalony o sto sześćdziesiąt metrów; odległość gwałtownie się zmniejsza! — zawołał operator radaru.

— Sto osiemdziesiąt sześć — meldował oficer przy sterze głębokościowym, chociaż z pewnością wiedział, że wszyscy spoglądają na duży wskaźnik manometru.

Ponieważ *Ilja Pogodin* nie był jedną z nuklearnych łodzi podwodnych mogących osiągać duże głębokości, jego oficjalnie podawane, maksymalne zanurzenie wynosiło trzysta metrów. Oczywiście, jeśli poszycie zewnętrzne ucierpiało podczas niedawnej kolizji, wówczas wszelkie wcześniej ustalone parametry, łącznie z owymi trzystoma metrami, nie miały większej wartości. Uszkodzenie lewej części dziobu mogło uczynić łódź niezdolną do oparcia się implozji nawet na znacznie mniejszej głębokości.

— Obiekt oddalony jest o sto dwadzieścia metrów; odległość wciąż się zmniejsza.

Gorow również przyczyniał się do powstania specyficznej woni w niewielkim pomieszczeniu. Jego koszula zwilgotniała pod pachami i w dolnej części pleców.

Głos oficera obsługującego ster głębokościowy zniżył się prawie do szeptu, jednak wciąż docierał do wszystkich obecnych w centrum dowodzenia.

— Dwieście metrów; zwiększamy zanurzenie.

Twarz Emila Żukowa była wymizerowana jak czaszka nieboszczyka.

— Tak czy owak musimy zaryzykować następne dwadzieścia sześć czy trzydzieści metrów — powiedział Gorow, mocno trzymając się barierki. — Musimy zejść znacznie poniżej dolnej granicy lodu.

Żuków pokiwał głową.

— Dwieście siedem.

Operator radaru starał się mówić opanowanym głosem, niemniej jednak w jego następnym meldunku dało się wyczuć spore napięcie:

— Obiekt oddalony o sześćdziesiąt metrów; odległość gwałtownie się zmniejsza. Ściana lodu przed dziobem — zaraz w nas uderzy.

— Nic z tych rzeczy — ostro uciął Gorow — uda nam się.

— Głębokość dwieście dwadzieścia metrów.

— Obiekt oddalony o trzydzieści metrów.

— Dwieście dwadzieścia sześć.

— Dwadzieścia metrów.

— Dwieście trzydzieści.

— Obiekt zniknął! — powiedział operator radaru, przy ostatnim słowie podnosząc głos o oktawę.

Zamarli w oczekiwaniu na miażdżące kadłub uderzenie.

Byłem głupcem, narażając na szwank życie siedemdziesięciu dziewięciu marynarzy i swoje własne dla ocalenia dziesięciokrotnie mniejszej grupy ludzi, pomyślał Gorow.

— Lód ponad nami — zawołał technik kontrolujący sondę powierzchniową.

Znajdowali się pod dryfującą górą.

— Jaki jest prześwit? — zapytał Gorow.

— Piętnaście metrów.

Nikt nie wydał okrzyku radości — wszyscy byli jeszcze zbyt napięci, pozwolili sobie jednak na głębokie westchnienie ulgi.

— Jesteśmy pod nią — powiedział Żuków ze zdumieniem w głosie.

— Dwieście trzydzieści trzy metry; zwiększamy zanurzenie — powiedział wyraźnie zaniepokojony oficer przy sterze głębokościowym.

— Zatrzymaj zanurzenie na poziomie dwieście czterdziestu — zarządził Gorow.

— Jesteśmy bezpieczni — stwierdził Żuków.

Gorow pogładził swoją starannie przystrzyżoną brodę i stwierdził, że jest mokra od potu.

— Nie. Nie tak całkiem bezpieczni. Jeszcze nie. Żadna góra lodowa nie ma płaskiego dna. Na pewno znajdują się pod nią postrzępione występy, a któryś z nich może dochodzić do głębokości, na której płyniemy. Nie będziemy bez-

pieczni, dopóki się spod niej nie wydostaniemy.

Kilka minut po wstrząsie, który przeszedł przez lód na skutek wybuchu torpedy, Harry i Pete ostrożnie powrócili do jaskini, podczas gdy inni pozostali w pojazdach śnieżnych. Zatrzymali się przy wejściu, ich plecy owiewał gwałtowny wiatr.

Musieli umieścić radio, które niósł Harry, w jak najodleglejszej i najcichszej części groty, po to, aby skontaktować się z porucznikiem Timoszenką na pokładzie *Pogodina* i ustalić, co robić dalej. Wicher na zewnątrz był potworem o tysiącu głosów, tak mocnych, że siedząc w kabinach pojazdów nie słyszeli się nawzajem, nie wspominając o próbach zrozumienia jakichkolwiek słów dochodzących z krótkofalówki.

Pete z zaniepokojeniem sprawdzał sklepienie, oświetlając je promieniem swojej latarki.

— Wygląda w porządku! — zawołał Harry, chociaż jego usta znajdowały się nie dalej niż kilka centymetrów od głowy drugiego polarnika.

Pete spojrział na niego, nie będąc pewnym, co powiedział.

— Okay! — krzyknął Harry i podniósł w górę oba kciuki. Pete z aprobatą pokiwał głową.

Przez chwilę jednak zwlekali, nie wiedząc, czy załoga łodzi nie zamierza odpalić jeszcze jednej torpedy.

Gdyby weszli z radiem do jaskini, a Rosjanie ponownie wysadziliby fragment lodu, wstrząs mógłby tym razem załamać sklepienie. Zostaliby zmiażdżeni lub żywcem pogrzebani.

Nieprzyjazny wiatr wiejący w ich plecy był tak silny i przeraźliwie zimny, że Harry miał uczucie, jakby ktoś wsypał mu za kombinezon, prosto na gołą skórę, kilka kostek lodu. Paraliżowało ich niezdecydowanie. Wiedząc, że nie dadzą rady stać tam zbyt długo, zdecydował się wejść do środka. Pete, oświetlając sobie drogę latarką, podążył za nim i razem pospieszyli do najodleglejszego zakamarka jaskini.

Gdy weszli w głąb groty, kakofonia sztormu raptownie ucichła, chociaż nawet przy tylnej ścianie hałas był tak duży, że aby cokolwiek usłyszeć, musieli do oporu przekreślić potencjometr krótkofalówki.

W środku w dalszym ciągu znajdował się kabel, dochodzący do baterii jednego z pojazdów. Harry podłączył do niego radio. Wolał jak najdłużej używać zasilania z pojazdów, aby zaoszczędzić baterie w krótkofalówce, które mogły się przydać później.

— Zwróciłeś uwagę, z której strony wieje wiatr? — zapytał Pete, nie przerywając pracy.

Wciąż podnosili głos, aby się nawzajem słyszeć, ale nie musieli już krzyczeć.

— Tak, w ciągu piętnastu minut zmienił kierunek o prawie dziewięćdziesiąt stopni — powiedział Harry.

— Góra lodowa znowu się odwróciła.

— Jaki stąd wniosek?

— Cholera wie.

— Jesteś specjalistą w dziedzinie pirotechniki. Czy wybuch torpedy mógł być na tyle silny, aby chwilowo zepchnąć górę z jej dotychczasowego kursu?

— Nie — powiedział Pete, zdecydowanie potrząsając głową.

— I ja tak myślę.

Nagle Harry poczuł się potwornie zmęczony i przygnębiony poczuciem zupełnej bezradności. Wydawało się, jakby Matka Natura sprzysięgła się przeciwko nim. Trudności narastały z minuty na minutę i wkrótce staną się nie do pokonania, o ile już takie nie były. Pomimo pokrywającej jego twarz wazeliny i maski, która zazwyczaj stanowiła tak skuteczne zabezpieczenie, pomimo warstw materiału termoizolacyjnego, pomimo przebywania przez część nocy w osłoniętej jaskini i w relatywnie ciepłych kabinach pojazdów śnieżnych, Harry zaczynał ulegać nieustępliwemu, bezlitosnemu, dojmującemu zimnu. Bolały go stawy. Chociaż miał na rękach rękawiczki, jego dłonie tak zmarzły, jakby przez pół godziny przestawiał puszki w lodówce. Stopniowo tracił czucie w stopach, które zaczynały sztywnieć. Jeśli w zbiornikach pojazdów śnieżnych skończy się paliwo, pozbawiając ich możliwości chwilowego ogrzania się w ocieplanych kabinach, wówczas realnym zagrożeniem stawało się odmrożenie twarzy i utrata resztek energii, którą jeszcze zachowali. W konsekwencji może się okazać, że będą zbyt wycieńczeni, aby utrzymać się na nogach lub nie popaść w śpiączkę, i nie dadzą rady wyjść na spotkanie Rosjan.

Jednak bez względu na to, jak wielkie odczuwał zmęczenie i depresję psychiczną, nie mógł się poddać, gdyż wciąż myślał o Ricie. Czuł się za nią odpowiedzialny, zwłaszcza że przebywanie na lodzie kosztowało ją o wiele więcej niż jego; bała się białych przestrzeni nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Niech się dzieje co chce — postanowił być przy niej w chwilach, gdy mogła go najbardziej potrzebować, aż do ostatniej minuty jej życia. Dzięki niej miał po co żyć. Obietnica spędzenia wspólnie kolejnych lat przepelnionych radością i miłością powinna dać mu dość sił do przetrwania choćby najgorszego sztormu.

— Istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie — powiedział Harry, włączając radio i przekręcając gałkę potencjometru. — Być może góra dostała się pod wpływ nowego, znacznie silniejszego prądu, który zmienił jej dotychczasowy kurs i unosi ją obecnie na południe.

— Czy to utrudni, czy ułatwi Rosjanom dotarcie do nas?

— Myślę, że utrudni. Jeśli lód płynie na południe, a wiatr wieje mniej więcej z północy, to jedyna strefa zawietrzna znajduje się od strony „dziobu”. Nie

wysadzą ludzi na górę, która dosłownie pędzi prosto na nich.

— Na dodatek dochodzi już prawie dziesiąta.

— Dokładnie — powiedział Harry.

— Jeżeli na czas nas stąd nie wydostaną... jeśli będziemy musieli tu zostać do północy, czy uda nam się z tego wyjść cało? Możesz być ze mną szczery. Co naprawdę sądzisz?

— Powinienem ciebie o to spytać. Przecież sam zaprojektowałeś te bomby. Wiesz lepiej ode mnie, jakie zniszczenia wyrządzą.

Pete miał ponurą minę.

— Myślę że... fale uderzeniowe zniszczą większą część lodu, na którym stoimy. Prawdopodobnie przetrwa fragment góry o długości piętnastu lub dwudziestu metrów — nie więcej. A wiesz, co się stanie, jeśli pozostanie tylko tyle?

Harry wiedział aż za dobrze.

— Góra lodowa będzie miała długość piętnastu metrów, przy wysokości dwudziestu trzech.

— W ten sposób nie będzie mogła utrzymać się na wodzie.

— Nawet przez minutę. Środek ciężkości znajdzie się w niewłaściwym miejscu. Przewróci się, szukając nowej pozycji.

Spojrzeni po sobie, podczas gdy z radia dochodziły szумы i trzaski rywalizujące z wyciem wiatru wiejącego na zewnątrz jaskini. W końcu Pete powiedział:

— Gdybyśmy tylko mogli wydostać dziesięć bomb.

— Ale nam się to nie udało — Harry uniósł mikrofon. — Zobaczmy, czy Rosjanie mają dla nas jakieś pomysłyne wieści.

Gunvald nie znalazł żadnych obciążających materiałów w szafkach należących do Pete'a Johnsona i Claude'a Joberta.

Pięciu podejrzanych. Brak jakiegokolwiek przedmiotu, jednoznacznie wskazującego przestępcę. Żadnych poszlak.

Wstał z drewnianej skrzynki i poszedł w drugi koniec pomieszczenia. W tej odległości od splądrowanych szafek — chociaż nie zmniejszało to jego doznania winy — poczuł, że może nabić i zapalić fajkę. Potrzebował tego, aby się uspokoić i zastanowić. Wkrótce powietrze przesiąkło bogatym aromatem tytoniu o zapachu wiśni.

Zamknął oczy, oparł się o ścianę i zaczął rozmyślać o licznych przedmiotach, które wyciągnął z szafek. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego szczególnego w owych osobistych drobiazgach. Jednak było prawdopodobne, że o ile w ogóle istniały jakieś poszlaki, mogły być dość subtelne. Możliwe, że do ich odkrycia potrzebna była chwila namysłu. Dlatego uważnie przypominał sobie każdą ze znalezionych w szafkach rzeczy i przyglądał jej się w wyobraźni, poszukując

jakichkolwiek anomalii, które mógł przegapić, trzymając w rękach prawdziwy przedmiot.

Roger Breskin.

Franz Fischer.

George Lin.

Claude Jobert.

Pete Johnson.

Nic.

Jeśli któryś z tych ludzi miał zaburzenia psychiczne i mordercze skłonności, musiał być potwornie inteligentny. Swoje szaleństwo skrywał na tyle dobrze, że nie można było dostrzec jego śladu nawet w najbardziej osobistych przedmiotach.

Gunvald, zawiedziony, wytrzepał popiół i reszkę tytoniu do wypełnionej piaskiem puszką na śmieci, schował fajkę do kieszonki na piersiach i ponownie podszedł do szafek. Podłogę pokrywała esencja życia pięciu istnień ludzkich. Gdy zbierał porozrzucane drobiazgi i wkładał je z powrotem, jego poczucie winy zaczęło zamieniać się we wstyd z powodu pogwałcenia prywatności, którego dokonał, pomimo że zostało ono wymuszone przez szczególne okoliczności.

Wtedy właśnie dostrzegł kopertę; mierzyła dwadzieścia trzy na dwadzieścia osiem centymetrów, przy dwucentymetrowej grubości. Przylegała do tylnej ścianki, na samym dole zamykanej skrzyni.

Przegapił ją w pośpiechu, głównie dlatego, że miała szarawy odcień podobny do koloru metalu, o który była oparta, i znajdowała się w najniższej części szafki, na poziomie stóp, wciśnięta poniżej dolnej półki, przy samym końcu dość wysokiej przegrody. Tak naprawdę był zdumiony, że ją w ogóle zobaczył. W chwili gdy dostrzegł kopertę, natychmiast ogarnęło go przeświadczenie, iż zawiera ona miażdżące dowody, których poszukiwał.

Była mocno przyklejona do tylnej ścianki. Gdy ją oderwał, zobaczy, że przytrzymywało ją sześć pasków taśmy klejącej. Najwyraźniej została umieszczona tam celowo, w nadziei, iż nie zostanie odnaleziona, nawet jeśli ktoś włamie się do szafki.

Koperta była zamknięta za pomocą metalowego spinacza i Gunvald z łatwością ją otworzył. W środku znajdował się zeszyt z wetkniętymi pomiędzy kartki wycinkami z gazet i ilustrowanych magazynów.

Z pewnymi oporami, ale bez najmniejszej zwłoki, Gunvald otworzył notes i zaczął przeglądać kolejne strony. Jego zawartość uderzyła go jak grom, poruszyła nim tak, jak nigdy nie był wstrząśnięty. Każda kolejna strona porażała ohydłą treścią. Wiedział, że człowiek, który zgromadził tę kolekcję, o ile nie był obłąkanym maniakiem, to przynajmniej miał poważne zaburzenia psychiczne i należało go traktować jako niebezpiecznego dla otoczenia osobnika.

Zamknął zeszyt, pociągnął za linkę przy żarówce, gasząc światło w tylnej części pomieszczenia, i pociągnął za kurtkę i wierzchnie obuwie. Przedziera-

jąc się przez zaspy, pochylając głowę dla ochrony przed ostrym wiatrem unoszącym igiełki lodu, biegł z powrotem do baraku ze sprzętem telekomunikacyjnym, pragnąc jak najszybciej powiadomić Harry'ego o tym, co znalazł.

— Lód ponad nami. Odległość trzydzieści metrów.

Gorow opuścił stanowisko dowodzenia i stanął obok technika obsługującego sondę powierzchniową.

— Lód ponad nami. Czterdzieści metrów.

— Jak to możliwe, że się podnosi? — Gorow zmarszczył brwi, z oporem przyjmując do wiadomości odczyt uzyskany przy zastosowaniu najnowszej technologii, której dotąd tak bardzo ufał. — Do tej pory góra odwróciła się już węższym profilem w naszą stronę, więc nie mogliśmy pokonać nawet połowy jej długości. Ponad nami w dalszym ciągu wisi potężna, długa bryła lodu.

Technik również zmarszczył czoło.

— Ja także tego nie rozumiem, kapitanie. Ale teraz prześwit mierzy już czterdzieści sześć metrów i wciąż się zwiększa.

— Czterdzieści sześć metrów wody pomiędzy nami, a dnem góry lodowej?

— Tak jest, kapitanie.

Sonda powierzchniowa była bardziej skomplikowaną wersją echosondy używanej przez lata do określania położenia dna pod łodzią podwodną. Wysyłała ona do góry skupioną wiązkę fal dźwiękowych o bardzo wysokiej częstotliwości, które, jeśli nad łodzią znajdował się lód, odbijały się od jego dna tworząc echo. Na podstawie pomiaru jego parametrów określano odległość pomiędzy najwyższym punktem nadbudówki, a zamrożonym sklepieniem oceanu. Było to standardowe wyposażenie każdej jednostki, która mogła potencjalnie znaleźć się pod powierzchnią lodu — wypełniając swoje zadania, bądź też uciekając przed okrętem przeciwnika.

— Pięćdziesiąt trzy metry, kapitanie.

Pisak na bębnie sonografu powierzchniowego przesuwiał się tam i z powrotem, kreśląc na papierze coraz szerszą czarną wstęgę.

— Lód ponad nami. Odległość sześćdziesiąt trzy metry.

Dno dryfującej góry podnosiło się coraz bardziej.

Wydawało się to wbrew jakiegokolwiek logice.

Z głośnika ponad stanowiskiem dowodzenia rozległy się piski i trzaski. Głos, który z niego popłynął, był ochrypły i metaliczny, jak wszystkie głosy przechodzące przez interkom. Oficer z pomieszczenia torpedowego przekazał wiadomość, której Nikita Gorow wolałby nigdy nie usłyszeć na jakiegokolwiek głębokości, a co dopiero podczas zanurzenia na poziomie dwustu trzydziestu metrów poniżej powierzchni oceanu:

— Kapitanie, na wewnętrznej ścianie kadłuba pojawiły się kropelki wody.

Wszyscy znajdujący się w centrum dowodzenia zamarli. Cała ich uwaga koncentrowała się dotychczas na raportach dotyczących wskazań sondy powierzchniowej, ponieważ największym niebezpieczeństwem wydawała się groźba zderzenia z wystającym lodowym stalaktytem zwisającym z dna góry. Ostrzeżenie oficera z pomieszczenia torpedowego przypomniało im, że tuż przed zanurzeniem zderzyli się z krą nieznanej wielkości, a znajdowali się obecnie na takiej głębokości, gdzie każdy centymetr kwadratowy kadłuba poddany był potężnemu ciśnieniu. Miliony milionów ton wody morskiej oddzielały ich od świata, w którym znajdowało się niebo, słońce i świeże powietrze — świata, będącego ich prawdziwym domem.

Ściągając na dół umieszczony ponad głową mikrofon, Gorow powiedział:

— Kapitan do pomieszczenia torpedowego. Za wewnętrznym poszyciem znajduje się sucha izolacja.

Głośnik interkomu znalazł się teraz w centrum zainteresowania, podobnie jak przed chwilą wskaźnik zanurzenia.

— Tak, kapitanie. Niemniej jednak występuje zawilgocenie. Izolacja za ścianką musi być teraz mokra.

Najwyraźniej podczas zderzenia z krą okręt został poważnie uszkodzony.

— Czy wody jest dużo?

— Nie, to tylko zawilgocenie. Cienka warstewka.

— Gdzie to znaleźliście?

— Na spawie pomiędzy czwartym a piątym lukiem.

— Czy widać tam jakieś wgniecenie?

— Nie, kapitanie.

— Uważajcie na to.

— Cały czas kontrolujemy sytuację, kapitanie.

Gorow puścił mikrofon, który samoczynnie się uniósł.

Żuków stał przy stanowisku dowodzenia.

— Moglibyśmy zmienić kurs, kapitanie.

— Nie.

Gorow wiedział, o czym myślał pierwszy oficer. Przepływali pod całą długością góry lodowej i mieli przed sobą jeszcze połowę drogi. Zwracając się jednak w jedną lub drugą stronę, mogliby dotrzeć do otwartego morza na dystansie dwustu lub trzystu metrów, gdyż szerokość góry była znacznie mniejsza niż długość. Zmiana kursu wydawała się rozsądną propozycją, ale niweczyłaby cały dotychczasowy wysiłek.

— Odwrócenie łodzi i dotarcie do bocznej krawędzi góry lodowej zajęłoby tyle samo czasu, ile dopłynięcie do jej rufy, a za nią również rozciąga się otwarte morze. Trzymajcie się mocno, poruczniku — powiedział Gorow.

— Tak jest, kapitanie.

— Ster zero i tak trzymać, chyba że ten prąd zacznie nas obracać.

Operator siedzący przy sondzie powierzchniowej zameldował:

— Dno góry ponad nami. Osiemdziesiąt metrów.

Znowu zagadka podnoszącego się lodu.

Nie zwiększali zanurzenia i Gorow doskonale wiedział, że dryfująca wyspa nie zaczęła nagle w magiczny sposób lewitować ponad morzem. Dlaczego więc odległość pomiędzy nimi rosła?

— Czy nie powinniśmy zmniejszyć zanurzenia, kapitanie? — zasugerował Żuków. — Znaleźlibyśmy się trochę bliżej lodu. Gdybyśmy podnieśli się do pułapu dwustu metrów, może kadłub przestałby w środku wilgotnieć. Ciśnienie byłoby znacznie mniejsze.

— Utrzymać łódź na dwustu czterdziestu — krótko odpowiedział Gorow.

Bardziej martwił się o swoją mokrą od potu załogę, niż o zawilgocone poszycie kadłuba. Była to grupa dzielnych ludzi i od chwili, kiedy objął nad nimi komendę, dali mu wiele powodów do dumy. Wcześniej niejednokrotnie znajdowali się w trudnych sytuacjach i zawsze niezwykle spokojnie i profesjonalnie wykonywali swoje zadania. Jednak przy każdej poprzedniej okazji do wyjścia z opresji wystarczał kunszt i opanowanie. Tym razem potrzebowali również sporo szczęścia. Nawet najlepsze umiejętności i choćby stalowe nerwy nie uratują ich, jeśli kadłub pęknie pod naciskiem tytanicznego ciśnienia, jakiemu właśnie był poddany. Nie mogąc polegać wyłącznie na sobie samych, musieli zaufać również nieznanym inżynierom, którzy zaprojektowali łódź, i robotnikom w stoczni, którzy ją zbudowali. Nie byłoby to może takie trudne, gdyby nie zdawali sobie sprawy, jak fatalna jest sytuacja ekonomiczna kraju, w wyniku czego zmniejszyła się częstotliwość i zakres przeglądów technicznych oraz prac konserwacyjnych związanych z utrzymaniem jednostki.

Wszystko to powodowało, że ich wytrzymałość powoli zaczynała się wyczerpywać.

— Nie możemy zmniejszyć zanurzenia — upierał się Gorow. — W dalszym ciągu jesteśmy pod górą lodową. Nie wiem, co się tutaj dzieje i dlaczego ten lód się podnosi, ale zachowamy wszelkie środki ostrożności do chwili, kiedy to zrozumie.

— Lód ponad nami. Dziewięćdziesiąt trzy metry.

Gorow ponownie spojrzął na wykres sondy powierzchniowej.

— Sto metrów, kapitanie.

Nagle pisak przestał podskakiwać. Zjechał na dół do środka bębna i zaczął kreślić cienką, prostą, czarną linię.

— Otwarta woda! — zameldował technik z wyraźnym zdumieniem. — Ponad nami nie ma lodu.

— Wyłynęliśmy spod góry? — zapytał Żuków.

— To niemożliwe — stwierdził Gorow. — To potężna dryfująca wyspa, mierzy co najmniej półtora kilometra. Przepłynęliśmy najwyżej pod połową jej dłu-

gości. Nie będziemy. . .

— Znowu jesteśmy pod lodem! — zawołał operator sondy powierzchniowej.
— Łód oddalony jest o sto metrów; odległość się zmniejsza.

Gorow przyjrzał się wykresowi z bliska. Prześwit wody pomiędzy górnym punktem nadbudówki *Pogodina*, a dnem góry lodowej gwałtownie się zmniejszał.

Osiemdziesiąt sześć metrów. Siedemdziesiąt trzy.

Sześćdziesiąt. Czterdzieści sześć. Trzydzieści. Dwadzieścia sześć. Dwadzieścia.

Przez kilka sekund odległość pomiędzy nimi a górą wynosiła szesnaście metrów, a następnie zaczęła się raptownie wahać: szesnaście, pięćdziesiąt, znowu szesnaście, trzydzieści, dwadzieścia sześć, szesnaście, sześćdziesiąt sześć; do góry i na dół, do góry i na dół, seria niespodziewanych wgłębień i występów. Następnie prześwit ponownie osiągnął szerokość szesnastu metrów i w końcu ruch pisaka sonografu stał się mniej chaotyczny.

— Odległość się ustabilizowała — zameldował technik obsługujący sondę powierzchniową — szesnaście do dwudziestu metrów. Niewielkie wahania. Dystans się nie zmienia. . . wciąż się nie zmienia. . . nie zmienia się. . .

— Czy istnieje możliwość, że sonda błędnie odczytuje odległość? — zapytał Gorow.

Technik potrząsnął głową.

— Nie, kapitanie. Nie wydaje mi się. Urządzenie raczej jest sprawne.

— Czy w takim razie dobrze rozumiem, co się stało? Czy przepłynęliśmy pod dziurą w środku góry lodowej?

Technik uważnie wpatrywał się w wykres sonografu, gotowy do natychmiastowego meldunku, jeśli lód zacząłby się obniżać, zmniejszając odległość poniżej szesnastu metrów.

— Tak. Myślę, że wszystko wskazuje na istnienie dziury. Położona jest mniej więcej w środku.

— Otwór w kształcie komina.

— Tak, kapitanie. Początkowo wyglądała jak odwrócony talerz, ale kiedy znaleźliśmy się dokładnie pod nią, okazało się, że na górnych dwóch trzecich długości raptownie się zwęża.

— I dochodzi do samej powierzchni góry? — zapytał Gorow z narastającym podnieceniem.

— Tego nie wiem, kapitanie. Ale z pewnością sięga przynajmniej do linii wody.

Sonda nie wykraczała swym zasięgiem poza powierzchnię morza.

— Dziura — powiedział Gorow w zamyśleniu. — Skąd się tam, na Boga, wzięła?

Nikt nie miał w zanadru gotowej odpowiedzi na to pytanie. Gorow wzruszył ramionami.

— Może będzie to wiedział któryś z polarników. W końcu lód jest przedmiotem ich badań. Najważniejsze, że tam jest, bez względu na to, jak powstała.

— Dlaczego ta dziura jest taka istotna? — zapytał Żuków.

Gorowowi przyszła do głowy pewna myśl, załówek planu niezwykle śmiałej akcji, która miałaby uratować naukowców z Edgeway. Jeśli dziura była...

— Otwarte morze — oznajmił technik. — Ponad nami nie ma lodu.

Emil Żuków nacisnął kilka klawiszy na konsolecie przy stanowisku dowodzenia. Spojrzał do góry, na ekran komputera, umieszczony po jego prawej stronie.

— Zgadza się. Biorąc pod uwagę prąd płynący na południe i prędkość okrętu, powinniśmy się już spod niej wydostać. Tym razem góra naprawdę jest już za nami.

— Otwarte morze — powtórzył technik.

Gorow spojrzał na zegarek: dwudziesta druga zero dwie. Do momentu, kiedy sześćdziesiąt ładunków wybuchowych roztrzaska górę lodową na kawałki, pozostało mniej niż dwie godziny. W tak krótkim czasie załoga *Pogodina* nie była w stanie zorganizować konwencjonalnej akcji ratunkowej, która miałaby jakąkolwiek szansę powodzenia. Niezwykły projekt, jaki przyszedł do głowy kapitanowi, według niektórych mógł graniczyć z szaleństwem, jednak miał tę zaletę, że był wykonalny w ciągu krótkiego czasu, jaki im jeszcze pozostał.

Żuków odchrząknął. Bez wątpienia, mając przed oczami obraz zawilgoconego kadłuba w pomieszczeniu torpedowym, pierwszy oficer oczekiwał rozkazów, w wyniku których łódź znalazłaby się na mniej niebezpiecznej głębokości.

Ściągając w dół zawieszony na elastycznym ramieniu mikrofon, Gorow powiedział:

— Kapitan do pomieszczenia torpedowego. Jak się u was przedstawia sytuacja?

— Wciąż jest zawilgoconie; nie powiększa się, ale też nie zmniejsza.

— Obserwujcie je uważnie. I zachowajcie spokój — Gorow puścił mikrofon i powrócił do stanowiska dowodzenia. — Zmniejszyć prędkość o połowę. Ster lewo na burt.

Zdumienie jeszcze bardziej wydłużyło pociągłą twarz Emila Żukowa. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Mocno przełknął ślinę. Za drugim razem udało mu się wreszcie wykrztusić:

— Chcesz powiedzieć, że się nie wynurzamy?

— Nie w tej chwili — odpowiedział Gorow. — Musimy ponownie przepłynąć pod tym olbrzymem. Jeszcze raz chcę się przyjrzeć tej dziurze w środku.

Potencjometr krótkofalówki został ustawiony na największą głośność, tak że głos rosyjskiego oficera łączności z pokładu *Pogodina* był słyszalny poprzez ryk sztormu szalejącego na zewnątrz jaskini i ponad jej sklepieniem powstałym ze

zbitych bloków lodu. Głośny szum i trzaski w eterze odbijały się od lśniących, białych ścian i brzmiały raczej jak zwielokrotniony odgłos drapiących o tablicę paznokci.

Do Harry'ego i Pete'a przyłączyli się w jaskini pozostali, aby bezpośrednio wysłuchać zdumiewających wiadomości. Wszyscy stłoczyli się przy tylnej ścianie.

Gdy porucznik Timoszenko opisał wygląd dziury i spory obszar niezwykle poszarpanego lodu na dnie ich dryfującego więzienia, Harry wyjaśnił prawdopodobną przyczynę takiego stanu rzeczy. Góra lodowa została oderwana na skutek fali tsunami, która powstała w wyniku wstrząsu dna morskiego, a jego epicentrum znajdowało się prawie dokładnie pod nimi. W tej części świata trzęsieniom ziemi — zwłaszcza na linii uskoków tektonicznych — towarzyszyła aktywność wulkaniczna, czego przykładem były gwałtowne erupcje kilkadziesiąt lat temu na Islandii. Jeśli również podczas ostatnich zjawisk sejsmicznych uaktywniły się wulkany, wyrzucając w górę olbrzymie ilości lawy, wówczas jej strumienie mogły wydrążyć ową dziurę, a miliony galonów wrzącej wody z łatwością byłyby w stanie uformować wgłębienia i występy, które znajdowały się za otworem, w dnie góry.

Głos Timoszenki z trudem przebijał się przez zakłócenia w eterze, mimo że transmisja odbywała się z wynurzonej łodzi, oddalonej o niecałą milę morską od nich — połączenie jednak nie zostało przerwane.

— Według kapitana Gorowa istnieją trzy możliwości. Po pierwsze dziura może kończyć się twardym lodowym sklepieniem powyżej linii wody. Druga ewentualność to to, że łączy się ona z grotą albo dnem niezbyt głębokiej szczeliny. Po trzecie może się ona rozciągać powyżej linii wody, na przestrzeni kolejnych trzydziestu metrów, i sięgać nawet do powierzchni góry. Doktorze Carpenter, czy zgodziłby się pan z podobną analizą?

— Tak — powiedział Harry, na którym duże wrażenie sprawiło rozumowanie kapitana — i nawet wydaje mi się, że wiem, która wersja jest prawdziwa. — Powiedział Timoszenko o rozpadlinie, jaka utworzyła się w centralnym punkcie góry, kiedy gigantyczne fale przetaczały się pod pokrywą polarną. — Nie istniała, kiedy wyruszaliśmy instalować bomby, jednak gdy wracaliśmy do obozu tymczasowego, już tam była, tak że omal w nią nie wjechałem. Przy okazji straciłem swój pojazd.

— Czy dno tej rozpadliny sięga do samego morza? — zapytał Timoszenko.

— Nie wiem, ale teraz mogę tak podejrzewać. Według moich szacunków, musi się znajdować wprost nad znaną przez was dziurą. Nawet jeśli strumień lawy nie przedarł się przez grubą warstwę lodu, wysoka temperatura, jaka była potrzebna do wydrążenia otworu w dnie, musiała spowodować przynajmniej utworzenie się szczelin i pęknięć powyżej linii wody. A owe pęknięcia z pewnością prowadzą do owej studni czy komina, który wykryła wasza sonda.

— Jeśli dziura znajduje się na dnie rozpadliny, może powinniśmy ją nazywać raczej szybem albo tunelem, czy bylibyście w stanie podjąć próbę zejścia w dół tej szczeliny? — zapytał Timoszenko.

Pytanie wydało się Harry'emu dość niezwykle. Nie mógł się dopatrzeć żadnego sensu w schodzeniu do otchłani, w której zniknął jego pojazd śnieżny.

— Gdybyśmy to musieli zrobić, przypuszczam, że bylibyśmy w stanie sklecić potrzebny sprzęt. Ale w jakim celu? Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

— Właśnie w ten sposób zamierzamy was wydostać: przedostaniecie się przez tunel i przejmiecie was pod górą lodową.

Siedem stojących obok Harry'ego osób zareagowało na te słowa głośnym niedowierzaniem.

Dał im znak, aby ucichli, i zwrócił się ponownie do rosyjskiego łącznościowca:

— W dół, przez tę dziurę, ten tunel, i do łodzi podwodnej? Ale jak?

— W skafandrach do nurkowania.

— Nie mamy żadnych.

— Ale my je mamy. — Następnie Timoszenko wyjaśnił, jak zostaną im przekazane skafandry.

Harry, bardziej niż kiedykolwiek, przekonał się o rosyjskiej pomysłowości, wciąż jednak miał wątpliwości.

— Parokrotnie w przeszłości zdarzyło mi się nurkować. Nie jestem ekspertem w tej dziedzinie, ale wiem, że człowiek nie może zejść na taką głębokość bez odpowiedniego przygotowania i specjalistycznego sprzętu.

— Mamy specjalistyczny sprzęt — odparł Timoszenko — natomiast obawiam się, że będziecie sobie musieli poradzić bez specjalistycznego treningu. — Następne pięć minut spędził na wyjaśnianiu szczegółów planu obmyślonego przez kapitana Gorowa.

Projekt był doskonały; niezwykle pomysłowy, śmiały i dobrze przygotowany. Harry chciał spotkać owego kapitana Nikitę Gorowa i zobaczyć, jak wygląda człowiek, który opracował tak fenomenalną, niekonwencjonalną akcję ratunkową.

— Ma to szansę powodzenia, ale istnieje duże ryzyko. Poza tym brak gwarancji, że tunel dociera do dna rozpadliny. Być może nie będziemy w stanie go znaleźć.

— To prawda — zgodził się Timoszenko — ale to jest najlepsze rozwiązanie i, mówiąc szczerze, wasza jedyna szansa. Do eksplozji pozostało tylko półtorej godziny. Nie jesteśmy w stanie w ciągu dziewięćdziesięciu minut dotrzeć do góry na pontonach, wspiąć się na nią i zabrać was na dół, tak jak zaplanowaliśmy. Wiatr naciera teraz od strony „rufy” waszego lodowego okrętu i owiewa ściany po obu stronach. Musielibyśmy podpłynąć na pontonach od strony „dziobu”, a to nie jest możliwe, gdy taka masa lodu płynie na nas z prędkością dziewięciu węzłów.

Harry wiedział, że to prawda. To samo powiedział Pete'owi półtorej godziny wcześniej.

— Poruczniku Timoszenko, muszę to omówić z moimi kolegami. Proszę o minutę na zastanowienie. — Wciąż przykucnięty przy radiu, odwrócił się do pozostałych i zapytał:

— Co robimy?

Rita musiała opanowywać swoją fobię jak nigdy dotąd, gdyż miała zejść w głąb lodu, tak że otaczały ją ze wszystkich stron. Mimo to była pierwszą osobą, która głośno poparła plan:

— Nie traćmy czasu. Oczywiście, że to zrobimy. Przecież nie będziemy tu siedzieć, oczekując na śmierć.

Claude Jobert pokiwał głową.

— Nie mamy specjalnego wyboru.

— Istnieje jedna szansa na tysiąc, że uda nam się wyjść z tego cała — zawyrokował Franz. — Nie jest to jednak sytuacja beznadziejna.

— Teutoński pesymizm — powiedziała Rita z uśmiechem.

Wbrew swojej naturze, Fischer również uniósł kąciki ust.

— To samo mówiłaś, kiedy martwiłem się, że trzęsienie ziemi nadejdzie, zanim zdążymy wrócić do bazy.

— Jestem za — stwierdził Brian. Roger Breskin pokiwał głową.

— I ja.

— Wziąłem w tym udział, poszukując przygody — powiedział Pete Johnson. — Teraz jestem pewien, że będę miał więcej wrażeń niż oczekiwałem. Przysięgam, że jeśli wyjdę z tego cała, wszystkie wieczory będę spędzał w domu, przy dobrej książce.

Zwracając się do Lina, Harry zapytał:

— A ty, George?

Lin miał ściągniętą maskę ochronną i gogle; na jego twarzy wyraźnie malowała się walka, jaką toczył w swoim wnętrzu.

— Gdybyśmy tutaj zostali i nie opuścili góry przed północą, czy nie istnieje choćby najmniejsza szansa, że moglibyśmy przetrwać eksplozję na wystarczająco dużej bryle lodu, aby mieć nadzieję na przeżycie? Wydawało mi się, że na to właśnie liczyliśmy, zanim nie pojawiła się ta łódź.

Harry odpowiedział bez ogródek:

— O ile mamy tylko jedną szansę na dziesięć tysięcy, iż uda nam się wyjść cało dzięki akcji zaplanowanej przez kapitana Gorowa, to prawdopodobieństwo przetrwania eksplozji o północy ma się jak jeden do miliona.

Lin zagryzał dolną wargę tak mocno, że Harry nie zdziwiłby się, gdyby nagle spłynęła mu krew po brodzie.

— George? Jesteś z nami czy nie?

W końcu Lin pokiwał głową.

Harry ponownie uniósł mikrofon.

— Poruczniku Timoszenko?

— Słucham, doktorze Carpenter.

— Doszliśmy do wniosku, że plan waszego kapitana ma sens, jest wręcz absolutną koniecznością. Zrealizujemy go, jeśli to tylko jest możliwe.

— Ta akcja ma z pewnością szansę powodzenia, doktorze. Nie mamy co do tego wątpliwości.

— Musimy działać szybko — powiedział Harry — nie będziemy w stanie dotrzeć do rozpadliny wcześniej, niż przed jedenastą, co oznacza, że na dalszą część akcji pozostanie tylko godzina.

— Jeśli wszyscy wyraźnie sobie uświadomimy, co stanie się o północy — odparł Timoszenko — wówczas myślę, że sytuacja zmusi nas, aby wszystko wykonać w odpowiednio szybkim tempie. Życzę wam powodzenia.

— Powodzenia — powtórzył Harry.

Kiedy kilka minut później opuszczali jaskinię, Harry w dalszym ciągu nie miał wiadomości od Gunvalda w sprawie zawartości owych pięciu szafek. Kiedy usiłował wzywać bazę Edgeway, jedyną odpowiedzią były szумы i trzaski w eterze.

Mieli więc zejść do głębokiej rozpadliny i dalej, do tunelu, nie wiedząc, który z nich najprawdopodobniej podejmie kolejną próbę zamordowania Briana, gdy tylko nadarzy się odpowiednia okazja.

Nawet najnowocześniejszy sprzęt telekomunikacyjny nie był w stanie sprostać zakłóceniom radiowym występującym podczas ostrego, zimowego sztormu w obszarach położonych za kołem polarnym. Gunvald nie mógł już nawet usłyszeć transmisji z amerykańskiej bazy w Thule, emitowanej przez bardzo silny nadajnik. Próbował wszystkich zakresów częstotliwości, jednak w głośniku rozlegały się wyłącznie przetworzone odgłosy burzy. Jedynym dźwiękiem przypominającym o istnieniu ludzi były fragmenty programu z muzyką jazzową, pojawiające się i zanikające w pięciosekundowych cyklach. Prezentera zagłuszały odgłosy zakłóceń: zawodzenie, piski, gwizdy, trzaski — kakofoniczna symfonia, której nie wtórował żaden dźwięk wytwarzany przez człowieka.

Powrócił do częstotliwości, na której Harry miał oczekiwać na wiadomość od niego. Nachylił się do krótkofalówki, trzymając mikrofon tuż przy ustach, jak gdyby mógł uzyskać połączenie za pomocą wysiłku woli.

— Harry, czy mnie słyszysz?

Szумы i trzaski.

Już chyba pięćdziesiąty raz z rzędu wymawiał ich kod wywoławczy, podnosząc głos, jakby chciał przekrzyczeć zakłócenia.

Żadnej odpowiedzi. Nie chodziło tu bynajmniej o to, że nie słyszeli się nawzajem poprzez trzaski w eterze. Oni po prostu nie byli w stanie w ogóle odebrać

jego połączenia.

Wiedział, że powinien zrezygnować.

Spojrzał na otwarty przed sobą zeszyt z wycinkami z gazet i magazynów. Choć patrzył na tę samą stronę już kilkanaście razy, przebiegł go dreszcz.

Nie wolno mu się było poddać. Pozostali polarnicy musieli się dowiedzieć o prawdziwej naturze przebywającego wśród nich potwora.

Wezwał ich ponownie.

Szum.

Część piąta
TUNEL

22:45

GODZINA I PIĘTNAŚCIE MINUT DO DETONACJI

Nikita Gorow, ubrany w gruby zimowy kombinezon, stał na mostku *Pogodina*, bacznie obserwując horyzont przez nocną lornetkę, uważając na dryfujące bryły lodu, inne niż ta, na której płynęli naukowcy z Edgeway. Owa potężna biała góra znajdowała się na wprost okrętu, w dalszym ciągu unoszona przez silny prąd oceaniczny, który zaczynał się na poziomie stu trzynastu metrów i rozciągał się w dół, aż do głębokości około dwustu sześćdziesięciu.

Miotane sztormem morze, kołujące się po obu stronach łodzi, nie kołysało się typowym, rytmicznym ruchem. Uderzało okręt w nieprzewidywalny sposób, tak że Gorow nie mógł przygotować się przed kolejnymi atakami fal. Bez najmniejszego ostrzeżenia łódź przechyliła się na lewą stronę tak gwałtownie, że wszyscy przebywający na mostku zostali porzuceni na boki; kapitan zderzył się z Emilem Żukowem i Semiczastnym. Uwalniając się od nich, schwycił powleczony lodem fragment barierki w momencie, kiedy ściana wody roztrzaskała się o nadbudówkę i zalała mostek.

Gdy okręt wrócił do pionu, Żuków zawołał:

— Już raczej wolałbym być na głębokości dwustu sześćdziesięciu metrów!

— No widzisz? — krzyczał Gorow. — Nie potrafisz w pełni docenić komfortowej sytuacji.

— Już nigdy nie będę narzekał.

Góra lodowa nie miała już zawietrznej ściany, za którą mógłby się schronić *Ilja Pogodin*. Sztorm atakował dryfującą wyspę od tyłu i jej długie flanki po obu stronach były poddane działaniu bezlitosnego wiatru. Okręt musiał przebywać na otwartym morzu, wznosząc się i opadając, kołysząc się i trzęsąc, wijąc się i miotając jak żywe stworzenie, którego wnętrzości targał przejmujący ból. Kolejna potężna fala spadła na prawą burtę łodzi, roztrzaskała się o bok nadbudówki i spłynęła rwącym wodospadem po jej lewej stronie, zalewając wszystkich na mostku. Przez większość czasu okręt przechylał się na lewą burtę, kołysany przez wzburzone wody oceanu, co było monotonne i jednocześnie przerażające. Wszyscy przebywający na mostku ludzie pokryci byli grubą warstwą lodu, podobnie jak

otaczające ich metalowe barierki i maszty.

Twarz Gorowa, w miejscach, których nie zakrywały gogle lub kaptur, pokrywała lanolina. Choć stanowisko, jakie zajmował, nie było wystawione na bezpośrednie działanie potwornego wiatru, jednak przeraźliwie zimne powietrze smagało jego nos i policzki.

Emil Żuków miał dolną część twarzy owiniętą szalikiem, który jednak prędko się rozwiązał. Zajmując na mostku wyznaczoną pozycję, Żuków musiał być zwrócony na wprost wichury i nie mógł obejść się bez zabezpieczenia, gdyż pędzące igiełki lodu, przypominające ostre szpilki unoszone na skrzydłach monstualnego sztormu, wkrótce zdarłyby mu skórę z twarzy. Szybko zwinął i ścisnął szalik obiema rękami, krusząc pokrywającą go skorupę lodu, i pospiesznie osłonił nim usta i nos, zawiązując tym razem jeszcze mocniejszy węzeł, po czym nachmurzony, ale ze stoickim spokojem, powrócił do wnikliwego obserwowania wyznaczonej części mrocznego horyzontu.

Gorow opuścił lornetkę i spojrzął za siebie, w górę, na dwóch ludzi pracujących na szczycie nadbudówki, tuż za mostkiem. Byli oświetleni czerwoną lampką pokładową i przenośną latarką. Obaj rzucali niesamowite, zniekształcone cienie, przypominające sylwetki diabłów krzątających się wokół nieboszczyków w piekle.

Jeden z członków załogi stał na szczycie nadbudówki, wciśnięty pomiędzy dwa peryskopy i maszt radaru, co — w zależności od jego indywidualnej odwagi i upodobania do ryzyka — musiało być nieporównywalnie bardziej przerażające lub ekscytujące, niż ujeżdżanie dzikiego konia podczas rodeo w Teksasie, pomimo że zabezpieczony był linką asekuracyjną przyczepioną do masztu telekomunikacyjnego, którą obwiązał się wokół pasa. Przedstawiał sobą jeden z najbardziej niesamowitych widoków, jakie kapitan Gorow kiedykolwiek widział w życiu. Miał na sobie tak wiele warstw wodoszczelnego ubrania, że z trudem się poruszał, jednak na swoim niebezpiecznie wyeksponowanym, odsłoniętym stanowisku potrzebował jak najlepszego zabezpieczenia, aby uchronić się przed zamarznięciem na śmierć. Jak żywy piorunochron, umocowany na szczycie nadbudówki okrętu, poddany był wiejącemu z huraganową prędkością wiatrowi, zasypywały go masy zmrożonego śniegu, zalewały zimne fontanny wody i piany. Oblepiała go wyjątkowo gruba warstwa lodu, na której nie widniała najmniejsza choćby szczelina; na szyi, ramionach, łokciach, nadgarstkach, biodrach i kolanach pojawiły się co prawda rysy i pęknięcia, lecz nawet w owych punktach załamań spod białej zbroi nie wystawał choćby drobny fragment sztormowego kombinezonu. Nieszczęsny wysłannik piekieł świecił się, błyszczał i lśnił. Przypominał Gorowowi robione z ciasta figurki ludzkie, pokryte smaczną białą polewą, którymi czasami obdarowywano w Moskwie dzieci na Nowy Rok.

Drugi marynarz stał na krótkiej drabince prowadzącej z mostka na szczyt nadbudówki; mocno przywiązany do jednego ze szczebli, dzięki czemu miał wolne

ręce, mocował kilka wodoszczelnych, aluminiowych kontenerów do długiego łańcucha, wykonanego ze stali tytanowej.

Zadowolony z faktu, że praca jest na ukończeniu, Gorow powrócił na swoje stanowisko i podniósł do oczu noktowizor.

22:56

GODZINA I CZTERY MINUTY DO DETONACJI

Przeraźliwy wiatr wiał od tyłu, co umożliwiło im dotarcie do rozpadliny przy użyciu pojazdów śnieżnych. Gdyby musieli przebijać się w kierunku przeciwnym do szalejącego sztormu, przemieszczanie byłoby utrudnione z powodu bardzo ograniczonej widoczności. W takim przypadku równie dobrze, a nawet lepiej, mogliby się poruszać pieszo, chociaż krępowałyaby ich lina, którą byliby przewiązani, aby uchronić się przed przewróceniem i porwaniem przez wicher. Jadąc z wiatrem, mieli znacznie lepszą widoczność, sięgającą momentami dziesięciu do piętnastu metrów; pogarszała się ona jednak z każdą minutą. Wkrótce zostaną całkowicie oślepieni przez białą kipieli.

Kiedy znaleźli się w bezpośredniej bliskości rozpadliny, Harry zatrzymał swój pojazd i — z pewną niechęcią — wysiadł na zewnątrz. Chociaż trzymał się klamki, podmuch wiatru powalił go na kolana. Kiedy wichura na moment osłabła, wstał z dużym wysiłkiem i chwycił się drzwi, przeklinając sztorm.

Pozostałe pojazdy zatrzymały się za nim. Ostatni wehikuł był od niego oddalony tylko o trzydzieści metrów, jednak nie mógł zobaczyć niczego oprócz żółtawej poświaty w miejscu, gdzie powinny znajdować się reflektory. Ich światło było tak nikiłe, że zastanawiał się, czy nie jest ono tylko złudzeniem przemęczonych oczu.

Wreszcie odważył się puścić klamkę, zgarbił się, próbując uchronić się przed atakami wichury, i pobiegł do przodu, oświetlając latarką powierzchnię lodu, dopóki nie nabrał pewności, że na leżącej przed nimi przestrzeni nie ma żadnych szczelin i pęknięć. Przemarzał do szpiku kości — chociaż oddychał przez maskę, zimne powietrze drapało go w gardle i wywoływało ból w płucach. Powrócił do względnie cieplej kabiny pojazdu i ostrożnie przejechał trzydzieści metrów, zanim znowu wysiadł, aby przeprowadzić kolejny rekonesans.

Ponownie znalazł rozpadlinę i tym razem uniknął zatrzymania się na samej krawędzi. Szczelina miała trzy do czterech metrów szerokości i zwężała się ku dołowi; panujących w niej ciemności nie było w stanie rozproszyć światło jego latarki.

Jak daleko sięgał wzrokiem przez swoje zmrożone gogle, które zaraz po prze-

tarcu pokryła nowa warstwa lodu, ściana, po której mieli schodzić, nie była zbyt stroma i zejście po niej nie powinno nastęczać specjalnych trudności. Nie mógł być do końca pewien tego, co widział: ką, pod jakim obserwował urwisko, szczególny sposób, w jaki lód odbijał i załamywał światło, cienie tańczące przy najmniejszym poruszeniu latarki, śnieg zdmuchiwany przez wiatr i opadający spiralnie w mroczną otchłań — wszystko sprzysięgało się, aby uniemożliwić mu dokładne obejrzenie tego, co znajdowało się na dole. Niecałe trzydzieści metrów niżej zobaczył coś, co wyglądało na dno rozpadliny lub szeroką półkę lodową, do której wydawało mu się, że będzie w stanie dotrzeć, nie zabijając się po drodze.

Harry odwrócił swój pojazd i ostrożnie podjechał tyłem do krawędzi urwiska; manewr ten mógłby zostać oceniony jako samobójczy, jednak biorąc pod uwagę, że pozostało im jedynie sześćdziesiąt cennych minut, odrobina szaleństwa wydawała się nie tylko usprawiedliwiona, ale wręcz konieczna. Z wyjątkiem żywych manekinów i brytyjskich ministrów, nikt jeszcze niczego nie osiągnął poprzez trwanie w bezruchu. Była to ulubiona maksyma Rity, która sama pochodziła z Wielkiej Brytanii, i Harry śmiał się, ilekroć sobie ją przypominał. Teraz jednak uśmiech nie pojawił się na jego twarzy. Świadomie podejmował ryzyko, wiedząc, że istnieje większe prawdopodobieństwo porażki niż sukcesu. Lód mógł się pod nim załamać i stoczyć w dół, tak jak stało się wcześniej tego dnia.

Mimo to był przygotowany, aby zaufać szczęściu i oddać swoje życie w ręce bogów. Jeśli we wszechświecie istniała sprawiedliwość, nadeszła najwyższa pora na poprawę losu.

Do czasu, kiedy inni zatrzymali swoje pojazdy, wysiedli i zbliżyli się do krawędzi rozpadliny, Harry zdążył przyczepić do haka holowniczego pojazdu dwie mocne nylonowe liny, wytrzymałe pięćsetkilogramowe obciążenie; pierwsza z nich pełniła funkcję asekuracyjną, zabezpieczając go przed upadkiem na dno rozpadliny — zawiązał ją sobie wokół pasa; za pomocą drugiej zamierzał przebyć odmierzony fragment urwiska. Jej wolny koniec zrzucił w głąb przepaści.

Pete Johnson podszedł do krawędzi i podał Harry'emu latarkę.

Harry przyczepił ją do pasa z narzędziami — podobnie jak wcześniej uczynił to ze swoją własną latarką — tak, że jedna zwisała mu przy prawym, a druga przy lewym biodrze, świecąc w dół, wzdłuż ochraniających nogi pikowanych spodni.

Ani on, ani Pete nie próbowali do siebie mówić. Wiatr gwizdał przeraźliwie, jakby wydobywał się z samej głębi piekieł; był tak głośny, że aż ogłuszał — najwyraźniej wzmógł się jeszcze bardziej w ciągu ostatniej godziny. Nie mogliby się nawzajem usłyszeć, nawet gdyby krzyczeli na całe gardło.

Harry położył się na lodzie, plecami do góry, i chwycił obiema rękami dłuższą linę.

Pete pochylił się i próbując dodać mu otuchy poklepał go po ramieniu. Następnie powoli zepchnął Harry'ego poza krawędź, w głąb rozpadliny.

Harry myślał, że trzymając mocno linę, będzie w stanie kontrolować prędkość

schodzenia, jednak mylił się co do tego. Lina prześliznęła się przez jego ręce, jakby została naoliwiona i runął w dół — mogła się do tego przyczynić warstwa lodu, pokrywająca jego rękawice, lub wazelina, która zebrała się na nich w ostatnich dniach na skutek nieświadomego pocierania natłuszczonej twarzy. Cokolwiek było tego przyczyną, lina przypominała wyslizgującego się z rąk żywego węgorza; zleciał prosto w przepaść.

Ściana lodu lśniła o kilka centymetrów od jego twarzy, migocąc odbitym światłem promieni dwóch laterek zawieszonych u pasa. Z całych sił zaciskał dłonie na linie, próbując jednocześnie ścisnąć ją kolanami, jednak pomimo tych wysiłków nabierał coraz większej prędkości.

W wirze padającego śniegu i załamujących się w lodzie promieni światła, Harry odniósł wrażenie, że ściana jest płaska i ma względnie gładką powierzchnię, jednak nie miał co do tego pewności. Krótsza lina asekuracyjna nie ocalałaby go, gdyby zawadził o wystający z urwiska, postrzępiony fragment lodu — spadając na niego z taką prędkością, pomimo grubej warstwy kombinezonu zostałyby rozrwane na strzępy.

Lina przepaliła wyslizganą, wierzchnią warstwę rękawic i w końcu udało mu się zatrzymać około dwudziestu metrów poniżej krawędzi rozpadliny. Serce biło mu jak rozkołysany dzwon, a wszystkie mięśnie były ściśnięte bardziej, niż lina asekuracyjna wokół jego pasa. Z trudem łapał oddech, kołysząc się na rozchybotanej linie i objając się boleśnie — a następnie coraz słabiej — od ściany urwiska, podczas gdy cienie i niezwykle błyski odbitego światła wyłaniały się z głębi jak stada uciekających z Hadesu duchów.

Nie zatrzymał się nawet na chwilę, aby uspokoić rozedrgane nerwy. Mechanizmy zegarowe zainstalowane w bombach wciąż nieubłaganie odliczały czas.

Zjechał na linie trochę niżej i dotarł do dna rozpadliny, której właściwa głębokość była zbliżona do tej, jaką oszacował stojąc na górze, i wynosiła około trzydziestu metrów.

Od pasa z narzędziami odpiął jedną z laterek i zaczął szukać wejścia do opisanego przez porucznika Timoszenkę tunelu. Widząc rozpadlinę po raz pierwszy, wcześniej tego dnia, zapamiętał, iż ma ona piętnaście do siedemnastu metrów długości, trzy do czterech metrów szerokości i zwęża się na obu końcach. W tej chwili nie widział całego jej dna. Kiedy pod jego pojazdem zawalił się fragment jednej ze ścian, oderwana masa lodu stoczyła się w dół i obecnie tworzyła wysoką przegrodę, rozdzielającą szczelinę na dwie, mniej więcej równe części. Na szczycie białego nasypu czerniły się zwęglone szczątki pojazdu.

Fragment dna, na którym znalazł się Harry, najwyraźniej donikąd nie prowadził; nie było w nim żadnych przejść czy głębszych pęknięć, które pozwalałyby zejść głębiej, i ani śladu tunelu lub wody morskiej.

Ślizgając się i potykając, pełen lęku, że spiętrzony lód osunie się i uwięzi go pomiędzy dwoma blokami, wyszedł na szczyt stromego nasypu, przedarł się

przez roztrzaskane i spalone szczątki pojazdu śnieżnego i kolejne zbite razem bryły lodu, po czym zsunął się na drugą stronę.

Druga część rozpadliny okazała się głębsza i jej dno było znacznie bardziej urozmaicone. W powierzchni lodu po prawej stronie nie widniały żadne szczeliny czy wgłębienia, natomiast lewa ściana nie dochodziła na sam dół, lecz kończyła się nieco ponad metr powyżej dna rozpadliny.

Harry położył się na brzuchu i poświecił latarką w ten niski otwór. Jama rozciągała się płasko i równo na przestrzeni sześciu lub siedmiu metrów pod ścianą rozpadliny, a następnie gwałtownie skręcała w dół, gdzie niknęła poza zasięgiem wzroku.

Czy należało ją spenetrować?

Spojrzał na swój zegarek. Dwudziesta trzecia zero dwie.

Detonacja nastąpi za pięćdziesiąt osiem minut.

Trzymając przed sobą latarkę, Harry szybko wsunął się do poziomego przejścia. Chociaż leżał płasko na brzuchu, przesmyk był miejscami tak niski, że ocierał tyłem głowy o sklepienie.

Nie cierpiał na klaustrofobię, jednak odczuwał w pełni uzasadniony lęk na myśl, że znajduje się w niezwykle ciasnej przestrzeni, pod grubą trzydziestometrową warstwą lodu, ponad którą rozciąga się arktyczne pustkowia, a w pobliżu, w pięćdziesięciu siedmiu potężnych bombach, zegary nieubłaganie odliczają minuty pozostałe do eksplozji.

Pomimo to wiał się i skręcał, przepychając się do przodu za pomocą łokci i kolan. Kiedy przebył osiem czy dziesięć metrów, odkrył, że przejście prowadzi do dna czegoś, co wydawało się dużą, wręcz otwartą przestrzenią — potężną wnęką w samym sercu góry lodowej. Przesunął latarkę w lewo i w prawo, jednak z miejsca, gdzie się znajdował, nie mógł dostrzec prawdziwych rozmiarów pieczary. Wypełznął z ciasnego przejścia, wstał na nogi i odpiął od pasa drugą latarkę.

Znajdował się w kulistej komorze o średnicy ponad trzydziestu metrów, poprzecinanej licznymi szczelinami i wychodzącymi z niej przesmykami. Strop najwyraźniej został uformowany przez potężny, ukierunkowany pionowo strumień gorącej wody i pary: prawie idealna kopuła, zbyt gładka, aby mogło ją utworzyć zjawisko inne niż wybuch podmorskiego wulkanu. Sklepienie, na którym widniało tylko kilka stalaktytów i pęknięcia w kształcie pajęczyny, miało maksymalną wysokość dwudziestu metrów, a w miejscach, gdzie stykało się ze ścianami, zmniejszała się ona do dziesięciu. Podłoże opadało w kierunku środka pieczary w formie siedmiu stopni o niewielkiej wysokości, tak że całość wyglądała jak amfiteatr. Na samym dole, tam gdzie powinna się znajdować scena, widniał okrągły basen o średnicy mniej więcej trzynastu metrów, z którego tryskała morska woda.

Tunel.

Nieco niżej ów szeroki szyb kończył się otworem w dnie góry lodowej, pro-

wadzącym do mrocznego świata głębin Oceanu Arktycznego, w których miał na nich oczekiwać *Ilja Pogodin*.

Widok ciemnego akwenu zahipnotyzował Harry'ego, jakby był granicą pomiędzy tym a innym wymiarem; czymś w rodzaju ukrytych z tyłu starej szafy drzwi, prowadzących do zaczarowanego ładu Narnia lub szalejącym tornado, mogącym unieść dziecko lub psa do krainy Oz.

— A niech to szlag! — Jego głos odbił się od szczytu kopuły.

Nadzieja nagle dodała mu energii.

W głębi duszy miał pewne wątpliwości, czy tunel w ogóle istnieje. Podejrzał, że sonda powierzchniowa na pokładzie *Pogodina* wadliwie funkcjonuje. Jak to możliwe, iż w tej przeraźliwie zimnej wodzie długi tunel wydrążony w górze lodowej pozostał otwarty? Dlaczego nie zamarł? Nie chciał o to pytać innych — wolał ich nie niepokoić. Łatwiej było spędzić ostatnią godzinę życia z nadzieją niż bez niej. Niemniej jednak nie mógł znaleźć rozwiązania tej łamigłówki.

Teraz wszystko stało się jasne. Woda wewnątrz tunelu przemieszczała się na skutek ruchów pływowych oceanu i bynajmniej nie kołysała się spokojnie, lecz tryskała w górę na wysokość kilku metrów; spadała z potężną siłą, rytmicznie i miarowo, burząc się i kłębiąc, a następnie spływała z powrotem, dopóki jej poziom nie wyrównał się z krawędzią otworu. W górę i w dół, w górę i w dół... Ciągły ruch chronił wylot tunelu przed zamrożeniem i powstrzymywał powstawanie lodu w jego wnętrzu.

Oczywiście, za jakiś czas, powiedzmy za dwa lub trzy dni, szyb najprawdopodobniej znacznie się zwęzi. Pomimo ruchów pływowych, lód stopniowo zacznie osiadać na ścianach tunelu, w konsekwencji całkowicie go zamykając.

Jednak nie potrzebowali przejścia za dwa lub trzy dni, lecz teraz, natychmiast.

W ciągu ostatnich dwunastu godzin natura sprzysięgła się przeciwko nim — być może teraz im pomagała, gotowa do okazania odrobiny miłosierdzia.

Przetrwanie.

Paryż. Hotel George V.

Moët & Chandon.

Salon Crazy Horse.

Rita...

Jednak istniała szansa na ocalenie.

Harry przypiął do pasa jedną z latarek i używając drugiej do oświetlania sobie drogi, przeczołgał się przez ciasne przejście pomiędzy pieczarą a dnem rozpadliny, spiesząc się, aby jak najszybciej dać innym znak do zejścia na dół i rozpoczęcia karkołomnej ucieczki z lodowego więzienia.

23:06

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY MINUTY DO DETONACJI

Nikita Gorow, stojąc na stanowisku dowodzenia, obserwował ekrany pięciu monitorów, zamocowanych w suficie. Bez specjalnych trudności kontrolował jednocześnie obliczenia i wykresy, które były wynikiem funkcjonowania pięciu różnych programów komputerowych zbierających dane dotyczące pozycji okrętu i góry lodowej, ich prędkości oraz innych parametrów.

— Otwarta woda — zameldował technik obsługujący sondę powierzchniową.
— Ponad nami nie ma lodu.

Gorow prowadził *Ilję Pogodina* pod długą wklęsłością w kształcie dysku wydrążoną w dnie góry lodowej. Nadbudówka okrętu znajdowała się dokładnie pod szerokim tunelem, znajdującym się w centralnym punkcie wgłębienia. Ogólnie rzecz biorąc, starali się utrzymać stałą pozycję pod odwróconym lodowym kominem, i musieli w niej pozostać podczas całej operacji.

— Zsynchronizowaliśmy naszą prędkość z dryfem obiektu — oznajmił Żuków, powtarzając meldunek ze sterowni, który usłyszał przez swoje słuchawki.

— Zgadza się, prędkość jest zsynchronizowana — potwierdził jeden z techników, stojący przy lewej ścianie pomieszczenia.

— Ster zero — zarządził Gorow.

— Tak jest, ster zero.

Nie chcąc odwracać uwagi, Gorow intensywnie wpatrywał się w monitory, jak gdyby mówił do nich, a nie do załogi w centrum dowodzenia.

— Uważnie kontrolować kierunek dryfu.

— Otwarta woda. Ponad nami nie ma lodu.

Oczywiście powyżej przemieszczała się potężna lodowa konstrukcja — olbrzymia pływająca wyspa — jednak nie znajdowała się dokładnie nad umieszczoną w nadbudówce sondą powierzchniową. Sygnał dźwiękowy trafiał prosto do wnętrza szerokiego tunelu, i nie napotykając żadnych przeszkód dochodził do samej powierzchni morza, dwieście metrów wyżej, gdzie lodowy komin kończył się na dnie rozpadliny, którą doktor Carpenter opisał Timoszence. Urządzenie nie wykazywało więc obecności jakiegokolwiek obiektu ponad okrętem.

Kapitan zwlekał; nie chciał rozpocząć akcji, nie mając stuprocentowej pewności co do odpowiedniego ustawienia łodzi. Uważnie przyglądał się pięciu monitorom przez następne trzydzieści sekund i gdy doszedł do wniosku, że prędkość łodzi jest odpowiednio zsynchronizowana z dryfem góry lodowej, nachylił do siebie mikrofon i powiedział:

— Kapitan do centrum łączności. Wysunąć antenę.

Z przymocowanego do sufitu głośnika rozległy się słowa wypowiedane przez Timoszenkę:

— Antena wysunięta.

Na górze, pomiędzy masztami i peryskopami *Pogodina*, tkwiło osiem wodoszczelnych, aluminiowych kontenerów, które zostały przywiązane za pomocą licznych zwojów nylonowej liny — niektóre sploty, tak jak przewidywano wcześniej, z pewnością pękły podczas drugiego zanurzenia łodzi na głębokość dwustu trzydziestu metrów.

W momencie wysunięcia anteny, z pojemnika na nadbudówce został wypchnięty przez sprężone powietrze balon wypełniony helem. Jeśli funkcjonował poprawnie — tak jak do tej pory — unosił się teraz szybko w mrocznych wodach oceanu, ciągnąc za sobą antenę multikomunikacyjną. *Ilja Pogodin*, jako okręt wywiadowczy, od lat wysuwał w ten sposób antenę podczas tysiąca różnych okazji.

Osiem wodoszczelnych skrzynek zamocowanych na nadbudówce nie było jednak typowym elementem dla tego typu operacji. Przyczepiono je do kabli telekomunikacyjnych za pomocą karabinków i łańcucha wykonanego ze stopu tytanu. Gdy balon z helem znajdzie się dwadzieścia stóp powyżej mostka, powinien zaciśnąć łańcuch i unieść kontenery w górę, pociągając na tyle silnie za końcówki nylonowych lin mocujących, aby rozwiązać węzły. Aluminiowe pudła były lżejsze od wypieranej przez nie wody, w związku z czym mogły następnie samoczynnie unieść się z nadbudówki, nie powodując dodatkowego obciążenia dla balonu.

Po kilku sekundach wypełniona helem kula znajdowała się na poziomie dwustu metrów poniżej linii wody, potem zaczęła iść szybko do góry, unosząc się w wydrążonym kominie — jej śladem powinny podążać kontenery. Bąbelki powietrza, które swoim ciśnieniem wypchnęły balon z pojemnika, prawie od początku zostały w tyle za wznoszącą się anteną i aluminiowymi pudłami, gdyż hel w balonie zwiększał swoją objętość znacznie szybciej niż tlen. Na poziomie około stu trzydziestu metrów balon wślizgnął się do długiego tunelu i zaczął unosić się bez wysiłku, ciągnąc za sobą kontenery coraz wyżej i wyżej...

— W tunelu pojawił się zator — zameldował operator sondy powierzchniowej, pochylając się nad wykresem.

— Lód? — zapytał Gorow.

— Nie. Zator przemieszcza się do góry.

— Kontenery.

— Tak, kapitanie.

— To działa — zauważył Żuków.
— Na to wygląda — zgodził się kapitan.
— Teraz, jeżeli polarnicy z Edgeway zlokalizowali wejście do tunelu. . .
— . . . możemy przystąpić do najtrudniejszej części zadania — dokończył za niego Gorow.

Przez ekrany monitorów przesuwały się kolumny cyfr i kolejne wykresy.

Wreszcie głośnik interkomu zatrzeszczał i porucznik Timoszenko zameldował:

— Antena jest wysunięta. Balon dotarł na powierzchnię, kapitanie.

Gorow obniżył mikrofon, odchrząknął i wydał odpowiednie rozkazy:

— Wyłączcie automatyczny system i odwińcie jeszcze dodatkowo dwadzieścia metrów kabla.

Chwilę później głos Timoszenki rozległ się ponownie:

— Dodatkowe metry kabla zostały wysunięte, kapitanie.

Emil Żuków przetarł otwartą dłońią swoją pochmurną twarz.

— Teraz długie oczekiwanie.

Gorow pokiwał głową.

— Tak, teraz długie oczekiwanie.

23:10

PIĘĆDZIESIĄT MINUT DO DETONACJI

Wypełniony helem balon wyłonił się z wody w górnym wylocie tunelu i wesoło podskakiwał na falach. Choć miał matowy, niebieskoszary kolor, Harry odnosił wrażenie, że wygląda jak barwny karnawałowy balonik.

Gdy Timoszenko odwinął dodatkowy odcinek kabla, na powierzchnię zaczęło wypływać po kolei osiem wodoszczelnych, aluminiowych kontenerów. Uderzały o siebie nawzajem, wydając dudniący, głuchy, prawie niesłyszalny łoskot.

Harry tym razem nie był sam w pieczarze; obok niego znajdowali się: Rita, Brian, Franz, Claude i Roger. W tej chwili George Lin właśnie powinien dotrzeć do dna rozpadliny, a Pete Johnson prawdopodobnie rozpoczął schodzenie po linie z omiatanej sztormem powierzchni góry lodowej.

— Weźmy się do roboty. Trzeba wyciągnąć z wody te pudła — powiedział Harry, chwytając w ręce prowizoryczny bosak, który sklecieli naprędcę z aluminiowej rury i grubego drutu.

Przy pomocy Franza i Rogera udało mu się zaczepić hak o łańcuch i wyciągnąć z basenu kontenery; gdy je wydobywali, wszyscy trzej zamoczyli się po kolana i w ciągu niewielu sekund sztormowe kombinezony zamarzyły na kamień wokół ich łydek. Choć ubrania i buty, które na sobie mieli, były wodoszczelne, nawet częściowe zawilgocenie powodowało utratę ciepła z organizmu. Przemarznięci, trzęsąc się z zimna, pospiesznie otworzyli aluminiowe skrzynki i wyciągnęli z nich sprzęt i kombinezony przesłane z *Ilji Pogodina*. W każdym kontenerze znajdował się aparat tlenowy. Jednak nie był to typowy ekwipunek przeznaczony do nurkowania. Został skonstruowany z myślą o wykonywaniu zadań na dużej głębokości, w wodzie o wyjątkowo niskiej temperaturze. Każdy kombinezon wyposażony był w przypięte do specjalnego pasa baterie. Gdy podłączyło się do nich obcisłe spodnie i kurtkę, wewnętrzna warstwa skafandra zaczynała grzać, mniej więcej w ten sam sposób jak koc elektryczny.

Harry położył swój sprzęt na lodzie, w sporej odległości od najwyższej linii przyplwy, gdyż woda nieustannie falowała i rozbryzgiwała się o krawędzie basenu. Do każdego kombinezonu dołączono butlę ze sprężonym powietrzem. Maską

do nurkowania była na tyle duża, że zasłaniała większą część twarzy, od brody po czoło, eliminując potrzebę używania osobnego ustnika — powietrze dochodziło wprost do maski, tak że nurek mógł oddychać przez nos.

Ściślej mówiąc, nie mieli oddychać powietrzem. Zamiast niego zbiornik zawierał mieszankę tlenowo-helową z kilkoma specjalnymi dodatkami, w celu umożliwienia użytkownikowi przebywania na dużych głębokościach. Objasniając wcześniej przez radio zasady działania sprzętu, Timoszenko zapewnił ich, że mieszanka gazów w zbiorniku pozwala na nurkowanie na dużych głębokościach „bez nadmiernego ryzyka” dla układu oddechowego i układu krążenia. Słowa, jakich użył porucznik, nie dodały Harry’emu otuchy, jednak myśl o pięćdziesięciu siedmiu potężnych bombach skutecznie rozbudzała zaufanie do rosyjskiej technologii podwodnej.

Kombinezony także różniły się od standardowego wyposażenia nurków. Spodnie zakrywały całe stopy, a rękawy kurtki kończyły się rękawicami. Kaptur szczelnie obejmował te fragmenty głowy i twarzy, których nie zasłaniała duża maska, jakby pozostawienie choćby jednego centymetra nie osłoniętej skóry mogło spowodować nagłą i gwałtowną śmierć. Kombinezony te sprawiały wrażenie nieco pomniejszonych skafandrów używanych przez astronautów w kosmosie.

George Lin wszedł do jaskini, gdy rozpakowywali aluminiowe pudła. Przyglądał się ekwipunkowi z nie ukrywaną podejrziwością.

— Harry, musi istnieć jeszcze jakieś rozwiązanie, jakiś inny sposób. Musi być...

— Nie — uciął Harry bez charakterystycznej dla siebie cierpliwości i taktu — to właśnie jest rozwiązanie. To albo żadne. Nie ma już czasu na dyskusję, George. Po prostu zakończ ten temat i nakładaj kombinezon.

Lin sprawiał posępne wrażenie.

Ale nie wyglądał na zabójcę.

Harry przyglądał się pozostałym, którzy byli zajęci rozpakowywaniem swoich kontenerów ze sprzętem. Żaden z krzątających się ludzi nie wyglądał na mordercę, niemniej jeden z nich zaatakował Briana i — z jakiegokolwiek by to było przyczyny — mógł przysporzyć im sporo problemów podczas nurkowania w długim tunelu.

Pete Johnson, jako ostatni, z wysiłkiem wyczołgiwał się z przesmyku pomiędzy rozpadliną a pieczarą, przeklinając lód dookoła. Przebycie ciasnego korytarza było dla niego zadaniem znacznie trudniejszym niż dla pozostałych. Jego szerokie ramiona utrudniały mu przecięnięcie się przez najwęższe fragmenty przejścia.

— Pospieszmy się z ubieraniem — ponaglał Harry; jego głos, odbity od ścian i kopuły lodowego amfiteatru, tworzył rezonans, co nadawało mu niesamowite, dudniące brzmienie.

— Nie mamy czasu do stracenia.

Przebierali się z arktycznego ubrania w kombinezony do nurkowania z pośpiechem, który zrodził się z dotkliwego zimna i desperacji. Harry, Franz i Roger

odczuwali przejmujący ból, będący rezultatem zanurzenia się po kolana w wodzie: ich stopy na wpeł zdrewniały — co było niepokojącym objawem — jednak wkrótce na skutek szoku powrócił im nadmiar czucia, tak że od łydek po palce u nóg dokuczało im łamanie w kościach, rwanie, klucie, palenie. Inni nie cierpieli tych dodatkowych katuszy, jednak głośno przeklinali i narzekali podczas krótkich chwil, gdy musieli pozostawać bez ubrania. W pieczarze nie było najłżejszego choćby podmuchu wiatru, jednak temperatura powietrza wynosiła około dwudziestu stopni Fahrenheita poniżej zera. Dlatego właśnie nakładali górną i dolną część kombinezonów etapami, aby uniknąć całkowitego wystawienia się na działanie morderczego zimna: ściągali najpierw buty, filcowe wkładki, skarpety, spodnie oraz długą bieliznę i pospiesznie wkładali obcisłe, termicznie izolowane spodnie do nurkowania; następnie pozbywali się kurtek, kamizelek, swetrów, koszul i podkoszulków, i nakładali gumowe kurtki zaopatrzone w kaptury.

Skromność mogła okazać się równie zabójcza jak opieszałość. Gdy Harry podniósł wzrok po włożeniu na siebie spodni kombinezonu, ujrzał nagie piersi Rity, która usiłowała ubrać się w gumową kurtkę. Jej ciało miało sinoniebieski kolor i pokrywała je wyraźnie widoczna gęsia skórka. Wreszcie udało jej się zapiąć zamek błyskawiczny; zauważyła spojrzenie Harry'ego i mrugnęła do niego okiem.

Zdziwiło go to mrugnięcie. Mógł się tylko domyślać, jak potworny lęk musiała teraz odczuwać. Nie znajdowała się już na lodzie, lecz była zewsząd nim otoczona — pogrzebana. Z pewnością ogarniało ją narastające przerażenie. Zanim przedostaną się przez tunel do łodzi podwodnej — o ile w ogóle uda im się tego dokonać — niewątpliwie co najmniej kilkakrotnie przypomni sobie śmierć swoich rodziców i z najmniejszymi detalami odtworzy w pamięci wypadek, który przeżyła w wieku sześciu lat.

Pete miał kłopoty z wciśnięciem się w kombinezon.

— Czy ci Rosjanie to Pigmeje?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Żart nie był aż tak śmieszny. Taka gwałtowna wesołość zdradzała jedynie ich wewnętrzne napięcie. Harry czuł, że wszyscy znajdują się na krawędzi paniki.

23:15

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ MINUT DO DETONACJI

Z umieszczonego w suficie głośnika rozległa się wiadomość, której wszyscy w centrum dowodzenia się spodziewali. Oficer z pomieszczenia torpedowego meldował:

— Wewnętrzna strona kadłuba znowu wilgotnieje, kapitanie.

Gorow odwrócił się od monitorów i nachylił ramię mikrofonu.

— Kapitan do pomieszczenia torpedowego. Czy to tylko cienka warstewka, tak jak poprzednim razem?

— Tak, kapitanie. Mniej więcej taka sama.

— Obserwujcie ją uważnie.

— Teraz, kiedy znamy konfigurację lodu ponad nami — powiedział Emil Żuków — moglibyśmy zmniejszyć zanurzenie do dwustu metrów, chowając się we wgłębieniu pod kominem.

Gorow potrząsnął głową.

— Teraz musimy się martwić tylko o jedno — zawilgocenie wewnętrznego poszycia kadłuba w pomieszczeniu torpedowym. Jeśli zmniejszymy zanurzenie do dwustu metrów, możemy nadal mieć ten sam problem, a dodatkowo będziemy musieli uważać, czy góra lodowa nagle nie zmienia kierunku pod wpływem jakiegoś nowego prądu oceanicznego.

Gdyby ostrożnie zmniejszyli zanurzenie, chowając się we wklęsłości dna, aby osłabić potężne ciśnienie, jakiemu poddany był kadłub, *Pogodin* dosłownie wtuliłby się w górę lodową jak niemowlę w ramiona matki. Wtedy, jeśli góra zaczęłaby się poruszać wolniej lub szybciej, zanim zauważyliby, co się dzieje, mogłoby już być za późno. Zderzyliby się z lodem, którego nawisy znajdowały się przed ich dziobem i za rufą.

— Utrzymać zsynchronizowaną prędkość i dotychczasowe zanurzenie — zarządził Gorow.

Notes miał diabelską, zniewalającą moc. Jego zawartość szokowała, wywo-

ływała mdłości, napawała Gunvalda obrzydzeniem, jednak nie był w stanie powstrzymać się przed odwróceniem kolejnej kartki, następnej, jeszcze jednej. Zachowywał się jak dzikie zwierzę, które natrafiło na zjedzone w połowie mięso i wnętrzności swojego pobratymcy, który stał się ofiarą drapieżnika: zawzięcie wdychał zapach szczątków — przestraszony, lecz ciekawy; wstydzący się przed samym sobą, jednak całkowicie zafascynowany przerażającym losem, jaki spotkał przedstawiciela jego własnego gatunku.

W pewnym sensie notes zawierał opis rozkładu; systematycznie prowadzony dziennik stopniowego popadania w szaleństwo — chociaż sam jego autor nie zdawał sobie z tego sprawy. Owemu opętanemu człowiekowi mogło się wydawać, że zeszyt jest zwykłą kompilacją z różnorodnych źródeł informacji, dotyczącą urojonego spisku przeciwko Stanom Zjednoczonym Ameryki i w ogóle demokracji na całym świecie. W notesie poprzyklejano za pomocą przezroczystej taśmy wycinki z gazet i magazynów, ułożone w porządku chronologicznym, obok których właściciel notesu podpisywał własne komentarze.

Najwcześniejsze artykuły pochodziły z różnorodnych politycznych czasopism, wydawanych po amatorsku, w ograniczonym nakładzie, przez skrajnie lewicowe, jak również prawicowe ugrupowania. Człowiek ten podsyczał swoją paranoję czytając publikacje reprezentujące ekstremalne, często zupełnie przeciwstawne poglądy; były to przydługawe, najbardziej ogłupiające, nieprawdopodobne i skandalizujące historie, mające wywołać u czytelnika niepokój, a nawet przerażenie: prezydent był zagorzałym komunistą — natomiast według innych faszystą; prezydent miał ukryte skłonności homoseksualne i gustował zwłaszcza w nieletnich chłopcach — albo był nienasyconym erotomanem, dla którego potajemnie sprowadzano do Białego Domu dziesięć ślicznotek tygodniowo; papieża uznawano na przemian za ultrapravicowca, potajemnie popierającego dyktatorów z krajów Trzeciego Świata i za komunizującego maniaka, który pragnie zniszczyć demokrację oraz zagarnąć całe bogactwo świata dla jezuitów. W jednym z artykułów można było wyczytać, że Rockefellerowie i Mellonowie są potomkami rodzin, które spiskowały — próbując przejąć władzę nad światem — już od czternastego, a nawet od dwunastego wieku, albo w ogóle od kiedy dinozaury opuściły ziemski padół. Inny wycinek prasowy zawierał informację, jakoby w Chinach istniały specjalne „hodowle prostytutek”, do których trafiały małe dziewczynki, wysyłane następnie w wieku dziesięciu lat zboczonym seksualnie politykom państw zachodnich, w zamian za szczegóły dotyczące bezpieczeństwa narodowego. Za zanieczyszczenie planety byli odpowiedzialni chciwi biznesmeni, opętani żądzą pieniądza do tego stopnia, iż nie interesowało ich, czy doprowadzą do zagłady wszystkie jeszcze żyjące foki, ostatnie smukłe sekwoje przerobią na meble, zatrują dzieci i zniszczą ziemię w pogoni za wszechmocnym dolarem — za pomocą swoich diabelskich knowań stworzyli tak gęstą i rozległą sieć intryg, że nie wiadomo, czy nie jest w nią wplątana nasza rodzona matka. Ziemią próbowali za-

władnąć przybysze z kosmosu, którzy potajemnie współpracowali z (do wyboru): Partią Republikańską, Partią Demokratyczną, Partią Liberalną, Żydami, czarnymi, przechrztami, konserwatystami, białymi kierownikami przedsiębiorstw transportowych. Wszystkie artykuły miały taki ton, że Gunvald nie zdziwiłby się, gdyby znalazł informację, iż Elvis Presley sfingował swoją śmierć w celu przejęcia kontroli nad międzynarodowym systemem bankowym, którym zarządza ze swojego podziemnego bunkra w Szwajcarii.

Od strony dwudziestej czwartej notes stawał się jeszcze bardziej wstrętny i odrażający — przyklejono na niej wycinek prasowy z podobizną prezydenta Dougherty'ego. Ponad zdjęciem widniał nagłówek: **DZIESIĄTA ROCZNICA ZAMACHU NA DOUGHERTY'EGO**. Na marginesie, małymi, lecz starannie nakreślonymi, czerwonymi literami, psychopata zapisał swoje uwagi:

Jego mózg zgnił. Jego świadomość już nie istnieje. Z jego ust nie popłynie już rzeka kłamstw. Zżerają go robaki. Zaoszczędzono światu kolejnych potomków, których mógłby splodzić. Widziałem dziś plakat z napisem: „Nie mogę przekonać człowieka o słuszności moich poglądów, zagłuszając go, kiedy próbuje przedstawić swoje własne”. Ale to kłamstwo. Człowieka przekonuje śmierć. I wierzę, że pomoże przekonać również tych, którzy pójdą w jego ślady. Żałuję, że to nie ja go zabiłem.

Od tego momentu coraz więcej miejsca zajmowały wycinki związane z rodziną Doughertych. Już około setnej strony stali się oni wyłączną obsesją właściciela notesu — a była to dopiero jedna trzecia objętości zeszytu. Dotyczyły ich wszystkie artykuły na następnych dwustu stronach. Zbierał zarówno informacje ważne, jak i trywialne: sprawozdanie z mowy przedwyborczej, jaką ojciec Briana wygłosił dwa lata wcześniej, notatka o zaskakującym przyjęciu urodzinowym, jakie wydała wdowa po ostatnim prezydencie, doniesienie UPI o wyczynach Briana podczas walk z bykami na arenach w Madrycie. . .

Na stronie dwieście dziesiątej znajdowało się zdjęcie rodziny Doughertych, wykonane podczas ślubu siostry Briana i wydrukowane w czasopiśmie *People*; widniało pod nim tylko jedno słowo, napisane odręcznie czerwonym długopisem: *Wróg*. Na stronie dwieście trzydziestej została zdarta ostatnia maska normalności i przerażające oblicze obłędu ukazało się w całej okazałości. Właściciel notesu wyrwał z kolorowego magazynu kartkę ze zdjęciem najstarszej siostry Briana — Emily. Ładna, młoda kobieta. Zgrabny nos. Duże zielone oczy. Trochę piegów. Kasztanowe włosy sięgające do ramion. Spoglądała w bok, śmiejąc się z czegoś, co ktoś powiedział lub zrobił poza kadrem. Wokół jej twarzy wiły się wielokrotnie napisane trzy słowa, które wypełniały całą kartkę: *świnia, kurwa, menda, świnia, kurwa, menda, świnia, kurwa, menda*. . . Na widok kolejnych stron włosy stawały na głowie.

Gunvald ponowił próbę skontaktowania się z Harrym. Żadnego odzewu. Nie mógł uzyskać z nikim połączenia. Jego jedynym towarzyszem stał się sztorm.

Co, na litość boską, działo się na górze lodowej?

Jedynymi uczestnikami wyprawy, którzy mieli spore doświadczenie w nurkowaniu, byli Brian Dougherty i Roger Breskin. Ponieważ Brian nie był oficjalnym członkiem ekspedycji, a jedynie obserwatorem, Harry uznał, że nie powinien on jako pierwszy schodzić pod wodę w głąb tunelu, gdyż mogły tam na niego czekać trudne do przewidzenia niebezpieczeństwa. W związku z tym całą grupę miał poprowadzić Roger Breskin.

Mieli podążać za Rogerem w ustalonej kolejności: Harry jako drugi, następnie Brian, Rita, George, Claude, Franz i Pete. Ten porządek był wynikiem głębokiego namysłu. Brian znajdzie się pomiędzy Harrym i Ritą — jedynymi osobami, którym mógł całkowicie zaufać. Za Ritą znajdował się George Lin, mogący zagrozić jej i Brianowi. Z powodu swojego wieku i dobrodusznego usposobienia, Claude Jobert wydawał się — oprócz Pete'a — najmniej prawdopodobnym kandydatem na potencjalnego mordercę i dlatego miał znaleźć się za Linem, skąd z pewnością zauważy ewentualny atak i spróbuje mu zapobiec. Gdyby napastnikiem okazał się Franz, miałby znacznie utrudnione zadanie, gdyż z tyłu będzie go obserwować Pete. Jeśli zaś zamachowcem okazałby się Pete Johnson — co było najmniej prawdopodobną ewentualnością — wówczas nie byłoby mu łatwo wyprzedzić Franza, Claude'a, Lina i Ritę, aby dotrzeć do Briana.

Gdyby w tunelu panował całkowity mrok, kolejność, w jakiej posuwaliby się w głąb, nie miałyby większego znaczenia, gdyż w ciemnościach wszystko mogłoby się zdarzyć. Na szczęście w aluminiowych kontenerach znajdowały się trzy silne halogenowe reflektory, przeznaczone do używania pod wodą i odporne na wysokie ciśnienie; jeden z nich miał trzymać Roger, płynący na samym przodzie; drugi George Lin — płynący w środku grupy; trzeci reflektor miał zostać oddany do dyspozycji Pete'a. Jeśli wszyscy będą zachowywać jednakowy, trzymetrowy odstęp, wówczas odległość pomiędzy pierwszą lampą a ostatnią wyniesie około czterdziestu metrów. Nie będą poruszać się w jasnym strumieniu światła, jednak Harry doszedł do wniosku, że będzie ono wystarczająco intensywne, aby zniechęcić napastnika do kolejnego ataku.

Do każdego z ogrzewanych kombinezonów dołączono wodoodporny zegarek cyfrowy z dużą, podświetlaną tarczą. Harry sprawdził godzinę, gdy tylko skończył się ubierać: było osiemnaście minut po dwudziestej trzeciej.

Detonacja za czterdzieści dwie minuty.

— Wszyscy gotowi? — zapytał.

Wszyscy mieli na sobie skafandry i maski. Nawet George Lin.

— Powodzenia, moi drodzy — powiedział Harry. Nasunął maskę, sięgnął ręką za prawe ramię, przekręcił zawór regulujący dopływ powietrza ze zbiornika i zaczerpnął kilka głębokich oddechów w celu upewnienia się co do prawidłowego

działania sprzętu. Odwrócił się do Rogera Breskina i uniósł do góry oba kciuki, dając znać, że jest gotowy.

Roger podniósł swoją halogenową lampę, przewiesił się przez niewysoką krawędź basenu, przez moment trwał w tej pozycji... i skoczył nogami w dół do szerokiej gardzieli tunelu.

Za nim podążył Harry, rozcinając wodę z nieco mniejszym impetem niż Roger. Choć wiedział, że tak się nie zdarzy, podświadomie obawiał się, iż lodowate objęcia wody wstrzymają mu dech w piersiach i zatrzymają akcję serca, mimowolnie więc zaczerpnął kilka raptownych oddechów zaraz gdy znalazł się pod powierzchnią wody. Jednak zestaw baterii przy kombinezonie i jego podgrzewane podbicie działały wyjątkowo sprawnie, dzięki czemu nie odczuł nawet najmniejszej zmiany temperatury.

Woda była mętna. Miliony unoszących się drobnych żyjątek podmorskiej fauny i flory, wśród których pływały małe ziarenka lodu, tworzyły zawiesinę tak gęstą, że mogłyby nakarmić stado wielorybów. Sylwetka Roberta, ubranego w gumowy kombinezon, była na wpół niewidoczna na tle halogenowego blasku. Jego kontury zarysowywały ciemny, tajemniczy kształt przypominający cień oderwany od osoby, która go rzucała, lub samą śmierć pozbawioną tradycyjnej kosy.

Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, Brian wskoczył do wody natychmiast po Rogerze i Harrym, aby uniknąć ewentualnego ataku w pieczarze.

Roger zaczął już posuwać się na dół, chwytając rękami za kabel telekomunikacyjny, prowadzący do *Ilji Pogodina*. Harry przybliżył do twarzy lewy nadgarstek, aby odczytać czas z podświetlanego cyferblatu zegarka: dwudziesta trzecia dwadzieścia.

Detonacja nastąpi za czterdzieści minut.

Podążył za Rogerem Breskinem na dół, prosto w nieznane.

23:22

TRZYDZIEŚCI OSIEM MINUT DO DETONACJI

Mesa oficerska zgłasza się do kapitana. W centrum dowodzenia Nikita Gorow nachylił ramię mikrofonu. — Meldujcie.

Słowa popłynęły z głośnika tak prędko, że zlewały się ze sobą i były prawie niezrozumiałe:

— Pojawiło się tutaj zawilgocenie na ścianie kadłuba.

— Z której strony? — zapytał Gorow ze stoickim spokojem, chociaż ze strachu skręcały mu się wnętrzności.

— Z prawej, kapitanie.

— Czy to spore zawilgocenie?

— Niezbyt. Przynajmniej na razie. Jest jak cienka warstewka rosy, znajduje się tuż pod sufitem, ma dwa metry długości i kilka centymetrów szerokości.

— Są jakieś ślady przecieku?

— Nie, kapitanie.

— Informujcie mnie na bieżąco — powiedział, nie okazując, jak dalece był zaniepokojony, i puścił mikrofon.

— Sonograf ponownie sygnalizuje częściową blokadę tunelu — zameldował technik obsługujący sondę powierzchniową.

— Nurkowie?

Technik przez moment przyglądał się wykresowi.

— Tak. To jedyna z możliwych interpretacji. Nurkowie. Na wszystkich wskaźnikach odczytuję ruch w dół.

Dobra wiadomość wywarła wrażenie na wszystkich: marynarze byli nie mniej napięci niż przed chwilą, jednak po raz pierwszy od kilku godzin ich naprężone nerwy ukoїła fala umiarkowanego optymizmu.

— Pomieszczenie torpedowe zgłasza się do kapitana.

Gorow ukradkiem wytarł mokre dłonie o spodnie i jeszcze raz nachylił ramię mikrofonu:

— Meldujcie.

Głos był opanowany, chociaż można w nim było usłyszeć ukrytą nutę niepokoju.

— Powiększa się zawilgocenie pomiędzy czwartym a piątym lukiem.

— Jak bardzo się powiększa?

— Woda zaczyna sączyć się na pokład.

— Jak intensywnie? — zapytał Gorow.

Głośnik zapiszczał w chwili, gdy oficer z pomieszczenia torpedowego oszacowywał sytuację.

— Około jednej, dwóch kropli na minutę.

— Czy to wszystko?

— Tak jest, kapitanie.

— Nie ma żadnego innego przecieku?

— Nie zauważyliśmy.

— Nity dobrze trzymają?

— Nie ma żadnych wyrzuseń na złączu.

— Jakież odgłosy wyginanego metalu?

— Badaliśmy go za pomocą stetoskopu; żadnych hałasów ani innych oznak zmęczenia materiału.

— Więc dlaczego słyszę w waszym głosie zaniepokojenie? — naciskał Gorow, zmierzając wprost do sedna sprawy.

Oficer z pomieszczenia torpedowego nie odpowiedział od razu, jednak w końcu przemówił:

— Cóż... gdy przykładą się do metalu rękę... jest jakaś dziwna wibracja.

— Wibracja od silnika.

— Nie, kapitanie — mówił z głośnika oficer z pomieszczenia torpedowego — to coś jeszcze. Tylko nie wiem co. Coś, czego nigdy wcześniej nie czułem. Wydaje mi się...

— Śmiało.

— Kapitanie?

— Co wam się wydaje? Powiedzcie to wreszcie — zażądał Gorow. — Co czujecie, kiedy przykładacie rękę do metalu?

— Ciśnienie.

Gorow miał świadomość, że załoga w centrum dowodzenia zdążyła już stracić swój umiarkowany optymizm.

— Ciśnienie? — zwrócił się do oficera z pomieszczenia torpedowego. — Nie możecie czuć ciśnienia przez stal. Cierpicie chyba na przerost wyobraźni. Nie ma powodów do paniki. Kontrolujcie dalej sytuację.

Oficer z pomieszczenia torpedowego wyraźnie spodziewał się żywszej reakcji.

— Tak jest, kapitanie — powiedział markotnie.

Wilczą twarz Żukowa zniekształcał nie tylko lęk, lecz również ogarniające go wątpliwości i złość, wyraźnie ukazując wszystkie składniki tej wybuchowej

mieszanki uczuć. Pierwszy oficer, o ile marzył mu się awans na kapitana, musiał nauczyć się lepszej kontroli w wyrażaniu swoich emocji i myśli.

— Wystarczy, żeby w kadłubie pojawiła się najmniejsza szczelinka, pęknięcie grubości włosa, a łódź zostanie sprasowana, zgnieciona na miazgę — powiedział tak cicho, że Gorow musiał uważnie się wsłuchiwać.

Żuków miał rację — i mogło się to zdarzyć w ciągu ułamka sekundy. Byłoby po wszystkim, zanim zdążyliby się zorientować, co zaszło. Spotkałaby ich przynajmniej szybka śmierć; nie mieliby nawet świadomości umierania.

— Wszystko będzie w porządku — zapewnił Gorow.

W oczach pierwszego oficera dojrzał, że jest on bliski wypowiedzenia posłuszeństwa rozkazom i zaczął zastanawiać się, czy nie popełnia błędu; może powinien zrezygnować z ratowania polarników z Edgeway i zmniejszyć zanurzenie *Pogodina* o kilkadziesiąt metrów, osłabiając w ten sposób ciśnienie, jakiemu był poddany kadłub.

Pomyślał o Koli.

Jako surowy sędzia samego siebie, wiedział, że ocalenie uczestników wyprawy Edgeway mogło stać się jego obsesją, wynikającą wyłącznie z chęci wewnętrznego oczyszczenia i pozbycia się palącego poczucia winy, jednak niekoniecznie musiało to być w najlepiej pojętym interesie całej załogi. Jeśli rzeczywiście tak było, oznaczało to, że stracił kontrolę nad sobą i nie jest w stanie dowodzić okrętem.

Czy zginiemy wszyscy z mojego powodu? — zadawał sam sobie pytanie.

23:27

TRZYDZIEŚCI TRZY MINUTY DO DETONACJI

Nurkowanie wzdłuż kabla telekomunikacyjnego okazało się znacznie trudniejsze i bardziej wyczerpujące niż Harry Carpenter przypuszczał. Nie był tak obyty z wodą jak Brian czy Roger, chociaż kilkakrotnie w ciągu lat używał sprzętu do nurkowania i wydawało mu się, że wie, czego należy się spodziewać. Nie przewidywał jednak, iż zazwyczaj większość czasu spędza się pod wodą pływając mniej więcej równoległe do dna, podczas gdy teraz musiał się przemieszczać głową w dół, wzdłuż długiej liny ustawionej prostopadle do podłoża, co było dla niego dość męczące. Zaskakująco męczące, zważywszy, że nie istniała jakakolwiek fizyczna przyczyna, dla której miałoby to być trudniejsze niż zanurzenia, których dokonywał w przeszłości. Niezależnie od pozycji, nie odczuwał w wodzie swojego ciężaru, a płetwy działały równie efektywnie, jak podczas przemieszczania się równoległe do dna. Podejrzewał, że nadmierne zmęczenie wynikało z przyczyn natury psychicznej, jednak nie mógł nic na to poradzić. Pomimo przyczepionych do kombinezonu ołowianych ciężarków, nie mógł oprzeć się wrażeniu konieczności ciągłego pokonywania własnej pławności. Bolały go ręce. Za oczami i w skroniach wyraźnie odczuwał pulsowanie krwi. Wkrótce zorientował się, że będzie musiał robić co jakiś czas przerwy i zmieniać swoją pozycję, unosząc głowę do góry, gdyż w przeciwnym wypadku — chociaż jego zmęczenie i narastająca dezorientacja miały swe źródło w psychice — zemdleje.

Obserwując przed sobą Rogera Breskina, odnosił wrażenie, że przemieszcza się on bez specjalnego wysiłku: lewą rękę przesuwiał wzdłuż kabla telekomunikacyjnego, a w prawej trzymał lampę, posuwając się w dół dzięki skoordynowanej, spokojnej pracy nóg. Jego technika nie różniła się zbytnio od tej, jaką posługiwał się Harry, jednak miał znaczną przewagę w postaci wyjątkowo silnych mięśni, rozwiniętych na skutek długotrwałego uprawiania podnoszenia ciężarów.

Czując narastające zmęczenie ramion i coraz silniejszy ból w szyi, Harry żałował, że nie trenował na siłowni równie regularnie i intensywnie, jak robił to Roger w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Obejrzał się przez ramię do tyłu, chcąc zobaczyć, czy wszystko w porządku

z Brianem i Ritą. Chłopak podążał za nim w odległości około czterech metrów; trudno było dostrzec jego rysy przez zakrywającą całą twarz maskę do nurkowania. Ciągnęły się za nim wylatujące z odpowietrznika bąbelki, które przez moment rozbłyskiwały złotawą poświatą światła odbitego z latarki Rogera, aby po chwili zniknąć w ciemnościach powyżej. Pomimo to, przez co przeszedł w ciągu ostatnich kilku godzin, wydawało się, że radzi sobie bez specjalnych kłopotów.

Płynąca za Brianem Rita była ledwie widoczna. Jej sylwetkę podświetlała jedynie latarka podążającego za nią George'a Lina. Żółtawe promienie rozplywały się w mętnej wodzie. Na tle tej niesamowitej, migocącej słabym blaskiem zawiesiny, zarys Rity stawał się tak niewyraźny i dziwaczny, że mogła wydawać się jakimś nie znanym człowiekowi stworzeniem, zamieszkującym podbiegunowe morza. Harry nie był w stanie dostrzec jej twarzy, jednak zdawał sobie sprawę, jak bardzo musiała teraz psychicznie cierpieć.

Kriofobia: lęk lodu.

Zimna woda w tunelu była tak czarna, jakby wlano do niej atrament, gdyż unosiło się w niej mnóstwo kawałków lodu i nieorganicznych cząsteczek. Rita nie widziała lodowych ścian, które ją otaczały, jednak cały czas miała świadomość ich istnienia. Momentami nieopanowany lęk skuwał jakby żelaznymi obręczami jej piersi i gardło, tak że nie była w stanie oddychać. Za każdym razem, kiedy znajdowała się już na krawędzi paniki, udawało się jej jednak wyrzucić z siebie resztki powietrza i tłumiąc w sobie atak hysterii, zaczerpnąć do płuc kolejną dawkę mieszaniny gazów o metalicznym posmaku ze zbiornika do nurkowania.

Frigofobia: lęk zimna.

W rosyjskim kombinezonie nie dokuczał jej bynajmniej chłód, a nawet było jej cieplej, niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilku miesięcy, odkąd przybyła na pokrywę polarną. Niemniej jednak miała dokuczliwą świadomość przebywania w zabójczo zimnej wodzie, od której oddzielała ją jedynie cienka warstwa gumy i elektrycznie ogrzewanego materiału termoizolacyjnego. Rosyjska technologia robiła wrażenie, jednak jeśli baterie wyczerpią się, zanim dotrze do okrętu, wówczas jej organizm bardzo prędko ulegnie całkowitemu wyziębieniu. Przejmujący chłód morza przeniknie jej mięśnie, przemrozi ją do szpiku kości, wprawiając w odrętwienie...

Na dół, ciągle na dół. W objęciach zimna, którego nie musiała odczuwać. Otoczona lodem, którego nie była w stanie dostrzec. Zewsząd osaczały ją zaokrąglone, niewidoczne białe ściany: z prawej i lewej strony, z góry i z dołu, z przodu i z tyłu. Lodowy tunel. Lodowe więzienie spowite w ciemnościach i wypełnione zimnem; zupełnie ciche, z wyjątkiem odgłosu jej przyspieszonego oddechu i łomotania serca. Loch, z którego nie ma ucieczki; głębszy niż grób.

Płynąc w dół, na spotkanie nieznanego, Rita nieustannie powracała myślami do owej zimy, kiedy miała sześć lat.

Szcześliwa. Podekscytowana. Jechała po raz pierwszy w życiu na narty, z ma-

mą i tatą, którzy są doświadczonymi narciarzami, pragnącymi ją jak najszybciej wprowadzić w arkana białego szaleństwa. Podróżują audi. Mama i tata siedzą z przodu, a ona, sama, z tyłu. Wokoło widać coraz piękniejsze białe krajobrazy. Wijąca się droga w Alpach Francuskich. Otacza ich cudowna alabastrowa kraina, olbrzymie połacie wiecznie zielonych lasów pokrytych śniegiem, postrzępione skały wznoszące się wysoko ponad nimi, jak starcze twarze bogów z białymi brodami. Nagle z szarego, popołudniowego nieba zaczynają opadać spiralnym ruchem grube, białe płatki. Jest dzieckiem włoskiego południa, Morza Śródziemnego, słońca i sadów oliwkowych, i nigdy wcześniej nie była w górach. Jej młode serce bije mocno z nadmiaru nowych wrażeń. Jest tak pięknie: śnieg, strome zbocza, doliny porośnięte lasami, zasłonięte przez purpurowe cienie i pokryte kolorowymi plamami wiosek. Nawet kiedy znienacka nadciąga śmierć, jest przerażająco piękna, ubrana w lśniący biały kostium. Jej mama pierwsza spostrzega lawinę — wysoko w górze, po prawej stronie drogi — i krzyczy przerażona. Rita spogląda przez boczne okno, widzi zsuwającą się z góry ścianę bieli, powiększającą się tak gwałtownie, jak zbliżająca się w stronę brzegu sztormowa fala, wzbijającą tumany śniegu przypominające fontanny rozpryskiwanej morskiej wody — z początku bezgłośnie, jest tak biała, cicha i piękna, że trudno uwierzyć, iż może wyrządzić im jakąkolwiek krzywdę. — Uciekniemy przed nią — mówi tata, naciskając z całej siły pedał gazu, a w jego głosie słychać przestrasz. — Prędszej, na Boga — mówi mama, a lawina zbliża się coraz szybciej; bezgłośnie, biała, potężna, oslepiająca, rosnąca z każdą sekundą... bezgłośnie... potem rozlega się ledwie słyszalny grzmot jak odległe uderzenie pioruna...

Rita słyszała dziwne dźwięki. Dudniące głosy pobrzmiwające w oddali. Krzyk albo lament. Jak zawroźdzenie dusz potępionych, błagających o odpuszczenie win, dochodzące z zaświatów podczas seansu spirytystycznego.

Wtedy zorientowała się, że był to tylko jeden głos. Jej własny. Wydawała okrzyki przerażenia. Jeśli brzmiały jak zawroźdzenie potępionej duszy, to dlatego, że w tej chwili miała piekło w sobie — w najciemniejszych zakamarkach serca.

Wyteżyła wzrok spoglądając dalej, poza Briana, i skoncentrowała uwagę na mglistym kształcie majaczącym w pobliżu kabła: Harry — był ledwie dostrzegalny w mroku, płynąc prosto w czarną otchłań, tak blisko niej, a jednocześnie tak daleko. Rita znajdowała się o jakieś cztery czy pięć metrów od Briana; od męża dzieliło ją mniej więcej dwanaście metrów. Miała wrażenie, że to niebotyczna odległość. Dopóki myślała o Harrym i o chwilach, które mieli spędzić — o ile wyjdą cało z tej ciężkiej próby — udawało jej się powstrzymać od histerycznego krzyku i kontynuować nurkowanie. Paryż. Hotel George V. Butelka dobrego szampana. Jego pocałunek. Jego dotyk. Przeżyją to ponownie, jeśli tylko nie da się pokonać

swoim lękom.

Harry spojrzął do tyłu, na Ritę. Znajdowała się tam, gdzie powinna się znajdować, podążając za Brianem wzdłuż kabla komunikacyjnego.

Spoglądając ponownie do przodu powiedział do siebie, że zaczyna się o nią coraz bardziej martwić. Generalnie rzecz biorąc kobiety były bardziej wytrzymałe od mężczyzn. Jeśli to prawda, dotyczyło to szczególnie tej kobiety.

Uśmiechnął się do siebie.

— Trzymaj się — powiedział, chociaż wiedział, że nie mogła go usłyszeć.

Gdy zanurkowali około pięćdziesięciu metrów w głąb ciemnego tunelu, Roger Breskin w końcu zatrzymał się przed Harrym, aby trochę odpocząć: wykonał coś w rodzaju salta, jakby brał udział w pokazie baletu wodnego i odwrócił się na linie zajmując naturalną, pionową pozycję — głową ku górze.

Harry również zatrzymał się w odległości około pięciu metrów od Rogera. Kiedy właśnie miał wykonywać na linie swoje salto, halogenowa lampa Rogera zgasła. Ponad Harrym w dalszym ciągu migotały dwa reflektory, jednak ich promienie rozmywały się w mętnej wodzie i nie oświetlały ani jego, ani Rogera. Ogarnęła go ciemność.

W chwilę później Breskin zderzył się z nim. Harry nie zdołał utrzymać uchwytu na kablu komunikacyjnym. Spleceni, zaczęli opadać w dół, w nieprzenikniony mrok, coraz bardziej zbliżając się do ściany tunelu, i przez moment Harry nie rozumiał, co się stało. Wtedy poczuł rękę zaciskającą się na jego gardle i już wiedział, że jest w niezłych tarapatkach. Natarł na Breskina, młóćąc z całej siły pięściami, jednak woda pochłaniała energię ciosów i zamieniała je w nieporadne wymachiwanie rękami.

Dłoń Breskina mocno zacisnęła się na gardle Harry'ego. Harry próbował się wyrwać, wykręcić głowę, jednak wszystko na próżno. Były ciężarowiec miał żelazny uścisk.

Breskin kopnął Harry'ego kolanem w brzuch, ale woda spowolniła uderzenie i odebrała mu impet.

Harry zderzył się ze ścianą tunelu szybciej i mocniej niż przypuszczał. Ból przeszył jego kręgosłup na całej długości. Olbrzym dociskał go z całych sił do lodu.

Dwie pozostałe lampy halogenowe — jedna trzymana przez George'a, druga przez Pete'a — znajdowały się daleko ponad nimi i bliżej środka tunelu, tak że przez mętą wodę przebijała się tylko ich nikła poświata. Harry dosłownie nic nie widział. Nawet z bliskiej odległości nie mógł dostrzec swojego napastnika.

Ręka trzymająca go za gardło przesunęła się wyżej, schwyciła brodę. Jego maska została zdarta z twarzy.

W tym momencie Harry stracił dopływ powietrza i przestał widzieć cokolwiek

— był wystawiony na zabójcze działanie lodowatej wody. Bezradny, zdezorientowany, nie zagrażał już więcej Breskinowi i olbrzym puścił go wolno.

Zimno uderzyło Harry'ego w twarz jak najeżony kolcami kastet. Ciepło organizmu zdawało się wyciekać, jakby było gorącym płynem, wylewającym się przez powstałe na skutek ciosu otwory.

Harry, przerażony — na granicy paniki, ale świadomy, że mogłaby go ona zabić — odwrócił się za siebie, sięgając ręką w ciemności w poszukiwaniu bezcennej maski, która unosiła się na końcu przewodu doprowadzającego powietrze.

W sekundę po tym, gdy na samym przodzie zgasła lampa, Rita zrozumiała, co się dzieje: człowiekiem pragnącym zamordować Briana Dougherty'ego był Breskin. Prawie natychmiast uświadomiła sobie, co powinna zrobić.

Chociaż w rozciągających się poniżej ciemnościach nie widziała Harry'ego ani Breskina, była pewna, że toczą ze sobą walkę na śmierć i życie. Pomimo całej swojej siły i świetnej kondycji, Harry nie miał zbyt wielu szans w starciu z doświadczonym nurkiem. W pierwszej chwili ruszyła mu na pomoc, jednak wkrótce uświadomiła sobie bezsens tego pomysłu i natychmiast z niego zrezygnowała. W naturalny sposób pragnęła znaleźć się jak najbliżej Harry'ego, jednak wiedziała, że jeśli straci panowanie nad sobą, wszyscy mogą zginąć. Najlepszą rzeczą, którą mogła teraz zrobić, było po pierwsze: zaufać Harry'emu, że uda mu się w jakiś sposób wyjść cało, po drugie: zniknąć chwilowo w ciemnościach, z dala od kabla komunikacyjnego, czekając na odpowiednią szansę, aby zająć Breskina od tyłu, w momencie gdy zaatakuje Briana.

Puściła linę i wypłynęła poza zasięg światła latarki George'a Lina, które padało na nią z tyłu, wyraźnie ukazując jej sylwetkę Breskinowi. Modląc się, aby George Lin nie podążył za nią, zdradzając jej kryjówkę, wkrótce dotarła do ściany tunelu — wklęsłej, wygładzonej powierzchni lodu.

Grzmot narasta, przechodzi w potężny, dudniący huk, i znowu tato mówi: — Uciekniemy przed nią — jednak jego słowa brzmią bardziej jak modlitwa, niż jak obietnica. Olbrzymia biała ściana spada w dół, coraz niżej, niżej, niżej. Mama krzyczy...

Rita otrząsnęła się ze wspomnień. Walczyła ze swoim strachem przed lodem, do którego właśnie była przyciśnięta. Ściana nie zawali się na nią; jest mocna, ma dziesiątki metrów grubości i zanim o północy eksplodują ładunki wybuchowe; nic nie będzie w stanie jej skruszyć.

Odwracając się plecami do ściany, spojrzała na zamieszanie w pobliżu kabla komunikacyjnego. Zapobiegała przemieszczaniu się w dół, przyciskając jedną rękę do powierzchni lodu i równoważąc balast ołowianych ciężarków ruchami płetw.

Lód nie był żywą istotą, myślącym organizmem — doskonale o tym wiedziała.

Niemniej jednak miała wrażenie, jakby jej pragnął — czuła ten głód, to przekonanie, że należy do niego. Nie zdziwiłaby się, gdyby nagle ściana rozwarła się na kształt ust, odgryzając jej dłoń lub nawet pożerając ją całą.

Poczuła smak krwi. Toczyła tak zaciekle walkę z własnym strachem, że wbiła zęby w dolną wargę, dotkliwie się raniąc. Słony, miedziany smak i ból otrzeźwiły ją, pomagając skoncentrować świadomość na rzeczywistym zagrożeniu.

W samym środku tunelu z mrocznych głębin wyłonił się Roger Breskin, ukazując się w mdłym świetle lampy trzymanej przez George'a Lina.

Harry zniknął pograżając się w otchłani, która nagle wydała się prowadzić nie do odległego dna oceanu, lecz do wieczności.

Breskin ruszył wprost na Briana.

Brian najwyraźniej zaczynał właśnie rozumieć, co się dzieje. Choć był równie doświadczonym nurkiem, jak Breskin, nigdy nie byłby w stanie płynąć dość szybko, aby mu uciec.

Rita odepchnęła się od ściany, podążając za napastnikiem. Nie miała żadnej broni, jednak żywiła nadzieję, że element zaskoczenia da jej wystarczającą przewagę.

Kiedy Brian zobaczył Rogera Breskina, który sunął jak rekin z mrocznych głębin, przypomniał sobie rozmowę, jaką z nim odbył wcześniej tego dnia — zaraz po tym, gdy wydobyli George'a z występu na ścianie góry lodowej. Brian wy dostał się na szczyt klifu drżący, zziębnięty, słaby, wyczerpany:

— *To nieprawdopodobne.*

— *Co masz na myśli?*

— *Nie przypuszczałem, że mi się to uda.*

— *Nie ufałeś mi?*

— *Nie o to chodzi. Myślałem, że lina się urwie, ściana się rozleci albo coś w tym stylu.*

— *Kiedyś umrzesz. Ale to nie było właściwe miejsce i czas.*

Brian pomyślał wtedy, że Roger uderza w nietypowy dla siebie filozoficzny ton. Teraz zrozumiał, iż była to jawna groźba.

Może Breskin nie chciał, aby George był świadkiem, albo nie zaatakował z innych, nie wyjaśnionych, sobie tylko wiadomych powodów. W tej chwili miał więcej niż jednego świadka, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało.

Jeszcze w trakcie odtwarzania w pamięci odbytej wcześniej rozmowy, Brian próbował wymknąć się Breskinowi, płynąc w stronę ściany tunelu, jednak prawie natychmiast zderzyli się ze sobą i szczepieni zaczęli opadać w czarną głębinę. Silne nogi Breskina zacisnęły się wokół Briana, jak kleszcze kraba. Poczuł na gardle

rękę napastnika. Po chwili dłoń chwyciła za jego maskę. Nie!

George Lin myślał, że zostali zaatakowani przez rosyjskich nurków z łodzi podwodnej.

Od momentu, gdy Rosjanie zaoferowali swoją pomoc, George wiedział, że kryje się za tym jakiś podstęp. Próbował odkryć, co by to mogło być, jednak nie spodziewał się, że będzie to zdradzieckie morderstwo w tunelu. Dlaczego sprawialiby sobie tyle kłopotu, aby zabić grupkę zachodnich naukowców, którzy i tak wkrótce mieli wylecieć w powietrze lub zginąć w zimnych wodach oceanu? To bezsensowne szaleństwo, ale z drugiej strony wiedział, że komuniści nigdy nie uczynili niczego, co miałyby znamiona zdrowego rozsądku, niezależnie od tego, czy działo się to w Rosji, w Chinach, czy gdziekolwiek indziej. Pod podszewką ich ideologii kryła się bezwzględna żądza władzy, którą chcieli sprawować za wszelką cenę. Polityka zastąpiła religię, przecząc wszelkim zasadom moralnym czy choćby logice. Krwawy terror i dzikie okrucieństwo nigdy nie mogły zostać zrozumiane przez kogoś, kto nie należał do tej rozjuszzonej sfory czerwonych bestii.

Wolał popłynąć z powrotem do wejścia do tunelu, wyjść z wody, wrócić na powierzchnię góry, odnaleźć jeden z szybów z ładunkiem wybuchowym, położyć się na nim i poczekać, aż eksplozja o północy rozerwie go na strzępy, ponieważ uważał, że będzie to znacznie lepsza śmierć, niż jakakolwiek inna, którą mieli im zgotować ci ludzie. Jednak nie był w stanie się poruszyć. Jego lewa dłoń trzymała się tak kurczowo kabla komunikacyjnego, jakby była z nim nierozdzielnie scalona. Prawą ręką obejmował latarkę tak mocno, że bolały go palce.

Chciał zginąć, podobnie jak zginęła jego siostra. Tak jak zginęła jego matka. Tak jak zginęli jego dziadek i babcia. Obrazy z przeszłości zaczęły odsuwać terazniejszość na dalszy plan.

Był głupcem sądząc, że uda mu się uniknąć prześladowań znanych z dzieciństwa. W końcu żadna owieczka nie może uciec przed nożem rzeźnika.

Przewód tlenowy unosił się obok głowy Harry'ego, a na jego końcu zamocowana była maska do nurkowania; schwycił ją i z powrotem nasunął na twarz. Wypełniała ją woda. Nie odważył się od razu oddychać, mimo że w płucach czuł palący ból, jakby wypełniał je rozżarzony węgiel. Kiedy odchylił fragment gumowej uszczelki, tlenowo-helowa mieszanka wyparła wodę zza pleksiglasowej szybki i dopiero gdy została całkowicie usunięta z maski, docisnął uszczelkę i wziął głęboki oddech. Jeszcze jeden wdech; następny — krztusił się i kaszłał, łykając kolejne porcje tlenu, które przynosiły coraz większą ulgę. Trochę dziwny smak i zapach mieszanki gazów był wyśmienitszy niż jakiegokolwiek jedzenie czy napój,

którego skosztował w życiu.

Czuł ból w piersiach, palenie w oczach, miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu czaszka. Pragnął teraz jedynie pozostać w mrocznej toni i spokojnie dojść do siebie po brutalnej napaści. Pomyślał jednak o Ricie i popłynął do góry, w kierunku dwóch pozostałych świateł i kłębiących się cieni.

Brian chwycił Breskina obiema rękami za lewy nadgarstek i próbował odebrać dłoń olbrzyma od swojej twarzy, jednak na niewiele się to przydało — maska do nurkowania została zdarta.

Temperatura wody morskiej była niższa niż ta, w której zamarza zwykła woda, nie zamieniała się jednak w lód ze względu na dużą zawartość soli — kiedy zalała mu twarz, poczuł ból tak dotkliwy, jakby przytknięto mu do skóry rozpaloną pochodnię.

Pomimo to Brian nie stracił panowania nad sobą. Zamknął powieki, zanim woda zdążyła przemrozić mu zewnętrzne tkanki oczu, zacisnął zęby i wstrzymał oddech.

Nie mógł tak długo wytrzymać. Minutę. Półtorej minuty. Następnie zaczerpnie oddechu odruchowo, bezwiednie...

Breskin mocniej zacisnął nogi na korpusie Briana. Próbował wepchnąć swoje osłonięte gumowym kombinezonem palce w jego zamknięte usta, starając się je otworzyć.

Rita podążyła za Rogerem Breskinem, płynąc ponad nim, oświetlona mdłym światłem lampy trzymanej przez George'a Lina. Dopadła Breskina z góry, spadając na jego plecy i oplatając go swoimi długimi nogami wokół pasa, podobnie jak on sam uwięził Briana.

Maniakalny obłęd dodał ruchom Breskina jeszcze więcej siły i energii. Napastnik puścił Briana i chwycił Ritę za kostki.

Miała wrażenie, jakby ujeżdżała dzikiego konia; skręcał się i gwałtownie szarpał, ona jednak mocno ścisnęła go swoimi udami i sięgnęła ręką po jego maskę.

Wyczuwając jej intencje — szalony, ale nie pozbawiony rozumu — Breskin puścił jej kostki i chwycił za nadgarstki w momencie, gdy dotknęła dłońmi maski. Zgiął się w pół, poruszył płetwami, zrobił salto, odrywając jej ręce od swojej twarzy i wykorzystując moment obrotowy odrzucił ją od siebie.

Gdy po chwili oprzytomniała, zobaczyła, że Pete i Franz ruszyli z góry na Breskina. Franz próbował utrzymać zapaśniczy chwyt, podczas gdy Pete starał się unieruchomić przynajmniej jedną rękę szaleńca.

Jednak Breskin, w przeciwieństwie do nich, był doświadczonym nurkiem. Poruszali się powoli i niezdarnie, zdeorientowani w pozbawionej grawitacji prze-

strzeni, w której przyszło im walczyć, podczas gdy Breskin miotał się jak węgorz — szybki, zwinny i przeraźliwie silny. Uwolnił się z uchwytu, uderzył Pete'a łokciem w twarz, zerwał mu maskę i pchnął go wprost na Franza.

Brian znajdował się przy kablu, pięć metrów poniżej George'a Lina. Towarzyszył mu Claude. Francuz trzymał w jednej ręce lampę Pete'a, podczas gdy drugą podtrzymywał Briana, który opróżniał maskę z wody.

Oddalając się szybko od Pete'a i Franza, którzy przez chwilę zupełnie stracili orientację, Breskin ponownie popłynął w stronę Briana.

Rita kątem oka dostrzegła ruch, odwróciła głowę i zobaczyła Harry'ego wyłaniającego się z mrocznych głębin.

Harry wiedział, że Breskin go nie widzi. Napastnik — przekonany o chwilowym unieszkodliwieniu swoich przeciwników — odpłynął od Pete'a i Franza, i z całej siły pracując umięśnionymi nogami ruszył w kierunku swojej ofiary. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że z łatwością poradzi sobie z Claudem, który był już w dość zaawansowanym wieku, a następnie rozprawi się z Brianem, zanim chłopak zdąży opróżnić maskę z wody i zaczerpnąć regenerujący oddech.

Wyłaniając się spod Breskina, Harry mógł zderzyć się z nim i odrzucić go w ten sposób od Briana. Zamiast tego w ostatniej chwili zmienił tor ruchu, i przepływając obok szaleńca chwycił za przewód tlenowy, łączący jego maskę ze zbiornikiem na plecach. Płynąc ku górze, wyrwał rurę z zacisku, który przytwierdzał ją do zaworu w zbiorniku. Ponieważ Breskin poruszał się w przeciwnym kierunku niż Harry, przewód tlenowy został również wyrwany z jego maski do nurkowania.

Dzięki automatycznemu zaworowi bezpieczeństwa, maska Rogera nie została zalana od środka, gdy został z niej wyrwany przewód tlenowy; próbował po niego sięgnąć, jednak zorientował się, że został on oderwany nie tylko od maski, ale również od zbiornika na plecach. Nie miał żadnych szans na jego odzyskanie.

Przestraszony, najszybciej jak tylko potrafił ruszył w kierunku wejścia do tunelu. Jego jedyną nadzieją ratunku było dotarcie do powierzchni wody.

Wtedy przypomniał sobie, że aby dotrzeć do basenu w półkuliście sklepionej pieczarze, będzie musiał przepłynąć dystans ponad pięćdziesięciu metrów, czego nie uda mu się dokonać, mając na sobie pas z ciągnącymi go w dół ołowianymi ciężarkami. Sięgnął rękami do pasa, próbując go odpiąć, jednak klamra nie znajdowała się tam gdzie powinna — miał przecież na sobie cholerny rosyjski sprzęt, którego nigdy wcześniej nie używał.

Roger przestał poruszać płetwami, koncentrując się wyłącznie na poszukiwaniu zapięcia. Natychmiast zaczął powoli opadać w głąb tunelu. Ciągnął pas, szarpał, ścisnął, jednak wciąż nie mógł znaleźć klamry; Jezu drogi, Boże Wszech-

mogący, wciąż nie mógł znaleźć, i kiedy w końcu zorientował się, że stracił zbyt wiele czasu, nie chciał już marnować ani sekundy — postanowił wydostać się na powierzchnię pomimo ołowianego balastu. Prostując ręce wzdłuż tułowia, wyciągając się jak strzała, starając się stwarzać jak najmniejszy opór względem wody, rytmicznie i miarowo pracował nogami, pnąc się do góry. Czuł rwący ból w piersiach, jego serce łomotało, jakby za chwilę miało się rozerwać, i nie mógł już powstrzymać się przed zaczerpnięciem oddechu. Otworzył usta, wyrzucił z płuc resztki powietrza i gwałtownie wciągnął oddech, ale nie było już czym oddychać. Czuł palenie w klatce piersiowej i miał świadomość, że otaczający go mrok nie jest mrokiem tunelu, lecz ciemnością, która zasnuwa jego oczy na skutek niedotlenienia. Stracił przytomność, jeżeli nie będzie oddychał, a jeśli zemdleje, to zginie. Tak więc zdarł maskę z twarzy i w półkuliście sklepionej pieczarze wciągnął potężny haust powietrza. . . Niestety, nie znajdował się nawet w pobliżu pieczary. Jak mógł sobie wyobrazić, iż wydostał się na powierzchnię; jak mógł być aż tak głupi? Oczywiście wciągnął do płuc lodowatą wodę. Zamknął usta, gwałtownie się krztusząc, jednak natychmiast jeszcze raz spróbował zrobić to samo. W jego usta wlało się jeszcze więcej wody. Woda, woda, dookoła nic tylko woda. Młócił ją obiema rękami, wyginając spazmatycznie palce, jakby była kurtyną, którą można rozdrzeć i zaczerpnąć spoza niej łyk świeżego powietrza. Wtedy zorientował się, że nie posuwa się już do góry, lecz opada coraz niżej na skutek zawieszonych ciężarków. Nie poruszał już rękami ani nogami. Po prostu pogrążał się w głębinach, spazmatycznie poruszając ustami, i miał uczucie, jakby ołów nie znajdował się wokół jego pasa, lecz w płucach. . .

Zobaczył, iż śmierć nie ma twarzy mężczyzny ani nie jest kościstą figurą. To była kobieta. Miała bladą cerę i mocno zarysowaną szczękę. Nie była brzydka. Jej przezroczyste oczy lśniły piękną, szarą barwą. Roger przyglądał się twarzy, wyłaniającej się przed nim z wody, i zdał sobie sprawę, że była to jego matka, która go tak wiele nauczyła, od której po raz pierwszy usłyszał, tuląc się w jej ramionach, iż świat jest pełen wrogości, a zwykli obywatele są rządzeni przez podłych ludzi, którzy spiskują przeciwko nim, oplątując ich nierozzerwalną siatką zależności tylko po, aby zniszczyć każdego, kto odważyłby się im przeciwstawić. A teraz, chociaż Roger przygotowywał się na przyjście owych konspiratorów, pracując nad siłą swoich mięśni i rozwijając swój umysł, kończąc dwa fakultety, aby mieć nad nimi przewagę intelektualną, i tak w końcu został pokonany. Wygrali, tak jak mówiła jego matka — oni zawsze wygrywają. Jednak przegrywanie nie było aż tak okropne. W porażce można odnaleźć spokój. Śmierć o szarych włosach i szarych oczach uśmiechała się do niego i chciał ją pocałować, a wtedy ona wzięła go w swoje matczyne ramiona.

Harry obserwował, jak obciążone ołowianymi ciężarkami ciało, z płucami wy-

pełnionymi wodą, przepływa obok nich, rozpoczynając swoją podróż na samo dno morza. Z zawieszonego na plecach zbiornika wylatywały bąbelki powietrza.

23:37

DWADZIEŚCIA TRZY MINUTY DO DETONACJI

Napięcie nerwowe jeszcze bardziej rozjaśniło umysł Nikity Gorowa, zmuszając go do uświadomienia sobie nieprzyjemnej, aczkolwiek niezaprzeczalnej prawdy. Granica pomiędzy bohaterstwem a głupotą jest tak cienka, że prawie niedostrzegalna. Tak bardzo chciał stać się bohaterem. W imię czego? Dla kogo? Dla swojego zmarłego syna? Bohaterskie wyczyny nie mają wpływu na przeszłość. Kola dawno już nie żył i leżał w grobie. Martwy! A załoga *Ilji Pogodina* — siedemdziesięciu dziewięciu podległych mu ludzi — wciąż żyła. Był za nich odpowiedzialny. Niczym nie można usprawiedliwić narażania ich na ryzyko utraty życia tylko dlatego, że w jakiś przedziwny sposób chciał wypełnić zobowiązanie wobec swojego zmarłego syna. Zgrywał się na bohatera, a w rzeczywistości był głupcem.

Pomimo zagrożenia, bez względu na to, co powinien uczynić, łódź podwodna wypełniała obecnie misję ratunkową. Nie mogli jej przerwać, będąc tak blisko sukcesu — nie mogli, pod warunkiem, że kadłub w obu zawilgoconych miejscach nie zacznie ujawniać oznak zniszczenia struktury. Wciągnął w tę grę swoich ludzi i do niego należało podjęcie takich decyzji, aby ocalić ich skórę bez narażania na upokorzenie. Ludzie wykazujący tyle hartu i odwagi nie zasługiwali na pogardliwe traktowanie z powodu jego porażki, ale z pewnością czuliby się jeszcze gorzej, gdyby uciekli teraz z podkurczonym ogonem, nie mając ku temu wystarczających powodów. Zgrywał się na bohatera, ale teraz pragnął jedynie uczynić z nich bohaterów w oczach całego świata i bezpiecznie dostarczyć ich z powrotem do domu.

— Jakież zmiany? — zapytał młodego technika obsługującego sondę powierzchniową.

— Nie, kapitanie. Nurkowie nie przemieszczają się. W ciągu ostatnich kilku minut nie zwiększyli zanurzenia nawet o stopę.

Kapitan wpatrzył się w sufit, jakby mógł przejrzeć przez podwójny kadłub i sięgnąć wzrokiem dalej, w głąb długiego tunelu. Co tam robili? Co się stało?

— Czy nie zdają sobie sprawy, jak niewiele czasu już pozostało? — zapytał Żuków. — Kiedy o północy materiały wybuchowe rozerwą górę na kawałki, nie

możemy się pod nią znajdować. Nie możemy.

Gorow spojrział na ekrany monitorów. Zerknął na zegarek. Przesuwając dłonią po brodzie, powiedział:

— Jeśli w ciągu pięciu minut nie złączą się ponownie przemieszczać, wówczas będziemy musieli stąd odpłynąć. To ostatnia chwila. Jedna minuta dłużej i nie będą w stanie dotrzeć do okrętu przed północą.

23:38

Rita popłynęła w górę, do Claude'a, i objęła go. On również odwzajemnił uścisk. Jej oczy błyszczały od łez.

Przycisnęli do siebie szyby masek do nurkowania. Kiedy mówiła, słyszał ją, jakby znajdowała się w drugim pokoju. Pleksiglas okazał się niezłym nośnikiem dźwięku.

— Brian nie przewrócił się dziś wieczorem. Został uderzony ciężkim przedmiotem i pozostawiony na pastwę losu. Nie wiedzieliśmy, kto to zrobił. Aż do tego momentu.

— Zastanawiałem się, co do cholery... — powiedział Claude, gdy Rita skończyła. — Chciałem pomóc go unieszkodliwić, ale Pete wcisnął mi do rąk swoją lampę i odepchnął mnie na bok. Nagle poczułem, że mam tyle lat, ile mam w rzeczywistości.

— Nie masz nawet sześćdziesiątki.

— W takim razie czuję się starszy niż jestem.

— Będziemy kontynuować zanurzanie — powiedziała Rita. — Dam tę lampę z powrotem Pete'owi.

— Nic mu się nie stało?

— Nic. Na skutek ściągnięcia maski doznał nieznacznego urazu nosa, ale to nic groźnego.

— Z George'em dzieje się coś niedobrego.

— To na skutek szoku. Harry właśnie mu wszystko wyjaśnia.

— Masz łzy na policzkach — zauważył Claude.

— Wiem.

— Czy coś się stało?

— Nic — odpowiedziała. — Harry żyje.

23:39

Ponownie podążając za Claudem Jobertem w dół, wzdłuż kabla, Franz zasta-

nawiał się, co powie Ricie, jeśli uda im się przetrwać północ.

Doskonale sobie dawałaś radę. Jesteś fantastyczna. Wiesz, że kiedyś cię kochałem. A niech to — wciąż cię kocham. Nigdy ci nie dorównywałem. I wiele się od ciebie nauczyłem, bez względu na to, czy było to dostrzegalne, czy nie. O tak — wciąż jestem dupkiem, przyznaję się do tego, ale powoli zaczynam dojrzewać. Dawne przyzwyczajenia trudno wykorzenić. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zachowywałem się jak idiota: kłóciłem się z Harrym i odnosiłem się do ciebie oschle. Ale to już skończone. Nigdy nie będziemy ponownie kochankami. Widzę, co łączy ciebie i Harry'ego — tworzycie zupełnie wyjątkową parę. Ty i ja nigdy nie byliśmy ze sobą tak mocno związani i nigdy nie będziemy. Chciałbym tylko, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Naprawdę wierzył, że to powie.

23:40

Brian płynął w dół, wzdłuż kabla.

Nie przejmował się zbyt bombami nad swoją głową, w których mechanizmy zegarowe odliczały pozostałe do detonacji minuty. Coraz bardziej był przekonany, że jemu i innym uda się dotrzeć do łodzi podwodnej i przetrwać eksplozję. Ogarnięty narastającą obsesją, przed którą ostrzegęła go Rita, coraz intensywniej przejmował się swoją jeszcze nie napisaną książką.

Powziął już ostateczną decyzję co do wyboru tematu: będzie nim heroizm. Odkrył, że istnieje on w dwóch podstawowych formach. Bohaterstwo, do którego się dąży — na przykład zdobywając jakąś górę, czy walcząc z rozwścieczonym bykiem na arenach Madrytu — po to, aby pokonywać swoje własne ograniczenia psychiczne i fizyczne. Heroizm, do którego się dąży, jest ważny, jednak nie aż tak cenny jak męstwo mimo woli. Harry, Rita i pozostali ryzykowali życie wykonując swoją pracę, ponieważ wierzyli, że to co robią przyczynia się do poprawy ludzkiej egzystencji. Dla nich nie było to sprawdzanie swoich możliwości. Pomimo to, chociaż sami zaprzeczyliby powyższemu stwierdzeniu, byli bohaterami przez siedem dni każdego tygodnia. Wykazywali taki sam rodzaj dzielności jak policjanci czy strażacy; jak miliony matek i ojców, którzy byli cichymi bohaterami, biorąc na siebie olbrzymią odpowiedzialność utrzymania rodziny i wychowania dzieci; jak kapłani odważnie mówiący o Bogu w świecie wątpiącym w Jego istnienie i wyszydzającym tych, którzy wciąż wierzą; jak nauczyciele podejmujący pracę w szkołach pełnych chuligaństwa i przestępczości, mimo wszystko próbujący nauczyć dzieci, co powinny wiedzieć, aby przetrwać w świecie, w którym nie ma miejsca dla niedouczonej. Pierwszy rodzaj heroizmu — ten, do którego się dąży — zawierał w sobie element egoizmu, podczas gdy heroizm mimo woli był pozbawiony elementu myślenia o sobie. Brian teraz już rozumiał, że to właśnie owo

ciche bohaterstwo — a nie pozłacana sława areny walk z bykami czy polityki — kryło w sobie prawdziwą odwagę i szlachetność. Gdy zakończy pisanie książki, kiedy przemyśli wszystkie zagadnienia związane z jej tematem, wówczas będzie gotowy, aby wreszcie rozpocząć dorosłe życie. A postanowił już definitywnie, że tematem będzie ciche męstwo.

23:41

Technik podniósł głowę znad wykresu sonografu.

— Znowu zaczęli się przemieszczać.

— Na dół? — zapytał Gorow.

— Tak jest, kapitanie.

Ze szczekaczki interkomu ponownie rozległ się głos podoficera z przedniego pomieszczenia torpedowego — brzmiała w nim wyraźna nuta niepokoju.

Biorąc w ręce mikrofon tak ostrożnie, jakby chwycił jadowitego węża, Gorow powiedział:

— Meldujcie.

— Mamy już tutaj trochę więcej wody, niż tylko kilka kropli, kapitanie. Uzbierał się chyba litr albo dwa. Przednie poszycie zawilgotniało na całej powierzchni od sufitu do pokładu.

— Widać jakieś zniekształcenie na linii nitów?

— Nie, kapitanie.

— Czy słyszycie przez stetoskop jakieś niepokojące odgłosy?

— Nie, kapitanie.

— Odpływamy stąd za dziesięć minut — powiedział Gorow.

23:42

W pewnych miejscach tunel zwężał się na tyle, że od jego ścian odbijało się halogenowe światło. Wówczas fakt uwięzienia w okowach lodu był odczuwany o wiele dotkliwiej niż wtedy, gdy otaczały ich zupełne ciemności.

Rita poddawała się emocjonalnej huśtawce nastrojów, balansując pomiędzy przeszłością a teraźniejszością, pomiędzy życiem a śmiercią, pomiędzy odwagą a tchórzostwem. Spodziewała się, że jej wewnętrzne wzburzenie będzie się zmniejszać, jednak z każdą minutą narastało coraz bardziej.

Ponad alpejską szosą wznosił się pas drzew. Nie tworzyły zwartej lasu, ale może stanowiły wystarczającą zaporę, aby zatrzymać ryczącą lawinę. Wysokie drzewa iglaste o grubych pniach; stare i mocne. Po chwili uderza w nie biały

przyptyw i zaczynają się łamać jak wykataczki. Jej mama i tato krzyczą, a Rita nie może oderwać wzroku od zbliżającej się śnieżnej fali, wysokiej i wciąż rosnącej — ginącej gdzieś wysoko w zimowym niebie — potężnej jak oblicze Boga. Lawina uderza w audi, przewraca samochód, zmiata go z szosy, zasypuje z dołu i z góry, przerzucając ponad metalową barierką i spychając w głąb wąwozu. Dookoła spowija ich wszechobecna biel. Samochód toczy się po zboczu, następnie zsuwa się na bok, uderza w drzewo, zaczyna się ześlizgiwać w dół unoszony przez wielką rzekę śniegu; następuje kolejne zderzenie, potem jeszcze jedno. Przednia szyba roztrzaskuje się i wpada do środka, po czym niespodziewanie wszystko zamiera i robi się ciszej niż w opuszczonym kościele.

Z krainy pamięci i wspomnień wyrwały Ritę nieartykułowane odgłosy przerażenia, które sama z siebie wydawała.

George Lin ponaglał ją z góry.

Przeklinając samą siebie, zaczęła poruszać płetwami i ponownie ruszyła na dół.

23:43

Na głębokości ponad stu metrów, po przebyciu ponad połowy odległości do *Il-ji Pogodina*, Harry zaczął wątpić, że uda im się pokonać cały dystans. Dokuczliwy szum w uszach bezustannie mu przypominał, jak wielkiemu ciśnieniu byli poddani. Wyraźnie słyszał dudniący dźwięk własnej krwi przepływającej przez żyły i arterie. Wydawało mu się, iż dochodzą do niego odległe, nieziemskie głosy, ale słowa nie łączyły się w żadną sensowną treść, i zrozumiał, że jeśli zacznie je pojmować, wówczas naprawdę będzie miał powody do obaw. Zastanawiał się, czy na skutek wysokiego ciśnienia może zostać zmiażdżony na drobną papkę składającą się z krwi i kości.

Wcześniej porucznik Timoszenko podał kilka przykładów na to, że zanurzenie na podobną głębokość jest wykonalne, i Harry bez przerwy powtarzał sobie niektóre z nich: w 1961 roku szwedzcy i amerykańscy nurkowie, wyposażeni w odpowiednie skafandry, zeszli w jeziorze Maggiore na głębokość dwustu czterdziestu metrów. W 1990 roku rosyjscy nurkowie, wyposażeni w jeszcze nowocześniejszy sprzęt, osiągnęli głębokość... — zapomniał. Ale jeszcze głębiej, niż ci w jeziorze Maggiore. Szwedzi, Amerykanie, Rosjanie... To wykonalne, w każdym bądź razie, dla posiadających świetny sprzęt zawodowych nurków.

Sto trzydzieści metrów.

23:44

Posuwając się coraz dalej w głąb lodowego szybu, trzymając się kabla komunikacyjnego, George Lin ciągle sobie powtarzał, że Rosjanie nie są już komunistami. A przynajmniej komuniści nie są u władzy. Jeszcze nie. Być może kiedyś, w przyszłości, znowu powrócą do rządu — zło nigdy tak naprawdę nie ginie. Ale załoga łodzi podwodnej ryzykowała życiem i nie miała żadnych podejrzanych zamiarów. Próbował sam siebie przekonać, jednak było to niezwykle trudne, gdyż przez lata żył w strachu przed czerwonymi.

Kanton. Wiosna 1949. Trzy tygodnie przed tym, jak Czang Kaj-szek został wygnany z kraju. Tato George'a był poza domem, próbując zorganizować przeprowadzkę całej rodziny i jej szczipujących zasobów na Tajwan. W domu znajdowały się oprócz George'a jeszcze cztery osoby: jego babka, dziadek, mama i jedenastoletnia siostra Yun-ti. O świcie grupa maoistowskich bojowników wtargnęła do domu w poszukiwaniu jego ojca. Dziewięciu uzbrojonych po zęby mężczyzn. Matce udało się schować go w kominku, za ciężką metalową płytą. Yun-ti została ukryta w innym miejscu, jednak bojownicy znaleźli ją. George, patrząc zza kominka, widział, jak jego dziadkowie zostali powaleni na kolana i zabici strzałem w tył głowy. Ich mózgi rozbryznięły się na przeciwległej ścianie. W tym samym pokoju jego matka i siostra zostały zgwałcone przez wszystkich dziewięciu mężczyzn. Nie oszczędzono im żadnego upokorzenia. George nie miał wtedy nawet siedmiu lat — był mały, przerażony i bezsilny. Bojownicy pozostali aż do trzeciej następnej rana, czekając na ojca George'a, i kiedy w końcu opuszczali dom, podcięli gardło Yun-ti. Następnie w ten sam sposób zabili jego matkę. Tyle krwi. Jego ojciec przybył dwanaście godzin później. George w dalszym ciągu ukrywał się w kominku i tam został znaleziony, oniemiały z przerażenia. Po tym, jak uciekli na Tajwan, nie powiedział ani słowa jeszcze przez trzy lata. I kiedy po raz pierwszy przerwał długi okres milczenia, pierwszymi słowami, jakie wymówił, były imiona jego matki i siostry. Powtarzając je szlochał aż do chwili, gdy przybył lekarz i zaaplikował mu środek uspokajający.

Mimo wszystko ludzie w okolicy podwodnym to Rosjanie, a nie Chińczycy, a poza tym nie są już komunistami. Być może nigdy nie byli prawdziwymi komunistami. W końcu żołnierze i marynarze czasami walczyli za swój kraj, mając świadomość, że jest on rządzony przez bandę głupców i złodziei.

Ludzie na dole nie byli tacy jak ci, którzy zgwałcili jego matkę i siostrę, a następnie je zabili. To byli inni ludzie i inny czas. Można im było zaufać. Musi im zaufać.

Mimo wszystko obawiał się załogi *Pogodina* bardziej, niż wszystkich materiałów wybuchowych na świecie razem wziętych.

23:46

- Mesa oficerska zgłasza się do kapitana.
- Słucham.
- Przecieka poszycie kadłuba po prawej stronie, kapitanie.
- Widać jakieś wybrzuszenie?
- Nie, kapitanie.
- Ile jest tej wody?
- Pół litra, kapitanie.

Problemy pojawiły się zarówno w pomieszczeniu torpedowym, jak i w mesie oficerskiej. Wkrótce musieli się stąd zbierać.

- Stetoskop? — zapytał Gorow.
- Sporo hałasów na zewnątrz kadłuba, kapitanie, ale nie słychać żadnych typowych objawów przeciążenia.
- Za pięć minut będziemy stąd odpływać.

23:47

W miarę zbliżania się do łodzi podwodnej, Harry przypominał sobie coraz więcej przykładów napawających go nadzieją. Według słów porucznika Timoszenki, brytyjscy nurkowie w Alverstoke w Hampshire i francuscy w Marsylii, wyposażeni w sprzęt najnowszej generacji, osiągnęli głębokość pięciuset metrów podczas symulowanego nurkowania w specjalnych komorach.

Oczywiście pewien fragment tej informacji mocno osłabiał jej pocieszającą wymowę. Chodziło oczywiście o „symulowane nurkowanie w specjalnych komorach”.

Tym razem wszystko rozgrywało się naprawdę.

Tunel zaczynał się rozszerzać. Lodowe ściany oddalały się od siebie aż do momentu, kiedy w ogóle przestały odbijać światło.

Miał poczucie przebywania w znacznie szerszej przestrzeni. Woda była czystsza niż wyżej — zapewne dlatego, że unosiło się w niej mniej cząsteczek lodu. W ciągu kilku sekund zobaczył w dole kolorowe światła; najpierw zielone, a potem niebieskie. Po chwili w promieniach trzymanej przez niego lampy ukazał się potężny, szary kształt, mający poniżej w otchłani.

Nawet kiedy dotarł do nadbudówki *Ilji Pogodina* i odpoczywał, opierając się o jeden z masztów, Harry nie był pewien, czy mają szansę przeżyć poddani działaniu tak potężnego ciśnienia. Wyobrażał sobie, że jego płuca mogą eksplodować z siłą granatów, a naczynia krwionośne popękają jak balony. Nie znał się zbyt dobrze na efektach, jakie wywoływało w organizmie duże ciśnienie, niemniej obraz, który sobie wyobraził, był niezwykle przekonujący.

Co więcej, Harry'emu nie podobał się wygląd okrętu podwodnego. Czekał, aż dotrą do niego pozostali polarnicy, miał prawie minutę, aby przyjrzeć się łodzi. Świeciły się na niej wszystkie światła sygnalizacyjne: czerwone na lewej burcie, zielone na prawej, białe na nadbudówce, a żółte... Być może jego zdolność rozumowania pogorszyła się na skutek wysokiego ciśnienia lub przemęczenia, ale *Pogodin* wydawał się zbyt barwny, aby mógł być prawdziwy. Po tak długim oglądaniu ciemności dookoła, okręt przypominał raczej flipper w salonie gier albo choinkę. Wydawał się delikatny i kruchy, jak konstrukcja z czarnego celofanu.

23:49

Rita miała nadzieję, że z chwilą wydostania się z tunelu, gdy lód nie będzie już znajdował dookoła niej, lęk ją opuści. Jednak powyżej w dalszym ciągu znajdowała się lodowa wyspa; wysoka jak siedemdziesięciopiętrowa budowla, długa na półtora tysiąca metrów — miała wielkość kilku, połączonych razem, potężnych drapaczy chmur na Manhattanie. Wiedziała, że góra unosi się na wodzie i nie zatonię zniecka, wgniatając ją w dno oceanu, jednak przerażała ją myśl, że znajduje się ponad nią i nie miała odwagi, aby unieść głowę i przyjrzeć się jej z dołu.

W samochodzie jest zimno, gdyż silnik zgasł i ogrzewanie przestało działać. Przednie siedzenia zostały zasypane przez śnieg i połamane gałęzie drzew, które wtargnęły przez otwór po rozbitej przedniej szybie, zakryły tablicę rozdzielczą i pogrzebały do pasa jej rodziców. Siedzą bezgłośnie w śniegu, oboje nieżywi, i w miarę upływu czasu Rita, ubrana wyłącznie w swoją zimową kurtkę, zaczyna zdawać sobie sprawę, że nie przetrwa do chwili aż nadejdzie pomoc. Lampka w suficie audi jarzy się bladym światłem, tak że we wnętrzu nie jest ciemno; dookoła widzi śnieg przyciśnięty do wszystkich szyb samochodu. Jest inteligentną dziewczynką i wie, że warstwa przykrywającego ją śniegu może być bardzo gruba i nie będzie w stanie wydostać się spod niej o własnych siłach. Zanim dotrze do niej jakakolwiek pomoc z zewnątrz, upłynie sporo czasu. Musi włożyć gruby płaszcz taty i po niebezpiecznie długim zwlekaniu z decyzją, starając się przygotować na to, co za chwilę zobaczy, przeczołguje się na przednie siedzenie. Purpurowe, krwawe sople zwisają z uszu i nosa jej taty, a mama ma gardło przebite

przez postrzępiony koniec gałęzi, która wpadła razem z lawiną przez przednią szybę. Ich twarze są niebieskoszare, a otwarte oczy całkowicie białe, gdyż pokrywa je warstwa szronu. Rita spogląda tylko raz, a następnie opuszcza głowę i zaczyna odkopywać tatę spod śniegu. Ma tylko sześć lat, jest ruchliwym i mocnym jak na swój wiek dzieckiem, wciąż jednak bardzo małym. Nie byłaby w stanie ściągnąć płaszcza ze sztywniejącego korpusu, gdyby ręce tkwiły w rękawach. Ale podczas jazdy tata zsunął go z ramion. Teraz jego ciało przygniata płaszcz, a ona opiera się o tatę i po długim wysiłku udaje jej się w końcu wydostać okrycie. Przeczotługuje się na tylne siedzenie — nie zasypane przez śnieg — kuli się, szczelnie owija płaszczem i czeka na nadejście pomocy. Schowała nawet głowę, usiłując zatrzymać pod satynową podszewką nie tylko ciepło organizmu, ale również swój oddech, który dodatkowo ją ogrzewał. Po chwili z coraz większym trudem powstrzymuje się od zaśnięcia i powoli przenosi się z zimnego samochodu do jeszcze zimniejszych zakamarków swojej świadomości. Za każdym razem budzi się z niebezpiecznego snu z załzawionymi oczami, jest coraz słabsza, ale wciąż pamięta o nastuchiwaniu odgłosów nadciągającej pomocy. Po długim oczekiwaniu słyszy, zamiast nich albo wydaje jej się, że słyszy — ruch na przednim siedzeniu: trzask łamanego lodu, jakby tata i mama zmęczeni się tkwiąc tam w bezruchu i zdecydowali się przenieść do tyłu, bliżej niej. Chcą zagrzać się pod połami dużego, ciepłego płaszcza. Trzask: dźwięk krwawych sopli, odłamujących się od nosa taty. Kolejny chrobot lodu: są coraz bliżej. Okropny trzask lodu: pewnie przeczotługują się do tylnej części samochodu. Chrobot, łomot, trzask lodu... czy rzeczywiście słyszy znajomy głos szepczący jej imię? Pod płaszcz sięga zimna ręka, również spragniona ciepła...

Ktoś dotknął Rity i krzyknęła z przerażenia, a własne wołanie odesłało audi i lawinę w przeszłość, tam gdzie było ich miejsce.

Obok niej po jednej stronie znajdował się Pete, po drugiej Franz. Najwyraźniej przestała się poruszać i trzymali ją za ramiona, ściągając w dół na końcowym odcinku. Na wprost niej znajdowała się łódź podwodna. Zobaczyła Harry'ego, trzymającego się masztu radaru powyżej nadbudówki.

23:50

Dreszcz ulgi przebiegł Harry'ego na widok Rity pomiędzy Pete'em i Franzem. Na nowo przepełniła go nadzieja.

Kiedy przyłączyli się do niego pozostali polarnicy, popłynął wzdłuż nadbudówki, zszedł po drabince na mostek i podciągnął się wzdłuż linii wystających bolców w przedniej części górnego pokładu. Gdyby oderwał się od łodzi, miałby kłopoty, aby ponownie się jej uchwycić, gdyż prąd morski przemieszczający się z prędkością dziewięciu węzłów na godzinę oddziaływał na niego w inny sposób,

niż na masywny okręt.

Jego „spacer” po powierzchni łodzi podwodnej przypominał penetrację przestrzeni kosmicznej przez astronautę, który wyszedł na zewnątrz swojego pojazdu: wydawało się, że wszystko jest w bezruchu, podczas gdy tak naprawdę poruszali się z dużą prędkością.

Ostrożnie, ale ze świadomością konieczności pośpiechu, w dalszym ciągu podciągał się wzdłuż linii wystających bolców, szukając wjazdu do komory powietrznej, którą Timoszenko opisał przez krótkofalówkę.

23:51

Zawyła syrena alarmowa.

Z głównego monitora umieszczonego nad stanowiskiem dowodzenia zniknęły kolumny cyfr i wykresy. Zastąpiły je czerwone litery: NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Gorow uderzył na konsolce w klawisz z napisem DISPLAY. Syreny ucichły, z ekranu zniknął czerwony napis, a na jego miejscu pojawiła się informacja wyświetlona zwykłymi, zielonymi literami: DO PRZEDNIEGO LUKU TORPEDOWEGO NUMER PIĘĆ WPADŁ WŁAZ ZEWNĘTRZNY. LUK ZOSTAŁ ZALANY. WODA SIĘGA DO WŁAZU WEWNĘTRZNEGO.

— Zaczęło się na dobre — stwierdził Żuków.

Luk numer pięć musiał zostać uszkodzony w chwili, kiedy — wcześniej tej nocy — zderzyli się z krą. Teraz wjazd i zewnętrzne poszycie kadłuba nie wytrzymały potężnego ciśnienia.

— Został uszkodzony tylko wjazd zewnętrzny — szybko powiedział Gorow — to tylko zasuwą blokująca wylot z luku, a nie główny wjazd. Woda nie wdiera się na pokład okrętu. Jeszcze nie. I w ogóle się nie wdrze.

Marynarz czuwający przy jednej z tablic z kontrolkami bezpieczeństwa zameldował:

— Kapitanie, nasi goście otworzyli górny wjazd komory dekompresyjnej.

— Uda się nam — zapewnił Gorow załogę znajdującą się w centrum dowodzenia. — To będzie jedna z naszych najlepszych akcji.

23:52

Zasuwą wjazdu komory powietrznej na przednim pomoście ewakuacyjnym została odblokowana przez kogoś obsługującego konsolę kontrolną wewnątrz okrętu. Harry spojrzał do środka niewielkiego, jasno oświetlonego pomieszczenia wypełnionego wodą. Tak jak uprzedzał porucznik Timoszenko, mogło się w nim

zmieścić jednocześnie tylko czterech nurków — i tak było ono dwukrotnie większe, niż standardowe komory ewakuacyjne na większości łodzi podwodnych.

Kolejno: Brian, Claude, Rita i George weszli do ciasnego, okrągłego pomieszczenia i usiedli na podłodze, przyciskając się plecami do ścian.

Harry zamknął właz od zewnątrz, co było znacznie szybsze niż czekanie, aż ktoś od środka ściągnie go w dół za pomocą dźwigni i zakręci zasuwę.

Spojrzał na swój podświetlany zegarek.

23:53

Gorow z lękiem patrzył na monitory.

— Komora ewakuacyjna jest przygotowana — zameldował Żuków, powtarzając wiadomość, którą usłyszał przez swoje słuchawki, i w tej samej chwili identyczna informacja ukazała się na jednym z ekranów.

— Przyjąć nurków na pokład — rozkazał Gorow.

23:54

Rita trzymała się uchwytów umieszczonych w ścianie komory powietrznej, podczas gdy potężne pompy w ciągu trzydziestu sekund opróżniły pomieszczenie z wody. Nie ściągnęła maski, lecz — zgodnie z otrzymanymi wcześniej instrukcjami — w dalszym ciągu wdychała mieszaną gazów ze zbiornika.

Otworzył się właz umieszczony w środku podłogi — wychylił się z niego młody, uśmiechnięty rosyjski marynarz, o wręcz niewinnym wyrazie twarzy, i skinął na nich palcem.

Szybko wydostali się z komory powietrznej, schodząc po drabinie do pomieszczenia, z którego obsługiwano urządzenia pomostu ewakuacyjnego. Marynarz znów wspiał się za nimi po drabinie, zakręcił zasuwę wewnętrznego włazu i szybko zszedł do konsoli kontrolnej. Woda z hukiem wdarła się ponownie do górnej komory.

Pamiętając o tym, że wprost nad łodzią dryfowała lodowa wyspa z umieszczonymi w niej ładunkami wybuchowymi, Rita weszła wraz z innymi do znajdującej się obok komory dekompresyjnej.

23:56

Harry ponownie odkręcił zasuwę zewnętrznego włazu.

Czekał, aż Franz i Pete wejdą, a następnie podążył za nimi, zamykając wąż od środka.

Usiedli plecami do ścian.

Nie musiał nawet spoglądać na zegarek. Wewnętrzny — kryzysowy — czasomierz podpowiadał mu, że do detonacji pozostało nie więcej niż cztery minuty.

Zawory odpływowe zostały otwarte i pompy szybko osuszyły komorę ewakuacyjną.

Ponad nimi unosiła się góra lodu mająca wkrótce gwałtownie się rozpaść, i jeśli stanie się to w chwili, gdy będą się znajdować pod jej dnem, wówczas okręt zostanie najprawdopodobniej rozerwany na części. Śmierć przyjdzie tak szybko, że większość z nich nie zdąży nawet krzyknąć.

Gorow ściągnął na dół zawieszony nad głową mikrofon, wywołał pomieszczenie sterowni i zarządził włączenie całej wstecz.

Sterownia potwierdziła rozkaz i chwilę później okręt szarpnął gwałtownie na skutek gwałtownej zmiany kierunku.

Gorow został rzucony na barierkę otaczającą stanowisko dowodzenia, a Żuków prawie upadł.

— Sterownia do kapitana. Jest, cała wstecz — rozległo się z głośnika w suficie.

— Ster zero.

— Jest, ster zero.

Góra lodowa przemieszczała się na południe z prędkością dziewięciu węzłów. Okręt cofał się na północ z prędkością dziesięciu... dwunastu... piętnastu węzłów, z czego wynikało, że łódź podwodna oddalała się od dryfującej wyspy.

Gorow nie wiedział, czy była to wystarczająca szybkość, aby przetrwać eksplozję, ale dla nabrania większej prędkości potrzebowali więcej czasu niż ten, który pozostał do detonacji.

— Lód ponad nami — oznajmił operator sondy powierzchniowej. Znajdowali się już poza gardzielą tunelu w centralnym punkcie góry lodowej. — Ponad nami lód w odległości dwudziestu metrów.

23:58

Harry wszedł do komory dekompresyjnej i usiadł obok Rity. Chwycili się za

ręce i oboje spojrzeli na jego zegarek.

23:59

Cała uwaga załogi obecnej w centrum dowodzenia skoncentrowała się na cyfrowym zegarze umieszczonym za stanowiskiem kapitana. Nikita Gorow miał wrażenie, że widzi, jak każdej mijającej sekundzie towarzyszy drgnienie mięśni wszystkich marynarzy.

23:59:10

23:59:11

— Cokolwiek się stanie — powiedział Emil Żuków — jestem zadowolony, że dałem mojemu synowi imię Nikita.

— Może się okazać, że ten, który wcześniej nosił to imię, był głupcem.

— Owszem — ale interesującym głupcem. Gorow uśmiechnął się.

23:59:30

23:59:31

— Otwarta woda. Ponad nami nie ma lodu — zameldował technik obsługujący sondę powierzchniową.

— Wydostaliśmy się spod dna góry — powiedział ktoś.

— Ale jeszcze nie jesteśmy w bezpieczniejszej odległości od niej — ostrzegł Go-

row, świadomy, że znajdują się w strefie opadania wysadzonego w powietrze lodu.

23:59:46

23:59:47

23:59:49

Po raz drugi w ciągu dziesięciu minut zabrzmiała syrena alarmowa i na jednym z umieszczonych w suficie monitorów pojawił się czerwony napis: NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Gorow ponownie nacisnął przycisk DISPLAY i dowiedział się, że również właz innego luku torpedowego w uszkodzonej części kadłuba nie wytrzymał ciśnienia: DO PRZEDNIEGO LUKU TORPEDOWEGO NUMER CZTERY WPADŁ WŁAZ ZEWNĘTRZNY. LUK ZOSTAŁ ZALANY. WODA SIĘGA DO WŁAZU WEWNĘTRZNEGO.

Ściągając w dół mikrofon, Gorow zawołał:

— Kapitan do pomieszczenia torpedowego! Porzućcie stanowiska i zamknijcie wszystkie drzwi wodoszczelne.

— O Boże — powiedział ateista Emil Żuków.

— Włazy wewnętrzne wytrzymają — stwierdził Gorow z przekonaniem i modlił się, aby nie był w błędzie.

23:59:59

00:00:00

— Trzymajcie się!

— Otwarta woda.

00:00:03

— Co się dzieje?

— Co z wybuchem?

00:00:07

Dotarł do nich wstrząs, przeniesiony przez rozpadający się lód do wody, i poprzez wodę na kadłub. Był zdumiewająco łagodny i odległy. Gorow czekał na nadejście silniejszych fal uderzeniowych — jednak w ogóle nie wystąpiły.

Operator sondy poinformował o podzieleniu się góry na wiele drobniejszych kawałków.

Dwie minuty po północy, kiedy sonda nie wykryła w pobliżu *Ilji Pogodina* większych fragmentów lodu, Gorow wiedział, że byli bezpieczni.

— Wynurzamy się.

W centrum dowodzenia zabrzmiał okrzyk radości.

NIECO PÓŹNIEJ...

[1]

DUNDEE, SZKOCJA, 18 stycznia

Krótko przed południem, dwa i pół dnia po ucieczce ze swojego lodowego więzienia, polarnicy przybyli do Szkocji.

Od kiedy George Lin uciekł ze swoim tatą z Chin, wiele lat temu, na małej łódce, nie zaliczał się do szczególnie zagorzałych entuzjastów morskich podróży — niezależnie od tego, czy odbywały się one na powierzchni wody, czy pod nią — i kiedy ponownie znalazł się na stałym lądzie, poczuł wyraźną ulgę.

Jak na zimę w Dundee, pogoda nie była ani łagodna, ani ostra. Niebo zasnuwały ponure szaroczarne chmury. Temperatura wynosiła dwadzieścia stopni Fahrenheita. Zimny wiatr znad Morza Północnego burzył i pienił wody na całej długości Zatoki Tay.

Ponad stu dziennikarzy z całego świata przybyło do Dundee, aby zrelacjonować zakończenie wyprawy Edgeway. Reporterzy spędzali pomiędzy sobą więcej czasu na rozmowach o psiej pogodzie, niż o wydarzeniu, dla którego tu przyjechali.

George opuścił pokład *Pogodina* i nawet po godzinnym staniu na wietrze wciąż rozkoszował się powiewem orzeźwiającej bryzy na swojej twarzy. Jej zapach, w porównaniu z pochodzącym ze zbiorników powietrzem w łodzi podwodnej, miał w sobie tyle świeżości. Przy tym, w przeciwieństwie do pogody, jaka go otaczała przez ostatnie kilka miesięcy, nie musiał się obawiać żadnych odmrożeń.

Krocząc po nabrzeżu tam i z powrotem, otoczony przez chmarę reporterów, mówił:

— Ten okręt — czyż nie jest on naprawdę piękny?

Nad łodzią podwodną, zakotwiczoną w głębokim doku, powiewała potężna rosyjska flaga i — zgodnie z etykietą portową — szkocka, o nieco mniejszych rozmiarach. Na głównym pokładzie, w dwóch liniach, stało naprzeciw siebie sześćdziesięciu ośmiu marynarzy, ubranych w galowe mundury i płaszcze marynarki wojennej. Nikita Gorow, Emil Żuków i pozostali oficerowie prezentowali się w śmienicie w swoich mundurach i popielatych zimowych płaszczach paradnych z mosiężnymi guzikami.

Na mostku i trapie łączącym okręt z nabrzeżem znajdowało się wielu dostojnych gości: przedstawiciel rządu Jej Królewskiej Mości, rosyjski ambasador w Wielkiej Brytanii i dwóch jego pomocników, burmistrz Dundee, dwóch przedstawicieli Organizacji Narodów Zjednoczonych i grupa urzędników rosyjskiego konsulatu w Glasgow.

Jeden z fotografów poprosił George'a, aby pozował do zdjęcia na tle *Ilji Pogodina*. Uśmiechając się szeroko, Lin wyraził zgodę.

Jakiś reporter spytał go, jak się czuje ktoś, kto jest bohaterem, a jego zdjęcie pojawi się na pierwszych stronach gazet na całym świecie.

— Nie jestem bohaterem — natychmiast odpowiedział George. Odwrócił się i wskazał na oficerów i załogę okrętu za swoimi plecami: — To oni są bohaterami.

[2]

BAZA EDGEWAY, 20 stycznia

Podczas tej nocy prędkość wiatru po raz pierwszy od pięciu dni zaczęła słabnąć. Nad ranem igiełki lodu przestały uderzać o dach i ściany baraku ze sprzętem telekomunikacyjnym, a zamiast nich powietrze ponownie wypełniło się miękkimi płatkami śniegu. Gwałtowne sztormy nad Północnym Atlantykiem zaczynały powoli ustępować.

O drugiej po południu Gunvaldowi udało się w końcu nawiązać łączność z amerykańską bazą wojskową w Thule na Grenlandii. Operator obsługujący radiostację natychmiast poinformował go o wstrzymaniu do końca zimy prac związanych z Eksperymentem Edgeway.

— Poproszono nas, aby zabrać pana z pokrywy polarnej. Jeśli pogoda poprawi się, tak jak zapowiadają to w prognozach, będziemy w stanie zjawić się w bazie pojutrze. Czy wystarczy panu tyle czasu, aby zamknąć wszystkie budynki i zabezpieczyć sprzęt?

— Tak, czasu będzie aż za wiele — odpowiedział Gunvald. — Ale, na miłość boską, czym wy się przejmujecie? Co się dzieje z pozostałymi? Czy żyją?

Amerikanin był zawstydzony.

— Och, przepraszam. Oczywiście nie mógł pan o niczym wiedzieć, pozostając w takiej izolacji. — Przeczytał dwa artykuły z gazet i dodał jeszcze parę słów od siebie, uzupełniając informacje o fakty, które znał.

Po pięciu dniach nieustannego napięcia Gunvald doszedł do wniosku, że nadzedł czas na świętowanie. Zapalił fajkę i postawił na stole butelkę wódki.

[3]

E-MAIL Z MONTEGO BAY NA JAMAJCE DO PARYŻA WE FRANCJI,
25 stycznia

Claude, Franz i ja dotarliśmy tutaj dwudziestego trzeciego stycznia. W ciągu godziny od naszego przybycia zarówno wiozący nas z lotniska taksówkarz, jak i hotelowy recepcjonista, kilkakrotnie zdążyli określić nas jako „przedziwną grupę”. Człowieku, oni nic z tego nie rozumieją.

Wciąż nie mogę nasycić się słońcem — nawet gdy się opalam.

Chyba spotkałem kobietę swoich marzeń. Ma na imię Majejan. Franz został

poderwany w barze przez jakąś „wybitnie współczesną” kobietę, która nie uznaje tradycyjnego podziału ról, i biedak próbuje się nauczyć, że nie musi jej otwierać drzwi, jeżeli chce zrobić to sama. Strasznie go to wkurza i czasem dochodzi przy drzwiach do prawdziwej bitwy, ale z każdym dniem robi postępy. Claude ciągle przebywa w towarzystwie dwudziestoosmioletniej blondynki, która uważa go za niebywale atrakcyjnego faceta i omdlewa na dźwięk jego francuskiego akcentu.

Zastanawiamy się, czy nie zmienić pracy i nie otworzyć baru w jakimś podzwrotnikowym kurorcie. Może ty i Rita przyłączylibyście się do naszego interesu. Moglibyśmy przesiadywać tam całymi dniami, sącząc przez rurkę wymyślne drinki. To najlepsze lekarstwo na odmrożenia, materiały wybuchowe i podwodne walki z psychopatami. Najpoważniejszym problemem, z jakim mamy tutaj do czynienia, jest wilgoć.

Pozdrawiam
Pete

[4]

PARYŻ, FRANCJA, 26 stycznia

W ich apartamencie w Hotelu George V, w kubelku wypełnionym lodem, chłodziła się butelka szampana don perignon.

Leżeli w swoich ramionach, przytuleni do siebie tak mocno, jakby się chcieli stopić w jedną całość, wydzielając takie ilości ciepła, że mogliby ogrzewać arktyczną bazę przez całą długą zimę, kiedy nagle przestraszył ich stukot w pobliżu łóżka. Zostali uratowani przez załogę *Pogodina* ponad tydzień temu, jednak ich nerwy wciąż były napięte. On usiadł, a ona osunęła się z niego, i oboje odwrócili się w stronę miejsca, z którego dochodził dźwięk — jednak byli w pokoju sami.

— Lód — powiedziała.

— Lód?

— Tak, lód przesuwa się w kubelku z szampanem.

Przeniósł wzrok na kubek umieszczony w powlekanym srebrem stojaku i lód znów się przesunął.

— Lód — powtórzyła.

Spojrzał na nią. Uśmiechnęła się. Kąciki jego ust również uniosły się w górę. Zachichotała jak mała dziewczynka, a on wybuchnął perlistym śmiechem.